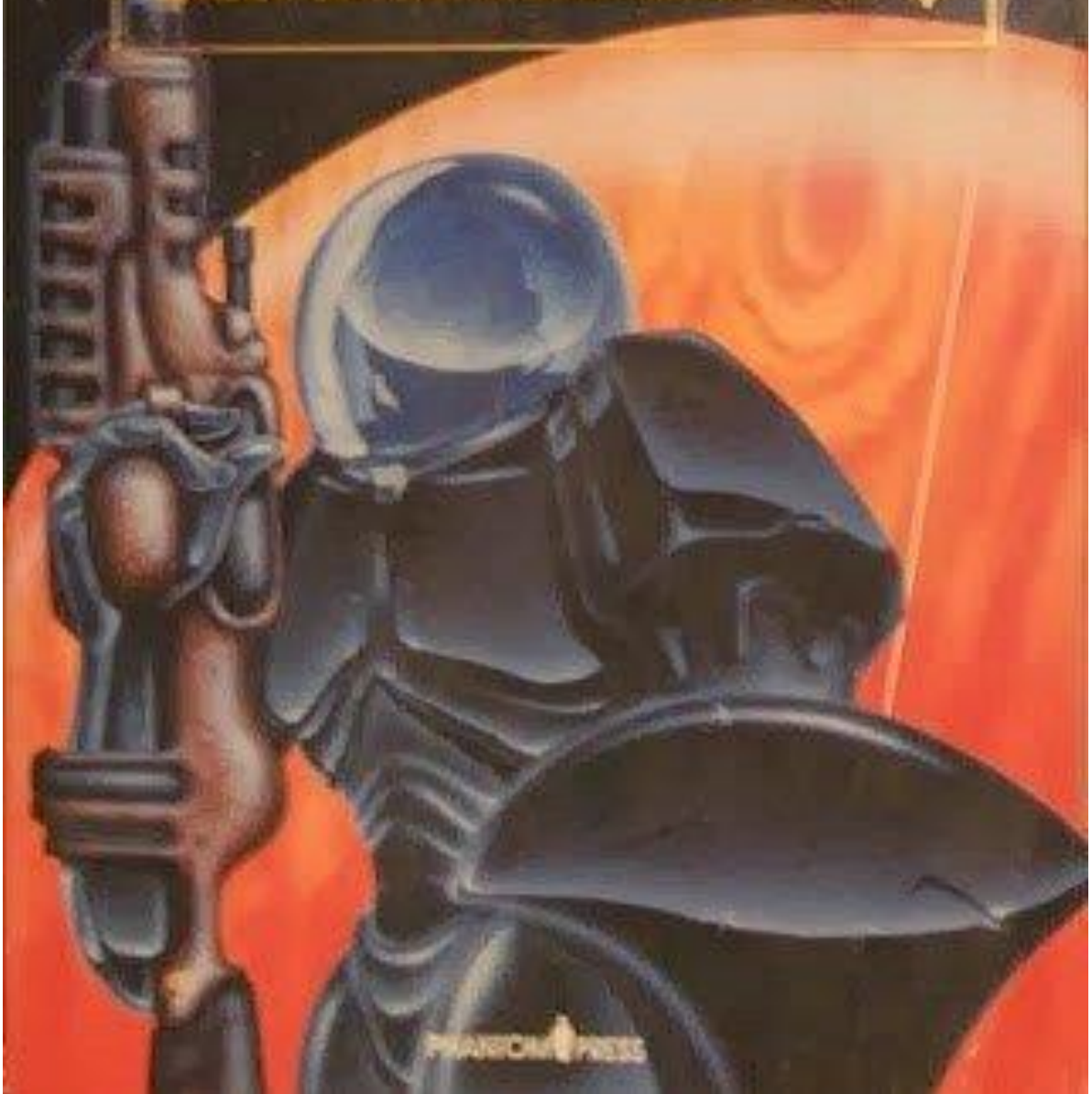


THOMAS & ST

SZLAK CHWAŁY

ROBERT A. HEINLEIN

KLASYK SWIATOWEJ LITERATURY SCIENCE FICTION



PHANTOM PRESS

ROBERT A. HEINLEIN

SZLAK CHWAŁY

Przełożyli
Zbigniew A. Królicki
Andrzej Sawicki

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL
GDAŃSK 1993

Brytanik /zaszokowany/:

Cesarze, to niewłaściwe.

Teodot /rozwścieczony/:

Czemuż to?

Cezar /odzyskując panowanie nad sobą/:

Wybacz mu, Teodocie: jest
barbarzyńcą, i mniema, iż
obyczaje jego plemienia i wysp
są prawami natury.

Cezar i Kleopa-
tra, Akt drugi
*George Bernard
Shaw*

ROZDZIAŁ I

Znam pewien Kraj, w którym nie ma smogu, problemów z parkowaniem ani przeludnienia... Ani zimnej wojny, bomby H i telewizyjnych reklamówek... Gdzie nie wiedzą, co to konferencje na szczycie, Fundusz Pomocy Zagranicy i ukryte podatki - a także podatek dochodowy. Klimat jest tam taki, jaki przypisują sobie (zupełnie bezpodstawnie) Floryda i Kalifornia, krajobrazy są piękne, ludzie przyjaźni i gościnni, a kobiety uroczo i zaskakująco chętnie szafujące swoimi łaskami...

Mógłbym tam wrócić, mógłbym...

To był rok wyborów, przebiegających jak zwykle pod hasłem: „Cokolwiek możesz zrobić, ja zrobię to lepiej”, a w tle tych pogawędek pisały sputniki. Ukończyłem dwadzieścia jeden lat, ale nie miałem zielonego pojęcia, przeciw której partii głosować.

Zamiast tego zadzwoniłem do mojej komendy uzupełnień i poprosiłem ich, żeby przysłali mi kartę powołania.

Do przymusowego poboru mam taki stosunek, jak homar do wrzącej wody: może to i najpiękniejsza godzina jego życia, ale nie on dokonał wyboru. Mimo to kocham mój kraj. Tak jest, kocham - mimo szkolnej propagandy głoszącej, iż patriotyzm wyszedł z mody. Jeden z moich pradziadków poległ pod Gettysburgiem, a mój tatko na własnych podszewkach wracał spod Inchon - tak więc nie kupuję tego pomysłu. Zwalczam go w toczonych w klasach dyskusjach - aż dostałem D z nauk społecznych, wtedy zamknąłem dziób i zaliczyłem rok.

Jednak nie zmieniłem zdania, by zadowolić tych spośród nauczycieli, którzy nie odróżniali Little Round Top od Seminary Ridge.

Czy należysz do mojego pokolenia? Jeżeli nie, czy wiesz, dlaczego tak bardzo pobiłdaliśmy? A może po prostu spisałeś nas na straty, jako „młodocianych przestępców”?

Mógłbym napisać o tym książkę: Bracie! Jednakże przytoczę tylko jeden kluczowy fakt: jeśli poświęcacie długie lato na to, aby wybić chłopakowi z głowy patriotyzm, nie oczekujcie, iż będzie wiwatował, gdy otrzyma zawiadomienie: GRATULACJE: Niniejszym zostaje pan wciągnięty w szeregi poborowych Armii Stanów Zjednoczonych...

I co tu gadać o „straconym pokoleniu”! Czytałem te głądoly Fitzgeralda, Hemingwaya i innych, napisane po pierwszej wojnie światowej, i doszedłem do wniosku, że jedyną rzeczą, o którą musieli się martwić, była zawartość metanolu w bimbrze. Trzymali świat za ogon - dlaczegoż więc tak zalewali się łzami?

Oczywiście, czekał ich Hitler i lata kryzysu. Jednak oni nie mieli o tym pojęcia. My mieliśmy na głowie Chruszczowa i bombę H - ale my o tym wiedzieliśmy.

Jednak nie byliśmy „straconym pokoleniem”. Gorzej - byliśmy „bezpiecznym pokoleniem”.

Nie bitnikami. Tych nie było nigdy więcej niż kilkuset wśród milionów.

Och, mówiliśmy o rytmie beatu, rozprawialiśmy o chłodnym brzmieniu stereo i spieraliśmy się z bandą muzyków „Playboya” tak zaciekle, jak gdyby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Cytowaliśmy Salingera i Kerouaca, używaliśmy języka, który szokował naszych rodziców i (niekiedy) ubieraliśmy się jak bitnicy. Nie uważa-

liśmy jednak, by bębenki bongo i brody mogły się równać z pieniędzmi w banku. Nie byliśmy buntownikami. Byliśmy konformistyczni jak stado owiec. Naszym tajnym hasłem było „Bezpieczeństwo”.

Większości z nich nigdy nie wypowiedziano, ale kierowaliśmy się nimi równie nieomylnie, jak kacze pisklę podąża dowody. „Nie sprzeciwiaj się Ratuszowi”, „Bierz, kiedy można”, „Nie daj się złapać”. Wzniosłe cele, wielkie wartości moralne, wszystkie miały jeden wspólny mianownik - „Bezpieczeństwo”, „Pływanie z prądem” - (cegiełka, którą moje pokolenie złożyło na ołtarzu Wielkiego Amerykańskiego Snu) opierało się to na pewności - słabi mogli być pewni, iż w sobotnią noc nie będą samotni. Jeśli płynąłeś z prądem, eliminowałeś konkurencję.

Ale mieliśmy swoje ambicje. Tak jest, proszę pana. Wykiwaj swoją komendę uzupełnień i skończ szkołę średnią. Ożeń się i zrób jej dziecko, niech obie rodziny pomogą ci utrzymać się jako zwolnionemu od obowiązku służby w wojsku studentowi. Załap się na pracę dobrze widzianą przez komendy uzupełnień, powiedzmy w jakiejś firmie zbrojeniowej. A jeszcze lepiej, po ukończeniu studiów - jeśli twój (albo jej) starzy dadzą radę nadał was utrzymywać, załatw sobie dodatkowe studia i przetrwaj bezpiecznie okres, w którym mogą cię powołać i weź przy tym pod uwagę, iż doktorat jest legitymacją związkową, gdy chodzi o awanse, pensje i emeryturę.

Jeśli idzie o zabezpieczenie, to następna w kolejności, po żonie w ciąży i bogatych rodzicach, była kategoria 4-F. Uszkodzone bębenki uszne to niezła rzecz, ale najlepsza była alergia. Jeden z moich sąsiadów miewał straszliwe ataki astmy, dopóki nie ukończył dwudziestego szóstego roku życia. Wcale nie udawał - miał uczulenie na komisje poborowe. Inny sposób polegał na przekonaniu wojskowego psychiatry, że twoje zainteresowania kwalifikują się raczej do sfery podległej Departamentowi Stanu niż Armii. Więcej niż połowa mojego pokolenia była „niezdolna do służby wojskowej”.

Nie widzę w tym niczego dziwnego. Jest taki stary obraz, przedstawiający ludzi podróżujących saniami przez las - ściganych przez wilki. Co pewien czas łapią jednego spośród siebie i rzucają

na pożarcie. Właśnie tym jest pobór do wojska, nawet jeśli nazwiecie to „zaszczytną służbą” i dla okraszy dołożycie kilka medali oraz „przywilejów dla weteranów” - rzucaniem mniejszości wilkom, podczas gdy większość w «pokoju ducha zmierza ku garażowi na trzy samochody, basenowi oraz korzyściom płynącym z pewnej i bezpiecznej emerytury.

Ja też nie jestem święty - sam miałem na oku ten garaż na trzy wozy.

Jednak moi starzy nie mogli mnie przepchnąć przez szkołę średnią. Ojczym był zawodowym podoficerem w Siłach Powietrznych i starał się, jak mógł, by zarobić na buty dla własnych dzieciaków. Gdy na rok przed maturą przeniesiono go do Niemiec, a siostra mojego ojca zaprosiła mnie, bym zamieszkał z nią i jej mężem, obaj z ojczymem odczuliśmy ulgę.

Moja sytuacja finansowa wcale się nie poprawiła, ponieważ wuj płacił alimenty swojej pierwszej żonie - co zgodnie z kalifornijskim prawem stawiało go w sytuacji bardzo podobnej do tej, w jakiej znajdował się robotnik rolny w Alabamie przed wojną domową. Jednak miałem swoje trzydzieści pięć dolców na miesiąc, jako „żyjący spadkobierca zmarłego weterana”. (Nie byłem „sierotą wojennym”, co jest o wiele bardziej opłacalne). Matka uważała, że śmierć ojca nastąpiła w wyniku ran, ale Urząd do Spraw Weteranów był innego zdania, zostałem więc tylko „żyjącym spadkobiercą”. Trzydzieści pięć dolców miesięcznie nie wypełniało dziury, jaką robiłem w ich spiżarni, zrozumiałe więc, że po maturze miałem sam zadbać o siebie. Niewątpliwie sądzili, że zaciagnę się do wojska. Jednak ja miałem własne plany: grałem w futbol i sezon roku maturalnego ukończyłem, zajmując drugie miejsce na liście rankingowej centralnej Kalifornii pod względem ilości zdobytych jardów oraz ze złamanym nosem - i rozpocząłem następną kolejkę w miejscowym college'u stanowym z robotą polegającą na „zamiataniu hali” za dziesięć zielonych więcej niż tamta pensja, plus napiwki.

Nie widziałem jeszcze światełka w tunelu, ale wytyczyłem sobie jasny plan - za wszelką cenę dostać się na studia i zdobyć dyplom inżyniera. Unikać poboru i małżeństwa. Po dyplomie załatwić sobie robotę dającą odroczenie. Oszczędzać forszę i uzyskać również

dyplom prawnika - ponieważ w domciu na Florydzie nauczyciel często podkreślał, że podczas gdy inżynierowie zarabiają pieniądze, ciężka forsa i stanowiska kierownicze przypadają prawnikom. Tak, panie psorze. Zamierzałem zdobyć wszystkie punkty! Chciałem być taki, jak bohaterowie książek Horatia Alergia. Od razu startowałbym do tego dyplomu prawnika, gdyby nie fakt, że na tej uczelni nie było wydziału prawa.

I pod koniec drugiego roku moich studiów obcięli fundusze na futbol.

Mieliśmy wtedy doskonały sezon - żadnych zwycięstw. „Flash” Gordon (to ja - w sprawozdaniach sportowych) był pierwszy na listach rankingowych zdobytych jardów i punktów - ale, mimo to, obaj z trenerem straciliśmy pracę. Oczywiście, „zamiatałem halę” do końca tego roku w zespołach koszykówki, szermierki i lekkoatletyki, ale abiturient, który dzierżył teraz kasę, nie był zainteresowany graczem w koszykówkę, mającym zaledwie sześć stóp i jeden cal wzrostu. Spędziłem całe lato, machając łopata i usiłując załatwić sobie robotę gdzie indziej. Tego roku skończyłem dwadzieścia jeden lat, więc urwało mi się również te trzydzieści pięć dolców miesięcznie. Wkrótce po Święcie Pracy wycofałem się więc na z góry upatrzoną pozycję, to znaczy - zadzwoniłem do mojej komisji poborowej.

Planowałem odsłużyć rok w Siłach Powietrznych, a potem wygrać współzawodnictwo o nominację do Akademii Lotnictwa - i zostać sławnym astronautą zamiast bogaczem.

No cóż, nie wszyscy możemy zostać astronautami. Lotnictwo ma swój limit, cokolwiek to oznacza. Przydzielili mnie do Sił Lądowych tak szybko, że ledwie zdążyłem się spakować.

Nastawiłem się więc na to, by zostać najlepszym urzędnikiem kancelarii w całej armii; upewniłem się, że „na listę moich umiejętności” wpisano pisanie na maszynie. Gdybym miał w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia, to przesiedziałybym czas służby w Fort Carson, pisząc śliczne pisemka i cichcem uczęszczając do szkoły wieczorowej.

Niestety, nie miałem w tej sprawie nic do powiedzenia.

Byłeś kiedyś w południowoschodniej Azji? Floryda przy niej wydaje się pustynią. Gdziekolwiek postawisz nogę - chlupie. Za-

miast traktorów używają tam bawołów wodnych. Krzaki pełne są insektów i strzelających do ciebie tubylców. To nie była wojna - a nawet „akcja policyjna”. Byliśmy „doradcami wojskowymi”. Jednak, w tym upale, martwy od czterech dni doradca wojskowy śmierdział zupełnie tak samo jak trup na prawdziwej wojnie.

Awansowano mnie siedem razy. Na kaprała.

Nie miałem odpowiedniego nastawienia. Tak przynajmniej powiadał mój dowódca kompanii. Tatko służył w marynarce, ojczym w lotnictwie, a moją jedyną ambicją wojskową było zostać kancelistą gdzieś w Stanach. Nie lubiłem armii. Dowódca mojej kompanii też nie lubił wojska; był pierwszym porucznikiem, którego nie awansowano na kapitana i za każdym razem, kiedy zaczynał się nad tym zastanawiać, kapral Gordon tracił swoje belki.

Ostatni raz pozbyłem się ich, kiedy mu powiedziałem o liście do mojego kongresmena. Napisałem mu, dlaczego jestem jedynym żołnierzem w całej południowoschodniej Azji, który wróci do cywila, odchodząc na emeryturę, zamiast wyjechać do domu po upływie określonego czasu. Wkurzyło go to tak strasznie, że nie tylko mnie zdegradował, ale jeszcze wyskoczył z namiotu i został bohaterem, a ponadto nieboszczykiem. W tym czasie zarobiłem szramę na moim złamanym nosie, ponieważ ja także zostałem wtedy bohaterem i powinienem dostać medal za odwagę - niestety, nikt tego nie widział.

Kiedy wracałem do zdrowia, postanowili posłać mnie do domu. Major Jan Hey, ten od „Wojny o koniec wojny”, tak opisuje strukturę organizacji wojskowych: „Niezależnie od wymagań taktyczno-operacyjnych wszystkie pionki militarnej biurokracji posiadają Dział Niespodzianek, Dział Kiepskich Żartów oraz Dział Dobrej Wróżki. Pierwsze dwa załatwiają większość spraw, trzeci zaś jest bardzo niewielki - Dział Dobrej Wróżki to jedna podstarzała urzędniczka kategorii GS-5, przeważnie na chorobowym.

Jednak kiedy siedzi za swoim biurkiem, czasami odkłada robotkę na drutach, chwytając jakiś papier przepływający przez jej biuro i robi coś miłego. Widzieliście jak załatwiały mnie Dział Niespodzianek wspólnie z Działem Kiepskich Żartów, jednak tym razem szeregowcem Gordonem zajął się Dział Dobrej Wróżki.

A było to tak: kiedy dowiedziałem się, że jak tylko zagoi mi się

twarz (mały żółty braciszek nie wysterylizował swojej maczety), odprawia mnie do domu - zażądałem, by zdemobilizowano mnie w Wiesbaden, gdzie mieszkała moja rodzina, a nie w Kalifornii, wpisanej jako miejsce mojego powołania. Nie krytykuję małego żółtego braciszka - wcale nie chciał, żebym wyzdrowiał, i dopiąłby swego, gdyby nie był zbyt zajęty zabijaniem mojego dowódcy kompanii i gdyby zanadto się nie pośpieszył, aby mnie dobrze obsłużyć. Ja też nie wysterylizowałem bagnetu, ale on się nie skarżył - westchnął tylko i otworzył się jak lalka, z której wysypują się trociny. Byłem mu wdzięczny; nie tylko zamieszał kości mojego losu tak, że wydostałem się z armii, ale jeszcze podsunął mi wspaniałą pomysł.

On i chirurg wojskowy... Ten, który powiedział:

- Wyzdrowiejesz, synu. Ale będziesz pokancerowany jak student Heidelbergu.

To dało mi dużo do myślenia. Bez stopnia naukowego nie dostaniesz przyzwoitej roboty, tak jak nie zostaniesz tynkarzem, jeśli nie jesteś synem lub kuzynem kogoś, kto należy do ich związku zawodowego. Jednak różne są stopnie naukowe. Sir Isaak Newton, ze stopniem naukowym z takiego krowiego college'u jak mój, myłby próbki dla Joego Dyletanta - gdyby ten miał stopień naukowy jakiegokolwiek europejskiej szkoły wyższej.

A dlaczego nie Heidelbergu? Zamierzałem wydobyć mleczko z moich przywilejów wojskowych; przecież tak planowałem, gdy wykonałem ten zbyt pochopny telefon do komisji poborowej.

Według mojej matki w Niemczech wszystko było tańsze. Może z tych przywilejów zdołałbym wydusić i doktorat. Herr Doktor Gordon mit Szramen auf der Pysk - a jeszcze z Heidelbergu! - w każdej firmie produkującej pociski rakietowe dostałbym za to rocznie trzy tysiące dolców ekstra.

Do licha, mógłbym stoczyć kilka studenckich pojedynków i dodać prawdziwe heidelberskie blizny do tej, którą już nosiłem!

Szermierka była sportem, który najbardziej lubiłem (choćby przy „zamiataniu hali” liczył się najmniej). Niektórzy ludzie nie znoszą widoku ostrza noża, miecza, bagnetu, czegokolwiek ostrego - psychiatrzy mają na to specjalne określenie: orchinofobia. Idioci potrafiący prowadzić wóz z prędkością stu mil na szosie, na

której obowiązuje zakaz przekraczania pięćdziesięciu, wpadają w panikę na widok nagiego ostrza.

Nigdy się tym nie przejmowałem, dlatego żyję i z tego też powodu wciąż awansowałem na kaprała. Doradca wojskowy nie może obawiać się noży, bagnetów i tym podobnych rzeczy - musi nauczyć się stawić im czoła. Ja nigdy się ich nie bałem, ponieważ zawsze byłem pewny, iż potrafię zrobić bliźniemu to, co on zamierza zrobić mnie.

I zawsze miałem rację - pomijając ten jeden raz, kiedy pomyliłem się i zostałem bohaterem, a i tak nie była to zbyt wielka pomyłka. Gdybym próbował prysnąć, przerąbałby mi kręgosłup. A tak nawet nie zdołał się porządnie zamachnąć - gdy się rozpadł na dwie części, jego maczeta musnęła mnie po twarzy - zostawiając paskudną ranę, która zainfekowała się o wiele szybciej, niż przyleciały helikoptery. Jednak nawet tego nie czułem. Od razu zakręciło mi się w głowie i usiadłem w błotku, a kiedy doszedłem do siebie, sanitariusz podawał mi surowicę.

Chętnie wziąłbym udział w heidelberskim pojedynku. Watują ci ciało, ramię i szyję, a na oczy, nos i uszy zakładają stalowe ochraniacze - co w niczym nie przypomina spotkania z pragmatycznym marksistą w dżungli. Kiedyś miałem w ręce jedno z tych ostrzy, jakich używają w Heidelbergu - lekka, prosta szabla o obojętnym końcu, ale tępo zakończona! Zabawka nadająca się tylko do robienia ślicznych blizn - ku podziwowi dziewcząt.

Wziąłem więc mapę i co wy na to?! - Heidelberg leży tuż obok Wiesbaden! Tak więc zażądałem, aby zdemobilizowano mnie w Wiesbaden.

Ordynator w szpitalu polowym powiedział: „Synu, jesteś optymistą” - ale podpisał. Sierżant medyk, który odwalał w szpitalu papierkową robotę, powiedział: „Żołnierzu, to w ogóle nie wchodzi w rachubę”. Nie mówię, że jakaś forsa przeszła z rączki do rączki, ale na dokumentach szpitalnych pojawiła się adnotacja - „ZATWIERDZONO”. Medycyna orzekła, że kwalifikuję się do badań psychiatrycznych - Wuj Słodki nie rozdawał szeregowcom darmowych wycieczek dookoła świata.

Znalazłem się tak daleko od domu, że Hoboken było równie odległe jak San Francisco - a Wiesbaden było bliżej. Jednak przepisy

wymagały, żeby wracających przewozić przez Pacyfik. Wojskowy przepis jest jak rak - nikt nie wie, skąd się wziął, ale nie można go zignorować.

I wtedy Dobra Wróżka obudziła się w swoim dziele i dotknęła mnie swoją różdżką.

Już miałem zaokrętować się na pokład balii zwanej „Generał Jones”, zmierzającej do Manili, Taipei, Jokohamy, Pearl i Seattle, kiedy przyszły rozkazy spełniające wszystkie moje życzenia - i to z nawiązką. Skierowano mnie do Kwatery Głównej Okupacyjnych Sił Armii US w Heidelbergu w Niemczech, dostępnym transportem wojskowym, w celu demobilizacji, na własną prośbę - patrz odnośnik „ef\ Niewykorzystany urlop mógł zostać wykorzystany lub spłacony - patrz odnośnik „be”. Wymieniony w dokumentach osobnik mógł powrócić do Strefy Okupacyjnej (Stanów) w dowolnym czasie, nie przekraczającym jednak dwunastu miesięcy od chwili otrzymania dokumentów - dowolnym dostępnym transportem wojskowym, tak jednak, by rząd Stanów nie poniósł dalszych kosztów. Kropka.

Sierżant kancelista wezwał mnie i pokazał mi to, a jego twarz płonęła niewinną uciechą.

- Tylko, że tu nie ma „dostępnego transportu”, żołnierzu więc zabieraj dupę na pokład „Generała Jonesa”! Jak mówiłem plyniesz do Seattle.

Wiedziałem, co to oznacza: pierwszy od bardzo, bardzo dawna transport, idący na zachód, wypłynął do Singapuru trzydzieści sześć godzin wcześniej. Patrzyłem na dokumenty, rozmyślając o wrzającym oleju i zastanawiając się, czy przypadkiem celowo nie przetrzymywał ich tak długo, aby nie mógł skorzystać z tamtej okazji.

Potrząsałem głową.

- Zamierzam złapać „Generała Smitha” w Singapurze. Sierżancie, bądź pan człowiekiem i wykombinuj mi odpowiednie rozkazy.

- Twoje rozkazy są już wykombinowane. Na „Jonesie”. Do Seattle.

- Cholera! - powiedziałem. - Myślę, że pójde wyplakać się w mankiet kapelanowi.

Spłynąłem szybko, ale nie zobaczyłem się z kapelanem - pope-

dziłem na lotnisko. Pięć minut zajęło mi sprawdzenie, że nie było zaopatrzeniowego ani bojowego przelotu do Singapuru - przynajmniej nie w takim czasie, żeby na coś mi się to zdało.

Jednak tej nocy do Singapuru wylatywał australijski samolot wojskowy. Australa nie byli nawet „doradcami wojskowymi”, ale kręcili się tam często jako „obserwatorzy wojskowi”. Odnalazłem dowódcę samolotu, porucznika lotnictwa, i wyłożyłem mu sprawę.

Wyszczrzył zęby i powiedział:

- Dla weterana zawsze znajdzie się miejsce! Koła w górę chyba zaraz po herbatce. Jeśli ta stara landara w ogóle polecą.

Wiedziałem, że polecą - to był „Albatros” C-47, cały w łąkach, mający Bóg wie ile milionów mil na liczniku. Gdyby go poproszono, doleciałby do Singapuru na jednym silniku. Jak tylko zobaczyłem na polu startowym tę kupę przylepca i kleju, wiedziałem, że tym razem uśmiechnęło się do mnie szczęście.

Cztery godziny później byłem już w środku, a koła właśnie odrywały się od ziemi.

Następnego ranka zameldowałem się na pokładzie transportowego motorowca US Navy „Generał Smith” - cały, choć trochę mokry, bo „Duma Tasmanii” przedzierała się w nocy przez sztorm - a jedyną wadą „Albatrosów” jest to, że przeciekają. Jednak po błocie dżungli któż miałby coś przeciw orzeźwiającemu deszczowi? Statek odbijał tego samego wieczora, co było wspaniałą nowiną.

Singapur jest podobny do Hongkongu, tylko płaski; jedno popołudnie zupełnie mi wystarczyło. Wypiłem drinka w starym Rafflesie, drugiego w Adalphi, zmkłem w parku rozrywki Great World, przespacerowałem się w Change Alley, trzymając jedną rękę na forsie, a drugą na dokumentach - i kupiłem los irlandzkiej loterii.

Nie grywałem w gry hazardowe, jeśli uznacie pokera za grę zręcznościową. Jednak ten bilet był daniną składaną bogini szczęścia, podziękowaniem za szczęśliwą passę. Gdyby zechciała odpowiedzieć mi stu czterdziestoma tysiącami dolarów amerykańskich, nie cisnąłbym ich jej w twarz. Jeśli nie... No cóż, nominalna wartość losu wynosiła jeden funt, czyli dwa dolce osiemdziesiąt centów. Zapłaciłem dziewięć singapurskich dolarów, a więc trzy

amerykańskie - skromny gest ze strony człowieka, który właśnie wygrał darmową podróż dookoła świata - nie mówiąc już o tym, że udało mu się wydostać z dżungli w jednym kawałku.

Te trzy dolary zwróciły mi się natychmiast, gdy zwałem z Change Alley, unikając kilku tuzinów innych dwunożnych banków, pałających chęcią sprzedania mi losów innych loterii, dolarów singapurskich, waluty dowolnego kraju - albo mojego kapelusza, gdyby tylko spadł mi z głowy. Wypadłem na ulicę, zatrzymałem taksówkę i kazałem kierowcy jechać do portu.

Stary, poczciwy Gordon z Blizną był już strasznie długo grzecznym skautem, a Singapur jest jednym z Siedmiu Grzesznych Miast, gdzie wszystko może się zdarzyć.

Wcale nie sugeruję, że pozostałem wierny Dziewczynie z Sąsiedztwa. Ta młoda dama w kraju, która nauczyła mnie sporo o Świecie, Diable i Sprawach Cieleśnych, szczególnie w czasie tej zdumiewającej pożegnalnej nocy, poprzedzającej moje powołanie do wojska, spławiła mnie gładko, kiedy jeszcze byłem rekrutem - byłem jej wdzięczny, ale nie przesadnie. Zaraz potem wyszła za mąż i ma teraz dwójkę dzieci - żadne z nich nie jest moje.

Prawdziwą przyczyną mojego stanu ducha była geografia. Ci mali żółci braciszczkowie, z którymi lub obok których walczyłem, miewali małe żółte siostrzyczki, a wiele spośród tych ostatnich można było mieć za forszę lub nawet pour Pamour or pour le sport.

Lecz na tym od dość dawna kończyła się miejscowa podaż towarów. Pielęgniarki? Te były oficerami - a sporadycznie pojawiające się artystki, które dotarły tak daleko od Stanów, obstawiano jeszcze dokładniej niż pielęgniarki.

Nie miałem nic przeciw tym małym siostrzyczkom z powodu ich koloru. Na twarzy byłem bardziej brązowy od nich, pomijając oczywiście długą, różową bliznę. Nie stanąłem do apelu ponieważ były małe.

Liczyłem sobie sto dziewięćdziesiąt funtów mięśni bez grama tłuszczu i w żaden sposób nie potrafiłem sam siebie przekonać, że kobieta mająca cztery stopy i dziesięć cali, ważąca mniej niż dziewięćdziesiąt funtów i wyglądająca na dwanaście lat, jest w istocie pełnoletnia. Dla mnie rzecz miała posmak gwałtu z przyzwole-

niem, co było powodem psychicznej impotencji.

Singapur wyglądał na miejsce, w którym można znaleźć naprawdę dużą dziewczynkę. Ale kiedy wiałem z Change Alley, nagle przestali mi się podobać wszyscy ludzie, duzi i mali, kobiety i mężczyźni, tak więc ruszyłem na statek - unikając prawdopodobnie syfilisu, szankra, kiły, chińskiej zgnilizny, świerzbu i słonowacizny - co było najmądrzejszą decyzją, jaką podjąłem od czasu, gdy w wieku czternastu lat zrezygnowałem z zapasów ze średnio wyrosniętym aligatorem.

Powiedziałem kierowcy po angielsku, do której chcę przystani, powtórzyłem w zapamiętanej chińszczyźnie (niezbyt mi wyszło; to język dziewięcotonowy, a w szkole miałem jedynie francuski i niemiecki) oraz pokazałem mu mapę z zaznaczonym nabrzeżem, a także jego nazwę wydrukowaną po angielsku i opisaną chińskimi ideogramami.

Każdemu, kto opuszczał statek, dawano taką mapę. W Azji każdy kierowca taksówki zna angielski na tyle, żeby zawieźć cię do dzielnicy Czerwonych Latarni i do sklepików, w których możesz coś kupić „tanio”. Jednak nigdy nie potrafi odnaleźć twojego doku czy nabrzeża.

Taksiarz wysłuchał mnie, zerknął na mapę i powiedział: „W porządku, stary, kapuję”, a potem wystartował i skręcił za róg ze zgrzytem opon, wrzeszcząc równocześnie na rikszarzy, kulisów, dzieci i psy. Odprężyłem się uszczęśliwiony, że wśród tysięcy taryfiarzy znalazłem taki skarb.

Nagle poderwałem się na siedzeniu i krzyknąłem, aby się zatrzymał.

Tu muszę coś wyjaśnić: nie potrafię się zgubić.

Nazwijcie to talentem *psi* - coś jak *te rzeczy*, które studiują w Duke. Mama zwykła mawiać, że jej synek ma „poczucie kierunku”. Nazywajcie to zresztą, jak chcecie, ale dopiero w wieku sześciu czy siedmiu lat dowiedziałem się, że inni ludzie potrafią i mogą się zgubić. Ja zawsze wiedziałem, gdzie jest północ, gdzie znajduje się punkt, z którego wyszedłem, a także w jakiej leży odległości. Mogłem dotrzeć tam na przełaj albo wrócić po własnych śladach, nawet po ciemku i w dżungli. To był główny powód, dla którego zawsze ponownie awansowano mnie na kaprala i zazwyczaj

obarczano obowiązkami sierżanta. Patrole, którymi dowodziłem, zawsze powracały - a przynajmniej ci, którzy przeżyli. Dodawało to otuchy chłopakom z miasta, którzy i tak nie chcieli mieć nic wspólnego z tą dżunglą.

Tak więc wrzasnąłem, kiedy kierowca skręcił w prawo zamiast w lewo i zamierzał przeciąć własny ślad.

Kierowca dodał gazu.

Wrzasnąłem jeszcze raz. Jednak on już nie kapował po angielsku.

Po następnej mili i kilku następnych zakrętach musiał się zatrzymać z powodu ulicznego korka. Wysiadłem, a on wyskoczył z kabiny i zaczął wrzeszczyć coś po kantońsku, wskazując na licznik. Otoczył nas tłum wrzeszczących Chińczyków, a co mniejsi z nich zaczęli chwytać mnie za ubranie. Zacisnąłem dłoń na forsie i byłem naprawdę szczęśliwy, kiedy dostrzegłem gliniarza.

Wrzasnąłem i udało mi się zwrócić jego uwagę.

Przedarł się przez tłum, wywijając długą pałą. Był Hindusem, zapytałem więc:

- Czy mówi pan po angielsku?
- Oczywiście. I rozumiem po amerykańsku.

Wyjaśniłem mu istotę swoich problemów, pokazałem mapę, podkreśliłem, że kierowca zabrał mnie na Change Alley i jeździł w kółko.

Glina skinął głową i przez chwilę rozmawiał z kierowcą w trzecim języku - przypuszczam, że po malajsku. W końcu powiedział:

- On nie rozumie po angielsku. Myślał, że pan chce, aby go zawieźć do Johore.

Most do Johore znajduje się na drugim końcu wyspy - dalej jest tylko morze.

- Diabła tam nie rozumie po angielsku! - powiedziałem ze złością.

Gliniarz wzruszył ramionami.

- Wynajął go pan, więc musi pan zapłacić według licznika. Wtedy wyjaśnię mu, dokąd chce się pan udać i umówię was na określoną zapłatę.

- Przedtem zobaczę go w piekle!
- To nie jest możliwe. W tym rejonie to nawet niedaleko. Propo-

nuję, żeby pan zapłacił. Licznik nadal bije postojowe.

Bywają chwile, gdy mężczyzna musi obstawać przy swoich prawach albo nie będzie w stanie spojrzeć na siebie w lustrze przy goleniu. Ponieważ już się ogoliłem, zapłaciłem draniowi - 18,50 singapurskich dolarów - za stratę mojego czasu i wywiezienie daleko od portu. Żądał jeszcze napiwku, ale policjant kazał mu zamknąć pysk i wyprowadził mnie z tłumu.

Obiema rękami trzymałem moje dokumenty, forszę i los na loterię, zawinięty razem z pieniędzmi. Jednak zniknęło moje pióro, papierosy, chusteczka do nosa i zapalniczka Ronsona. Kiedy poczułem muśnięcie palców manipulujących przy pasku mojego ręcznego zegarka, przystałem na sugestię gliniarza, by jego kuzyn, uczciwy człowiek, odwiózł mnie do portu za z góry ustaloną - i umiarkowaną - opłatę.

Okazało się, że „kuzyn” właśnie nadjeżdża ulicą; pół godziny później byłem już na pokładzie statku. Nigdy nie zapomnę Singapuru - miasta, w którym wiele można się nauczyć.

ROZDZIAŁ II

Dwa miesiące później byłem już na francuskiej Riwierze. Dział Dobrej Wróżki czuwał nade mną na Oceanie Indyjskim i na Morzu Czerwonym, aż do Neapolu. Wiodłem zdrowy żywot, gimnastykując się i opalając każdego ranka, śpiąc popołudniami, a nocami grając w pokera. Jest wielu ludzi, którzy nie wiedzą, jakie są szanse (zazwyczaj kiepskie, ale możliwe do wyliczenia) poprawienia składu ręki przez dokupienie lepszych kart - i chcieliby się tego nauczyć. Kiedy dotarliśmy do Włoch, miałem piękną opaleniźną i nieźle wypchany portfel.

Już na początku podróży ktoś się splukał i poprosił o włączenie do gry kuponów loteryjnych. Po krótkiej dyskusji losy uznano za walutę poniżej nominalnej wartości, licząc po dwa dolary za kupon. Pod koniec rejsu miałem pięćdziesiąt trzy bilety.

Złapanie lotu z Neapolu do Frankfurtu zajęło mi zaledwie parę godzin. I wtedy Dział Dobrej Wróżki znów przekazał moje papiery do Działu Niespodzianek i Działu Kiepskich Żartów.

Przed wyjazdem do Heidelbergu wpadłem do Wiesbaden, aby zobaczyć się z matką, ojczymem oraz dziećmiakami - i dowiedziałem się, że właśnie odlecieli do Stanów, udając się do Bazy Sił Powietrznych w Elmendorf na Alasce.

Tak więc pojechałem do Heidelbergu załatwić formalności i zwiedzić miasto, podczas gdy biurokraci przekładali moje papierki.

Urocze miasto - piękny zamek, dobre piwo i duże dziewczyny o różowych policzkach, kształtach jak butelka coca-coli. O tak, Heidelberg wydawał się wspaniałym miejscem na robienie dyplomu!

Zacząłem rozpytywać o ceny pokojów i tak dalej, i spotkałem młodego szkopa w studenckiej czapce, mającego na twarzy kilka blizn równie paskudnych jak moja - sprawy wyglądały coraz lepiej.

Omówiłem moje plany z sierżantem - szefem kompanii demobilizacyjnej.

Potrząsnął głową.

- Biedaku!

Dlaczego? Bo nie było żadnych przywilejów dla Gordona - nie byłem weteranem.

Nieważna blizna. Nieważne, że zabiłem w walce więcej ludzi, niż weszłoby do... No, mniejsza z tym. To nie była wojna i Kongres nie zatwierdził ustawy zapewniającej bezpłatne studia dla nas, „doradców wojskowych”.

Przypuszczam, że sam jestem sobie winien. Przez całe życie słuchałem o przywilejach dla byłych żołnierzy - na przykład w laboratorium chemicznym dzieliłem stół z weteranem, który uczęszczał do szkoły, korzystając z funduszu stypendialnego dla zdemobilizowanych.

Życzliwy jak ojciec sierżant powiedział:

- Nie przejmuj się tym, synu. Wracaj do domu, znajdź sobie jakąś pracę i poczekaj z rok. Wydadzą odpowiednią ustawę i antydatują ją, to prawie pewne. Jesteś jeszcze młody.

I tak znalazłem się na Riwierze jako cywil, ciesząc się Europą przed odlotem do domu. O Heidelbergu nie było mowy. Och, żołd, którego nie mogłem przehulać w dżungli, oraz otrzymana odprawa i wygrane w pokera składały się na pokaźną sumę, która pozwoli-

łaby mi przebrnąć przez pierwszy rok w Heidelbergu.

Jednak nie wystarczyłaby do dyplomu. Liczyłem, że ta mityczna ustawa o przywilejach dla weteranów zapewni mi utrzymanie, a zebrana gotówka będzie tylko zabezpieczeniem.

Mój (zmieniony) plan był oczywisty. Załapać się na transport do domu, nim wygaśnie ważność biletu - i zanim rozpocznie się nauka w uczelniach. Użyć gotówki, którą miałem na opłacenie wiktów i mieszkania u wuja i ciotki, pracować następnego lata i zobaczyć, co będzie. Nie zagrożony poborem może znaleźć jakiś sposób, aby dobrać do dyplomu, nawet jeśli nie miałbym zostać „Herr Doktor Gordonem”.

Jednak rok akademicki zaczynał się dopiero na jesieni, a teraz była wiosna. Miałem cholerną ochotę zobaczyć kawałek Europy, zanim wejdę w kierat: druga taka okazja może się nie przydarzyć.

Był też inny powód, aby trochę poczekać - los loteryjny. Zbliżało się ciągnięcie koni.

Irlandzka loteria zaczyna się tak jak każda. Najpierw sprzedają tyle kuponów, że można by nimi wytapetować dworzec Grand Central. Irlandzkie szpitale dostają dwadzieścia pięć procent dochodu i tylko one są naprawdę wygrane. Tuż przed wyścigami odbywa się losowanie koni.

Powiedzmy, że wchodzi w grę dwadzieścia wierzchowców. Jeżeli numer twojego kuponu nie padnie na żadnego konia, to zostajesz z makulaturą. (O tak, są drobne nagrody pocieszenia).

Jeżeli jednak wylosowałeś jakiegoś konia, jeszcze nie wygrałeś. Niektóre wierzchowce nie wystartują. Większość z tych, które wezmą udział w wyścigach, przegra z innymi końmi. Mimo to, w okresie między ciągnięciem a wyścigiem, każdy kupon, na który wylosowano jakiegokolwiek rumaka, nawet zdychającego wałacha ledwie dochodzącego do padoku, nagle staje się wart kilka tysięcy dolarów. Oczywiście, wiele zależy od tego, jak dobry jest ten koń. Lecz nagrody są wysokie, a zdarza się, że nawet najgorszy koń na torze czasami zwycięża.

Miałem pięćdziesiąt trzy kupony. Gdyby jeden z nich wygrał, mógłbym opylić go za sumę wystarczającą na studia w Heidelbergu.

Tak więc zostałem i czekałem na losowanie.

Europa nie musi być droga. Schronisko młodzieżowe to luksus dla człowieka, który wyszedł z chaszczy południowowschodniej Azji, a nawet francuska Riwiera nie jest zbyt kosztowna, jeśli ma się skromne wymagania. Nie rezydowałem na Promenadzie des Anglais; miałem mały pokoik na czwartym piętrze dwa kilometry dalej, ze wspólną używalnością toalety i łazienki.

W Nicei są wspaniałe nocne kluby, ale nie musisz w nich prześiadywać, gdyż pokazy na plaży są równie dobre... i darmowe. Nigdy nie podejrzewałem, jak trudną sztuką jest taniec z wachlarzami, aż po raz pierwszy zobaczyłem Francuzeczkę pozbywającą się ubrania i zakładającą bikini na oczach tłumu obywateli, turystów, żandarmów, psów - oraz moich - i nie naruszającą przy tym wyrozumiałego francuskiego prawa, zakazującego „nieprzyzwoitego obnażania się”. No, może tylko chwilowo.

Tak, proszę pana, są rzeczy, które można zobaczyć i robić na francuskiej Riwierze, nie wydając przy tym pieniędzy.

Plaże są okropne. Kamieniste. Jednak kamienie są i tak lepsze od błota w dżungli, więc wbiłem się w kąpielówki i cieszyłem oczy pokazem, poprawiając opaleniznę. Była wiosna, przed sezonem turystycznym, więc nie było tłoku, ale było ciepło, słonecznie i sucho. Leżałem na słońcu i radowałem się życiem, a jedynym luksusem, na jaki sobie pozwoliłem, była skrytka depozytowa w biurze Amercian Express i paryskie wydanie „New York Herald Tribune” oraz „The Stars Stripes”. Przeglądałem je, czytając, jak mocarstwa partoliły kierowanie światem, potem patrzyłem co nowego na froncie tej nie istniejącej wojny, z której pozwolono mi wrócić (zazwyczaj wcale o niej nie wspominało, chociaż tam powiadano nam, że „ratujemy cywilizację”), a potem przechodziłem do spraw naprawdę ważnych, to znaczy do irlandzkiej loterii oraz sprawdzenia, czy przypadkiem w „The Stars Stripes” nie ogłoszono, iż to wszystko było okropnym snem i że jednak mam prawo do bezpłatnego wykształcenia.

Potem przychodziła kolej na krzyżówki i ogłoszenia osobiste. Zawsze je czytam; dają szczerzy obraz nagiej egzystencji. Na przykład: „M.I. - zadzwoń do R.S. przed południem. Pieniądze”. Zaczynamy się zastanawiać, kto co komu zrobił i kto dostał za to forszę.

W końcu znalazłem jeszcze tańsze zakwaterowanie z jeszcze

lepszymi występami. Czy słyszałeś kiedy o File du Levant? To wysepka na Riwierze między Marsylią a Niceą, bardzo podobna do Cataliny. Po jednej jej stronie znajduje się wioska, a drugą część zajęła marynarka wojenna na bazę zdalnie sterowanych pocisków raketowych; reszta to wzgórze, plaże i grotty. Nie ma tam samochodów ani nawet rowerów. Ludzie, którzy zamieszkują wyspę, nie chcą, aby przypomiano im o otaczającym ją świecie.

Za dziesięć dolarów dziennie możesz cieszyć się luksusem, jaki miałbyś w Nicei za czterdzieści. Możesz też płacić pięć centów dziennie za kemping i żyć za dolara - tak jak ja - a ilekroć masz dosyć własnej kuchni, zawsze znajdziesz tam dobre, tanie restauracyjki.

To miejsce, w którym wydają się nie istnieć żadne przepisy. Zaczekajcie - jest jeden! Przed wioską, nazywaną Heliopolis, stoi tablica z napisem: „LE NU INTEGRAL EST FORMELLEMENT INTERDIT. („Zupełna nagość jest surowo wzbroniona”).

Co oznacza, za każdy - mężczyzna czy kobieta - musi przed wejściem do wioski założyć maty trójkącik odzieży, cache-sexse lub mini-majteczki.

Wszędzie poza wioską, na plażach, kempingach i na całej wyspie nie musisz nosić tego świństwa i nikt tego nie robi. Oprócz braku samochodów i ubrań wyspa Levant jest taka, jak cała francuska prowincja. Brakuje czystej wody, ale Francuzi nie pijają wody; kąpać możesz się w Morzu Śródziemnym, a za franka kupisz tyle słodkiej wody, że wystarczy, aby pół tuzina razy splukać z siebie sól. Wsiadaj w pociąg z Nicei lub Marsylii, wysiądź w Tuluonie, złap autobus do Lavondou, a potem łodzią (w godzinę i kilka minut) dotrzesz do l'île du Levant - gdzie porzucisz wszystkie troski wraz z ubraniem.

Odkryłem, że w wiosce mogę kupić wczorajszą „New York Herald Tribune”, w tym samym miejscu, gdzie („AU minimum”, Mme. Alexandre) wypożyczyłem namiot i sprzęt kempingowy. Zrobiłem zakupy w La Brise Marine, rozbiłem obóz nad La Plage des Grottes, w pobliżu wioski, i położywszy się dałem odpocząć nerwom, podziwiając widoki.

Niektórzy ludzie lekceważąco wyrażają się o boskiej formie ko-

biecego ciała. Seks jest dla nich zbyt dobry - powinni urodzić się ostrygami. Wszystkie dziewczyny są ładne (nawet małe żółte siostrzyczki, chociaż te mnie onieśmiały); sęk w tym, że niektóre wyglądają ładniej od innych. Jedne były grube, a inne chude, niektóre były stare, a inne młode. Kilka wyglądało tak, jakby zeszły wprost ze sceny Folies Bergeres. Poznałem jedną z nich i okazało się, że niewiele się pomyliłem; była Szwedką występującą jako „nue” w innej paryskiej rewii. Ćwiczyła na mnie swoją angielszczyznę, a ja szkoliłem przy niej swój francuski i obiecała przygotować mi szwedzką kolację, jeśli będę kiedyś w Sztokholmie, a ja przyrzadziłem jej kolację na palniku spirytusowym i podochociliśmy sobie tanim winem; chciała wiedzieć, skąd mam tę bliznę na twarzy, więc powiedziałem jej kilka kłamstw. Marjatta dobrze wpłynęła na sterane żołnierskie nerwy i było mi smutno, kiedy musiała wyjechać.

Jednak przedstawienie na plaży trwało dalej. Trzy dni później siedziałem na Grotto Beach, opierając się o głaz i rozwiązując krzyżówkę, gdy nagle omal nie nabawiłem się zezą, usiłując nie patrzeć na najpiękniejszą kobietę, jaką widziałem w życiu.

Kobietę czy dziewczynę - nie byłem tego pewien. Na pierwszy rzut oka wyglądała na osiemnaście, może dwadzieścia lat; później, kiedy zdołałem spojrzeć na jej twarz, nadal wyglądała na osiemnastolatkę, ale mogła być po czterdziestce. Albo i po setce. Miała ponadczasową urodę doskonałej piękności. Jak Helena Trojańska lub Kleopatra. Mogła być Heleną Trojańską, ale wiedziałem, że nie jest Kleopatram, ponieważ nie miała rudych włosów - była naturalną blondynką. Całe ciało miała opalone na brąz, bez śladów po kostiumie bikini, a włosy tego samego koloru tylko w jaśniejszym odcieniu. Rozpuszczone spływały wdzięcznymi falami na plecy.

Była wysoka, niewiele niższa ode mnie i ważyła prawie tyle co ja. Żadnego tłuszczu, ani śladu, oprócz tego rozkosznego minimum, które wygładza kobiece kształty, skrywając leżące pod nimi mięśnie. Poruszała się z niedbałą gracją lwicy.

Ramiona miała szerokie jak na damę - równie szerokie jak bezsprzecznie kobiece biodra; kibić u osoby drobniejszej budowy wydawałaby się zbyt gruba - u niej była cudownie wysmukła. Jej brzuch nie wykazywał nawet śladu zwiotczenia, a piersi... tylko

przy jej bujnym ciele nie sprawiały wrażenia nadmiaru dobra skupionego na zbyt małej przestrzeni. Sterczały dumnie i kołysały się tylko troszeczkę, kiedy szła, a wieńczyły ją dwie różowobrazowe poziomki, będące niewątpliwie kobiecymi, a nie dziewczęcymi sutkami.

Jej pępek był tym klejnotem, który wielbią perscy poeci.

Nogi miała długie jak na jej wzrost; dłonie i stopy smukłe, choć nie drobne. Stanowiła ucieleśnienie wdzięku i nie potrafiłbym wyobrazić jej sobie w niezgrabnej pozie.

Jej twarz... jak można opisać doskonałą piękność inaczej, niż mówiąc, że natychmiast ją poznasz, gdy tylko ją zobaczysz? Wargi miała pełne, usta dość szerokie, lekko wygięte, sugerowały uśmiech, nawet gdy pozostałe rysy niczego nie zdradzały. Były czerwone, lecz jeśli nawet je umalowała, zrobiła to tak zręcznie, że nie zdołałem wykryć szminki - i już choćby tym wyróżniała się spośród innych kobiet, ponieważ w tym roku wszystkie nosiły makijaż „kontynentalny”, równie sztuczny jak gorset i śmiały jak uśmiech dziwki.

Nos miała prosty i proporcjonalny do twarzy, nie jak guziczek. A oczy...

Spostrzegła, że patrzę na nią. Oczywiście, kobiety oczekują, że będą podziwiane - zarówno wtedy, gdy są rozebrane, jak i kiedy wystroją się na bal. Jednak niegrzecznie jest gapić się tak otwarcie. Poddałem się po pierwszych dziesięciu sekundach i starałem się zapamiętać jej obraz; każdą linię i krzywiznę.

Odpowiedziała mi śmiałym spojrzeniem i zaczerwieniłem się, ale nie mogłem oderwać od niej wzroku. Błękit jej oczu był tak intensywny, że aż ciemny, ciemniejszy od moich piwnych tęczówek.

Powiedziałem ochryple:

- Pardonnez - moi, ma'm'selle - i udało mi się w końcu oderwać od niej wzrok.

Odpowiedziała po angielsku:

- Och, nic nie szkodzi. Proszę patrzeć, jeśli ma pan ochotę.

I obejrzała mnie równie uważnie, jak ja ją. Głos miała miły; ciepły kontralt, zadziwiająco niski w dolnych rejestrach.

Zrobiła dwa kroki w moją stronę i stanęła prawie nade mną. Zacząłem wstawać, lecz nakazała, abym siedział dalej, gestem

świadczącym o tym, że nawykła do wydawania rozkazów i oczekiwała posłuszeństwa.

- Niech pan siedzi - powiedziała. Wiatr przywiał mi jej zapach i dostałem gęsiej skórki, wszędzie. - Jest pan Amerykaninem.

- Tak.

Byłem pewien, że ona nie jest ze Stanów; lecz również pewny tego, iż nie była Francuzką. Nie tylko mówiła bez śladu francuskiego akcentu, ale też... No cóż, Francuzi przez cały czas zachowują się nieco prowokująco; nic nie mogą na to poradzić, to integralna część francuskiej kultury. W tej kobiecie nie było cienia kokieterii - tyle, że samą swoją obecnością mogła wywołać zbiegowisko.

Jednak posiadała przy tym rzadki dar nawiązywania natychmiastowego kontaktu z rozmówcą; przemówiła do mnie, jakbyśmy byli parą starych przyjaciół, znających swoje najdrobniej sze słabostki i znakomicie czujących się w swoim towarzystwie, zadawała mi różne pytania, niektóre bardzo osobiste, a ja odpowiedziałem na wszystkie, zupełnie szczerze, w ogóle nie myśląc o tym, że nie ma prawa ich stawiać. Nie zapytała, jak się nazywam, i ja też jej nie spytałem o imię - ani o nic innego.

W końcu zaprzestała indagacji i ponownie mnie obejrzała. Potem powiedziała w zadumie:

- Jesteś bardzo piękny.

I dodała:

- „Au'voir” - po czym odwróciła się, przeszła przez plażę do wody i odpłynęła.

Byłem zbyt oszołomiony, aby się poruszyć. Nikt nigdy nie nazwał mnie choćby „przystojnym”, nawet zanim złamałem sobie nos. No, a już „pięknym”.

Jednak nie sądzę, aby próba ścigania jej w wodzie mogła mi coś dać, nawet gdybym pomyślał o tym w porę. Ta dziewczyna naprawdę umiała pływać.

ROZDZIAŁ III

Zostałem na plaży aż do zmierzchu, czekając na jej powrót. Po-

tem zrobiłem sobie szybką kolację z chleba, sera i wina, wbiłem się w slipki i pomaszerowałem do miasteczka. Myszkowałem po barach i restauracjach, lecz nie znalazłem jej, chociaż zaglądałem nawet w okna domków, tam gdzie nie zaciągnięto zasłon. Kiedy zaczęto zamykać bistra, poddałem się i wróciłem do namiotu, skłamałem od durniów do kwadratu (bo dlaczego nie zapytałem: „Jak masz na imię, skąd jesteś i gdzie tutaj mieszkasz?”), po czym wlałem do śpiwora i zasnąłem.

Wstałem o świcie i sprawdziłem plażę, zjadłem śniadanie, ponownie zajrzałem na plażę,

„ubrałem się” i poszedłem do wioski, sprawdziłem sklepy oraz pocztę i kupiłem mojego Heralda.

I wtedy stanąłem przed najważniejszą decyzją w moim życiu - wylosowałem konia.

Początkowo nie byłem pewien, ponieważ nie znałem na pamięć tych pięćdziesięciu trzech numerów. Musiałem skoczyć do namiotu, wygrzebać notatnik i sprawdzić, tak było! Ten numer utkwił mi w pamięci ze względu na sekwencję cyfr: XDY 34555. Miałem konia! Co oznaczało kilka tysięcy dolarów, nie wiedziałem dokładnie, ile. Jednak wystarczyłoby na Heidelberg... gdybym natychmiast wymienił go na gotówkę. Herald Tribune docierała tu zawsze z jednodniowym opóźnieniem, co oznaczało, że losowanie odbyło się przedwcześnie, a w tym czasie szkapa mogła złamać nogę lub doznać dziewięciu innych kontuzji. Mój kupon stanowił konkretną forszę tak długo, jak długo „Lucky Star” zaliczano do startujących koni.

Musiałem szybko dotrzeć do Nicei i dowiedzieć się, jak i gdzie dostać najlepszą cenę za ten szczęśliwy los. A potem - wyjąć kupon z depozytu i sprzedać go!

A co z Heleną Trojańską?

Shylock krzyczący z głębi rozdartej duszy: „O moja córko! O moje dukaty!” nie był w większej rozterce niż ja. Poszedł na kompromis.

Napisałem rozpaczliwą notatkę, wyjaśniającą kim jestem i tłumaczącą, iż musiałem wyjechać na krótko w nagłych sprawach, prosząc, aby poczekała do mojego jutrzejszego powrotu, albo chociaż zostawiła mi wiadomość, jak mogę ją odnaleźć. Zostawiłem

liścik urzędnicze na poczcie, razem z opisem adresatki - blondynka, tego wzrostu, o włosach dotąd, wspaniała poitrine - dołączając dwadzieścia franków i obietnicę podwojenia tej sumy, jeśli przekaże wiadomość i otrzyma odpowiedź. Pani w okienku powiedziała, że nigdy nie widziała tej damy, ale jeśli tylko cette grande blonde postawi nogę w wiosce, list zostanie doręczony.

Zostało mi tylko tyle czasu, aby popędzić z powrotem, wdziać ubranie obowiązujące poza wyspą, zostawić sprzęt kempingowy u Mme. Alexandre i zdążyć na statek. Potem, w trakcie trzygodzinnej podróży, miałem czas, aby się zamartwiać.

Problem w tym, że Lucky Star wcale nie była szkapą. Na listach rankingowych nie schodziła poniżej piątej lub szóstej pozycji, niezależnie od tego, kto je układał. A więc? Zatrzymać się w połowie drogi i zgarnąć forszę?

Czy też iść na całość?

Decyzja nie była łatwa. Załóżmy, że zdołałbym sprzedać los za dziesięć tysięcy dolarów. Nawet gdybym nie próbował sprytnie obejść przepisy podatkowe, i tak zatrzymałbym większą część tej sumy i miał dość na studia.

Jednak i tak zamierzałem jakoś je skończyć - tylko czy naprawdę chciałem iść na Heidelberg? Ten student z blizną po pojedynku był patałachem, nadętym fałszywą dumą z powodu rany odniesionej w pozornie niebezpiecznym starciu.

Założmy, że zaczekam i zgarnę większą stawkę, pięćdziesiąt tysięcy funciaków, czyli sto czterdzieści tysięcy dolarów...

Czy wiecie, jaki podatek od kwoty stu czterdziestu tysięcy dolarów płaci kawaler w Ojczyźnie Dzielnych i Ziemi Wolnych Ludzi?

Sto trzy tysiące - oto ile płaci.

Zatem zostaje trzydzieści siedem tysięcy.

Czy miałem zaryzykować dziesięć tysięcy dolarów w nadziei wygrania trzydziestu siedmiu tysięcy - przy szansach nie większych jak piętnaście do jednego?

Bracie, tu trzeba liczyć na swój szósty zmysł. Zasada jest ta sama, czy chodzi o trzydzieści siedem kawałków, czy o partyjkę oczka ze stawką po dwa centy.

Przypuśćmy jednak, że udałoby mi się jakoś wykiwać fiskusa; zaryzykowałbym dziesięć tysięcy, aby wygrać sto czterdzieści. Wtedy

potencjalny zysk równoważyłby szanse - a sto czterdzieści tysięcy dolarów to nie tylko forsa na zrobienie studiów, lecz mała fortuna, przynosząca rocznie cztery czy pięć tysięcy do końca mojego życia.

Wcale nie oszukałbym Wujka Słodkiego; rząd USA miał do tych pieniędzy (gdybym je wygrał) nie większe prawo niż ja do Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Co Wujek Słodki zrobił dla mnie? Zabagnił życie mojemu ojcu, wysyłając go na dwie wojny, z których jednej nie dano nam wygrać - i w ten sposób utrudnił mi drogę na studia, pomijając już fakt, jakie znaczenie ma dla chłopca duchowa więź z ojcem (nie miałem o tym pojęcia i nigdy się już nie dowiem!), a potem wziął mnie za łeb i posłał na kolejną niewojnę, na której prawie mnie, cholera, ukatrupił i odebrał mi mój słodki, dziewczęcy uśmiech.

Jakie więc prawo miał Wujek Słodki, żeby ciachnąć mi sto trzy kawałki i zostawić mniej niż jedną trzecią? Żeby mógł „pożyczyć” je Polsce? Albo dać Brazylii? Takiego!

Był pewien sposób, aby zatrzymać sobie całą sumę (gdybym wygrał), równie legalny jak małżeństwo. Zamieszkać na rok w małym, pocziwym, wolnym od podatków Monako. A potem wyjechać gdziekolwiek.

Na przykład do Nowej Zelandii. Herald Tribune miał nagłówki takie, jak zwykle - tylko było ich więcej. Wyglądało na to, że chłopaki (po prostu duzi, rozbrykani chłopcy) rządzący tą planetą zamierzają rozpętać solidną wojenkę, taką z międzykontynentalnymi raketami taktycznymi oraz bombami wodorowymi - i to już nie długo.

Jeśli człowiek uda się tak daleko na południe, do Nowej Zelandii, to tam może jeszcze coś zostanie po radioaktywnym opadzie.

Nowa Zelandia jest podobno bardzo ładnym krajem i powiadają, że tamtejsi wędkarze uważają pięciofuntowe pstrągi za zbyt małe, żeby je nieść do domu.

Rozmyślając o tym, dokonałem okropnego odkrycia. Nie chciałem wracać do szkoły, wygrać, przegrać ani losować. Już nie dbałem o garaże na trzy samochody i baseny pływackie czy inne symbole statusowe oraz „bezpieczeństwo”. Ten świat nie jest bezpieczny i jedynie przeklęci głupcy oraz myszy sądzą, że kiedyś będzie.

Gdzieś tam, w dżungli, pozbyłem się wszelkich takich ambicji. Zbyt wiele razy do mnie strzelano i przestały mnie interesować supermarkety, podmiejskie osiedla oraz „dziś idziemy na kolację u burmistrza, nie zapomnij, kochanie, że obiecałeś.”

Och, wcale nie zamierzałem zamykać się w klasztorze. Nadal chciałem...

Czego właściwie chciałem?

Chciałem zdobyć Jajo Roka. Haremu pełnego uroczych odalisk, co najmniej tak samo, jak kurzu pod kołami rydwanu i oby rdza nigdy nie splamiła mojego miecza. Chciałem złotych samorodków wielkości pięści i rzućcie tego złodzieja działek na pożarcie psom! Pragnąłem wstawiać rzeźki, aby skruszyć kilka kopii, po czym wybrać miłą dziewczkę, korzystając z moich droit du seigneur - chciałem stanąć przed baronem i wyzwąć go, gdyby ośmielił się tknąć moją wybranke! Słyszeć, jak purpurowa woda pluszcze o burty Nancy Lee w chłodzie porannej warty i żaden dźwięk, żaden ruch nie przerywa ciszy, prócz trzepotu skrzydeł towarzyszącego nam od tysiąca mil albatrosa.

Tęskniłem do lśniących księżyców Barsoomu. Chciałem Stori-sendy i Poictesmy, i Holmesa potrzęsającego mną i budzącego słowami „Łowy rozpoczęte!”. Pragnąłem płynąć tratwą po Missisipi i wraz z księciem Bilgewater oraz Zaginionym Delfinem umykać przed tłumem.

Zobaczyć Jana Prezbitera i Ekskalibura dzierżonego przez księżycowe białe ramie, wyłaniające się ze spokojnej toni jeziora. Żeglować z Ulissesem i Trosem z Samotraki, by jeść lotos w krainie wiecznego południa. Chciałem romantyzmu i zachwytu, znanych w dzieciństwie. Chciałem, aby świat był taki, jaki mi obiecano - a nie tym tandetnym, nędznym widowiskiem.

Miałem tylko jedną szansę - przez dziesięć minut wczorajszego popołudnia. Heleno Trojańska, jakiegokolwiek jest twe imię!... Widziałem i straciłem okazję.

Może w życiu ma się tylko jedną szansę.

Pociąg odjechał do Nicei.

W biurze American Express poszedłem do działu bankowego i mojej skrytki depozytowej, znalazłem los i sprawdziłem numer z

Heraldem. XDY 34555 - tak! Aby opanować drżenie, sprawdziłem inne kupony i tak jak przypuszczałem, okazały się makulaturą. Wsadziłem je z powrotem do skrytki i poprosiłem o spotkanie z kierownikiem działu.

Miałem kłopoty z pieniędzmi, a American Express jest również moim bankiem, nie tylko biurem podróży. Zaprowadzono mnie do biura kierownika.

- Potrzebuje, rady - powiedziałem. - Widzi pan, mam jeden z wygranych losów irlandzkiej loterii.

Uśmiechnął się szeroko.

- Gratuluję! Jest pan pierwszą od dłuższego czasu osobą, która przychodzi tu z dobrą wiadomością, a nie ze skargą.

- Dzięki. Hmm, mam taki problem. Wiem, że los, na który wylosowano konia, jest sporo wart przed wyścigiem. Oczywiście, zależy to od tego, jak dobry jest koń.

- Oczywiście - przyznał. - Którego pan wylosował?

- Dość dobrego - Lucky Stara. I w tym właśnie kłopot. Gdybym wylosował jakieś dno albo któregoś z trzech faworytów... No, rozumie pan, o co mi chodzi. Nie wiem, czy sprzedać ten bilet czy zatrzymać, ponieważ nie potrafię obliczyć szans. Czy wie pan, jak obstawiają Lucky Stara?

Złączył czubki palców.

- Panie Gordon, American Express nie udziela rad, jak stawiać na wyścigach konnych, ani nie pośredniczy w skupie i sprzedaży losów loteryjnych. Jednak... Czy ma pan ten bilet przy sobie?

Wyjąłem i podałem mu. Kupon przeszedł przez kilka partii pokera, był zatłuszczony i pomięty. Jednak szczęśliwy numer był dobrze czytelny.

Spojrzał na mnie.

- Czy ma pan kwit?

- Nie przy sobie.

Zacząłem wyjaśniać, że podałem adres ojczyma i moja poczta jest przekazywana na Alaskę. Przerwał mi.

- Nic nie szkodzi.

Nacisnął przycisk.

- Alice, zechce pani poprosić pana Renaulta, żeby tu wpadł na chwilę?

Zastanawiałem się, czy naprawdę wszystko jest w porządku. Byłem na tyle przezorny, że zebrałem nazwiska i adresy poprzednich właścicieli losów i każdy obiecał wysłać mi kwit, kiedy go otrzyma - jednak nie dostałem żadnego. Może dotarły na Alaskę - stojąc przy skrytce sprawdziłem ten bilet: został kupiony przez sierżanta, który był teraz w Stuttgarcie. Może będę musiał mu coś zapłacić, a może trzeba będzie połamać mu kości. Pan Renault miał wygląd zmęczonego nauczyciela.

- Monsieur Renault jest naszym ekspertem od takich spraw wyjaśnił kierownik. - Pozwoli pan, żeby obejrzał pański kupon?

Francuz spojrział na los i oczy mu zabłysły: sięgnął do kieszeni, wyjął jubilerską lupę i wetknął ją sobie w oczodół.

- Wspaniały! - rzekł z aprobatą. - Jeden z najlepszych. Pewnie z Hongkongu?

- Kupiłem go w Singapurze.

Pokiwał głową i uśmiechnął się.

- To by pasowało.

Kierownik nie uśmiechał się. Sięgnął do szuflady biurka, wyjął inny bilet loteryjny i podał mi.

- Panie Gordon, ten kupiłem w Monte Carlo. Zechce pan po równać?

Wydał mi się taki sam, różnił się jedynie numerami i tym, że był nowy i czysty.

- Na cóż mam zwrócić uwagę?

- Może to panu pomoże.

Podał mi duże szkło powiększające.

Los loteryjny jest drukowany na specjalnym papierze i ma wygrawerowany rysunek w kilku kolorach. Zazwyczaj grawiura i druk są lepsze niż w banknotach wielu krajów.

Dawno temu nauczyłem się, że gapiąc się na dwójkę, nie zmieniasz jej w asa. Oddałem mu jego kupon.

- Mój jest fałszywy.

- Tego nie mówię, panie Gordon. Proponuję, żeby zasięgnął pan opinii niezależnego eksperta. Na przykład w biurach Banku Francuskiego.

- Sam widzę. Na moim linie nie są tak ostre i wyraźne. W niektórych miejscach są przerywane. A pod szkłem widać rozmazany

druk.

Odwróciłem się.

- Czy tak, panie Renault?

Ekspert wymownie wzruszył ramionami.

- W swoim rodzaju to piękna robota.

Podziękowałem im i wyszedłem. Sprawdziłem w Banku Francuskim - nie abym wątpił w ich werdykt, lecz dlatego, że nie daje się obciąć sobie nogi, ani nic odrzuca stu czterdziestu tysięcy dolarów bez konsultacji z drugim specjalistą. Ekspert w banku nawet nie wyciągał lupy.

- Contrefait - oznajmił. - Bezwartościowy.

Powrót na l'île du Levant jeszcze tej nocy okazał się niemożliwy. Zjadłem kolację i odszukałem moją poprzednią gospodynię. Mój schowek na szczotki stał pusty i pozwoliła mi go zająć na jeszcze jedną noc. Nie miałem kłopotów z zaśnięciem.

Nie byłem taki przygnębiony, jak oczekiwałem. Przyjąłem cios ze spokojem, niemal z ulgą. Przez krótką chwilę miałem cudowne wrażenie, że jestem bogaty - i odczuwałem wszelkie związane z tym troski; oba te uczucia były interesujące, ale nie zamierzałem przeżywać ich powtórnie, przynajmniej nie od razu.

Teraz nie miałem żadnych zmartwień. Pozostało mi jedynie ustalić datę powrotu do domu, a życie na wyspie było tak tanie, że nie musiałem się z tym spieszyć. Gryzło mnie tylko to, że przez ten wypad do Nicei mogłem utracić kontakt z „Heleną Trojańską” - cette grande blonde! Si grande... si belle... si majestueuse! Zasnąłem, myśląc o niej.

Zamierzałem rano złapać pociąg, a potem pierwszy statek. Jednak poprzedniego dnia wydałem większość pieniędzy, jakie miałem przy sobie, a z powodu lekkiego ogłupienia nie podjąłem gotówki, będąc w biurze American Express. Ponadto nie zapytałem o korespondencję. Nie oczekiwałem żadnych listów, chyba że od matki lub może mojej ciotki - jedyny przyjaciel, jakiego miałem w wojsku, został zabity sześć miesięcy temu. Jeśli jednak musiałem poczekać na pieniądze, równie dobrze mogłem odebrać pocztę.

Uraczyłem się więc luksusowym śniadaniem. Francuzi uważają, że człowiek może stawić czoła nadchodzącemu dniu, spożywszy mleko z cykorią i rogalika, co zapewne tłumaczy ich niezrów-

noważoną politykę. Wybrałem kawiarnię w bocznej uliczce, obok sporego kiosku, jedyne w Nicei, który prowadził „The Stars Stripes” i gdzie „Herald - Trib” sprzedawano w dniu, w którym się ukazywała; zamówiłem melon, cafe complet dla dwóch osób oraz omelette aux herbes fines; po czym zasiadłem cieszyć się życiem.

Kiedy przyniesiono mi Herald, oderwałem się od swych syba-ryckich rozkoszy. Nagłówki były gorsze niż zwykle i przypominały mi, że nadal muszę zмагаć się ze światem; nie mogłem pozostać na l'île du Levant na zawsze.

A właściwie dlaczego nie miałbym pozostać tam tak długo, jak się da? Już nie chciałem iść do szkoły, a dążenie do garażu na trzy samochody umarło we mnie razem z wiarą w los irlandzkiej loterii. Jeżeli lada chwila miała wybuchnąć trzecia wojna światowa, to nie było sensu zostawać inżynierem w Santa Monica za sześć czy osiem tysięcy dolarów rocznie tylko po to, aby spłonąć w atomowym wybuchu.

Lepiej korzystać z życia, wachać różane pączki, korzystać z czasu i pieniędzy, a potem... No, na przykład zaciągnąć się do marines, jak mój ojciec. Może udałoby mi się awansować na kaprala - i utrzymać ten stopień.

Przepuściłem strony gazety aż do działu „Ogłoszenia osobiste”.

Były cholernie interesujące. Oprócz zwykłych anonsów o usługach telepatów i jak się nauczyć jogi oraz zawołowanych informacji, jakie jeden zestaw inicjałów przekazywał drugiemu, trafiło się kilka tchnących świeżością. Na przykład:

„NAGRODA! Czy zastanawiasz się nad samobójstwem? Przepisz na mnie dzierżawę swojego mieszkania, a wynagrodzę ci to szczerze podczas Twych ostatnich dni”.

Albo:

„Hinduski dżentelmen, nie wegetarianin, chciałby poznać kulturalną damę z Europy, Afryki lub Azji, posiadającą sportowy samochód. Cel - zacieśnienie stosunków międzynarodowych. Skrytka pocztowa 107”.

Jak to się robi w sportowym samochodzie?

Jedno było złowieszcze:

„Hermafrodyti wszystkich krajów łączcie się! Nie macie do stracenia nic, prócz kajdan. Tel. Opera 59 - 09”.

Następne zaczynało się tak:

„Czy jesteś tchórzem?”

Jasne, oczywiście. Jeżeli to tylko możliwe. Jeżeli mam możliwość wyboru. Czytałem dalej.

„CZY JESTEŚ TCHÓRZEM? Jeśli tak, to nie czytaj dalej. Pilnie potrzebujemy odważnego mężczyzny. Powinien mieć dwadzieścia trzy do dwudziestu pięciu lat, cieszyć się doskonałym zdrowiem, mierzyć co najmniej sześć stóp, ważyć około stu dziewięćdziesięciu funtów, znać płynnie angielski i trochę francuski, władać wszelkiego rodzaju bronią, znać mechanikę i podstawy matematyki, lubić podróże, nie mieć zobowiązań rodzinnych i uczuciowych, cechować się nieugiętą odwagą, urodziwą twarzą i kształtnym ciałem. Gwarantujemy stałe zatrudnienie, bardzo wysokie zarobki, niebezpieczną pracę. Zgłaszać się osobiście, Nicea, rue Dante 17, drugie piętro, apartament D”.

Kawałek odnoszący się do twarzy i sylwetki przeczytałem ze znaczną ulgą. Przez chwilę miałem wrażenie, że ktoś o wypaczonym poczuciu humoru stroi sobie ze mnie żarty. Ktoś, kto znał mój zwyczaj czytania działu ogłoszeń osobistych.

Miejsce o podanym adresie znajdowało się zaledwie sto jardów od kafejki, w której siedziałem. Ponownie przeczytałem anons.

Potem zapłaciłem attention, zostawiłem skromny napiwek, wróciłem do kiosku i kupiłem „The Star Stripes”, poszedłem do biura American Express, podjąłem pieniądze i odebrałem pocztę, a w końcu pomaszerowałem na dworzec. Następny pociąg do Tulonu odchodził dopiero za godzinę, więc wstąpiłem do baru, zamówiłem piwo i usiadłem, aby sobie poczytać.

Matka żałowała, że minąłem się z nimi w Wiesbaden. W liście wyliczyła wszystkie choroby dzieci, wysokie ceny na Alasce i narzekała, że musieli wyjechać z Niemiec. Wepchnąłem kopertę do kieszeni i zabrałem się do „The Stars Stripes”.

Po chwili przeczytałem: CZY JESTEŚ TCHÓRZEM? Ten sam anons, od początku do końca.

Z gniewnym pomrukiem odrzuciłem gazetę.

Otrzymałem jeszcze trzy inne listy. Jeden namawiał mnie do złożenia datku na rzecz związku sportowego mojego eks-college'u; drugi proponował za jedyne czterdzieści osiem dolarów rocznie

poradę w wyborze inwestycji, a ostatni był w czystej kopercie bez znaczka, najwidoczniej doręczony bezpośrednio do biura American Express.

Zawierał wycinek z gazety, zaczynający się od słów: CZY JESTEŚ TCHÓRZEM?

Ogłoszenie było takie samo jak tamte dwa, tyle że w ostatnim zdaniu podkreślono jedno słowo: „Zgłaszać się osobiście”.

Szarpnąłem się na taksówkę na rue Dante. Gdybym się pospieszył, zdążyłbym rozwikłać tę łamigłówkę i złapać pociąg do Tuluzy. Numer siedemnasty nie miał windy; pobiegłem na górę i przy apartamencie D napotkałem wychodzącego stamtąd młodego mężczyznę. Miał sześć stóp wzrostu, urodziwą twarz, kształtne ciało i wyglądał na hermafrodytę.

Wizytówka na drzwiach głosiła po angielsku i po francusku: Dr BALSAMO - PRZYJMUJE WYŁĄCZNIE UMÓWIONYCH. Nazwisko wydało mi się znajome i jakby fałszywe, ale nie przystanąłem, żeby o tym rozmyślać; pchnąłem drzwi i wszedłem.

Wewnątrz mieściło się biuro, zagracone w sposób typowy dla starych francuskich prawników lub mysich nor. Za biurkiem siedział kurdupłowaty jegomość o wesołym uśmiechu, twardych oczach, najbardziej różowej twarzy i łysinie, jakie widziałem w życiu, okolonej wianuszkami skudlonych siwych włosów. Spojrzał na mnie i zachichotał.

- Witamy! A więc to pan jest bohaterem?

Nagle wydobył rewolwer niewiele mniejszy od siebie, a z pewnością równie ciężki, i wycelował go we mnie. W lufę tej armaty można było wjechać volkswagenem.

- Nie jestem bohaterem - powiedziałem ze złością. - Jestem tchórzem. Przyszedłem tu jedynie po to, żeby dowiedzieć się, co to za żarty.

Odskoczyłem w bok, jednocześnie odtrącając lufę tego działa w drugą stronę, kantem dłoni uderzyłem go w nadgarstek i złapałem żelastwo w powietrzu. Potem oddałem mu broń z powrotem.

- Niech się pan tym nie bawi, albo wepchnę go panu do gardła. Spieszę się. Pan jest doktorem Balsamo? To pan zamieścił ogłoszenie?

- Cyt, cyt! - odparł, wcale nie rozgniewany. - Niecierpliwym mło-

dzieniec. Nie, doktor Balsamo jest tam.

Ruchem brwi wskazał na dwoje drzwi w ścianie po lewej, po czym nacisnął umieszczony na biurku przycisk dzwonka - jedynej rzeczy w tym pokoju nie pochodzącej z czasów Napoleona.

- Proszę wejść. Ona czeka na pana.

- „Ona”? Które drzwi?

- Ach, dama czy tygrys? Czy to ma jakieś znaczenie? Na dłuższą metę? Bohater powinien wiedzieć. A tchórz wybierze ile, pewien, że kłamie. Allez-y! Vite! Schnell! Ruszaj, koleś.

Prychnął i gwałtownym szarpnięciem otworzył prawe drzwi.

Pani doktor stała plecami do mnie przy jakimś aparacie, ubrana w jeden z tych białych fartuchów z wysokim kołnierzem - ulubiony strój medyków. Po lewej zobaczyłem kozetkę, a po prawej nowoczesny szwedzki tapczan; były tam też szafki z nierdzewnej stali i szkła oraz kilka oprawionych dyplomów; całe pomieszczenie, w przeciwieństwie do pierwszego, tchnęło nowoczesnością.

Kiedy zamknąłem drzwi, kobieta odwróciła się, spojrzała na mnie i powiedziała spokojnie:

- Bardzo się cieszę, że przyszedłeś.

A potem uśmiechnęła się, dodając łagodnie:

- Jesteś piękny.

I objęła mnie ramionami.

ROZDZIAŁ IV

Mniej więcej po stu sekundach i kilku wiekach „dr Balsamo - Helena Trojańska” odsunęła usta na cal od moich warg i powiedziała:

- Puść mnie, proszę, a potem rozbierz się i połóż na kozetce.

Poczułem się tak, jakbym miał za sobą dziewięć godzin snu, zimny prysznic i wypił trzy kielichy gorzały na pusty żołądek. Byłem gotów zrobić wszystko, czego zażądała. Jednak sytuacja wydawała się wymagać ode mnie ciętej repliki.

- He? - powiedziałem.

- Proszę. Jesteś tym, o którego nam chodzi, ale mimo wszystko muszę cię zbadać.

- No... dobrze - zgodziłem się. - Ty tu jesteś lekarzem - dodałem i zacząłem rozpinąć koszulę. - Bo jesteś doktorem? Medycyny, oczywiście.

- Tak. Między innymi.

Kopnięciem zrzuciłem buty.

- Ale dlaczego chcesz mnie badać?

- Szukam diabelskich znamion. Och, wiem, że nie znajdę żadnego. Jednak muszę poszukać również innych rzeczy. To dla twojego dobra.

Kozetka była bardzo zimna. Czemu nie obijają ich jakąś wykładziną?

- Nazywasz się Balsamo?

- To jedno z moich nazwisk - powiedziała mimochodem, dotykając mnie tu i ówdzie delikatnymi palcami. - Rodowe.

- Zaczekaj chwilę. Hrabia Cagliostro!

- Był jednym z moich wujów. Tak, używał tego nazwiska, chociaż w rzeczywistości nie należy ono do niego, nie bardziej niż Balsamo. Wuj Joseph jest niezwykle paskudnym człowiekiem i absolutnie nie można mu wierzyć.

Dotknęła starej, małej blizny.

- Usunięto ci wyrostek robaczkowy.

- Tak.

- Dobrze. A teraz pokaż zęby. Otworzyłem szeroko paszczę. Może moja twarz nie wygląda przyjemnie, ale z moimi zębami mógłbym reklamować pastę Pepsodent. Po chwili skinęła głową.

- Ślady fluoru. Teraz muszę wziąć próbkę krwi.

Mogłaby ją pobrać, gryząc mnie w szyję - nie miałbym nic przeciwko temu. Nawet nie byłbym zdziwiony. Jednak zrobiła to z żyły w zgięciu mojej lewej ręki. Wzięła tę próbkę i włożyła ją do tego aparatu pod ścianą. Urządzenie zaczęło warczeć i zgrzytać, a ona wróciła do mnie.

- Posłuchaj, księżniczko - zacząłem.

- Nie jestem księżniczką.

- No... nie wiem, jak masz na imię; wspomniałaś, że w rzeczywistości nie nazywasz się „Balsamo” - a nie chciałbym ci mówić „doktorze”.

Z całą pewnością nie chciałem jej nazywać „doktorem” - nie tej

najpiękniejszej dziewczyny, jaką kiedykolwiek widziałem. I nie po pocałunku, który zatarł mi w pamięci wspomnienia wszystkich, jakie dotychczas dostałem. Nie.

Zastanowiła się.

- Mam wiele imion. Jak chciałbyś mnie nazywać?
- Czy jednym z tych imion jest „Helena”?

Uśmiechnęła się promiennie i odkryła dołeczki na jej twarzy. Wyglądała na szesnastolatkę w swojej pierwszej balowej sukni.

- Jesteś bardzo łaskawy. Nie, to nawet nie moja krewna. Zresztą to było bardzo, bardzo dawno.

Zamyśliła się.

- Czy chciałbyś mnie nazywać „Ettarre”?

- Czy to jedno z twoich imion?

- Jest bardzo podobne do jednego z nich, na tyle, na ile pozwalają różnice w wymowie i w akcencie. Równie dobrze mogłoby być „Ester” lub „Aster”. Lub nawet „Estrellita”.

- Aster - powtórzyłem. - Star. Lucky Star!

- Mam nadzieję, że będę twoją szczęśliwą gwiazdą - powiedziała poważnie. - Jak chcesz. A jak ja mam zwracać się do ciebie?

Zastanawiałem się nad tym. Na pewno nie chciałem wracać do przydomka „Flash” - nie jestem postacią z komiksu. Przydomek z wojska, który nosiłem najdłużej, absolutnie nie nadawał się dla uszu damy. Chociaż i tak wołałem go od imienia, które mi nadano przy narodzinach. Tato był dumny z kilku swoich przodków - ale czy to powód, aby nazwać swojego męskiego potomka „Evelyn Cyril”? Z powodu tego imienia nauczyłem się bić, zanim umiałem czytać.

Jednak imię, które podłapałem w szpitalu, dobrze do mnie pasowało. Wzruszyłem ramionami.

- O, Scar to imię w sam raz dla mnie.

- Oscar - powtórzyła, łącząc obie sylaby. - Szlachetne imię. Odpowiednie dla bohatera. Oscar! - pieściła je swoim głosem.

- Nie, nie! Nie Oscar, lecz Scar. Jak „Scarface”. Z powodu tej blizny.

- Będę ci mówiła Oscar - stwierdziła stanowczo. - Oscar i Aster. Scar i Star.

Delikatnie dotknęła blizny.

- Czy nie podoba ci się ten znak bohatera? Czy mam ją usunąć?

- Co? Och, nie. Już się do niej przyzwyczaiłem. Przypomina mi, kim jestem, kiedy widzę się w lustrze.

- To dobrze. Lubię ją. Miałeś ją wtedy, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłam. Jednak powiedz mi, jeśli zmienisz zdanie.

Urządzenie pod ścianą wydało z siebie trr, chrup! Star odwróciła się i oddarła wstęgę papieru, po czym zaczęła ją oglądać, cicho pogwizdując.

- To nie potrwa długo - powiedziała wesoło i podtoczyła aparat do kozetki. - Kiedy podłączę się do ochraniacza, leż spokojnie i płytko oddychaj.

Połączyła mnie z pół tuzinem rurek; trzymały się tam, gdzie je przytknęła. Nałożyła na głowę coś, co uznałem za wymyślony stetoskop, lecz kiedy go założyła, zasłonił jej oczy.

Zachichotała.

- W środku też jesteś ładny, Oscarze. Nie, nic nie mów.

Położyła mi dłoń na przedramieniu; czekałem, co będzie dalej.

Po pięciu minutach zabrała rękę i odłączyła przewody.

- To wszystko - oznajmiła wesoło. - Nie będziesz się już przeziębiał, mój bohaterze, i nie sprawi ci już kłopotów ta biegunka, której nabawiłeś się w dżungli. Teraz przejdźmy do drugiego pokoju.

Wstałem z leżanki i zabrałem moje ubranie. Star powiedziała:

- Tam, dokąd się udajemy, nie będzie ci to potrzebne. Dostarczymy ci pełne wyposażenie i broń.

Zatrzymałem się, w jednej ręce buty, a w drugiej spodnie.

- Star...

- Tak, Oscarze?

- O co tu chodzi? Czy to ty zamieściłaś to ogłoszenie? Czy to było przeznaczone dla mnie? Naprawdę chcesz mnie wynająć do czegoś?

- Ja je zamieściłam. Było przeznaczone dla ciebie i tylko dla ciebie. Tak, jest pewne zadanie, które masz wykonać... jako mój obrońca. Czeka nas wielka przygoda, wielki skarb - i jeszcze większe niebezpieczeństwo; a bardzo się obawiam, że żadne z nas tego nie przeżyje.

Spojrzała mi prosto w oczy.

- I jak, sir?

Zastanawiałem się, od jak dawna trzymają mnie w tym domu bez klamek. Jednak nie powiedziałem jej tego, ponieważ jeśli naprawdę w nim byłem, to ona w ogóle nie istniała. A bardziej niż czegokolwiek na świecie chciałem, żeby naprawdę istniała.

Powiedziałem:

- Księżniczko... masz swojego pazia.

Odetchnęła z ulgą.

- Chodź szybko, mamy niewiele czasu.

Poprowadziła mnie do drzwi za szwedzka kozetką, rozpinając po drodze fartuch, rozsuwając zamek błyskawiczny spódniczki i zostawiając ubranie tam, gdzie upadło. Niemal natychmiast została tak, jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyłem ją na plaży.

Pokój, do którego weszliśmy, miał ciemne ściany, był pozbawiony okien i rozświetlony łagodnym blaskiem. Na środku stały obok siebie dwie niskie, czarne kanapy, nie było innych mebli. Gdy tylko drzwi zamknęły się za nami, zdałem sobie sprawę z tego, że pokój był niepokojąco, boleśnie pozbawiony akustyki; nagie ściany nie odbijały żadnych dźwięków.

Sofy znajdowały się w środku kręgu, będącego częścią większego rysunku, nakreślonego kredą lub białą farbą na gołej podłodze. Stanęliśmy wewnątrz wzoru; Star odwróciła się, przykucnęła i dociągnęła do końca jedną z linii, zamykając krąg. Miałem rację; nie mogła wyglądać niezgrabnie, nawet zgarbiona i z piersiami skierowanymi ku podłodze.

- Co to takiego? - spytałem.

- Mapa, która powie nam do celu.

- Bardzo przypomina pentagram.

Wzruszyła ramionami.

- No dobrze, to pięciokąty mocy. Może odpowiedniejszym określeniem byłby schematyczny diagram obwodu. Jednak, mój bohaterze, nie mam teraz czasu, żeby dokładnie ci to wyjaśnić. Proszę, połów się już.

Zająłem prawa kozetkę, którą mi wskazała, ale nie mogłem tego tak zostawić.

- Star, czy ty jesteś czarownicą?

- Jeśli tak uważasz. Proszę, nic już nie mów.

Położyła się i wyciągnęła rękę.

- Podaj mi dłoń, mój panie; tak trzeba.

Jej dłoń była miękka, ciepła i bardzo silna. Światło natychmiast zaczęło przygasać, a potem zrobiło się zupełnie ciemno. Zasnąłem.

ROZDZIAŁ V

Obudził mnie śpiew ptaków.

Jej dłoń nadal spoczywała w mojej. Obróciłem głowę i zobaczyłem jej uśmiech.

- Dzień dobry, mój panie.

- Dzień dobry, księżniczko.

Rozejrzałem się wokół. Nadal leżeliśmy na tych czarnych kanapach, lecz teraz stały one pod gołym niebem, w dolince na polanie wśród drzew, nad cicho szemrzącym strumykiem - w miejscu tak pięknym, że wydawało się, jakby zostało ułożone liść po liściu przez starych i cierpliwych japońskich ogrodników.

Ciepłe promienie słońca sączyły się przez listowie i cętkowały jej złociste ciało. Spojrzałem na słońce i znów na nią.

- Czy to ranek?

Było koło południa lub później i słońce powinno - chyba powinno - zachodzić, a nie wznosić się na niebie...

- Tutaj znów jest poranek.

Nagle moje poczucie kierunku wywinęło kozła i poczułem lekkie oszołomienie. Zagubienie było dla mnie zupełnie nowym i bardzo nieprzyjemnym uczuciem. Nie potrafiłem odnaleźć północy.

Potem wszystko wróciło do normy. Północ znajdowała się tam, w górę strumienia - a słońce wznosiło się; była pewnie dziewiąta rano i krąg słoneczny przesunął się po północnej części nieba. Południowa półkula. Nie ma powodu do obaw.

To żadna sztuka. Dajcie jeleniowi zastrzyk środka nasennego podczas badania lekarskiego, wsadźcie go na pokład 707 i przetrzućcie do Nowej Zelandii, w razie potrzeby ponawiając dawki Głupiego Jasia. I obudźcie, kiedy będzie wam potrzebny.

Tyle że nie powiedziałem tego, ani nawet nie pomyślałem. Ponieważ minąłbym się z prawdą.

Usiadła.

- Jesteś głodny?

Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że ten omlet kilka - a dokładniej ile? - godzin temu, to za mało dla takiego chłopaka jak ja. Usiadłem i opuściłem stopy na trawę.

- Mógłbym zjeść konia z kopytami.

Uśmiechnęła się.

- Obawiam się, że sklep La Societe Anonyme de Hippophage jest chwilowo zamknięty? Czy zadowolisz się pstrągiem? Musimy chwilę poczekać, więc możemy w tym czasie coś zjeść. I nie obawiaj się - to miejsce jest bronione.

- Bronione?

- Bezpieczne.

- W porządku. A co z wędkami i haczykiem?

- Pokażę ci.

Jednak nie pokazała mi sprzętu wędkarskiego, tylko jak się łapie ryby rękami. A to akurat wiedziałem. Brodziliśmy w tym uroczym strumieniu, rozkosznie chłodnym, poruszając się najciszej, jak umieliśmy. Wybraliśmy miejsce pod wystającą skałą, gdzie pstrągi lubiły zbierać się i rozmyślać - taki rybi odpowiednik klubu dla dżentelmenów.

Pstrągi łapie się ręką, zdobywając ich zaufanie, a następnie nadużywając go. Nim minęły dwie minuty, miałem jedną rybę, ważącą dwa lub trzy funty, i wyrzuciłem ją na brzeg, a Star złapała niemal równie wielką.

- Ile zjesz? - zapytała.

- Wyjdź i osusz się - powiedziałem. - Złapię jeszcze jedną.

- Lepiej dwie albo trzy - poradziła. - Wkrótce będzie tu Rufo.

Cicho wyszła z wody.

- Kto?

- Twój giermek.

Nie spierałem się. Przed śniadaniem byłem gotów uwierzyć we wszystko, tak więc zająłem się łapaniem posiłku. Skończyłem po dwóch następnych pstrągach, ponieważ ten ostatni okazał się największym, jakiego widziałem w życiu. Te biedactwa po prostu ustawiały się w kolejce, żeby je chwytać.

Do tej pory Star rozpałała już ognisko i czyściła ryby ostrym

kamieniem. Co tam, każda harcerka i wiedźma umie rozpalić ogień, nie używając zapalek. Sam mógłbym to zrobić, pocierając o siebie dwie suche klepki, gdybym miał kilka godzin i dużo szczęścia. Jednak zauważyłem, że te katafalki zniknęły. No cóż, ja ich nie zamawiałem. Kucnąłem i zająłem się czyszczeniem pstrąga.

Po chwili Star wróciła z owocami, które były podobne do jabłek, ale krwiście czerwone, i ze stertą maślaków. Niosła to wszystko na szerokim liściu, przypominającym liść paciorecznika lub trzcinowca, tylko większym. Ślina napłynęła mi do ust.

- Gdybyśmy tylko mieli sól!

- Postaram się o nią. Jednak obawiam się, że będzie trochę gruboziarnista.

Star upiekła ryby na dwa sposoby; nad płomieniem na rozwidlonej gałązce i na rozgrzanym płaskim kamieniu, na którym paliło się ognisko - odgarnęła podsycony żar i na odsłonięte miejsca kładła skwierczące ryby i maślaki. Myślę, że to najlepszy sposób. Niewysoka, drobna trawka okazała się miejscowym szczypior-kiem, a drobna koniczynka smakowała jak koński szczaw. Wszystko to, z dodatkiem soli (która zgrzytała w zębach, była gorzkawa i pewnie lizana przez jakieś zwierzę - choć tym wcale się nie przejmowałem) sprawiło, że pstrąg smakował mi, jak jeszcze nigdy w życiu. No cóż, pogoda, otoczenie i towarzystwo miały na to wielki wpływ. Szczególnie towarzystwo.

Właśnie usiłowałem wymyślić, jak w naprawdę poetyczny sposób zaproponować: „Słuchaj, a może zostalibyśmy tu przez najbliższe tysiąc lat? W legalnym lub nieformalnym związku... A przy okazji; czy jesteś mężatką?” - kiedy nam przerwano. I fatalnie się złożyło, ponieważ właśnie przyszły mi do głowy odpowiednie słowa, zupełnie nowe, na wyrażenie najstarszej i najbardziej konkretnej propozycji, jaką zna świat.

Stary łysoń, gnom z ogromnym sześciostrzałowcem stał za mną i przeklinał.

Byłem pewien, że klnie, chociaż robił to w nie znanym mi języku. Star obróciła głowę i w tej samej mowie wyraziła łagodną dezaprobatę; zrobiła mu miejsce i podała pstrąga. Wziął rybę i odgryzł spory kęs, zanim powiedział po angielsku:

- Następnym razem wcale mu nie zapłacę. Zobacysz.

- Nie powinieneś próbować go oszukiwać, Rufo. Zjedz trochę grzybów. Gdzie bagaż? Chcę się ubrać.

- Tam.

Nadal zajadał rybę. Rufo stanowił żywy dowód na to, że niektórzy ludzie powinni nosić ubrania. Był cały różowy i nieco brzuchaty. Jednak był zdumiewająco dobrze umięśniony, czego nigdy nie podejrzewałbym, w przeciwnym razie byłbym ostrożniejszy z odbieraniem mu tamtej armaty. Postanowiłem, że jeśli przyjdzie mu ochota na indiańskie zapasy, będę oszukiwał. Pochłonawszy pół kilo pstrąga, spojrzął na mnie i zapytał:

- Czy życzysz sobie skompletować teraz swój ekwipunek, mój panie?

- Co? Najpierw skończ śniadanie. I dlaczego „mój panie”? Kiedy ostatnio się widzieliśmy, machałeś mi przed nosem rewolwerem.

- Przepraszam, mój panie. Ona kazała mi to zrobić - a Jej wola jest dla mnie rozkazem. Rozumiesz.

- To mi odpowiada. Ktoś musi przewodzić. Jednak nazywaj mnie Oscarem.

Rufo zerknął na Star, która skinęła głową. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Dobrze, Oscarze. Nie masz żalu?

- Ani trochę.

Odłożył rybę, otarł dłoń o udo i wyciągnął do mnie rękę.

- Świetnie! Ty ich rozłóżysz, a ja ich rozdepczę.

Uścisnęliśmy sobie ręce, próbując zmiażdżyć sobie palce. Chyba wyszedłem z tego w najlepszym stanie, chociaż doszedłem do wniosku, że kiedyś musiał być kowalem.

Star była bardzo zadowolona i ponownie pokazała swoje dołeczki. Leżała wygodnie przy ogniu, wyciągnęła rękę i na naszych złączonych dłoniach położyła swoją.

- Moi wierni przyjaciele - powiedziała z przekonaniem. - Moi dobrzy chłopcy. Wszystko będzie dobrze, Rufo.

- Miałaś wizję? - zapytał szybko.

- Nie, tylko przeczucie. Jednak już się nie martwię.

- Niczego nie możemy zrobić - mruknął ponuro - dopóki nie uporamy się z Iglim.

- Oscar zajmie się Iglim.

Jednym płynnym ruchem podniosła się z murawy.

- Przełknij resztę tej ryby i rozpakuj bagaż. Chcę się ubrać.

Nagle zaczęła się bardzo spieszyć.

Star kryła w sobie więcej różnych osobowości niż cały kobiecy pluton pomocniczy - a i to porównanie nie daje sedna sprawy. W tej chwili była ucieleśnieniem wszystkich kobiet świata, poczynając od Ewy wybierającej jeden z dwóch listków figowych, do współczesnej damy, która marzy o tym, aby pozostawiono ją u Niemana-Mercusa zupełnie naga, z książeczką czekową w ręku. Kiedy ją poznałem, wydała mi się osobą zrównoważoną i nie bardziej zainteresowaną strojami niż ja. A ja nigdy nie miałem okazji, by interesować się ciuchami. Fakt, że należałem do pokolenia obszarpańców, okazał się dobrodziejstwem dla mojego budżetu w college'u, gdzie niebieskie džinsy były au fait, a brudna, przepoccona koszula stanowiła dowód nadążania za modą.

Kiedy po raz drugi zobaczyłem Star, miała na sobie ubranie, lecz w tym laboratoryjnym kitlu i szytej na miarę spódnicy wyglądała jak kobieta pracująca i dobry przyjaciel. Jednak dziś - to znaczy tego ranka, kiedykolwiek to było - emanowała entuzjazmem. Tak bardzo cieszyła się łapaniem ryb, że z trudem tłumiała okrzyki radości. A z sadzą na policzku i włosami, które przy pieczeniu ryb odrzuciła na plecy, poza zasięg płomienia, wyglądała jak prawdziwa harcerka.

Teraz była typową kobietą, która właśnie ma przymierzyć nową suknię. Miałem wrażenie, iż ubieranie się Star można porównać z malowaniem klejnotów koronnych „Złotolem” - jednak musiałem przyznać, że jeśli nie chcemy odgrywać w tej dolince starego numeru, odzież będzie potrzebna - chociażby po to, aby uchronić jej idealnie gładką skórę przed podrapaniem przez ciernie.

Bagaż Rufo okazał się małą, czarną skrzynką o wymiarach i kształcie przenośnej maszyny do pisania. Otworzył ją.

I otworzył ją jeszcze raz.

I nadal ją otwierał...

Rozkładał jej boki i opuszczał je, aż diabelstwo rozrosło się do rozmiarów małej ciężarówki, w dodatku niezłe załadowanej. Ponieważ, od kiedy nauczyłem się mówić, jestem znany jako „Ufny

James” i powszechnie wiadomo, że w szkole co roku robiono ze mnie frajera na prima aprilis, musieliście już dojść do wniosku, że padłem ofiarą złudzenia spowodowanego hipnozą lub narkotykami.

Osobiście nie jestem tego pewien. Każdy, kto uczył się matematyki, wie, że wewnątrz nie musi być mniejsze od otoczki przynajmniej w teorii - a ten, kto miał wątpliwą przyjemność oglądania, jak tłuste babsko zakłada ciasny pas do pończoch, wie, że tak jest również w praktyce. Bagaż Rufo był po prostu twórczym rozwinięciem tej reguły.

Pierwszą rzeczą, jaką wyjął, był wielki kufer z tekowego drewna. Star otworzyła skrzynię i zaczęła wyciągać różne zwiewne śliczności.

- Co sądzisz o tej, Oscarze?

Przymierzała długą, zieloną suknię, dla lepszego efektu przeczuciwszy jej dół przez biodro.

- Podoba ci się?

Oczywiście, że mi się podobała; jeśli była oryginalna - a miałem dziwne przekonanie, że Star nigdy nie nosiła kopii - to wolałem nie myśleć, ile musiała kosztować.

- To naprawdę śliczna sukienka - powiedziałem. - Ale... Słuchaj, przecież wybieramy się w podróż?

- I to zaraz.

- Nie widzę tu żadnej taksówki. Czy to ci się nie podrze?

- Ona się nie drze. Zresztą nie zamierzałam jej zakładać; chciałam ci ją tylko pokazać. Czyż nie jest cudowna? Czy mam ją dla ciebie przymierzyć? Rufo, podaj mi te sandaalki na wysokim obcasie, ze szmaragdami.

Rufo powiedział w języku, w jakim kłął, kiedy się pojawił. Star wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Nie bądź niecierpliwy, Rufo. Igli poczeka. I tak nie możemy rozmówić się z nim wcześniej niż jutro rano; przedtem lord Oscar musi nauczyć się języka.

Jednak odłożyła zieloną wspaniałość do kufra.

- O, tu mamy coś mniejszego - stwierdziła, wyjmując następny ciuch. - To po prostu prowokujące; nie nadaje się do niczego innego.

Spojrzawszy zrozumiałem, co miała na myśli. W zasadzie była to spódniczka z małą koszulką - podtrzymującą, lecz niczego nie skrywającą - w stylu przyjętym na starożytniej Krecie i nadal popularnym w Overseas Weekly, Playboyu oraz w wielu nocnych klubach. Ten styl zmienia rzeczy obcisłe w sterczące. Nie żeby Star tego potrzebowała.

Rufo klepnął mnie w ramię.

- Szefie? Czy chcesz rzucić okiem na uzbrojenie i wybrać coś dla siebie?

Star powiedziała z dezaprobata;

- Rufo, życiem należy się delectować, a nie łykać je w pośpiechu.

- Będziemy mogli znacznie dłużej rozkoszować się życiem, jeżeli Oscar wybierze coś, z czego zrobi najlepszy użytek.

- Nie będzie potrzebował broni, dopóki nie załatwimy sprawy z Iglim.

Jednak nie nalegała na kontynuowanie pokazu mocy, ja zaś, mimo iż z przyjemnością go oglądałem, chciałem obejrzeć broń, szczególnie jeśli miałem jej użyć, a wszystko wskazywało na to, że będę musiał.

W czasie, gdy podziwiałem rewię mody w wykonaniu Star, Rufo rozłożył kolekcję przypominającą skrzyżowanie sklepu z odrzutami wojskowymi i muzeum - miecze, pistolety, dwudziestostopową kopię, miotacz płomieni, dwie bazooki leżące obok rozpylacza, kasety, maczetę, łuki i strzały, mizerykordię...

- Nie widzę tu procy - powiedziałem oskarżycielskim tonem.

Wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Jaka chcesz, Oscarze? Rozwidloną? Czy prawdziwą procę?

- Przepraszam, że o niej wspomniałem. Z żadnej nie trafiłbym w stodołę.

Podniosłem automat, sprawdziłem, czy nie ma naboju w komorze i zacząłem go rozbierać. Wydawał się prawie nowy, tylko trochę przestrelany, żeby zapewnić współdziałanie części. Rozpylacz nie jest bronią celniejszą od piłki baseballowej, a zasięg rażenia ma tylko trochę lepszy. Jednak ma swoje zalety - kiedy trafisz gościa, ten wali się i nie wstaje. Automat jest krótki, niezbyt ciężki, i w krótkim czasie potrafi wypluć dużo ołowiu. Świetnie nadaje się

do walk w buszu i wszelkiego rodzaju starć na niewielką odległość.

Wolałbym jednak coś z bagnetem na końcu, na wypadek gdyby miało dojść do walki wręcz - i coś, co równocześnie umożliwia celny strzał z większej odległości, gdyby sąsiedzi zaczęli okazywać wrogie uczucia na odległość. Odłożyłem pistolet maszynowy i wziąłem Springfieldda. Pochodził z Rock Island Arsenal, co stwierdziłem po numerze seryjnym, lecz mimo wszystko był to Springfield. Do tej broni mam taki sam stosunek jak do Albatrosa; niektóre maszynki są absolutnie doskonałe w swoim rodzaju i jedyne możliwe ulepszenie wiąże się z radykalną zmianą konstrukcji.

Otworzyłem zamek, wsunąłem kciuk do komory i zajrzałem w lufę. Kanał był błyszczący, a gwint nie starty - zaś na lufie widniała maleńka gwiazdka, jaką oznaczano najlepsze egzemplarze!

- Rufo, jaki teren będziemy pokonywać? Taki jak ten?

- Dzisiaj - tak. Jednak...

Z przepraszającym gestem zabrał mi karabin.

- Tutaj nie wolno używać broni palnej. Miecze, noże, strzały - wszystko, co tnie, kłuje i miażdży dzięki sile mięśni. Żadnej broni palnej.

- Kto tak powiedział?

Zadrżał.

- Lepiej ją o to spytaj.

- Jeśli nie wolno tego używać, to po co to taszczyłeś? Zresztą i tak nie widzę tu żadnej amunicji.

- Mamy mnóstwo amunicji. Później trafimy do... innego miejsca, gdzie można używać broni palnej. Jeśli dożyjemy. Po prostu pokazuję ci, czym dysponujemy. Co chciałbyś wybrać z dozwolonej broni? Jesteś łucznikiem?

- Nie wiem. Pokaż mi, jak się strzela.

Zaczął coś mówić, potem wzruszył ramionami i wybrał łuk, nałożył skórzany ochraniacz na lewe przedramię i wyjął strzałę z kołczana.

- Tamto drzewo - rzekł. - To z białym głazem u podnóża. Spróbuję trafić w pień na wysokości serca człowieka.

Założył strzałę, podniósł łuk, napiął go i zwolnił cięciwę,

wszystko jednym płynnym ruchem.

Strzała drżąc utkwiała w pniu, mniej więcej cztery stopy nad ziemią.

Rufo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Potrafisz tak?

Nie odpowiedziałem. Wiedziałem, że nie zdołam, chyba że przypadkiem. Kiedyś dostałem łuk na urodziny. W nic nie mogłem trafić i wkrótce pogubiłem wszystkie strzały. Mimo to udałem, że przebieram w rozłożonych łukach i wybrałem największy i najcięższy z nich.

Rufo chrząknął przepaszająco.

- Jeśli mogę coś zaproponować - ten może być zbyt twardy dla początkującego.

Spróbowałem drzewca.

- Znajdź mi taki kawałek skóry.

Ochraniacz pasował, jakby był zrobiony specjalnie dla mnie i wcale nie zdziwiłbym się, gdyby tak było. Wybrałem odpowiednią strzałę, niemal nie patrząc, ponieważ wszystkie wydawały mi się proste i dobre. Nie żywiłem nadziei, że trafię w to cholerne drzewo; znajdowało się z pięćdziesiąt jardów dalej i nie miało nawet stopy grubości.

Chciałem założyć strzałę, napiąć łuk i zwolnić cięciwę jednym ruchem, tak jak Rufo - i wyglądać jak Robin Hood, którym wcale nie jestem. Jednak kiedy uniosłem łuk, napiąłem cięciwę i poczułem moc tej broni, ogarnęło mnie dziwne uniesienie - ta broń była w sam raz dla mnie! Pasowaliśmy do siebie.

Bez namysłu zwolniłem cięciwę.

Strzała utkwiała o dłoń od jego bełtu.

- Dobry strzał! - zawołała Star.

Rufo spojrział w stronę drzewa i zamrugał oczami, a potem z dezaprobatą popatrzył na Star. Odpowiedziała mu wyniosłym spojrzeniem.

- To nie ja - stwierdziła. - Wiesz, że nie zrobiłabym tego. Próba była uczciwa - obaj mieliście równe szanse.

Rufo spojrział na mnie w zadumie.

- Hmm... Czy zechciałbyś założyć się ze mną - sam zaproponuję stawkę - że nie uda ci się to po raz drugi?

- Nie zakładam się - powiedziałem. - Nie mam odwagi.

Podniosłem jednak następną strzałę i założyłem na cięciwę.

Lubiłem ten łuk; podobał mi się nawet brzeg cięciwy uderzającej o ochraniacz na moim przedramieniu. Chciałem spróbować jeszcze raz, poczuć tę jedność z bronią.

Puściłem cięciwę.

Trzecia strzała wyrosła między dwiema poprzednimi, nieco bliżej tej wystrzelonej przez Rufo.

- Świetny łuk - oznajmiłem. - Zatrzymam go. Przynieś strzały.

Rufo bez słowa potruchtał do drzewa. Zdjąłem cięciwę i zacząłem oglądać ostrza. Miałem nadzieję, że już nigdy nie będę musiał strzelać z łuku; karciarz nie może oczekiwać, że za każdym razem dostanie dobrą kartę - następna wystrzelona przeze mnie strzała prawdopodobnie wróci do mnie jak bumerang.

W arsenale było aż za dużo najróżniejszych szpikulców i tasaków, od dwuręcznego miecza nadającego się do ścinania drzew, po sztyleciki, jakie dama mogłaby wsunąć pod podwiązkę. Brałem jeden po drugim i ważyłem w dłoni... aż znalazłem ostrze, które odpowiadało mi tak, jak Ekskalibur Arturowi.

Nigdy przedtem nie widziałem takiej broni, więc nie wiem, jak ją nazwać. Chyba należałoby ją uznać za szablę, ponieważ klingę miała lekko wygiętą, ostrą jak brzytwa i w znacznej części obosieczną. Jej szpic był równie ostry jak u rapiera, a niewielkie zakrzywienie pozwalało zarówno na pchnięcia oraz zastawy, jak i na cięcia. Rękojeść posiadała dzwonowaty półkoszyk, chroniący dłoń, ale wycięty w sposób umożliwiający na swobodne wykonanie młyńca.

Środek ciężkości wypadł bliżej niż dwa cale od rękojeści, a jednak ostrze było dostatecznie ciężkie, by przeciąć kości. To był oręż z rodzaju tych, które wydają ci się przedłużeniem twojego ramienia.

Rękojeść była obciążona prawdziwą rekiną skórą i idealnie leżała mi w dłoni. Na ostrzu wyryto jakąś dewizę, ale tak ukrytą w wymyślnych zawijasach, że nie chciałem tracić czasu na jej odczytywanie. Ten skarb należał do mnie, pasowaliśmy do siebie! Wsunąłem szablę do pochwy i zapiąłem sobie pas na biodrach, lubując się jej ciężarem i czując jak kapitan John Carter, jeddak nad

jeddakami, oraz Gaskończyk i jego trzech towarzysze razem wzięci.

- Nie ubierzesz się, lordzie Oscarze? - zapytała Star.

- Co? Och, tak, na razie próbowałem tylko, czy to się nada. A czy Rufo zabrał moje rzeczy?

- Zabrałeś, Rufo?

- Jego rzeczy? Chyba nie chciałby nosić tutaj tego, co miał na sobie w Nicei?

- Widzisz coś złego w tyrolskich spodenkach i hawajskiej koszuli? - zapytałem groźnie.

- Co? Och, wcale nie, milordzie - odparł pospiesznie Rufo. - Zawsze mówię: żyj i daj żyć innym. Znałem kiedyś faceta, który nosił... No mniejsza z tym. Pozwól panie, że pokażę ci, co mam dla ciebie.

Mogłem wybrać, co chciałem - od plastikowego płaszcza przeciwdeszczowego po kompletną zbroję. Widok tej ostatniej lekko mnie podłamał, ponieważ jej obecność sugerowała, iż może okazać się potrzebna. Oprócz wojskowego hełmu nigdy nie nosiłem i nie chciałem nosić żadnego pancerza - nawet nie wiedziałbym, jak się w nim poruszać - i nie miałem ochoty przebywać w niemiłym towarzystwie, które czyniłoby taką ochronę pożądaną.

Ponadto nie widziałem w pobliżu żadnego konia, powiedzmy perszerona czy innej szkapy pociągowej, a nie widziałem siebie wędrującego na piechotę w takim blaszanym wdzianku. Włókłbym się jak o kulach, podzwaniając jak tramwaj i dusząc się jak w budce telefonicznej. Na każde pięć mil wypociłbym dziesięć funtów. Przy tej pogodzie zupełnie wystarczyłyby zakładane pod to żelastwo watowane kalessony; po obleczeniu w stalowy pancerz zmieniałbym się w chodzący piekarnik i byłbym zbyt słaby i niezdarly, aby choć przejść na drugą stronę ulicy.

- Star, powiedziałaś, że... - zacząłem i urwałem. Właśnie skończyła się ubierać i ani trochę z tym nie przeholowała. Miękkie skórzane buty, sięgające do kolan, brązowe pończochy i krótka bluza, będąca czymś pośrednim między marynarką a narciarską kurtką. Fikuśny kapelusik dopełniał całości stroju, w którym wyglądała jak stewardesa z komediowego musicalu - bystra, ładna, pewna siebie i seksowna.

Albo jak Lady Marion, ponieważ również wybrała sobie łuk - o

połowę mniejszy od mojego - kołczan ze strzałami i sztylet.

- Hej ! - powiedziałem. - Twój wygląd wywołałby zamieszki w mieście.

Pokazała dołeczki w policzkach i dygnęła. (Star nie udawała. Wiedziała, że jest kobietą, że świetnie wygląda, i lubiła to.)

- Wcześniej mówiłaś coś - wróciłem do przerwanego zdania - o tym, że na razie broń nie będzie nam potrzebna. Czy jest jakiś powód, dla którego miałbym nosić któryś z tych skafandrów kosmicznych? Nie wyglądają na szczególnie wygodne.

- Dzisiaj nie spodziewam się żadnego niebezpieczeństwa - powiedziała z namysłem. - Jednak to nie jest miejsce, w którym można wezwać policję. Sam musisz zdecydować, co ci się przyda.

- Jednak... A niech to licho, księżniczko, ty znasz to miejsce, a ja nie! Potrzebuję rady.

Nie odpowiedziała. Zwróciłem się do Rufo. Z zainteresowaniem oglądał czubek drzewa. Powiedziałem:

- Ubieraj się, Rufo.

Uniósł brwi.

- Milordzie?

- Schnell! Vite, vite! Prowadź, wodzu.

- Dobrze.

Ubrał się szybko, zakładając na siebie strój będący przeznaczonym dla panów odpowiednikiem ubioru Star, z szortami zamiast pończoch.

- Weź sobie broń - nakazałem i zacząłem się ubierać w to samo co on, tyle że zamierzałem założyć wojskowe buciory. Jednak znalazłem parę takich samych wysokich butów, jakie miała Star, a ponieważ wydawały się mieć mój rozmiar, spróbowałem je włożyć. Pasowały na moje nogi jak rękawiczki, a zresztą po miesiącu chodzenia na bosaka po l'le du Levant miałem tak twarde podeszwy stóp, że nie potrzebowałem ciężkiego obuwia.

Te buty nie były średniowieczne, jak wyglądały; z przodu zamykały się na zamek błyskawiczny, a w środku miały znak Fabrique en France.

Tatusiek Rufo wybrał sobie łuk, z którego przedtem strzelał, miecz i dodał do nich sztylet. Ja zamiast sztyletu wzięłem nóż myśliwski z solingeńskiej stali, tęsknie spoglądałem na służbową

czterdziestkę piątą, ale nie dotknąłem jej. Jeśli „oni”, kimkolwiek byli, ogłosili tu coś w rodzaju aktu Sullivana, to jakoś się z tym pogodzę.

Star kazała Rufo spakować rzeczy, po czym kucnęła obok mnie na polaci piasku obok strumienia i nakreśliła szkic mapy - szlak wiódł na południe, stopniowo schodząc w dół i - pominawszy skrót - cały czas biegł wzdłuż strumienia, aż do Śpiewających Wód. Tam mieliśmy rozbić obóz na noc.

Wbiłem go sobie w głowę.

- No, dobrze. Czy chcesz mnie jeszcze przed czymś przestrzec? Mamy strzelać pierwsi? Czy czekamy, aż oni zaczną?

- Dzisiaj nie spodziewam się niczego takiego. Jest tu, co prawda, drapieżnik trzykrotnie większy od lwa, ale bardzo tchórzliwy; nie zaatakuje poruszającego się człowieka.

- Przypadł mi do serca. W porządku, ruszajmy się.

- Jeśli zobaczymy jakieś ludzkie istoty - w co wątpię - może dobrze będzie założyć strzałę na cięciwę... Jednak nie celuj do niko- go, chyba że uznasz to za konieczne. Zrozum, Oscarze, ja ci nie mówię, co masz robić - sam musisz zdecydować. Rufo też nie wystrzeli, dopóki mu nie powiesz.

Rufo skończył pakowanie.

- Dobra, chodźmy - powiedziałem.

Ruszyliśmy. Rufo umocował sobie tę czarną skrzyneczkę na plecach, a ja wolałem się nie zastanawiać, jak zdołał udźwignąć te kilka ton. Pewnie miał jakieś urządzenie antygravitacyjne jak Buck Rogers. A może krew chińskich kulisów w żyłach. Czarna magia. Do licha, sam ten kufer z tekowego drzewa nie zmieściłby się w tym plecaku z powodu trzydziestokrotnie większych rozmiarów, nie wspominając o arsenale i ekwipunku.

Nie ma powodu zachodzić w głowę, dlaczego nie zapytałem Star, gdzie byliśmy, dlaczego, jak się tu dostaliśmy, co będziemy robić i o szczegóły niebezpieczeństw, którym miałem stawić czoła. Słuchaj, koleś, kiedy masz najwspanialszy sen w swoim życiu i zbliża się najlepszy moment, czy zatrzymujesz się, by powiedzieć sobie, że - logicznie rzecz biorąc - jest nieprawdopodobne, żeby właśnie ta babka leżała z tobą w sianie - w ten sposób zbudzić się? Logika podpowiadała mi, że wszystko, co wydarzyło się od

chwili, gdy przeczytałem to głupie ogłoszenie, było niemożliwe.

Tak więc cisnąłem logikę precz.

Logika, przyjacielu, jest słaba jak trzcinka. Dowodzi, że samoloty nie mogą latać, a bomby wodorowe wybuchnąć i że kamienie nie spadają z nieba. Logika dowodzi, że jeśli coś nie wydarzyło się wczoraj, to nie wydarzy się jutro.

Podoba mi się ta sytuacja. Nie chciałem się obudzić ani w łóżku, ani na kozetce psychiatry. A szczególnie nie chciałem przebudzić się z powrotem w dżungli, może ze świeżo poharataną twarzą i bez nadziei na przylot helikoptera. Może ten mały żółty brat jednak dopiął swego i posłał mnie do Valhalli. W porządku, podobało mi się w Valhalli.

Szedłem sprężystym krokiem ze wspaniałym mieczem objającym mi się o udo i jeszcze wspanialszą dziewczyną dotrzymującą mi tempa, a niewolniko-chłopo-sługa pocił się za nami, niosąc cały bagaż i ubezpieczając tyły. Ptaki śpiewały, krajobraz był mistrzowskim dziełem architektów, a powietrze pachniało słodko i przyjemnie. Wcale nie martwiłbym się, gdybym już nigdy nie miał uskakiwać przed nadjeżdżającą taksówką ani przeczytać żadnego nagłówka w gazecie.

Łuk trochę mi zawadzał - ale tak samo jest z M-1. Star przewiesiła swój mały łuk przez plecy, na skos. Ja też próbowałem tak zrobić, lecz drzewce zawadzało o gałęzie, ponadto ponieważ przyznała, że ten oręż może nam się przydać, czułem się nieswojo, wiedząc, że nie trzymam go w pogotowiu. Tak więc zdjąłem go z ramion i niosłem go w lewej ręce, z założoną cięciwą, gotowy do strzału.

Podczas porannego marszu tylko raz coś nas zatrzymało. Usłyszałem „ping” cięciwy łuku Rufo i obróciłem się na pięcie, gotowy wypuścić strzałę, zanim zdążyłem zobaczyć, co nadchodzi.

A raczej, co spada. To był ptak, podobny do ciemno upierzonej kuropatwy, tylko większy. Rufo stracił go z gałęzi, trafiając prosto w szyję. Zanotowałem sobie w myśli, żeby więcej nie współzawodniczyć z nim w łucznictwie i poprosić go, żeby mnie nauczył kilku swoich sztuczek. Cmoknął i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Kolacja!

Zanim przeszliśmy milę, oskubał zdobycz i przytroczył ją sobie

do pasa.

Okolo pierwszej zatrzymaliśmy się na obiad w miejscu idealnym na piknik, które według Star było bronione i Rufo otworzył swoją skrzynkę do rozmiarów szafki, po czym podał nam posiłek: zimne zakąski, kruchy ser prowansalski, chrupiący francuski chleb, gruszki oraz dwie butelki Chablis. Po obiedzie Star zaproponowała sjęstę. Pomysł wydał się kuszący, bo podjadłem sobie niezgorzej, zostawiając ptakom jedynie okruchy, ale trochę się zdziwiłem.

- Czy nie powinniśmy iść dalej ?
- Oscarze, pora na naukę j ęzyka.

Powinienem powiedzieć tym z uniwersytetu w Ponce de Leon, że są lepsze sposoby nauki obcych języków. Pewnego pięknego dnia kładziesz się w miękkiej trawie nad szemrzącym strumykiem i najpiękniejsza kobieta wszystkich światów pochyla się nad tobą i zagłada ci w oczy. Potem zaczyna mówić coś cicho w języku, jakiego nie rozumiesz.

Po chwili jej oczy stają się większe i większe... i jeszcze większe... aż w końcu toniesz w ich głębi.

Potem, dużo później, Rufo powiada:

- Erbas, Oscar't knila voorsht.
- Dobrze - odparłem. - Już wstaje. Nie poganiaj mnie.

To ostatnie słowa, jakie zamierzam tu podać w języku, który nie pasuje do naszego alfabetu. Później odbyło się jeszcze kilka lekcji, o nich też nie będę wspominał, i od tego czasu mówiliśmy już tym narzeczem, z wyjątkiem chwil, gdy pokonując barierę językową, byłem zmuszony pytać o coś po angielsku. Ten język obfituje w przekleństwa i słowa określające uprawianie miłości, jest też bogatszy od angielskiego w pewnych sprawach technicznych, lecz ma też zaskakujące luki. Na przykład nie ma w nim słowa „prawnik”.

Mniej więcej godzinę przed zachodem słońca dotarliśmy do Śpiewających Wód.

Szliśmy wysokim porośniętym drzewami płaskowyżem. Do strumienia, w którym łowiliśmy pstrągi, dołączyły inne, zmieniając go w rzeczkę. W dole, w miejscu, do którego jeszcze nie dostaliśmy, spadała ona z wysokich skał jak superwodospady Yosemite.

te. Jednak tu, gdzie zatrzymaliśmy się na biwak, woda wyłobila sobie koryto w płaskowyżu, tworząc szereg małych kaskad przed gwałtownym skokiem w dół.

„Kaskady” to nieodpowiednie słowo. Patrząc w górę rzeczki i w dół jej biegu, wszędzie, gdzie spojrzalesz, widziałeś wodospady - wielkie, wysokie na trzydzieści lub pięćdziesiąt stóp, małe, przez które i mysz mogłaby przeskoczyć, oraz wszelkich pośrednich rozmiarów. Były tam też utworzone przez nie tarasy i stopnie, spokojne stawy z wodą pozieleniałą od zwieszającego się nad nimi gęstego listowia i miejsca białe od gęstej piany kipieli.

I wszędzie było je sływać. Małe siklawy dzwoniły srebrzystym sopranem, wielkie huczały basso profundo. Na trawiastym wierzchołku, na którym rozbiliśmy obóz, te głosy zlewały się we wszechobecny chór; a między wodospadami musiałbyś krzyknąć, żeby usłyszeć swój głos.

Coleridge odwiedził to miejsce w jednej ze swych narkotycznych wizji.

I były tu puszcze tak stare jak wzgórze,
Tulące ciepłe plamy słońca pośród gąszcza.
Lecz cóż! Ta otchłań tajemna,
co opada z zielonego wzgórze,
pod baldachim cedru,
Ta głusza! Gdzie świętość i czar trwają nadal,
Jak zawsze, pod gasnącym księżycem
nawiedzona Przez kobietę
opłakującą kochankę - demona!
A z tej otchłani, w nieustannej kipieli...

Coleridge z pewnością wtedy przechodził i dotarł do Śpiewających Wód. Nic dziwnego, że miał ochotę „zabić tę osobę z Porlock”, która przerwała mu jeden z najpiękniejszych snów. Gdy będę umierał, połóżcie mnie przy Śpiewających Wodach i niech będą one ostatnią rzeczą, którą zobaczę i usłyszę.

Zatrzymaliśmy się na trawiastym tarasie, otwartym jak obietnica i miękkim jak pocałunek. Pomogłem Rufo przy rozpakowywaniu. Chciałem podpatrzeć, jak robi tę sztuczkę ze skrzynką. Nie udało mi się. Każdy jej bok otwierał się równie łatwo i zwyczajnie jak wieko kuferka, a kiedy unosił się ponownie, było to równie na-

turalne i proste.

Najpierw ustawiliśmy namiot dla Star - nie jakaś pałatkę z armijnych odrzutów; to był gustowny pawilonik z haftowanego jedwabiu, a dywan, który rozłożyliśmy jako podłogę, musiał być dziełem trzech pokoleń mistrzów z Buchary. Rufo zapytał:

- Czy ty też chcesz namiot, Oscarze?

Spojrzałem w niebo i na jeszcze nie zachodzące słońce. Było ciepłutko i nie sądziłem, żeby miało padać. Nie miałem ochoty spać w namiocie, jeśli istniało choćby niewielkie ryzyko, że możemy zostać napadnięci.

- A czy ty masz zamiar skorzystać z namiotu?

- Ja? Och, nie! Jednak ona musi mieć namiot zawsze. Chociaż jest bardziej niż prawdopodobne, że i tak postanowi spać na trawie.

- Nie będę potrzebował namiotu.

(Zaraz, zaraz; czy „rycerz” nie powinien spać z bronią w rękę przed drzwiami komnaty swojej damy? Nie byłem pewien, co nakazuje etykieta; nie wspomniano o tym na zajęciach z nauk społecznych.)

Star wróciła i powiedziała do Rufo:

- Miejsce jest bronione. Wszystkie bariery są na miejscu.

- Nie ładowane? - niepokoił się.

Pociągnęła go za ucho.

- Jeszcze nie cierpię na starcze zidiocenie. - I dodała: - Mydło, Rufo. Chodź ze mną, Oscarze; to jego robota.

Z bagażu, który wystarczyłby dla sporej karawany, Rufo wyjął mydło „Lux”, a potem spojrzał na mnie i po namyśle podał mi kostkę „Life Buoy”.

Śpiewające Wody to najwspanialsza łazienka, w nieskończonej ilości odmian. Od spokojnych sadzawek wielkości wanny po baseny, w których można sobie popływać, nasiadówki masujące skórę i prysznice - z leniwie ciekącymi strumyczkami lub potokami bijącej wody, które wytlukłyby ci mózg z czaszki, gdybyś stał pod nimi zbyt długo.

I możesz też wybrać sobie odpowiednią temperaturę. Powyżej kaskady, z której korzystaliśmy, do głównego nurtu wpadał strumień płynący z gorącego źródła, a u jej stóp z podziemnej studni

wypływała lodowato zimna woda. Nie trzeba było kręcić kurkami, wystarczyło przejść kawałek w jedną lub w drugą stronę, aby mieć swoją ulubioną temperaturę - albo pójść dalej w dół strumienia, gdzie woda była delikatnie ciepła jak matczyne pocałunek.

Przez chwilę igraliśmy beztrąsko, a Star chichotała i piszczła, gdy przyskałem na nią wodą, jednak nie pozostawała mi dłużna. Oboje zachowywaliśmy się jak para dzieciaków; ja czułem się, a ona wyglądała jak dziecko, ale znała wszystkie sztuczki, a pod aksamitną skórą miała stalowe mięśnie.

W końcu wziąłem mydło i zaczęliśmy się myć. Kiedy zaczęła mydlić sobie włosy, stanąłem za nią i pomagałem jej. Nie sprzeciwiała się; potrzebowała pomocy przy myciu tej bujnej grzywy, sześciokrotnie dłuższej niż te, jakie w dzisiejszych czasach nosi większość dziewcząt.

To mógłby być idealny moment (gdyż Rufo był zajęty i nieobecny), aby chwycić ją w objęcia, a potem bezceremonialnie przejść do konkretów. I nie jestem pewien, czy napotkałbym choćby udawany upór; może zostałbym miło przyjęty.

Do licha, widziałem, że nie spotkałbym się z „udawanym” oporem! Usadziłaby mnie jednym chłodnym słowem albo rąbnęłaby mnie w ucho - lub wyszła mi naprzeciw.

Nie mogłem tego zrobić. Nawet nie mogłem zacząć.

Nie wiem, dlaczego. Moje zamiary wobec Star oscylowały między nieszlachetnymi a szlachetnymi i z powrotem, lecz od chwili, gdy po raz pierwszy ją ujrzałem, były zawsze bardzo konkretne. Nie, pozwólcie, że ujmę to tak: przez cały czas miałem względem niej nieuczciwe zamiary, ale byłem nad wyraz skłonny zamienić je na uczciwe później, jak tylko uda nam się złapać gdzieś sędziego pokoju.

A jednak stwierdziłem, że nie jestem w stanie tknąć jej nawet palcem, chyba żeby pomóc spłukać mydło z włosów.

Kiedy rozmyślałem o tym, trzymając w dłoniach jej ciężkie jasne pukle i zastanawiając się, co nie pozwala mi objąć tej smukłej, mocnej kibici, oddalonej ode mnie o kilka cali, usłyszałem przenikliwy gwizd i głos wykrzykujący moje imię - nowe imię. Rozejrzałem się wokół.

Rufo, odziany jedynie w swoją niezbyt miłą dla oka skórę i z ręcznikiem przerzuconym przez ramię, stał na brzegu dziesięć stóp dalej i próbował zwrócić na siebie moją uwagę, przekrzykując ryk wody.

Podszedłem bliżej.

- Co znowu? - próbowałem warknąć gniewnie.

- Pytałem, czy chcesz się ogolić, panie. A może zapuszczasz brodę?

Zwalczając chęć dokonania czynnej napaści, miałem niemiłą świadomość tego, że szczękę mam jak kaktus i ten fakt pomógł mi się opanować - Gillette, Aqua Velva, Burma Shave i cała reszta sprawiły, że biedny amerykański samiec, taki jak ja, porzuca wszelką myśl o uwiedzeniu lub gwałcie, jeśli nie jest świeżo ogolony. A ja miałem dwudniowy zarost.

- Nie mam żyletki - odkrzyknąłem.

W odpowiedzi podał mi brzytwę.

Star podeszła do mnie. Wyciągnęła rękę i dotknęła mojego podbródka kciukiem i wskazującym palcem.

- Z brodą wyglądałbyś dostojniej - powiedziała. - Możesz za puścić taką Van Dyke, ze sterczącymi wąsami.

Jeśli ona tak uważała, to ja również. Ponadto broda zakryłaby większą część blizny.

- Jak sobie życzysz, księżniczko.

- Jednak wolałabym, żebyś pozostał takim, jakim ujrzałam cię po raz pierwszy. Rufo jest dobrym cyrulikiem.

Odwróciła się do niego.

- Podaj mi rękę. I ręcznik.

Poszła w kierunku obozowiska, wycierając się ręcznikiem - chętnie pomógłbym jej w tym, gdyby mnie poprosiła. Rufo rzekł zmęczonym głosem:

- Dlaczego sam nie zdecydujesz? Jednak skoro ona powiedziała, że mam cię ogolić, więc muszę to zrobić, a także pospieszyć się z moją kąpielą, ponieważ Ona nie lubi czekać.

- Jeżeli masz lusterko, to sam się ogolę.

- A robiłeś to kiedyś brzytwą?

- Nie, ale mogę się nauczyć.

- Poderżnąłbyś sobie gardło, a to by się jej nie spodobało. Po-

dejdź tu, do brzegu, gdzie mogę stanąć w ciepłej wodzie. Nie, nie! Nie siadaj, połóż się z głową opartą o brzeg. Nie umiem golić siedzącego człowieka.

Zaczął mi mydlić policzki.

- Wiesz, dlaczego? Uczyłem się tego na nieboszczykach, upiększając ich tak, żeby żałobnicy mogli być z nich dumni. Leż spokojnie. Omal nie straciłeś ucha. Lubię golić trupy; nie narzekają, nie robią głupich uwag, nie gadają - i zawsze leżą spokojnie. Najlepsza robota, jaką kiedykolwiek miałem. A weźmy na przykład tę... Przerwał golenie, zatrzymując ostrze na mojej grdyce, i zaczął wylizywać swoje kłopoty.

- Czy mam wolne soboty? Do licha, nie mam nawet wolnych niedziel! I te godziny pracy! Wiesz, niedawno wyczytałem, że jakaś firma w Nowym Jorku... Byłeś kiedyś w Nowym Jorku?

- Byłem kiedyś w Nowym Jorku. I zabierz tę gilotynę z mojej szyi, jeśli nadal zamierzasz tak wymachiwać rękami!

- Jeśli będziesz gadał, na pewno zatnę cię tu i ówdzie. Ta firma przystała na dwudziestopięciogodzinny tydzień pracy. Tydzień! Ja zadowolilibym się dwudziestopięciogodzinnym dniem pracy. Czy wiesz, od jak dawna jestem na nogach, bez wytchnienia?

Powiedziałem, że nie wiem.

- No i masz, znowu gadasz. Od siedemdziesięciu godzin, ja jak nic! I po co? Dla chwały? Czy jest jakaś chwała w kupce pobielających kości? Dla bogactwa? Oscarze, powiem ci prawdę; wyprawilem na tamten świat więcej ludzi niż sułtan ma konkubin i żaden z nich nie dbał bardziej niż o rozmoczony precel o to, czy miał na sobie rubiny - choćby były wielkości twojego nosa i dwakroć bardziej czerwone - czy łachmany. Cóż martwemu po bogactwie? Powiedz mi, Oscarze, jak mężczyzna mężczyźnie, skoro Ona nie słyzy: dlaczego dałeś się Jej na to namówić?

- Jak na razie, świetnie się bawię.

Prychnął.

- Tak rzekł pewien facet spadający z Empire State Building, mijając pięćdziesiąte piętro. Ale chodnik na dole i tak na niego czekał - dodał pośepnie Rufo. - Gdybym miał mój zestaw, mógłbym zakryć tę bliznę tak dobrze, że wszyscy powiedzieliby: „Czy on nie wygląda jak żywy”?

- Daj spokój. Jej podoba się ta blizna.

(Psiakrew, zaraziłem się od niego!)

- Jasne. Usiłuję tylko powiedzieć ci, że jeśli kroczysz Szlakiem Chwały, z pewnością najczęściej napotkasz same wyboje. Ja nie wybrałem tej drogi. Moim ideałem życiowym byłby cichy zakładnik, jedyny w mieście, z pełnym asortymentem trumien, na każdą kieszeń, i niewielkimi narzutami pozwalającymi okazać pewną elastyczność wobec nieutulonych w żalu. I możliwość poczynienia pewnych inwestycji dla tych, którzy przewidująco wybiegają myślą w przyszłość - bo wszyscy musimy kiedyś umrzeć, Oscarze, wszyscy, a rozsądny człowiek może również dobrze zasiąść nad kufelkiem dobrego piwa i uwzględnić w swoich planach solidną firmę, której może ufać. Nachylił się do mnie konfidencjonalnie. - Posłuchaj, lordzie Oscarze. Jeśli jakimś cudem uda nam się wyjść z tego z życiem, powiedz Jej o mnie jakieś dobre słowo. Przekonaj Ją, że jestem już za stary, żeby kroczyć Szlakiem Chwały. Mogę wiele uczynić, żeby umilić ci pozostałe dni życia... jeśli okażesz się dobrym kolegą.

- Czy nie uścisnęliśmy sobie dłoni?

- Ach, tak, istotnie - westchnął. - Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego; naprzód i ani kroku w tył. Jesteś załatwiony.

Kiedy wróciliśmy do obozu, było jeszcze jasno, a Star jeszcze nie wyszła z namiotu - ale już wyłożyła moją odzież. Kiedy zobaczyłem ten strój, zacząłem protestować, ale Rufo stwierdził stanowczo:

- Powiedziała „nieformalnie”, co oznacza „pod krawatem”.

Założyłem wszystko, nawet spinki (z zaskakująco dużych, czarnych pereł), a smoking albo został uszyty specjalnie dla mnie, albo został kupiony przez kogoś, kto znał mój wzrost, wagę, obwód w ramionach i biodrach. Etykieta na podszewce marynarki głosiła: The English House, Copenhagen.

Jednak muszka mnie wykończyła. Kiedy z nią walczyłem, zjawił się Rufo; kazał mi się położyć (nie pytałem, dlaczego) i zawiązał ją migiem.

- Czy chcesz swój zegarek, Oscarze?

- Mój zegarek.

O ile wiedziałem, pozostawiłem go w gabinecie lekarskim w Ni-

cei.

- Masz go?

- Tak, sir. Zabrałem wszystkie twoje rzeczy, oprócz twojego - tu wzdrynął się lekko - ubrania.

Wcale nie przesadzał. Wszystko tam było, nie tylko to, co miałem w kieszeniach, lecz również zawartość skrzynki depozytowej w biurze American Express: pieniądze, paszport, książeczka wojskowa i tak dalej, nawet te losy loteryjne kupione na Change Alley.

Chciałem zapytać, jak zdołał się dostać do mojej skrytki, ale rozmyśliłem się. Miał przecież klucz i rzecz mogła być tak skomplikowana jak jego magiczna czarna skrzyneczka. Podziękowałem mu i wrócił do kucharzenia.

Miałem ochotę wyrzucić wszystko poza gotówką i paszportem, jednak nie zaśmieca się miejsca tak pięknego jak Śpiewające Wody. Przy pasie podtrzymującym miecz miałem skózaną sakiewkę; wepchnąłem tam wszystko, nawet zegarek.

Rufo ustawił stolik przed tym frymuśnym namiotem Star, nad nim zawiesił na drzewie lampę, a na stole umieścił świece. Zrobiło się ciemno, zanim Star wyszła z namiotu... i stanęła. W końcu pojąłem, że czeka, aż podam jej ramię. Zaprowadziłem ją do stołu i podsunąłem krzesło, a Rufo podstawił mi drugie. Był odziany w śliwkową liberię lokaja.

Warto było poczekać na Star; założyła tę zieloną suknię, którą wcześniej chciała mi pokazać. Nadal nie wiem, czy używała kosmetyków, lecz wcale nie przypominała lubieżnej rusalki, która przed godziną chlapała mnie wodą. Teraz wyglądała jakby wyjęto ją ze szklanej gabloty. Tak mogła wyglądać Liza Doolittle na swym pierwszym balu.

Zacząła się „Kolacja w Rio” z akompaniamentem Śpiewających Wód.

Białe wino do ryby, różowe do drobiu i czerwone do pieczeni - Star gawędziła, uśmiechała się i tryskała dowcipem. W pewnej chwili Rufo, nachylając się nade mną, szepnął:

- Skazaniec jadł z apetytem.

Kątem ust powiedziałem mu, żeby poszedł do diabła.

Potem był szampan oraz słodczyce i Rufo uroczyście pokazał mi

butelkę, abym ją zaaprobował. Skinałem głową. Byłem ciekaw, co zrobiłby, gdybym nie wyraził zgody. Zaproprowowałby inny rocznik? Potem był napoleon i kawa. I papierosy.

Przez cały dzień marzyłem o papierosach. To były „Benson and Hedges No 5”... a ja, żeby zaoszczędzić, paliłem ostatnio te czarne francuskie paskudztwa.

Wtedy Star pogratulowała Rufo doboru dań, a on poważnie przyjął jej komplementy, do których się przyłączyłem. Nadal nie wiem, kto przygotował tę lukullusową ucztę. Rufo zrobił dużo, ale trudniejszą robotą mogła wykonać Star, kiedy mnie golił.

Po dłuższym, beztroskim lenistwie, gdy siedzieliśmy nad kawą i koniakiem, a latarnia nad naszymi głowami zgasła i tylko jedna świeca rzucała blask na klejnoty i twarz Star, ta podniosła się z krzesła - wstałem więc szybko i odprowadziłem ją do namiotu. Zatrzymała się przy wejściu.

- Lordzie Oscarze...

Tak więc pocałowałem ją i wszedłem za nią do środka...

Diabła tam! Byłem tak cholernie zahipnotyzowany, że nachyliłem się nad jej dłoń i pocałowałem ją. To wszystko.

Nie pozostało mi nic innego, jak wyskoczyć z tego pożyczonego fraka, oddać go Rufo i wziąć od niego koc. Ułożył się do snu obok jej namiotu, więc ja wybrałem sobie miejsce po drugiej stronie i położyłem się wygodnie. Wieczór nadal był ciepły, tak że nawet ten jeden koc nie był mi potrzebny.

Jednak nie mogłem zasnąć. Prawdę mówiąc, mam pewien brzydki nałóg, gorszy od palenia marihuany, choć nie tak kosztowny jak zażywanie heroiny. Potrafię go zwalczyć i zasnąć - ale teraz światło w namiocie Star i widok jej sylwetki nie skrepowanej już suknią wcale nie ułatwiały mi sprawy.

Sęk w tym, że jestem namiętym czytelnikiem. Tania książeczka z serii Gold Medal Original uśpi mnie natychmiast. Albo powieść o Perrym Masonie. Kiedy nie mam już nic innego, będę czytał ogłoszenia w starym Paris Matchu, którego użyto do zawijania śledzi - bez tego nie zasnę.

Wstałem i okrążyłem namiot.

- Psst! Rufo!

- Tak, milordzie!

Zerwał się na równe nogi, ze sztyletem w dłoni.

- Słuchaj, czy w tym twoim składzie nie ma czegoś do czytania?
- A co to ma być?
- Cokolwiek, naprawdę cokolwiek. Słowa ustawione w rzadek.
- Chwileczkę.

Zniknął na chwilę, aby z latarką w ręku przetrząsnąć stertę bagażu. Wrócił i wręczył mi książkę oraz małą lampkę. Podziękowałem mu, poszedłem na swoją stronę i położyłem się.

To była bardzo interesująca książka, napisana przez Albertusa Magnusa i najwidoczniej skradziona z British Museum.

Albert proponował czytelnikom długą listę przepisów na robienie niezwykłych rzeczy: uśmierzenie burz, latanie nad chmurami, pokonywanie wrogów i sprawianie, aby kobieta była ci wierna...

Oto ta ostatnia recepta: „Jeśli zaś pragniesz, aby białogłowa płochą nie była, a obcych mężów nie pożądała, weź członek wilkołaka i włosy z jego lica lub brwi, nadto włos z brody jego, spal wszystko razem i daj jej potajemnie do napitku - a nie pożąda innego męża”.

To powinno wkurzyć „wilkołaka”. A gdybym był tą panną, też bym się wkurzył; napój musiał być dość paskudny. Jednak przepis przytaczam dokładnie, więc jeśli masz jakieś problemy z ustawieniem swojej pani, a także wilkołaka pod ręką, to spróbuj. I powiadom mnie o rezultacie. Poczta, nie osobiście.

Znalazłem tam kilka recept na to, jak sprawić, aby kochała cię kobieta, której jesteś obojętny, ale wilkołak był najprostszym ze składników. W końcu odłożyłem książkę, zgasilem światło i obserwowałem cień poruszający się na przezroczystym jedwabiu. Star czesła włosy.

Potem przestałem się dręczyć i zacząłem patrzeć w gwiazdy. Nigdy nie nauczyłem się mapy nieba południowej półkuli; w miejscu tak wilgotnym jak Azja południowowschodnia rzadko widuje się gwiazdy, a człowiek instynktownie orientujący się w terenie nie musi się na nich znać.

Lecz to południowe niebo było wspaniałe.

Spoglądałem na jedną, bardzo jasną gwiazdę lub planetę (wydawało się, że ma pierścień), gdy nagle zdałem sobie sprawę z tego, że ten obiekt porusza się.

Usiadłem.

- Hej, Star!
- Tak, Oscarze? - odkrzyknęła.
- Chodź, zobacz. Jakiś sputnik. I to duży!
- Idę.

Światło w namiocie zgasło i Star szybko dołączyła do mnie, podobnie jak stary tatuś Rufo, ziewając i drapiąc się po żebrach.

- Gdzie, milordzie - zapytała Star.

Wskazałem ręką,

- O, tam! Chociaż teraz myślę, że to chyba nie sputnik; może to jeden z naszych balonów typu Echo. Jest strasznie duży i jasny.

Star zerknęła na mnie i umknęła spojrzeniem w bok. Rufo nic nie powiedział. Jeszcze przez chwilę patrzyłem w górę, a potem spojrzałem na Star. Obserwowała mnie, a nie satelitę. Przyjrzałem mu się jeszcze raz, śledząc jego ruch na tle gwiazd.

- Star - powiedziałem. - To nie jest sputnik. Ani żaden z balonów Echo. To księżyc. Prawdziwy księżyc.

- Tak, lordzie Oscarze.
- Zatem to nie jest Ziemia!
- To prawda.
- Hmm...

Ponownie spojrzałem na mały księżyc, poruszający się szybko pośród gwiazd, z zachodu na wschód.

Star zapytała cicho:

- Nie boisz się, mój bohaterze?
- Czego?

- Tego, że jesteś na obcej planecie.

- Wygląda mi na całkiem miły świat.

- Taki też jest - przytaknęła. - Pod wieloma względami.

- Podoba mi się - przyznałem. - Jednak może nadszedł czas, żebym dowiedział się o nim czegoś więcej. Gdzie jesteśmy? Ile lat świetlnych czy innych jednostek, i po której stronie Ziemi?

Westchnęła.

- Spróbuję, milordzie. Jednak to nie będzie łatwe; nie uczyłeś się geometrii metafizycznej - ani wielu innych rzeczy. Wyobraź sobie stronie książki...

Nadal miałem pod pachą tę książkę kucharską Alberta Wielkie-

go; Star wzięła ją w ręce.

- Jedna karta może być bardzo podobna do drugiej. A może być zupełnie inna. Jedna strona może znajdować się tak blisko drugiej, że stykają się całą powierzchnią - a jednak nie mają ze sobą nic wspólnego. Znajdujemy się tak blisko Ziemi w tej chwili - jak te dwie sąsiednie strony tej książki. A równocześnie jesteśmy od niej tak daleko, że nie da się tej odległości wyrazić w latach świetlnych.

- Słuchaj - powiedziałem. - Nie musisz owijać w bawełnę. Oglądałem „Twilight Zone”. Masz na myśli inny wymiar. Kapuję.

Wyglądała na zakłopotaną.

- W pewnym sensie tak, ale...

Rufo przerwał nam.

- Rano czeka nas Igli.

- Tak - zgodziłem się. - Jeśli rano mamy pogadać z Iglim, to może przyda nam się trochę snu. Przepraszam. A przy okazji, kim jest Igli?

- Zobaczysz - rzekł Rufo.

Spojrzałem na pędzący po niebie księżyc.

- Niewątpliwie. No cóż, przepraszam, że niepokoiłem was głupi mi pytaniami. Dobranoc, moi drodzy.

Otuliłem się z powrotem jak prawdziwy bohater (zazwyczaj składający się z mięśni, bez gonad), a oni też poszli spać. Star nie zapaliła już światła, więc nie miałem już na co patrzeć - tylko na te śmigające księżycy Barsoomu. Wpadłem do książki.

No cóż, miałem nadzieję, że jest niezła i pisarz zachowa mnie przy życiu przez następnych parę następnych tomów. Bohaterowi nieźle się wiodło, przynajmniej do tego rozdziału. Niecałe dwadzieścia stóp dalej, zawinięta w jedwabną pościel, spała Dejah Thoris.

Zupełnie poważnie zastanawiałem się, czy nie wśliznąć się do jej namiotu i szepnąć, że chciałbym zadać kilka pytań dotyczących geometrii metafizycznej i tym podobnych spraw. Na przykład o zaklęcia miłosne. A może po prostu powiedzieć jej, że na zewnątrz jest zimno i czy mógłbym wejść?

Jednak nie zrobiłem tego. Tuż po drugiej stronie spał zwinięty w kłębek stary, wierny Rufo, który miał irytująco lekki sen i zbyt szybko wyciągał sztylet. A ponadto lubił golić trupy. Jak już po-

wiedziałem, jeśli tylko mam możliwość wyboru, jestem tchórzem.

Patrzyłem na mknące po niebie księżyce Barsoomu, aż zasnąłem.

ROZDZIAŁ VI

Śpiewające ptaki są lepsze od budzika; na Barsoomie wcale ich nie było. Przeciągnąłem się z rozkoszą i wyczuwszy zapach kawy, zastanawiałem się, czy znajdzie się jeszcze czas na kąpiel przed śniadaniem. Był kolejny, prześliczny dzień, z błękitnym i czystym niebem, na którym właśnie wzeszło słońce, i miałem ochotę załatwić kilka smoków przed śniadaniem. No, takich raczej małych.

Stłumiłem ziewnięcie i wygramoliłem się z betów. Śliczny namiocik został złożony, a czarna skrzynka prawie spakowana; teraz nie była większa od pianina. Star klęczała przy ognisku i parzyła kawę. Tego ranka była kobietą jaskiniową, odzianą we wspaniałą skórę, ale nie tak wspaniałą jak jej własna. Futro pewnie było z ocelota. A może ze sklepu du Ponta.

- Cześć, księżniczko - powiedziałem. - Co na śniadanie? I gdzie twój szef kuchni!

- Śniadanie będzie później - odparła. - Teraz dostaniesz tylko kubek kawy, zbyt gorącej i zbyt mocnej - w sam raz, żebyś był w złym humorze. Rufo zaczął rozmawiać z Iglim.

Podawała mi napój w kartonowym kubku.

Wypiłem połowę, parząc sobie wargi i wypluwając fusy. Kawę oceniam według pięciostopniowej skali jakości; najlepsza jest kawa, potem kolejno: neska, inka, zbożowa i zmiotki. Tę zaliczyłem najwyżej do czwartej kategorii.

Nagle zastygłem, dostrzegłszy Rufo i jego bardzo liczne towarzystwo. Na brzegu naszego tarasu ktoś wylądował arkę Noego. Było tam wszystko, od mrówkojadów po zebu, a większość tego bractwa miała długie, pożółkłe zębiska.

Rufo siedział dziesięć stóp przed tą pikiętą, naprzeciw szczególnie wielkiego i nieokrzesanego osobnika. W tej właśnie chwili papierowy kubek rozmókł i poparzył mi palce.

- Chcesz jeszcze? - zapytała Star.

Podmuchałem na palce.

- Nie, dzięki. To jest ten Igli?

- Tam w środku, ten, z którym drażni się Rufo. Reszta przyszła tylko popatrzeć na zabawę, możesz nie zwracać na nich uwagi.

- Niektóre z nich wyglądają na zgłodniałe.

- Większość z tych dużych należy do roślinożernych, tak jak diabeł Cuviera. Te przerośnięte lwy zjadłyby nas, oczywiście, lecz tylko wtedy, gdyby Igli zwyciężył. Ale jedynie wtedy. To Igli jest problemem.

Przyjrzałem mu się uważniej. Przypominał przodka człowieka, którego znaleziono w Dundee - sama żuchwa, bez czoła - i łączył w sobie wszystkie mniej apetyczne cechy olbrzymów i orków z The Red Fairy Book. Nigdy zbyt nie lubiłem tej książki.

Trochę przypominał człowieka, jeśli elastycznie potraktować to określenie. Był kilka stóp wyższy ode mnie i ważył o trzysta czy czterysta funtów więcej, ale ja jestem dużo przystojniejszy. Całe ciało miał porośnięte kłakami, rosnącymi w kępkach jak zapuszczony trawnik, i po prostu wiedziało się, chociaż nikt nam tego nie mówił, że nigdy nie używał dezodorantu dla panów i nie obcinał paznokci.

- Star - powiedziałem. - Na czym właściwie polega istota sporu, jaki z nim mamy?

- Musisz go zabić, milordzie.

Ponownie spojrzałem na przedmiot rozmowy.

- Czy nie da się wynegocjować pokojowego współistnienia? Kontroli uzbrojenia, wymiany kulturalnej i tak dalej?

Potrząsnęła głową.

- Jest na to za głupi. Ma nam uniemożliwić zejście do doliny i albo on zginie, albo my.

Zaczerpnąłem głęboko tchu.

- Księżniczko, podjąłem decyzję. Człowiek, który zawsze przestrzega prawa, jest jeszcze głupszy od tego, który nieustannie je łamie. To nie jest chwila, kiedy należy się przejmować tą miejscową ustawą Sullivana. Chcę miotacz płomieni, bazookę, kilka granatów i pistolet największego kalibru, jaki macie w arsenale. Możesz mi pokazać, jak to wyciągnąć?

Szturchnęła głownie ogniska.

- Mój bohaterze - rzekła powoli. - Naprawdę mi przykro, ale to nie jest takie proste. Czy zauważyłeś, kiedy zeszłej nocy paliliśmy papierosy, że Rufo zapalił je od płomienia świecy? I że nie posłużyliśmy się choćby zapalniczką?

- Hm... Nie zwróciłem na to uwagi.

- Zasada nieużywania broni palnej i środków wybuchowych nie jest tu takim prawem, jakie macie na Ziemi. Chodzi o coś więcej: tutaj posługiwanie się tymi rzeczami jest niemożliwe. W przeciwnym wypadku użyto by ich przeciw nam. - Chcesz powiedzieć, że po prostu nie będą działać?

- Nie będą. Może właściwym określeniem byłoby słowo „zaklęte”.

- Star, spójrz na mnie. Może ty wierzysz w zaklęcia. Ja nie. I założę się siedem do dwóch, że ten rozpylacz również. Zamierzałem to sprawdzić. Czy pomożesz mi rozpakować kufer?

Po raz pierwszy wydawała się naprawdę zła.

- Och, milordzie, proszę, żebyś tego nie robił!

- Dlaczego?

- Nawet próba może mieć fatalne skutki. Czy wierzysz, że wiem więcej od ciebie o zagrożeniach, niebezpieczeństwach i prawach tego świata? Czy uwierzysz mi, jeśli powiem ci, iż nie chciałabym, żebyś umarł, i że moje życie oraz bezpieczeństwo zależą od ciebie? Proszę!

Nie można nie wierzyć Star, kiedy wyklada kawe na ławę. Powiedziałem w zadumie:

- Może masz rację - inaczej ten typ nosiłby u pasa sześciocalowy moździerz. Wiesz, Star, mam jeszcze lepszy pomysł. Dlaczego nie weźmiemy ogony pod siebie i nie wrócimy do punktu wyjścia, żeby osiedlić się w miejscu, gdzie łapaliśmy ryby? Za pięć lat będziemy tam mieli miłą, małą farmę. Za dziesięć, kiedy rozejdą się wieści, otworzymy również miły motelik z basenem dla naturystów i polem golfowym.

Uśmiechnęła się blado.

- Milordzie Oscarze, z tej drogi nie ma powrotu.

- Dlaczego? Odnalazłbym ją z zamkniętymi oczami.

- Ponieważ oni znaleźliby nas. Nie Igli, lecz więcej takich jak on wysłano by naszym śladem, żeby nas dopadli i zabili.

Ponownie westchnąłem.

- Jak uważasz. Zresztą powiadają, że motele przy autostradach to ryzykowny interes. W tym worze bez dna jest dwuręczny topór bojowy. Może zdołam odrąbać mu nogę, zanim mnie zauważy.

Znów potrząsnęła głową.

- O co znowu chodzi? - zapytałem. - Czy mam z nim walczyć, mając jedną nogę w wiadrze? Myślałem, że wszystko, co siecze lub kłuje - wszystko, czym poruszam własnymi mięśniami - jest dozwolone?

- Jest dozwolone, milordzie. Ale nie skutkuje.

- Dlaczego?

- Igliego nie można zabić. Widzisz, tak naprawdę to on nie jest żywą istotą. Został skonstruowany i uczyniony niezniszczalnym specjalnie w tym celu. Miecze, noże, a nawet topory nie przetną jego skóry; odbijają się od niej. Sama widziałam.

- Chcesz powiedzieć, że to robot?

- Nie, jeśli masz na myśli koła, przekładnie i obwody drukowane. Dokładniejszym określeniem byłoby słowo „Golem”. Igli jest imitacją życia - powiedziała Star i dodała: - Pod wieloma względami lepszą od żywego stworzenia, ponieważ nie ma sposobu - a przynajmniej ja nie znam żadnego - aby go zabić. Jednak pod pewnymi względami jest czymś pośledniejszy, gdyż nie jest zbyt bystry ani zrównoważony. Przyjmuje wszystko na wiarę. Właśnie teraz Rufo pracuje nad nim, rozgrzewając go dla ciebie, rozwścieczając tak, żeby nie mógł logicznie myśleć.

- Naprawdę? O rany! Nie omieszkać podziękować za to Rufo. Serdecznie i gorąco. No dobrze, księżniczko, cóż zatem mam teraz robić?

Rozłożyła ręce, jakby było to oczywiste.

- Kiedy będziesz gotowy, opuść bariery- ty go zabijesz.

- Przecież dopiero co powiedziałaś... - urwałem.

Po rozwiązaniu francuskiej Legii Cudzoziemskiej niewiele in-
tratnych posadek pozostało dla nas, romantyków. Umbopa może
dałby sobie z tym radę. Conan - na pewno. Albo Hawk Carse. A
może nawet i Don Kichot, bo ten stwór miał rozmiary wiatraka.

- No dobrze, księżniczko, do roboty. Czy mogę popluć w dłonie?
Czy to też zabronione?

Uśmiechnęła się, nie pokazując dołeczków, i powiedziała poważnie:

- Milordzie Oscarze, wszyscy spluniemy w dłonie; Rufo i ja będziemy walczyć u twego boku. Zwyciężymy - albo umrzemy razem.

Ruszyliśmy i dołączyliśmy do Rufo. Właśnie grał Igliemu na nosie i krzyczał:

- Kim jest twój ojciec, Igli? Twoją matką był kubel na śmieci, ale kto jest twoim ojcem? Patrzcie na niego! Nie ma pępka! Aaaa!

Igli odgryzał się:

- Twoja matka szczeka! Twoja siostra zostawia zielone ślady!

Uznałem, że słabo mu to idzie. Widać było, że wzmianka o pępku dotknęła go do żywego - rzeczywiście go nie miał. Zapewne nie bez powodu.

Powyższe słowa niezupełnie oddają to, co sobie powiedzieli, z wyjątkiem tej uwagi o pępku. Chciałbym przytoczyć je w oryginale, ponieważ miotanie obelg w neviaskim języku jest prawdziwą sztuką, co najmniej równą poezji. Szczytem wdzięku jest zwrócić się do wroga (publicznie) w jakiejś trudnej formie wiersza, powiedzmy w sestynie, której każde słowo ocieka jadem.

Rufo zachichotał z uciechy.

- Zrób go sobie, Igli! Wsadź sobie paluch i zrób sobie pępek. Wystawili cię na deszcz, a ty zwiałeś. Zapomnieli cię dokończyć. I czy to można nazwać nosem?

A do mnie rzekł półgębkiem, po angielsku:

- Jak mam go przyrządzić, szefie? Ma być półsurowy czy dobrze wysmażony?

- Zajmij go, a ja przemyślę sprawę. On nie rozumie po angielsku?

- Ani w ząb.

- Dobrze. Jak blisko mogę do niego podejść, nie zostając schwytany?

- Tak blisko, jak chcesz, dopóki bariery są opuszczone. Szefie, właściwie nie moją rzeczą jest ci doradzić, ale kiedy zabierzemy się do dzieła, to nie daj mu się złapać.

- Spróbuję.

- Lepiej uważaj.

Rufo odwrócił się i wrzasnął:

- Aaa! Igli dłubie w nosie i zjada smarki! A do mnie powiedział:
- Ona jest dobrym lekarzem, lecz mimo wszystko uważaj.

- Postaram się.

Podszedłem bliżej do niewidzialnej bariery i spojrzałem na tego stwora. Popatrzył na mnie z góry wściekłymi oczkami i warknął, więc zagrałem mu na nosie i pokazałem mu soczysty gest pozdrowienia z Bronxu. Stałem po nawietrznej i wydawało mi się możliwe, że nie kąpał się od trzydziestu lub czterdziestu lat; śmierdział gorzej niż wygodka na półpiętrze.

To nasunęło mi pewien pomysł.

- Star, czy ten cherubinek umie pływać?

Wyglądała na zdziwioną.

- Nie mam pojęcia.

- Może zapomnieli go na to zaprogramować. A ty, Rufo?

Rufo nadał się.

- Tylko mnie wypróbuj. Mógłbym uczyć ryby. Igli! Powiedz nam, czemu maciora nie chciała cię pocałować!

Star pływa jak foka. Ja bardziej przypominam prom, ale dopływam tam, gdzie chcę.

- Star, może nie można go zabić, ale przecież musi oddychać. Nawet jeśli żywi się naftą, potrzebuje tlenu do przemian metabolicznych. Jeżeli uda się przytrzymać go pod wodą - tak długo, jak będzie trzeba - założę się, że zgaśnie mu motorek.

Popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Lordzie Oscarze., mój rycerzu... nie myliłam się co do ciebie.

- Będziemy mieli pełne ręce roboty. Grałeś kiedyś w piłkę wodną, Rufo?

- Sam wymyśliłem tę grę!

Miałem nadzieję, że się nie myli. Ja grałem w waterpolo - raz. Przypomina przejażdżkę na szynie - interesujące doświadczenie, ale lepiej go nie powtarzać.

- Rufo, czy potrafisz zwabić naszego kolesia na brzeg? Zakładam, że bariera biegnie wzdłuż szeregu naszych futrzastych i pierzastych przyjaciół. Jeśli tak, to możemy podprowadzić prawie na tamten wysoki brzeg nad tą głęboką sadzawką... Wiesz, Star, tam, gdzie pierwszy raz wepchnęłaś mnie pod wodę.

- Nic prostszego - rzekł Rufo. - Jeśli się ruszymy, on pójdzie za

nami.

- Chciałbym, żeby biegł. Star, ile czasu zajmie ci wyłączenie tej bariery?

- Mogę ją podnieść w mgnieniu oka, milordzie.

- W porządku, zatem plan jest taki. Rufo, chcę, żebyś spowodował Igliego, żeby zaczął cię gonić najszybciej, jak umie - a ty tuż przed strumieniem skręcisz w stronę tego wysokiego brzegu, Star, kiedy Rufo skręci, natychmiast podniesiesz barierę. Nie czekaj na mój sygnał. Rufo, dasz nura i popłyniesz jak wszyscy diabli; nie daj mu się złapać. Przy odrobinie szczęścia, jeśli Igli będzie pędził dostatecznie szybko i jeżeli jest równie niezgrabny jak wielki, wpadnie do wody, czy będzie tego chciał czy nie. Ja pobiegę za wami, trochę z tyłu i z boku. Gdyby Igli zdołał zahamować, wpadnę na niego i strącę go z brzegu. Wtedy wszyscy pogramy sobie w piłkę wodną.

- Nigdy nie widziałem meczu piłki wodnej - powiedziała z powątpiewaniem Star.

- Nieważne, nie będzie sędziego. Tym razem chodzi tylko o to, żebyśmy wszyscy troje skoczyli na niego jednocześnie, dopuszczając do tego, żeby on zanurzył pod nią nasze głowy, mimo iż jest taki wielki, jeżeli nie pływa lepiej od nas, będzie w znacznie gorszej sytuacji. Przytrzymamy go, nie pozwalając, aby zaczerpnął tchu, dopóki nie przestanie się ruszać. A potem, żeby się upewnić, obciążymy go kamieniami; nieistotne, czy naprawdę zdechnie czy nie. Są jakieś pytania?

Rufo uśmiechnął się jak maskaron.

- Ale będzie zabawa!

Tych dwoje pesymistów zdawało się sądzić, iż ten plan się powiedzie, zatem zabraliśmy się do dzieła. Rufo głośno oskarżył Igliego o dość szczególne intymne upodobania, stawiając sprawę w sposób, jaki zostałby oceniony nawet przez Olympia Press, a potem wyzwał stwora do wyścigu, kusząc go obsceniczną i fizycznie niemożliwą do wykonania nagrodą.

Igli stracił sporo czasu, aby ruszyć się z miejsca, ale kiedy zaczął już się toczyć, gnał szybciej niż Rufo, zostawiając za sobą umykające na wszystkie strony ptaki i zwierzęta. Umiem niezłe wyciągać nogi, lecz z trudem dotrzymywałem kroku gigantowi,

biegnąc nieco z boku i parę kroków z tyłu, licząc na to, że Star nie podniesie bariery, jeśli - tak jak na to wyglądało - Igli dopadnie Rufo na stałym lądzie.

Jednak Star uniosła barierę w tej samej chwili, gdy Rufo rzucił się w bok; dotarł do brzegu i nie zwalniając kroku, wykonał klasyczny skok startowy - jak do tej pory wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Ale potem już nie.

Myślę, że Igli był zbyt głupi, żeby skrócić, kiedy zniknęła bariera. Podczas gdy Rufo gnał już na ukos, on przebiegł jeszcze kilka kroków wzdłuż niej i dopiero dość ostro skręcił w lewo. Jednak wytracił przy tym szybkość i bez trudu zatrzymał się na brzegu.

Skoczyłem i uderzyłem go barkiem, za nisko i niezgodnie z przepisami, a Igli zwałił się - ale nie do wody. I nagle miałem pełne ręce szamoczącego się i bardzo śmierdzącego golema.

Ale zaraz pomogła mi dzika kocica, a potem ociekający wodą Rufo włączył się do dyskusji.

Mimo to sytuacja była patowa i na dłuższą metę musieliśmy przegrać. Igli był cięższy niż cała nasza trójka razem wzięta i zdawał się składać wyłącznie z mięśni, smrodu, pazurów oraz zębów. My odnosiliśmy kontuzje, rany i zadrapania - nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Och, ryczał jak telewizyjny sprawozdawca sportowy za każdym razem, gdy wykręciliśmy mu ucho lub wyłamaliśmy palec, ale tak naprawdę nie potrafiliśmy go zranić, podczas gdy on rzeczywiście ranił nas. I nie było nadziei, że uda nam się zawlec go do wody.

Rozpocząłem zapasy, obejmując ramionami jego kolana i z konieczności nie zmieniłem chwytu, dopóki mogłem, Star zaś usiłowała przydusić do ziemi jedną łapę potwora, a Rufo drugą. Jednak sytuacja zmieniała się z każdą chwilą; Igli wił się jak grzechotnik z przetraconym kręgosłupem, nieustannie uwalniając to jedną, to drugą kończynę, próbując drapać i gryźć. Zmuszał nas do przybierania dość niezwykłych pozycji; w pewnej chwili stwierdziłem, że trzymam jedną z jego zrogowaciałych stóp, usiłując ją wykręcić. Zaglądałem równocześnie w otwartą paszczę, szeroką jak potrząsk na niedźwiedzie i jeszcze mniej miłą dla oka. Powinien czasem myć zęby.

Tak więc wepchnąłem mu do pyska paluch jego własnej stopy.

Igli zawył, więc wpychałem dalej i niebawem miał paszczę tak pełną, że nie mógł już wrzeszczeć. Pchałem dalej.

Kiedy połknął swoją lewą nogę do kolana, zdołał wyrwać prawe ramię z uścisku Star i złapał za znikającą kończynę - a ja chwyciłem go za nadgarstek.

- Pomóż mi! - krzyknąłem do Star. - Pchaj!

Pojęła, o co chodziło, i zabrała się do dzieła. Ramię wlaźło mu do paszczy po łokieć, a noga jeszcze głębiej, aż po udo. Wtedy już i Rufo pracował nad nim i zdołał przesunąć lewą łapę Igliego nad policzkiem stwora i do jego pyska. Teraz Igli nie szarpał się już tak gwałtownie, bo pewnie brakowało mu powietrza, więc wpakowanie mu palucha prawej stopy do gęby wymagało tylko odrobiny zdecydowania. Rufo odciągnął mu włochaty nochal, ja przytrzymałem brodę kolanem, a Star wpychała.

Stopniowo, cal po calu, nie dopuszczając ani na chwilę, pakowaliśmy go w jego własny pysk. Wciąż dygotał i próbował się uwolnić, gdy wsadzaliśmy go aż do bioder, a i jego cuchnące pachy zaczynały wreszcie znikać.

Przypominało to toczenie śnieżnej kuli, tylko na odwrót; im dłużej pchaliśmy, tym robił się mniejszy i bardziej rozjeżdżała mu się paszcza - najobrzydliwszy widok, jaki kiedykolwiek widziałem. Wkrótce zmniejszył się do rozmiarów piłki lekarskiej... piłki nożnej... piłki do baseballu - a wtedy chwyciłem go w dłonie i zacząłem ścisnąć, z całej siły.

Piłka golfowa, kulka do gry, groszek... i w końcu w dłoniach nie miałem nic prócz odrobiny tłustego brudu.

Rufo głęboko odetchnął.

- Myślę, iż to powinno go nauczyć, że w towarzystwie nie wkłada się paluchów do gęby. Kto ma ochotę na śniadanie?

- Najpierw chciałbym umyć ręce - powiedziałem.

Wszyscy wykąпалиśmy się, używając sporo mydła, a potem Star zajęła się naszymi ranami. Dawała wskazówki Rufo, gdy ją opatrywał. Miał rację; ona jest najlepszym z lekarzy. To, co nam zaaplikowała, nie szczypało, rany zamknęły się, a elastyczne opatrunki, które na nie założyła, nie wymagały zmieniania i z czasem same odpadały, nie powodując infekcji i nie zostawiając blizn. Ru-

fo miał jedno bardzo głębokie ugryzienie - stracił na lewym pośladku kawałek mięśnia, wystarczający na czterdziestocentowego hamburgera - ale kiedy Star skończyła go opatrywać, mógł normalnie siedzieć i wcale mu to nie przeszkadzało.

Nakarmił nas złocistymi naleśnikami i wielkimi niemieckimi parówkami, ociekającymi tłuszczem, które popiliśmy galonami dobrej kawy. Zbliżało się południe, gdy Star ponownie usunęła bariery i wyruszyliśmy drogą wiodącą w dół zbocza.

ROZDZIAŁ VII

Zejsście w dolinę Nevii obok wielkiego wodospadu to tysiąc stóp bardziej niż stromego urwiska; skała jest przewieszona i spuszcza się z niej na linie, wirując w powietrzu jak pajak. Nie doradzam tej drogi nikomu; powoduje zawrót głowy i niemalże straciłem te wspaniałe naleśniki.

Widok jest oszałamiający. Z boku patrzysz na wodospad, który spada w dół, nie tykając urwiska i waląc się w tak głęboką otchłań, że kryje się we mgle, zanim sięgnie dna. Potem obracając się stajesz twarzą w twarz z groźnym obliczem skały, a po chwili masz przed sobą rozległy widok na dolinę zbyt piękną i zieloną, by dać wiarę oczom; u stóp urwiska bagno i puszcza, w perspektywie kilku mil pola uprawne, a daleko za nimi - spowite mgiełką u podnóża, lecz o ostrych i wyraźnych szczytach - potężna ściana okrytych śnieżnymi czapami gór.

Star naszkicowała dla mnie mapę doliny.

- Najpierw musimy przedostać się przez bagno. Dalej już pójdzie łatwo - musimy tylko dobrze uważać na harpie. Pójdziemy po ceglanej drodze, będzie wygodniej.

- Po żółtej, ceglanej drodze? - spytałem.

- Tak. Taki kolor ma tu glina. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Myślę, że nie. Tylko nie róbcie z tego hobby. A co potem?

- Zatrzymamy się na noc u rodziny pewnego szlachcica, tutajszego właściciela ziemskiego. To dobrzy ludzie, polubisz ich.

- A potem złączą się schody - dodał Rufo.

- Nie wywołuj wilka z lasu, Rufo! - ofuknęła go Star. - Zechciej

powstrzymać się od komentarzy i pozwól, by Oscar sam uporał się z kolejnymi problemami, kiedy będzie wypoczęty, spokojny i będzie miał jasny umysł. Czy znasz jeszcze kogoś, kto zdołałby pokonać Igliego?

- No, skoro tak to ujmujesz... nie.

- Właśnie tak to ujmuję. Dziś w nocy będziemy spać wygodnie. Czy to mało? Spodoba ci się to tak samo jak nam.

- Tobie też.

- A czyż ja kiedyś nie cieszyłem się wszystkim? Pohamuj swój język. Słuchaj, Oscarze, u podnóża urwiska napotkamy Rogate Duchy - nie sposób ich ominąć, zobaczą, jak zjeżdżamy w dół. Przy odrobinie szczęścia nie wpadniemy na Bandę Zimnych Wód; oni wolą kryć się we mgle. Jednak jeśli będziemy mieli pecha i napotkamy jednych i drugich, może szczęście dopisze nam choć na tyle, że zaczną walczyć ze sobą i pozwolą nam umknąć. Ścieżka przez bagna jest zdradliwa; lepiej naucz się szkicu na pamięć. Stawiaj stopy tylko tam, gdzie rosną małe, żółte kwiatki, obojętnie jak solidnie i sucho wygląda teren obok. Jednak, jak sam się przekonasz, nawet jeżeli będziesz uważał i szedł po twardym gruncie, szlak ma tak wiele rozgałęzień i ślepych zaułków, że można tam wędrować cały dzień aż do nadejścia zmroku - i nigdy nie wyjść z tych bagien.

No i teraz wisiałem na linie, opuszczając się pierwszy, ponieważ na dole miały czekać Rogate Duchy. To mój przywilej. Czyż nie byłem „Bohaterem”? Czy nie zmusiłem Igliego, żeby zeżarł sam siebie?

Jednak wolałbym, żeby Rogate Duchy naprawdę były duchami. Jednak nie, były dwunożnymi zwierzętami, wszystkożernymi. Zjadały wszystko, nawet siebie nawzajem, a szczególnie chętnie podróżnych. Według podanego mi opisu od pasa w górę przypominały Minotaura; dolna część ciała wyglądała tak, jak u platfusowatego satyra. Ich górne kończyny były podobne do rąk, lecz bez prawdziwych dłoni - bo pozbawione kciuków.

Ale te ich rogi! Miały poroża jak teksaskie longhorny, ale sterujące do przodu i w górę.

Jednakże jest pewien sposób na to, aby zamienić takiego osobnika w prawdziwego ducha. Między tymi rogami ma on na czaszce

miękkie miejsce jak niemowlęce ciemiączko. Ponieważ atakuje z opuszczoną głową, usiłując nadziać cię na rogi, jest to jedyny wrażliwy punkt, podatny na ciosy. Wystarczy stawić mu czoła, nie uskakiwać, wycelować w to niewielkie miejsce i trafić.

Tak więc moje zadanie było proste. Zejść na dół jako pierwszy, zabić tyle Rogatych Duchów, ile okaże się konieczne, aby zapewnić bezpieczne lądowanie Star, a potem stanąć na straży i bronić jej, aż zjedzie Rufo. Później będziemy mogli przedrzeć się przez bagno ku bezpiecznym terenom. O ile do zabawy nie przyłączy się Banda Zimnych Wód...

Spróbowałem usadowić się wygodniej w pętli, w której siedziałem - lewa noga całkiem mi już zdrętwiała - i spojrzałem w dół. Sto stóp niżej zebrał się komitet powitalny.

Wyglądały jak grządka szparagów. Albo bagnetów.

Dałem znać na górę, żeby przestali mnie opuszczać. Wysoko nade mną Rufo przytrzymał linę; wisiałem sobie, dyndając i usiłując zebrać myśli. Jeżeli pozwolę się opuścić wprost na to stado, może uda mi się załatwić jedno lub drugie zwierzę, zanim zostanę nadziany. A może nie załatwię żadnego... Jedyną pewną rzeczą było to, że będę trupem dużo wcześniej, nim dołączą do mnie przyjaciele.

Z drugiej strony, oprócz tego miękkiego miejsca między rogami każdy z tych pacanów miał miękkie podbrzusze, jakby stworzone dla strzał. Jeśli Rufo opuści mnie jeszcze trochę...

Dałem mu znak. Zacząłem powoli zjeżdżać w dół, trochę nierówno i Rufo omal nie przegapił mojego sygnału, aby przestać mnie opuszczać. Musiałem podkurczyć nogi; niektóre z tych przyjemniaczków parskwały, podskakiwały i rozpychały się wzajemnie, próbując mnie dziabnąć. Jeden rogaty Niżyński zdołał zdrapać podeszwę mojego lewego buta, od czego dostałem gęsiej skórki od pięt do podbródka. Ten zdrowy bodziec sprawił, że podciągnąłem się na rękach po linie, aż znalazłem się dostatecznie wysoko, żeby umieścić w pętli stopy zamiast tyłka. Stałem, trzymając się liny i co chwilę przenosząc ciężar ciała na drugą nogę, aby pozbyć się nieprzyjemnego mrowienia. Potem zdjąłem łuk i założyłem strzałę na cięiwę. To był wyczyn godny zawodowego akrobata - czy próbowaliście kiedyś napiąć łuk i wypuścić strzałę, stojąc z nogą w

pętli na końcu tysięczstopowej liny i trzymając się jedną ręką sznura?

W ten sposób można stracić wszystkie strzały. Ja straciłem trzy, a niewiele brakowało i straciłbym też życie.

Usiłowałem owinać linę pasem i zapiąć go. W wyniku tego zawiśłem do góry nogami, gubiąc mój kapelusik Robin Hooda i kilka kolejnych strzałów. Widowni bardzo się to podobało; ryknęła donośnie - sędzę, że był to aplauz - więc na bis spróbowałem przesunąć pas w górę, na pierś, co pozwoliłoby mi wisieć mniej więcej prosto - i może sięgnąć po jedną czy dwie strzały.

Prawie zgubiłem przy tym miecz.

Jak do tej pory udało mi się jedynie przyciągnąć uwagę publiki („Mamo, patrz na tego kłowna”) i rozbujać się na boki jak wahadło.

Chociaż to bujanie było dość przykre, nasunęło mi pewien pomysł. Zacząłem zwiększać amplitudę wahnięć, balansując całym ciałem jak na huśtawce. To była żmudna praca i rozhuśtanie się zajęło mi sporo czasu, bo ruch obciążnika, którego rolę pełniłem, trwał ponad minutę, a niewiele się osiąga, próbując go przyspieszyć. Trzeba poddawać się wahnięciom, a nie przeciwdziałać im. Miałem nadzieję, iż moi przyjaciele dobrze widzą, co robię, i nie spartolą roboty.

Po niemożliwe długim czasie bujałem się tam i z powrotem po płaskim łuku długości około stu stóp, w dolnym jego odcinku przelatując tuż nad głowami publiczności i zwalniając na końcu każdego wahnięcia. Z początku rogaci próbowali biegać w ślad za mną, lecz szybko się zmęczyli, przysiedli mniej więcej na środku i zaczęli mi się przyglądać, poruszając głowami jak kibice na meczu tenisa rozgrywanego w zwolnionym tempie.

Jednak zawsze i wszędzie znajdzie się jakiś cholerny wynalazca. Zamierzałem puścić linę na jednym końcu łuku, w miejscu gdzie prawie ocierała się o skałę, i opierając się plecami o głązy stawić im czoła. Tam też znajdowało się niewielkie wzniesienie i nie musiałbym skakać z wysoka. Niestety jeden z tych rogatych łbów wyчуł moje zamiary i poczłapał w tamtą stronę. Dwa lub trzy inne poszły w jego ślady.

Nie miałem wyboru: musiałem skoczyć z drugiej strony. Ale

młody Archimedes przewidział i to. Zostawił kumpli u podnóża urwiska i polazł za mną. Wprawdzie wyprzedziłem go w najniższym punkcie łuku, ale potem wahadło poruszało się wolniej i dotarł na miejsce dużo wcześniej niż ja. Wystarczyło, że przebiegł te sto stóp w trzydzieści sekund - po prostu spacerek. Kiedy znalazłem się nad miejscem planowanego lądowania, już na mnie czekał.

Wiedziałem, że moje szanse nie będą już większe; wolno sunąc w górę, kopnięciem uwolniłem stopy z pętli, zawisłem na jednej ręce, drugą sięgnąłem po miecz i puściłem linę. Zamierzałem walnąć go w to wrażliwe miejsce, zanim jeszcze dotknę stopami ziemi.

Nie trafiłem, ale i on chybił, jednak zbiłem go z nóg, potoczyłem się po ziemi, zerwałem na równe nogi i pomknąłem do najbliższej skały, w przelocie dziabnąwszy geniusza w brzuch.

Ten cios poniżej pasa uratował mi życie. Jego przyjaciele i krewni zatrzymali się, wszczynając kłótnię o to, komu ma przypaść lepsze żeberko, zanim gromadnie ruszyli w moją stronę. To pozwoliło mi dotrzeć do piargów u podnóża skał, gdzie mogłem odgrywać „Króla w zamku” i wsunąwszy miecz do pochwy, założyć pierwszą strzałę.

Nie czekałem, aż mnie dopadną. Zaczekałem tylko, aż zbliżą się na tyle, żebym nie mógł chybić, wziąłem na cel starego byka na czele i celując w okolice obojczyka (o ile w ogóle miał obojczyk), wypuściłem strzałę, naciągając z całej siły ten potężny łuk.

Strzała przeszła go na wylot i ugodziła następnego napastnika.

To doprowadziło do kolejnej sprzeczki o rąbankę. Zżarli obydwu, razem z kopytami. W tym tkwiła ich słabość; zbyt wielki apetyt i za mały mózg. Gdyby działali zgodnie, dopadliby mnie, ledwie dotknąłem ziemi. Zamiast tego zrobili sobie przerwę na lunch.

Spojrzałem w górę. Wysoko nade mną Star wyglądała jak pajęczek na nitce, ale rosła w oczach, szybko zjeżdżając w dół. Rakiem cofnąłem się wzdłuż ściany, aż znalazłem się w miejscu, gdzie miała wylądować, czterdzieści stóp od urwiska.

Kiedy znalazła się jakieś pięćdziesiąt stóp nade mną, dała znak Rufo, żeby przestał ją opuszczać. Sięgnęła po miecz i oddała mi honory.

- Wspaniale, mój bohaterze!

Wszyscy mieliśmy miecze; ona wybrała rapier z długim ostrzem - sporym jak na kobietę, ale Star nie była drobnym kobieciątkiem. Sakwę przy pasie napakowała medykamentami, co uznałbym za zły znak, gdybym o tym wiedział.

Wyciągnęła swój miecz i odwzajemniłem jej gest. Tamci jeszcze mnie nie zaczepiali, chociaż niektórzy, skończywszy lunch lub nie dopchawszy się do żarcia, kręcili się w pobliżu, popatrując na mnie łakomie. Ponownie wepchnąłem miecz do pochwy i założyłem strzałę na cięciwę.

- Rozkołysz linę, Star, w moim kierunku. Niech Rufo opuści cię jeszcze troszeczkę.

Schowała rapier i dała znak Rufo. Opuścił ją powoli, aż znalazła się dziewięć stóp nad ziemią, gdzie kazała mu przestać.

- Teraz kołysz! - zawołałem.

Krwiożerczy tubylcy zapomnieli o mnie; ci, którzy nie byli zajęci zjadaniem kuzyna Abbiego i stryja Johna, gapili się na Star.

- Dobrze - odparła. - Rzucę ci linę. Możesz ją złapać?

- Och!

Spryciara obserwowała moje manewry i domyśliła się, co może się przydać.

- Zaczekaj chwilę! Odwróć ich uwagę.

Sięgnąłem do kołczana i palcami policzyłem strzały - siedem. Zjeżdżając miałem dwadzieścia, a wykorzystałem tylko jedną - pozostałe zgubiłem.

Szybko wypuściłem trzy pociski, na prawo, na lewo i przed siebie, wybierając cele na tyle odległe, na ile odważyłem się, nie ryzykując chybionego strzału, mierząc w tułowia i zakładając, że ten wspaniały łuk pośle strzały prosto do celu i po płaskim torze. Miałem rację; zgraja rzuciła się na świeże mięcho jak po zapomogi.

- Teraz!

Dziesięć sekund później złapałem ją w ramiona i otrzymałem w nagrodę szybkiego całusa.

Po dziesięciu minutach Rufo znalazł się na dole w ten sam sposób, kosztem trzech moich strzał i dwóch wystrzelonych przez Star. Musiał zjeżdżać sam, owinąwszy się liną i przesuwając jej

koniec pod pachami; gdybyśmy nie osłaniali go z dołu, nie miałby żadnych szans. Gdy tylko wyplątał się z liny, ściągnął ją ze skały i zaczął zwijać.

- Zostaw to! - powiedziała ostro Star. - Nie mamy czasu, a lina jest zbyt ciężka, by ją taszczyć.

- W sadzę ją do skrzynki.

- Nie.

- To dobra lina - upierał się. - Jeszcze będzie nam potrzebna.

- Potrzebny ci będzie całun, jeśli nie przejdziemy przez bagna przed zmrokiem - powiedziała

Star i zwróciła się do mnie:

- Jak idziemy, milordzie?

Rozejrzałem się dookoła. Przed nami oraz z lewej strony kręciło się jeszcze kilku wesołków, najwidoczniej nie mając odwagi podejść bliżej. Na prawo i wyżej, u stóp wodospadu, wielka chmura unosiła się ku niebu, jak opalizujące koronki. Mniej więcej trzysta jardów przed nami znajdowała się kępa drzew, za którymi rozciągały się mokradła.

Zwartym klinem ruszyliśmy w dół; ja na czele. Rufo i Star po bokach, wszyscy trzymaliśmy strzały na cięciwach. Powiedziałem im, żeby chwycili za miecze, jeśli jakiemuś Rogatemu Duchowi uda się podejść na pięćdziesiąt stóp.

Żaden nie podszedł. Jeden cymbał ruszył prosto na nas samiu-
teńki, lecz gdy jeszcze był o sto stóp od nas. Rufo położył go celną strzałą. Gdy mijaliśmy ścierwo, Rufo sięgnął po sztylet.

- Zostaw - powiedział Star. Była zła.

- Chcę tylko zabrać samorodki i dać je Oscarowi.

- I ściągnąć na nas zgubę. Jeśli Oscar zechce samorodki, to będzie je miał.

- Jakie samorodki? - spytałem nie zatrzymując się.

- Złote, szefie. Te gałgany mają ptasie żołądki. Łykają złoto, które rozkrusza pokarm. Stare okazy noszą po dwadzieścia, trzydzieści funtów.

Gwizdnąłem.

- Złoto jest pospolite w tych stronach - wyjaśniła Star. - W tej chmurze, u stóp wodospadu jest go bardzo dużo - woda splukuje je tam od eonów. Złoto jest powodem walk między Duchami a

bandą Zimnych Wód, ponieważ Duchy, chcąc zaspokoić ten dziwaczny apetyt, czasem ryzykują i wchodzą w mgłę.

- Jeszcze nie widziałem nikogo z Bandy Zimnych Wód - skomentowałem.

- I prosz Boga, żeby tak zostało - odparł Rufo.

- Tym bardziej powinniśmy jak najszybciej wejść w bagna - dodała Star. - Banda nie pójdzie tam, a i Duchy nie zapuszczają się głębiej. Mimo płaskich stóp mogą się zapaść.

- Czy na bagnach czyhają jakieś niebezpieczeństwa?

- Mnóstwo - powiedział mi Rufo. - Zatem pamiętaj, żeby chodzić tylko po tych żółtych kwiatach.

- Sam o tym pamiętaj. Jeżeli mapa była dokładna, przeprowadzę was. Jak wyglądają ci z Bandy Zimnych Wód?

Rufo zastanowił się i odparł:

- Czy widziałeś kiedyś siedmiodniowego topielca?

Porzuciłem temat.

Zanim dotarliśmy do drzew, poleciłem założyć łuki na plecy i wyjąć miecze. Wpadły na nas, gdy tylko weszliśmy między drzewa. Mówię o Rogatych Duchach, nie o Bandzie Zimnych Wód. Zastawili zasadzkę; nie wiem, ilu ich było. Rufo zabił czterech czy pięciu, Star co najmniej dwóch, a ja ruszałem się żwawo, starając się robić dobre wrażenie i przeżyć. Aby pójść dalej, musieliśmy wdrapać się na stos trupów, zbyt wielu, by je liczyć.

Weszliśmy na bagna, idąc po tych żółtych kwiatach, znaczących ścieżkę, i trzymając się trasy, która miałem w głowie. Kiedy minęło około godziny, wyszliśmy na polankę wielkości podwójnego garażu. Star powiedziała słabym głosem:

- Odeszliśmy już dostatecznie daleko.

Przez cały czas jedną ręką trzymała się za bok, ale aż do tej pory nie chciała się zatrzymać, chociaż krew plamiła jej tunikę i ciekła po lewym udzie.

Pozwoliła, aby Rufo najpierw opatrzył ją, podczas gdy ja strzegłem wejścia na polankę. Czuję ulgę, że nie poproszono mnie o pomoc, bo kiedy delikatnie zdjęliśmy jej tunikę, zrobiło mi się słabo, gdy ujrzałem jak paskudną odsłoniła ranę - i nawet nie pisnęła. To złociste ciało - zranione!

Jako błędny rycerz czuję się jak ostatnia niezdara.

Jednak odzyskała wigor, kiedy Rufo opatrzył ją według jej wskazówek. Zajęła się jego obrażeniami, a potem moimi - obaj mieliśmy po kilka skaleczeń, lecz w porównaniu z jej raną były to tylko zadrapania.

Kiedy mnie obandażowała, zapytała:

- Milordzie Oscarze, ile czasu zajmie nam wyjście z tych bagien?

Przebiegłem w myślach resztę zapamiętanego szlaku.

- Czy dalsza droga będzie trudniejsza?

- Nieco łatwiejsza.

- Nie dłużej niż godzinę.

- Dobrze. Nie zakładajcie już tej brudnej odzieży. Rufo, rozpakuj kufer, wyjmij czyste szaty i więcej strzał. Oscarze, kiedy wyjdziemy spod osłony drzew, będziemy musieli strzec się harpii.

Czarny kuferek zajął większą część polanki, zanim Rufo rozłożył go na tyle, żeby wyjąć ubranie i dostać się do arsenału. Mając czystą odzież i pełny kołczan, poczułem się jak nowo narodzony, szczególnie po tym, jak Rufo wygrzebał pół litra brandy i wypiliśmy ją we trójkę, bul - bul - bul. Star uzupełniła zapas medykamentów w sakwie, a ja pomogłem Rufo przy pakowaniu. Może brandy na pusty żołądek zaszkoziła Rufo. A może spowodowała to utrata krwi. A że po prostu miał pecha, stanął na niewidocznym splachetku błota. Właśnie trzymał kuferek, zamierzając złożyć go po raz ostatni, zmniejszając do rozmiarów plecaka, gdy poślizgnął się, gwałtownie zamachał ramionami i skrzynka wyleciała mu z rąk, wpadając do czekoladowobrunatnej sadzawki.

Upadła poza naszym zasięgiem.

- Zdejmij pas, Rufo! - krzyknąłem, rozpinając swój.

- Nie, nie! - wrzasnął Rufo. - Cofnij się! Nie podchodź.

Róg skrzynki był jeszcze widoczny. Wiedziałem, że opasany prowizoryczna lina mógłbym ja wyciągnąć, nawet jeśli sadzawka nie miała dna.

- Oscarze, nie - rzekła pospiesznie Star. - On ma rację. Ruszajmy. Szybko.

Ruszyliśmy więc - ja na przedzie, Star tuż za mną, a Rufo depcząc jej po piętach.

Przeszliśmy może sto jardów, gdy za naszymi plecami eksplo-

dował wulkan błota. Nie było wiele huku, tylko basowy pomruk, lekkie trzęsienie ziemi i bardzo brudny deszcz. Star przestała się spieszyć i powiedziała z humorem:

- I to byłoby na tyle.

- Wszystkie nasze trunki! - biadał Rufo.

- Nie ma się czym przejmować - odparła Star. - Trunki są wszędzie. Jednak miałam tam kilka strojów, naprawdę ślicznych, Oscarze. Chciałam, żebyś je zobaczył; kupowałam je z myślą o tobie.

Nie odpowiedziałem. Myślałem o miotaczu płomieni M-1 i kilku skrzynkach amunicji. I o napitkach, rzecz jasna.

- Słyszysz, milordzie - nalegała. - Chciałam nosić je dla ciebie.

- Księżniczko - odparłem. - Najpiękniejszy strój masz na sobie, zawsze.

Usłyszałem ten szczęśliwy śmiech, który towarzyszył dołeczkom.

- Jestem pewna, że często mówiłeś te słowa. I nie wątpię, że zapewniały ci sukces.

Na długo przed nadejściem zmroku wydostaliśmy się z bagien i niebawem doszliśmy do ceglanej drogi. Harpie to żaden problem. Są tak krwiożercze, że jeśli strzelisz do tej, która na ciebie nurkuje, skręci i rzuci się na strzałę, która przebije jej gardziel. Zazwyczaj odzyskiwaliśmy nasze strzały.

Wkrótce po tym, jak dotarliśmy do drogi, znaleźliśmy się wśród pól uprawnych i harpie pojawiały się coraz rzadziej. Tuż przed zachodem słońca zobaczyliśmy kontury zabudowań i światła dworu, w którym według słów Star mieliśmy spędzić noc.

ROZDZIAŁ VIII

Milord Doral't Giuk Dorali powinien urodzić się Teksańczykiem. Nie chcę przez to powiedzieć, że można by go wziąć za mieszkańca Teksasu, lecz że reprezentował ten wylewny sposób bycia w stylu: „Zafundowałeś mi obiad, ja zafunduję ci cadillaca”.

Jego dworek miał rozmiary cyrkowego namiotu i był urządzony równie wystawnie jak obiad w Dniu Dziękczynienia - bogaty, pe-

len przepychu, pięknych rzeźb i szlachetnych kamieni. Mimo to panował w nim nieład typowy dla domu, w którym się mieszka, i jeśli nie uważałeś, gdzie stawiasz nogi, mogłeś nadepnąć na dziecinną zabawkę na szerokich, krętych schodach i wylądować na dole ze złamanym obojczykiem. Wszędzie pod nogami plątały się psy i dzieci, a najmłodsze z nich nie zostały jeszcze udomowione. Doral nie przejmował się tym. Doral niczym się nie przejmował - cieszył się życiem. Przez całe mile szliśmy wśród należących do niego pól (żyźnych jak najlepsze ziemie stanu Iowa, tyle że tu nie było zim, a Star powiedziała mi, iż plony zbierają tu cztery razy w roku), lecz dzień miał się już ku zachodowi i pomijając jeden wóz, który napotkaliśmy po drodze, widzieliśmy tylko paru pracujących wieśniaków. Początkowo sądziłem, że wóz jest zaprzężony w dwie pary koni. Myliłem się, zaprząg składał się z dwóch zwierząt, lecz nie były to konie i miały po osiem nóg.

W dolinie Nevii ze wszystkim jest tak samo - rzeczy znajome przeplatają się z całkiem nam obcymi. Ludzie byli ludźmi, psy psami - lecz konie nie przypominały koni. Podobnie jak Alicja usiłująca właściwie użyć Flaminga, za każdym razem, gdy sądziłem, że już załapałem, rzecz znów wymykała mi się z rąk!

Facet kierujący tymi końskimi stonogami wytrzeszczył oczy, ale nie dlatego, że byliśmy dziwacznie ubrani; miał na sobie to samo co ja. Gapił się na Star; któż zdołałby się powstrzymać. Ludzie pracujący na polach przeważnie nosili tylko przepaski na biodrach. Taki strój, zwykły kawałek materiału owinięty wokół bioder, jest w Nevii odpowiednikiem roboczych drelichów lub dżin-sów, zarówno dla mężczyzn jak i dla kobiet. Zaś to, co my mieliśmy na sobie, było tutaj tym, czym u nas jest garnitur z szarej flaneli i wieczorowa kreacja. Jeśli chodzi o tutejsze stroje wieczorowe lub wizytowe - no cóż, to zupełnie inna sprawa.

Kiedy skręciliśmy na dziedziniec dworu, natychmiast zebrał się za nami orszak złożony z dzieci i psów. Jeden dzieciak pobiegł przodem i kiedy doszliśmy do szerokiego tarasu przed głównym budynkiem, z frontowych drzwi wyszedł milord Doral we własnej osobie. Nie odgadłem, że jest właścicielem dworu; nosił jeden z tych krótkich sarongów, był bosy i z gołą głową. Miał gęste włosy, przetykane siwizną, sporą brodę i wyglądał jak generał Grant.

Star pomachała mu ręką i zawołała:

- Jock! Hej, Jock!

(Miał na imię Giuk, ale usłyszałem „Jock”, co bardziej do niego pasuje). Dorał wytrzeszczył oczy, a potem ruszył na nas jak czołg.

- Ettyboo! Chwała tym pięknym, błękitnym oczom! Chwała twemu jędrnemu tyłeczкови! Dlaczego mnie nie zawiadomiłaś?

(Podaję jego słowa w swobodnym przekładzie, ponieważ neviańskie idiomy są nieprzetłumaczalne. Spróbujcie przełożyć słowo w słowo niektóre idiomatyczne francuskie wyrażenia na angielski, a zobaczycie, co mam na myśli. Dorał wcale nie był wulgarny; niezwykle uprzejmie i oficjalnie zwracał się do starej znajomej, którą darzył wielkim szacunkiem.)

Porwał Star w objęcia, podniósł w górę, ucałował w oba policzki oraz w usta, ugryzł w ucho i postawił na ziemi, nadal obejmując ramieniem.

- Gry i zabawy! Trzy miesiące uciech! Wyścigi i turnieje co dzień, a orgie w nocy! Trofea dla najsilniejszych, najpiękniejszych, najbystrzejszych...!

Star przerwała mu.

- Milordzie...

- Hej! I najważniejsza z nagród dla pierwszego dziecka, które urodzi się...

- Jocko, kochanie! Naprawdę uwielbiam cię, ale niestety, jutro musimy ruszać dalej. Prosimy jedynie o kęs strawy i kąt do spania.

- Bzdury! Nie możesz mi tego zrobić.

- Wiesz, że muszę.

- Do diabła z polityką! Skonam u twoich stóp, cukiereczku. Serce starego, biednego Jocko nie wytrzyma. O, czuję, że właśnie nadchodzi atak. Złapał się za pierś.

- O, gdzieś tutaj...

Star szturchnęła go w brzuch.

- Stary oszuście! Umrzesz tak jak żyłeś, na pewno nie na atak serca. Milordzie...

- Tak, pani?

- Przywiodłam Bohatera.

Zamrugał oczami.

- Chyba nie mówisz o Rufo? Cześć, Rufo, stary kocurze! Słyszałeś ostatnio jakieś nowe kawały? Skocz do domu i wybierz sobie coś jędrnego.

- Dzięki, milordzie.

Rufo szurnał nogą, skłonił się nisko i znikł. Star powiedziała stanowczo:

- Jeśli lord Dorał pozwoli.

- Słucham.

Star wywineła się z jego objęć, wyprostowała się i zaczęła nucić:

Pośród śpiewu Śmiejących
się Wód Szedł Bohater Prawy
i Niezłomny.

Ów szlachetny wojownik zwał się Oscar,
Mądry, Silny i Niepokonany,
Schwytał Igliego przebiegłym podstępem,
I uwięził go paradoksem,
Zapchał paszczę Igliego samym Iglim.

Łapami, nogami i palcami!
Nigdy więcej Śpiewające Wody...

I tak dalej, i tak dalej - nic z tego, co mówię, nie było kłamstwem, ale też i nie było prawdą - koloryzowała, jak wytrawny rzecznik prasowy. Na przykład powiedziała mu, że zabiłem dwadzieścia siedem Rogatych Duchów, w tym jednego gołymi rękami. Nie liczyłem dokładnie, a co do „gołych rąk”, to był wypadek przy pracy. Właśnie pchnąłem jednego z tych łobuzów mieczem, gdy drugi potoczył mi się pod nogi, popchnięty z tyłu. Nie miałem czasu, aby wyszarpnąć miecz, więc przydepnąłem mu jeden róg, a za drugi szarpnąłem z całej siły lewą ręką, tak że rogaty łeb rozleciał się z trzaskiem. Zrobiłem to w przyпіływie rozpaczy, nie celowo.

Star zaimprovizowała długi monolog o bohaterstwie mojego taty, twierdząc ponadto, że mój dziadunio prowadził szarżę na San Juan Hill, a potem zabrała się za moich pradziadków. Ale przyjęła naprawdę dramatyczny ton, kiedy zaczęła mu opowiadać, jak zabiłem tę bliznę biegnącą od lewego oka do prawej szczęki.

Słuchajcie, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, Star wypytywała mnie o wszystko, a podczas długiej wędrówki poprzedniego dnia także zachęcała mnie, abym opowiadał o sobie. Jednak nie

mówiłem jej tych bzdur, jakie wciskała Doralowi. Musiała przez kilka miesięcy zbierać informacje przez Surete FBI oraz Archiego Goodwina. Wymieniła nawet nazwę zespołu, przeciwko któremu graliśmy, gdy złamałem sobie nos, a tego na pewno jej nie powiedziałem.

Stałem tam rumieniąc się, podczas gdy Doral oglądał mnie od stóp do głów, pogwizdując i pochrzakując z uznaniem. Kiedy Star skończyła, mówiąc z prostotą: „I tak to było”, Doral westchnął przeciągle i rzekł:

- Czy moglibyśmy jeszcze raz usłyszeć ten kawałek o Iglim?

Star przychyliła się do jego prośby w nieco innych słowach i dodając więcej szczegółów. Doral słuchał, marszcząc brwi i z aprobatą kiwając głową.

- Wyjście z sytuacji godne bohatera - orzekł. - A więc jest również matematykiem. Gdzie studiowałaś?

- To urodzony geniusz, Jock.

- Zgadza się.

Podszedł do mnie, spojrzał mi w oczy i położył mi dłonie na ramionach.

- Bohater, który pokonuje Igliego, może zamieszkać, gdziekolwiek chce. Czy uczyni mi ten zaszczyt i przyjmie gościnę w moim domu... w jadalni i w łóżu?

Przemawiał z ogromnym przejęciem, spoglądając mi w oczy; nie mogłem zerknąć na Star, która mogłaby mi dać jakiś znak. A bardzo potrzebowałem jakiejś wskazówki. Ktoś, kto twierdzi, iż dobre maniery są wszędzie takie same, a ludzie są tylko ludźmi, nie wyjechał za roгатki swojej Pipidówki. Nie mam wykształcenia, ale kręciłem się po świecie wystarczająco długo, aby to wiedzieć. Doral wygłosił uroczystą przemowę, zgodną z protokołem, która wymagała formalnej odpowiedzi.

Zrobiłem to, co w tej sytuacji uznałem za najlepsze. Położyłem obie dłonie na jego ramionach i odparłem poważnie:

- Sir, nie jestem w stanie wyrazić słowami, jaki to dla mnie zaszczyt.

- Ale przyjmujesz? - spytał z niepokojem w głosie.

- Przyjmuję całym sercem.

(„Serce” to określenie dość bliskie słowu, jakiego użyłem. Mia-

łem pewne problemy językowe.) Wydawało się, że odetchnął z ulgą.

- Wspaniale!

Chwył mnie w niedźwiedzi uścisk, ucałował w oba policzki i jedynie szybki unik pozwolił mi uniknąć pocałunku w usta. Potem wyprostował się i ryknął:

- Wina! Piwa! Gorzałki! Co, do pioruna, mają znaczyć te błazeństwa? Obedrę kogoś ze skóry zardzewiałą raszplą! Krzesła! Obsłużyć Bohatera! Gdzie się wszyscy podziali?

Ta ostatnia uwaga była zupełnie niepotrzebna; kiedy Star opowiadała, jaki wspaniały ze mnie facet, na tarasie zebrało się około pięćdziesięciu osób, przepychających się i usiłujących znaleźć miejsce skąd lepiej widać. Wśród nich musiał znajdować się personel pełniący dzisiaj służbę, ponieważ nim jeszcze szef przestał ryczeć, w jedną rękę wciśnięto mi kufel piwa, a w drugą sporą szklanicę ze studziesięcioprocentową wodą ognistą. Jocko wychylił swoją szklanę jak woźnica, więc poszedłem w jego ślady i z ulgą opadłem na fotel, który mi podsunęto, gdyż od tego trunku obluzowały się wszystkie zęby i włos jeżył się na głowie, a piwo po chwili gasiło płonący w brzuchu ogień.

Pozostali wciskali mi kawałki sera, zimne mięsiwa, marynowane różności i nie zidentyfikowane napoje wszelkich smaków, nie czekając, aż sam wezmę, ale wpychając mi je w usta, jeśli otworzyłem je choćby po to, żeby powiedzieć: Gesundheit! Pochłaniałem wszystko i niebawem jedzenie zneutralizowało ten kwas fluorowodorowy w moim żołądku.

W tym czasie Doral przedstawiał mi domowników. Szkoda, że nie nosili choćby jakichś naramienników, bowiem nie zdołałem zorientować się w ich hierarchii. Ubrania niewiele mi pomogły, ponieważ - gdy sam właściciel dworu był ubrany jak prosty fernal - drugorzędna pomywaczka mogła (i niektóre tak zrobiły) cichcem wymknąć się do swojej komnaty, by założyć biżuterię i swoje najlepsze suknie. A nie przedstawiono mi ich zgodnie z hierarchią stanowisk.

Ledwie się połapałem, która z dam jest panią dworu i żoną Jocko - jego pierwszą małżonką. Była nią bardzo przystojna dama w średnim wieku, brunetka, ważąca może kilka funtów za wiele,

lecz ten nadmiar był niezwykle pociągająco rozmieszczony. Miała na sobie strój równie nieformalny jak Jocko, ale na szczęście zauważyłem ją, gdy od razu podbiegła do Star, z którą objęły się serdecznie jak dwie stare przyjaciółki. Tak więc miałem się na baczności, kiedy w chwilę później przedstawiono mi ją jako (co zrozumiałem) Doral (podobnie jak tytułowano Jocko), tyle że z żeńską końcówką.

Zerwałem się na równe nogi, złapałem jej dłoń, skłoniłem się nad nią i przycisnąłem do warg. Ten gest absolutnie nie jest neviańskim zwyczajem, lecz wywołał burzę owacji; pani Doral zarumieniła się i wyglądała na zadowoloną, a Jocko dumnie wyszczerzył zęby.

Była jedyną osobą, na której powitanie wstałem. Każdy z mężczyzn i chłopców zginał przede mną kolano w niskim pokłonie, a wszystkie dziewczęta w wieku od sześciu do sześćdziesięciu lat dygały - nie w sposób, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni, lecz po neviańsku. Ten dyg przypominał ruch twista. Balansujesz na jednej nodze, odchylając się jak najdalej w tył, a potem przenosisz ciężar ciała na drugą stopę - pochylając się w przód i przez cały czas rytmicznie kiwając się na boki. W opisie nie wydaje się to tak miłe dla oka jak jest w rzeczywistości, a ponadto pozwoliło mi stwierdzić, iż nikt z ludzi Dorala nie cierpiał na artretyzm czy na dyskopatię.

Jocko nie przejmował się imionami. Do kobiet zwracał się „kochanie”, „kózko” i „koteczku”, a wszystkim mężczyznom, nawet wyglądającym na starszych od niego, mówił „synu”.

Może zresztą większość z nich była jego synami. Niezbyt pojmowałem ustrój społeczny Nevii. Trochę przypominał nasz feudalizm - i może nawet nim był - lecz nigdy nie udało mi się wyjaśnić, czy ten tłum to niewolnicy Dorala, jego służba, najemni pracownicy, czy też członkowie jednej wielkiej rodziny. Sądzę, że byli wszystkim po trosze. Tytuły nie miały żadnego znaczenia. Jedyнным tytułem, jaki nosił Jocko, był gramatyczny wyróżnik, podkreślający, iż chodzi o tego Dorala, a nie jednego z kilkuset Doralów. Tu i ówdzie w tym pamiętniku posłużyłem się tytułem „milor”, ponieważ używali go Star i Rufo, ale była to jedynie forma grzecznościowa, będąca odpowiednikiem jednego z neviańskich

zwrotów.

„Freiherr” nie oznacza przecież „wolnego człowieka, a „Monsieur” to nie jest „mój panie” - takich form nie da się wiernie przełożyć na inne języki. Star szpikowała swoje wypowiedzi „milordami”, ponieważ była o wiele za uprzejma, aby powiedzieć „Hej, stary!” nawet do bliskiej osoby.

(Gdybyś zwrócił się do kogoś w Stanach w sposób uznawany w Nevii za niezmiernie uprzejmy, dostałbyś po pysku).

Gdy już wszyscy domownicy zostali przedstawieni Gordonowi, Bohaterowi Pierwszej Klasy, przenieśliśmy się do środka, aby przygotować się do bankietu, jaki postanowił wydać Jocko, pozbawiony pierwotnie planowanej trzymiesięcznej hulanki. Rozdzielono mnie ze Star i Rufo; zostałem odprowadzony do moich komnat przez dwie kamerdynerki.

Dobrze mówię. Kobiety. I w liczbie mnogiej. Dobrze się stało, że przywykłem do damskiej obsługi w męskich łaźniach, na sposób europejski, a jeszcze bardziej przydatne okazały się doświadczenia z południowowschodniej Azji oraz I'lle du Levant; w amerykańskich szkołach nie uczą jak radzić sobie z kamerdynerkami. A szczególnie wtedy, gdy są małe, bystre i strasznie chętne do obdarzania swoimi łaskami... ja zaś miałem za sobą długi dzień, pełen niebezpieczeństw. Kiedy po raz pierwszy znalazłem się na patrolu, nauczyłem się, że nic tak nie pobudza tej odwiecznej biologicznej potrzeby jak to, że do ciebie strzelano i udało ci się przeżyć.

Gdyby była tylko jedna, mógłbym spóźnić się na przyjęcie. A tak, jedna występowała jako przyzwoitka dla drugiej, chociaż sądzę, że niezamierzenie. Poklepałem ruda po tyłeczku, kiedy ta druga nie widziała, nawiązując - jak sądziłem - nic porozumienia na później.

No cóż, sama kąpiel z obsługą to też miła rzecz. Wyszorowany, wypucowany, ogolony, opłukany, odświeżony, pachnący intensywnie różami i przyodziany w najfikuśniejsze szaty od czasu, gdy Cecil B. de Mille przerobił Biblię, zostałem dostarczony przez dziewczyny do sali bankietowej.

Jednak toga prokonsula, którą nosilem, była roboczym drellichem w porównaniu ze strojem Star. Wprawdzie straciła na bagnach wszystkie swoje urocze sukienki, ale nasza gospodyni zdo-

łała coś dla niej wygrzebać.

Po pierwsze, suknię okrywającą Star od brody do kostek - wykonano z materiału przypominającego szkło. Wydawał się zwiewny jak błękitna mgiełka, przywierał do jej ciała i falował za nią. Pod suknią była „bielizna”. Star wyglądała jak owinięta pędami bluszczu - tyle że ten bluszcz był złoty i okraszony szafirami. Wił się po jej pięknym brzuchu, rozdzielał na pasma i otaczał jej piersi, tworząc najskromniejszy z kostiumów bikini, ale o wiele bardziej prowokacyjny i podniecający.

Na nogach miała pantofelki z jakiegoś przezroczystego i sprężystego materiału, na wysokim obcasie. Wydawało się, że nic ich nie przytrzyma, żadne paski czy uchwyty; jej śliczne białe stopki po prostu spoczywały na nich. Wyglądało to tak, jakby uniosła się na palcach, cztery cale nad podłogą.

Wspaniała grzywa jej blond włosów tworzyła fryzurę równie skomplikowaną jak w pełni ożaglowany statek i przetykaną szafirami. Miała na sobie fortunę lub dwie w szafirach zdobiących tu i ówdzie jej ciało; nie będę wdawał się w szczegóły.

Dostrzegła mnie w tej samej chwili, gdy ją ujrzałem. Rozpromieniła się i zawołała do mnie po angielsku:

- Mój Bohaterze, jesteś piękny!

- Hmm... - powiedziałem. A potem dodałem: - Ty również nie traciłaś czasu. Czy siadamy obok siebie? Potrzebuję wskazówek, jak się zachować.

- Nie, nie! Ty siadasz z panami, a ja wśród dam. Nie będziesz miał żadnych problemów.

Nie jest to zły sposób urządzania przyjęcia. Mieliśmy dwa oddzielne niskie stoły; siedzący rzędkiem panowie byli zwrócenii twarzami do oddalonych o jakieś piętnaście stóp pań. Nie trzeba było gawędzić o niczym z damami, natomiast można było do woli na nie patrzeć. Lady Dorał siedziała na wprost mnie, współzawodnicząc ze Star o złote jabłko. Jej strój był przezroczysty w wielu miejscach; przeważnie w dość niezwykłych. W większości składał się z diamentów. Przynajmniej sędzę, że były to diamenty; nie myślę, żeby komuś chciało się obrabiać tak duże kryształy kwarcu.

Przy stołach siedziało blisko dwadzieścia osób; dwa lub trzy ra-

zy tyle kręciło się wokół, usługując i bawiąc biesiadników. Trzy dziewczyny nie robiły niź poza pilnowaniem, abym nie umarł z głodu czy pragnienia - nie musiałem uczyć się, jak używać ich sztuców - nawet ich nie tknąłem. Dziewczyny klęczały przy mnie; ja siedziałem na ogromnej poduszce. Nieco później tego wieczora Jocko po prostu wyciągnął się wygodnie na plecach, oparłszy głowę tak, by jego służki mogły pakować mu potrawy do ust i przytrzymywać puchary przy wargach.

Jocko obsługiwały trzy panny, podobnie jak mnie; Star i pani Doral miały po dwie, pozostali musieli zadowolić się pojedynczymi egzemplarzami. Obecność tych panien służących tłumaczy moje kłopoty ze śledzeniem programu imprezy. Gospodyni i moja księżniczka były ubrane naprawdę zabójczo, lecz jedna z moich panienek, szesnastolatka mająca duże szanse na zdobycie tytułu Miss Nevii, miała na sobie jedynie biżuterię, jednak w takiej ilości, że wyglądała dużo „skromniej” niż Star czy Doral Letva - lady Doral.

I wcale nie zachowywały się jak służące, pomijając ich zdecydowanie, zmierzające do tego, żebym obżarł się i spał jak bela. Szczebiotały do siebie w żargonie nastolatek i żartowały sobie z moich wielkich mięśni i tym podobnie, jakby wcale mnie tam nie było. Najwidoczniej od bohaterów nie oczekiwano tu żadnych przemówień, bo ilekroć otwierałem usta, coś mi w nie pakowano.

Na środku, pomiędzy stołami, cały czas coś się działo - występowali tancerze i kuglarze, deklamowano wiersze. Wokół kręciły się dzieciaki, porywając smakołyki z talerzy, zanim te dotarły do stołu. Jedna mała, może trzyletnia dziewczynka przykucnęła przede mną i gapiała się na mnie, szeroko otworzywszy buzię i oczy, zupełnie nie zwracając uwagi na tancerzy, którzy starali się na nią nie nadepnąć. Próbowałem nakłonić ją, żeby podeszła bliżej, ale ona tylko patrzyła i bawiła się swoimi paluszkami.

Między stołami przechadzała się panna z cymbałami, grając i śpiewając. Chcę powiedzieć, że to mogły być cymbały, a ona może i była panna.

Uczta trwała już ze dwie godziny, kiedy Jocko wstał, rykiem nakazał ciszę, czknał potężnie, strząsnął z siebie dziewczki, które usiłowały go posadzić, i zaczął recytować.

Te same wersy, choć nieco inne rymy - omawiał moje wyczyny. Wydawało się, że jest zbyt pijany, żeby powiedzieć choćby dwuwiersz, a tymczasem recytował bez końca, skandując idealnie, z doskonale dobranymi rymami wewnętrznymi i ze wspaniałą aliteracją - zdumiewający popis oratorskiej wirtuozerii.

Trzymał się wersji podanej przez Star, ale jeszcze bardziej ją ubarwił. Słuchałem z rosnącym podziwem, zarówno dla niego jako poety, jak i dla poczciwego, starego Gordona - jednoosobowej armii. Doszedłem do wniosku, że chyba naprawdę jestem jakimś cholernym bohaterem, więc kiedy usiadł, ja wstałem.

Dziewczynom lepiej udało się upić mnie, niż nakarmić. Większość potraw, choć nieznana mi, była niezwykle smaczna. Jednak w pewnej chwili przyniesiono zimną przystawkę - jakieś podobne do żab stworzonko podane w lodzie, w całości. Zanurzało się je w sosie i zjadało dwoma kęsami.

Panienka w biżuterii wzięła jedną, umoczyła w sosie i podsunęła mi pod nos. Stworzonko ocknęło się.

To maleństwo - nazwijmy je Elmer - otworzyło oczy i spojrzało na mnie właśnie wtedy, gdy miałem zamiar je ugryźć.

Nagle nie byłem już głodny - gwałtownie odsunąłem głowę.

Panna Sklep Jubilerski zaśmiała się serdecznie, jeszcze raz zamoczyła go w sosie i pokazała mi, jak to się robi. I po Elmerze...

Przez chwilę nic nie jadłem i o wiele za dużo piłem. Za każdym razem, gdy proponowano mi jakiś kąsek, widziałem znikające nóżki Elmera i wypijałem następnego drinka.

Dlatego ośmieliłem się wstać.

Natychmiast zapadła głucha cisza. Muzycy przerwali, czekając, co zaimprovizować jako podkład pod mój poemat.

Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że nie mam nic do powiedzenia.

Ani słowa. Nic nie przychodziło mi do głowy; żaden poemat czy zręczny komplement, jaki mógłbym zadedykować mojemu gospodarzowi po neviańsku. Do licha, nie zdołałbym tego zrobić nawet po angielsku.

Star patrzyła na mnie. Jej oczy wyrażały głębokie przekonanie.

To podziałało. Nie ryzykowałem neviańskiego - teraz nie pamię-

tałem nawet, jak zapytać o drogę do męskiej toalety. Tak więc wygarnąłem do nich z obu łuf, recytując po angielsku „Congo” Vachela Lindsaya.

To znaczy tyle, ile zdołałem sobie przypomnieć, mniej więcej cztery strony. Poczęstowałem ich tym nieodpartym rytmem i rymem, powtarzając się i maskując wpadki i naprawdę demonstrując „walenie miotłą w stół, aż zrobi się szum! Bum! Bum! Bum - tarara, bum!” - a orkiestra podchwyciła to i wszyscy zaczęli walić naczyńiami o stoły.

Wybuchł niesamowity entuzjazm i Miss Tiffany złapała mnie za kostkę u nogi i pocałowała w nią.

Zatem zafundowałem im na deser „Dzwony” Edgara A. Poego. Jocko pocałował mnie w lewe oko i lkał na moim ramieniu.

Wtedy Star wstała i wyjaśniła zgrabnym rymem, iż w mojej ziemi i moim ojczystym języku, pomiędzy moim ludem składającym się wyłącznie z wojowników i artystów, jestem równie słynnym poetą jak bohaterem (co oczywiście było szczerą prawdą, gdyż zero równa się zero) i że uczyniłem im zaszczyt, układając swoje największe dzieło, istny klejnot poezji, aby wyrazić podziękowania Doralowi i jego rodowi za gościnę w domu, jadalni i w łóżku - co ona sama, we właściwym czasie, w miarę swoich skromnych sił, spróbuje oddać w ich mowie.

Razem dostaliśmy Oscara.

Potem podano piece de resistance - tuszę upieczoną w całości i wniesioną przez czterech mężczyzn. Sądząc po kształtach i rozmiarach, mógł to być smażony wieśniak w polewie. Jednak danie było nieżywe i pachniało fantastycznie, więc zjadłem tego sporo i trochę wytrzeźwiałem. Po pieczeniu podano już tylko osiem lub dziewięć innych potraw, zupy, sorbety i tym podobne różności. Atmosfera zrobiła się luźniejsza i towarzystwo zaczęło przenosić się do innych stołów. Jedna z moich pań zasnęła, wywracając mój puchar z winem, i nagle uświadomiłem sobie, że większość uczestników biesiady już się rozeszła.

Doral Letva, w towarzystwie dwóch dziewcząt, odprowadziła mnie do moich komnat i położyła do łóżka. Pogasiły światła i zniknęły, podczas gdy ja daremnie usiłowałem ułożyć uprzejme podziękowanie w ich języku.

A potem powróciły, zrzuciwszy całą biżuterię i inne fatalaszki, i ustawiły się przy moim łóżku jak Trzy Gracje. Doszedłem do wniosku, że mam przed sobą córeczki i mamusię. Starsza z dziewcząt była chyba osiemnastoletnia i w pełni dojrzała i patrząc na nią, nie trzeba było zbytnio się wysilać, żeby wyobrazić sobie, jak wyglądała w tym wieku jej matka. Młodsza musiała mieć z pięć lat mniej; dopiero dojrzewała, ale była urocza jak na swój wiek i w pełni świadoma swojej kobiecości. Zarumieniła się i spuściła oczy, gdy na nią popatrzyłem. Natomiast jej siostra odpowiedziała mi omdlewającym, zuchwale prowokującym spojrzeniem.

Matka, obejmując je ramionami, wyjaśniła z prostotą, lecz w mowie wiązanej, iż zaszczyciłem ich dach i stół - a teraz przyszła kolej na łożo. Czego więc życzy sobie Bohater? Jednej? Dwu? Czy wszystkich trzech?

Jestem tchórzem. Obaj o tym wiemy. Choć gdyby ta mała nie przypominała mi rozmiarami tych małych żółtych siostrzyczek, przy których kiedyś traciłem pewność siebie, może stanąlbym na wysokości zadania.

Tylko że, do licha, tu wcale nie było drzwi! Tylko łukowate przejścia. A poczciwy Jocko mógł się zbudzić w każdej chwili; nie wiedziałem, gdzie się podział. Nie powiem, że nigdy nie przespałem się z mężatką, albo że nigdy nie miałem przyjemności z córką faceta, pod jego własnym dachem - lecz w takich sprawach zabezpieczałem sobie tyły w sposób przyjęty przez wszystkich amerykańskich samców. Ta bezpośrednia propozycja przestraszyła mnie bardziej niż Rogate D... Chciałem powiedzieć „Duchy”.

Staralem się przekazać im moją decyzję w poetyckim języku.

Niezbyt mi wyszło, ale udało mi się wyartykułować przeczenie.

Najmłodsza krzyknęła coś i uciekła. Jej siostra zasztyletowała mnie spojrzeniem, prychnęła „Bohater” i poszła za nią. Mama tylko popatrzyła na mnie i wyszła.

Wróciła po niecałych dwóch minutach. Zapytała bardzo formalnie, wyraźnie z najwyższym trudem panując nad sobą, czy jakakolwiek kobieta w tym domu znalazła uznanie w oczach „Bohatera”? Jej imię, jeśli łaska? A może mógłbym ją opisać? Czy może mają przede mną przejść, żebym mógł ją wskazać palcem?

Zrobiłem, co w mojej nocy, żeby wyjaśnić jej, że gdybym miał

wybierać, to wybrałbym właśnie ją - lecz jestem zmęczony i chcę spać samotnie.

Letva zamruwała oczami pełnymi łez, życzyła mi snu godnego bohatera i po sekundzie, a nawet wcześniej, ponownie opuściła komnatę. Przez chwilę myślałem, że mnie spoliczkuje.

Po pięciu sekundach wstałem i próbowałem ją dogonić. Jednak już poszła, w korytarzu było ciemno.

Zasnąłem i śniłem o Bandzie Zimnych Wód. Byli nawet brzydsi, niż opisywał Rufo i wpychali mi do ust wielkie złote samородki, z których każdy miał oczy Elmera.

ROZDZIAŁ IX

Obudził mnie Rufo, tarmosząc za ramię.

- Szefie, wstawaj! Natychmiast!

Schowałem nos w pościeli.

- Zjeżdżaj!

W ustach miałem posmak zgniętej kapusty, brzęczało mi w głowie i szumiało w uszach.

- Natychmiast! Ona tak mówi.

Wstałem. Rufo miał na sobie ten strój Wesołego Bractwa z Sherwood i miecz u pasa, tak więc ubrałem się podobnie i przytroczyłem swój. Moich kamerdynerek nigdzie nie było widać, tak samo jak pożytecznego stroju. Poczłapałem za Rufo do wielkiej hali bankietowej. Tam zastałem Star, ubraną do drogi i ponurą. Bogate umeblowanie z poprzedniej nocy zniknęło gdzieś - komnata była pusta jak opuszczona stodoła. Pozostał jedynie goły stół, a na nim kawał pieczeni w zimnym, zastygłym tłuszczu i nóż.

Spojrzałem bez entuzjazmu.

- Co to ma być?

- Twoje śniadanie, jeśli masz ochotę. Jednak ja nie zostanę pod tym dachem, żeby jeść zimną łopatkę.

Nigdy przedtem nie słyszałem u niej takiego tonu i nie widziałem, żeby tak się zachowywała. Rufo pociągnął mnie za rękaw.

- Szefie. Wynośmy się stąd. Zaraz.

Tak też zrobiliśmy. Nigdzie nie dostrzegliśmy żywej duszy ani w

budynku, ani na zewnątrz, nie napotkaliśmy nawet dziecka czy psa. Jednak czekały na nas trzy dziarskie wierzchowce, osiodłane i gotowe do drogi. Mówię o tych ośmionogich końskich odmianach jamnika. Popręgi były bardzo skomplikowane; każda para nóg miała jarzmo, a ciężar był rozłożony na żerdziach biegnących poziomo, wzdłuż obu boków wierzchowca. Na tych tyczkach spoczywał fotel z oparciem, wyściełanym siedzeniem i poręczami dla rąk. Od każdej poręczy biegły wodze.

Dźwignia po lewej była hamulcem oraz pedałem gazu jednocześnie i wolę nie wyjaśniać w jaki sposób przekazywano zwierzęciu rozkazy. Jednak „konie” zdawały się nie mieć nic przeciw temu.

Nie były końmi. Ich łby trochę przypominały końskie, ale miały łapy, a nie kopyta i były wszystkożerne - nie żywiły się wyłącznie sianem. Te zwierzęta dały się polubić. Moje było czarne w białe łaty - piękne. Nazwałem je „Ars Longa”. Miało oczy pełne wyrazu.

Rufo przytroczył mój kołczan i łuk do stelażu na bagaż za fotelem, po czym pokazał mi jak wejść na pokład i usiąść wygodnie ze stopami opartymi o coś, co było raczej podnóżkiem, a nie strzemionami - równie komfortowo jak w pierwszej klasie boeinga.

Szybko ruszyliśmy w drogę, podążając równym rytmem dziesięciu mil na godzinę, przy czym nasze wierzchowce poruszały się skroczem (tylko tak umieją), ale ośmiopunktowe zawieszenie łagodziło wstrząsy, więc trzęsło nie bardziej niż w samochodzie jadącym po żwirowej drodze.

Star podążała na przedzie nie odzywając się. Próbowałem ją zagadnąć, ale Rufo pociągnął mnie za rękaw.

- Nie rób tego, szefie - powiedział cicho. - Kiedy Ona popada w taki nastrój, można tylko czekać, aż Jej przejdzie.

W pewnej chwili, gdy Star znalazła się poza zasięgiem głosu, a Rufo i ja jechaliśmy strzemie w strzemie, zapytałem:

- Rufo, o co chodzi, do licha?

Zmarszczył brwi.

- Nigdy się nie dowiemy. Najwyraźniej posprzeczała się z Doralem. Najlepiej udawajmy, że nic się nie stało.

Zamilkł i ja też. Czyżby Jocko zachował się niegodnie wobec Star? Na pewno był pijany i mógł mieć ochotę na amory. Jednak nie mogłem sobie wyobrazić, że Star nie potrafiłaby poradzić sobie

z mężczyzną i uniknąć gwałtu, nie raniąc jego dumy.

To prowadziło do dalszych ponurych rozważań. Gdyby starsza córka przyszła sama... gdyby Miss Tiffany nie zasnęła... Gdyby kamerdynerka o ogniszcie rudych włosów przyszła mnie rozebrać do snu, jak się tego spodziewałem... Och, do licha!

W końcu Rufo rozluźnił pas swego fotela, oparł się wygodnie, uniósł stopy, przybierając półleżącą pozycję, przykrył twarz chusteczką i zaczął chrapać. Po chwili zrobiłem to samo; noc była krótka, nie zjadłem śniadania i miałem gigantycznego kaca. Mój „koń” nie potrzebował pomocy; tak jak wierzchowiec Rufo trzymał się za zwierzęciem Star.

Kiedy się obudziłem, byłem w dużo lepszej formie, pomijając głód i pragnienie. Rufo wciąż chrapał; rumak Star kroczył tak jak przedtem, pięćdziesiąt kroków przed nami. Nadal jechaliśmy wśród żyznych pól, a może z pół mili dalej widać było jakiś dom - nie dwór, lecz farmę. Widziałem studzienny żuraw i pomyślałem o omszałym wiadrze, zimnym, wilgotnym i ociekającym zarazkami... no i co, w Heidelbergu dostałem swoją porcję szczepionek, a chciałem się napić. Wody, oczywiście. Jeszcze lepsze byłoby piwo - robili tu całkiem niezłe piwko.

Rufo ziewnął, odsunął chusteczkę i podniósł trochę siedzenie.

- Chyba musiałem się zdrzemnąć - oświadczył z ogłupiałą miną.

- Rufo, widzisz tamten dom?

- Aha. Co z nim?

- Śniadanie, ot co. Przejechałem już dość o pustym brzuchu. I jestem tak spragniony, że mógłbym wycisnąć kamień i wypić to, co wyduszę.

- Zatem lepiej tak zrób.

- Hę?

- Przepraszam, milordzie - mnie też chce się pić - ale nie zatrzymamy się tu. Jej nie spodobałoby się to.

- Nie spodobałoby się, powiadasz? Rufo, pozwól, że coś ci wyjaśnię. Fakt, że milady Star dąsa się na kogoś, nie jest dla mnie wystarczającą przyczyną, abym przez cały dzień jechał bez jedzenia i picia. Rób, jak uważasz: ja zatrzymuję się na śniadanie. Aha, masz jakieś pieniądze? Miejscową walutę?

Potrząsał głową.

- Nie rób tego tutaj, szefie. Poczekaj jeszcze godzinę.

- Dlaczego?

- Ponieważ wciąż znajdujemy się na ziemi Dorala, dlatego! Nie wiem, czy nie rozesłał wieści, żeby strzelać do nas bez uprzedzenia; Jocko to dobroniosny stary zbój. Jednak wolałbym mieć na sobie solidną zbroję; wcale nie zaskoczyłby mnie grad strzał. Albo sieć spadająca na nas, gdy tylko wjedziemy między te drzewa.

- Naprawdę tak uważasz?

- Zależy, jak bardzo jest wściekły. Raz, pamiętam, kiedy jakiś gość naprawdę go obraził, Doral kazał rozebrać biednego kmiotka do naga i przywiązać go za klejnoty rodowe do... Nie, nie mogę o tym mówić.

Rufo głośno przełknął ślinę i wyglądu!, jakby zrobiło mu się niedobrze.

- Cóż to była za noc! Jeszcze nie doszedłem do siebie. Lepiej porozmawiajmy o przyjemniejszych sprawach. Mówiłeś coś o wyściskaniu skały. Niewątpliwie myślałeś o Mocarnym Muldoonie?

- Niech to diabli, nie zmieniaj tematu!

Łupało mnie w głowie.

- Nie wjadę między te drzewa, a facet, który wypuści strzałę w moją stronę, niech lepiej pilnuje swojej skóry. Chce mi się pić.

- Szefie - prosił Rufo. - Ona nie zje i nie wypije niczego na ziemi Dorala, nawet gdyby ją o to błagali. I ma rację. Ty nie znasz tutaj zwyczajów. Tutaj przyjmuje się to, co dają... lecz nawet dziecko jest zbyt dumne, by wziąć coś, czego mu żałują. Jeszcze pięć mil. Czy bohater, który zabił Igliego przed śniadaniem, nie wytrzyma jeszcze pięciu mil?

- No... dobrze już, dobrze. Jednak musisz przyznać, że to zwariowany kraj. Wszyscy mają tu fioła.

- Hmm... - odparł. - Byłeś kiedyś w Waszyngtonie, D.C.?

- Ach, tak - uśmiechnąłem się krzywo. - Touche! Zapomniałem, że to są twoje strony rodzinne. Nie chciałem cię obrazić.

- Och, wcale nie są. Dlaczego tak myślisz?

- No... - zastanowiłem się. Ani Rufo, ani Star tego nie powiedzieli, ale... - Znasz miejscowe zwyczaje, mówisz tym językiem jak tubylcy.

- Milordzie Oscarze, nie zliczę języków, które znam. Kiedy sły-
szę jakiś, mówię nim.

- Z pewnością nie jesteś Amerykaninem. I myślę, że Francuzem
też nie.

Zaśmiał się beztrasko.

- Mogę pokazać ci świadectwo urodzenia z obu tych krajów - a
raczej mogłem, gdybyśmy nie stracili naszego bagażu. Ale nie, nie
pochodzę z Ziemi.

- Zatem skąd?

Rufo zawahał się.

- Lepiej niech Ona ci to wyjaśni.

- Ładne kwiatki! Wiedziecie mnie jak barana, ze spętanymi no-
gami i workiem na głowie. To śmieszne.

- Szefie - powiedział poważnie. - Ona odpowie na każde pyta-
nie, jakie zadasz. Musisz tylko zapytać.

- I nie omieszkam!

- Zatem porozmawiajmy o czymś innym. Wspomniałeś Mocar-
nego Muldoona...

- To ty o nim wspomniałeś.

- No, może i ja. Osobiście nigdy go nie spotkałem, choć byłem
w tamtej części Irlandii. To piękny kraj, a jego mieszkańcy są je-
dynymi logicznie myślącymi ludźmi na Ziemi. W obliczu prawdy
wyższego rzędu nie przejmują się faktami. Wspaniały naród! O
Muldoonie opowiadał mi jeden z moich wujów, człowiek godny
zaufania, który przez wiele lat pisał przemówienia politykom. W
owym jednak czasie, w wyniku niefortunnego zbiegu okoliczności
polegającego na tym, że napisał przemówienie dla rywalizujących
ze sobą kandydatów, musiał skorzystać z urlopu i zatrudnić się
jako wolny strzelec - korespondent jednego z amerykańskich syn-
dykatów, specjalizującego się w reportażach dla niedzielnych ga-
zet. Usłyszał o Mocarnym Muldoonie i odnalazł go; najpierw poje-
chał pociągiem do Dublina, potem lokalnym autobusem, a w koń-
cu poszedł na własnych nogach. Spotkał człowieka orzącego pole,
który pchał pług przed sobą bez pomocy konia, odwalając rów-
niutką ośmiocalową bruzdę. „Ach” - powiedział sobie mój wuj i
zawołał: „Panie Muldoon!”

Farmer zatrzymał się i rzekł: „Niech cię Bóg błogosławi za tę

pomyłkę, przyjacielu!” - po czym uniósł pług jedną ręką, wskazując nim kierunek, i powiedział: „Tam /najdziesz Muldoona. Krzepki ci jest.”

Wujaszek podziękował mu i szedł dalej, aż napotkał innego człowieka, który ustawiał słupy ogrodzenia, wbijając je w ziemię gołymi rękami... I to w kamienistą glebę. Zatem mój krewniak ponownie pozdrowił go jako Muldoona.

Facet był tak zaskoczony, że upuścił dziesięć czy dwanaście sześciocalowych palików, które trzymał pod pachą, „Idź pan gdzie indziej ze swymi pochlebstwami!” - odkrzyknął. - „Powinien pan wiedzieć, że Muldoon mieszka dalej, przy tej drodze. Ten dopiero ma krzepę!”

Następny napotkany przez wuja tubylec ustawiał kamienny mur. Dopasowywał kamienie i to bardzo dokładnie. Ociosywał głazy bez młotka czy dłuta, rozbijając je kantem dłoni i wyrównując przez odrywanie niepotrzebnych kawałków palcami. Wuj jeszcze raz zwrócił się do niego tym sławnym nazwiskiem.

Gość zaczął coś mówić, lecz pył osiadł mu w krtani i nie zdołał wydobyć z siebie głosu. Złapał więc spory kamień, ścisnął go tak, jak ty ścisnąłeś Igliego - i wycisnąwszy z głazu wodę jak ze skórzanego bukłaka, zwilżył sobie gardło. A potem powiedział: „To nie ja, przyjacielu. On jest naprawdę silny, wszyscy o tym wiedza. Niejeden raz widziałem, jak wtykał swój mały palec i...”

Na chwilę przestałem śledzić myślą ten stek łgarstw, zajęty obserwowaniem dziewczki, która po drugiej stronie przydrożnego rowu układała siano w stóg. Miała wspaniale rozwinięta klatkę piersiową i przepaska biodrowa była dla niej bardzo odpowiednim strojem. Spostrzegła, że na nią patrzę i puściła do mnie oko, popierając to kuszącym ruchem bioder.

- Co mówiłeś? - spytałem.

- Eee... Aż do pierwszego stawu - i utrzymywał się w tej pozycji całymi godzinami!

- Rufo - powiedziałem - nie sądzę, żeby mogło to trwać dłużej niż kilka minut. Zmęczenie mięśni i tak dalej.

- Szefie - rzekł urażony. - Mógłbym pokazać ci miejsce, gdzie Mocarny Dugan dokazał tej sztuki.

- Mówiłeś, że nazywał się Muldoon.

- Zwał się Dugan po matce i był z tego niezwykle dumny. Pewnie ucieszy cię, milordzie, wiadomość, że zbliżamy się do granic ziem Dorala. Lunch będzie za kilka minut.

- Bardzo mi się przyda. A także galon czegokolwiek, nawet wody.

- Przyjęto przez aklamację. Prawdę mówiąc, milordzie, nie jestem dziś w najlepszej formie Muszę coś zjeść i wypić, a także dobrze wypocząć przed walką, inaczej będę ziewał zamiast odbijać ciosy. Noc była zbyt krótka.

- Nie widziałem cię na bankiecie.

- Byłem obecny duchem. W kuchni jedzenie jest cieplejsze, wybór większy, a towarzystwo mniej krępujące. Jednak nie miałem zamiaru pozostać tam całą noc. Moje motto brzmi: „Wcześniej do łóżka”. Umiar we wszystkim. Epiktet. Ale ta pasztecziara... Przypomniała mi inną dziewczynę, która kiedyś znałem, moją partnerkę w solidnym interesie - w przemyśle. Mottem tamtej było, że jeśli coś warto zrobić, to warto również z tym przesadzić - i tak postępowała. Uprawiała przemysł w przemyśle, na boku i nie licząc się ze mną - ponieważ to ja załatwiałem wszystko z celnikami, płaciłem łapówki i wiedzieli, że jestem uczciwy. Jednak dziewczyna nie może przechodzić przez roгатki tłusta jak tuczona gęś, a po dwudziestu minutach wracać chuda jak szczapa - to tylko przenośnia, wcale nie była taka chuda - nie prowokując podejrzliwych spoj - rzeń. Gdyby nie te dziwne wybryki, jakie pies wyczyniał tamtej nocy, akcyźnicy capnęliby nas.

- A cóż za dziwne wybryki wyczyniał tamtej nocy pies?

- Robił to samo, co ja zeszłej nocy. Hałas obudził nas i udało nam się uciec po dachach, unosząc podrapane kolana jako jedyny zysk z sześciomiesięcznej, ciężkiej pracy. Lecz ta pasztecziarka... Widziałeś ją, milordzie. Włosy ciemnoblond, niebieskie oczy, wdowi kosmyk*, a reszta równie wspaniała jak u Sofii Loren.

* Wdowi kosmyk - trójkąt włosów zachodzący kobiecie na czoło; według wierzeń ludowych zwiastuje to wczesne wdowieństwo (przyp. tłum.).

- Słabo, ale chyba sobie przypominam,

- Zatem nie widziałeś jej, milordzie, bo Natalia nie wywiera sła-

bego wrażenia. Miniona noc zamierzałem przespać smacznie i zdrowo, wiedząc, że czeka nas przelew krwi. Wiesz, milordzie, jak radzi Mistrz:

W nocy gaś światło i ruszaj w zaloty;

Rankiem, gdy dzień wstaje, bierz się do roboty!

Tyle, że nie uzgodniłem tego z Natalią. No i jestem tu teraz, niewyspany i bez śniadania i jeżeli przed zachodem słońca legnę martwy w kałuży własnej krwi, to po części będzie to zasługa Natalii.

- Ogołę twoje zwłoki. Rufo, obiecuję.

Minęliśmy znak graniczny innego hrabstwa, ale Star nie zwołała kroku.

- Przy okazji, gdzie się nauczyłeś fachu przedsiębiorcy pogrzebowego?

- Co? Ach! To było naprawdę daleko stąd. Na szczycie tego wzniesienia, za tymi drzewami, stoi dom - tam zjemy śniadanie. To mili ludzie.

- Dobrze! - Myśl o śniadaniu była jasnym promykiem w mroczkach żalu, jaki mnie ogarnął, gdyż znów zacząłem rozpamiętywać moje, godne harcerza, zachowanie minionej nocy. - Rufo, całkowicie mylisz się co do tych dziwnych rzeczy, jakie pies wyczyniał w nocy.

- Tak, milordzie?

- Pies niczego nie wyczyniał to właśnie było dziwne.

- Hmm, słyszałem, że wprost przeciwnie.

- To musiał być inny pies i inne miejsce. Przepraszam. Chciałem powiedzieć następującą rzecz: zeszłej nocy, w drodze do łóżka przydarzyło mi się coś śmiesznego - ale ja naprawdę przespałem ją smacznie i zdrowo.

- W rzeczy samej, milordzie?

- W rzeczy samej nic nie było, jedynie w myślach.

Musiałem to komuś powiedzieć, a temu łobuzowi mogłem zaufać. Opowiedziałem mu Historię Trzech Piękności.

- Powiniennem zaryzykować - zakończyłem. - I niech mnie licho, jeśli nie zrobiłbym tego, gdyby ta smarkuła leżała już w łóżku - swoim - gdzie było jej miejsce. A przynajmniej sądzę, że zrobiłbym to, nie bacząc na dubeltówkę pana domu czy ewentualne

skakanie przez okno. Rufo, dlaczego najlepsze dziewczyny zawsze mają ojców lub mężów? Jednak powiadam ci, że były tam: Duża, Średnia i Najmniejsza Naga Piękność, a stały tak blisko, że mogłem ich dotknąć i wszystkie trzy chętnie ogrzałyby mi łóżko - a ja nie zrobiłem nic! Jazda, śmieję się. Zasłużyłem na to.

Nie śmiał się. Odwróciłem się i spojrzałem na niego; patrzył na mnie dziwnie.

- Milordzie! Oscarze, mój druhu! Powiedz mi, że to nieprawda!

- Prawda - odparłem z irytacją, - I natychmiast pożałowałem swojej głupoty. Jednak za późno. A ty skarżysz się, że źle spędziłeś noc!

- O mój Boże! - Popędził swojego wierzchowca i ruszył naprzód. Ars Longa obejrzała się na mnie badawczo, lecz nie zmieniłem tempa.

Rufo dogonił Star; zatrzymali się opodal domku, w którym mieliśmy zjeść śniadanie. Czekali, aż do nich dołączyć. Twarz Star nie wyrażała żadnych uczuć; Rufo był okropnie zakłopotany.

Star powiedziała:

- Rufo, idź i poproś o śniadanie dla nas. Przynieś je tu. Chcę porozmawiać z milordem w cztery oczy.

- Tak, milady! - Czmychnął szybko.

Star spojrzała na mnie bez wyrazu.

- Panie bohaterze, czy to prawda? To, co powiedział mi twój giermek?

- Nie wiem, co powiedział.

- Rzecz dotyczy twego niepowodzenia - rzekomego niepowodzenia - zeszłej nocy.

- Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc o „niepowodzeniu”. Jeśli chcesz wiedzieć, co robiłem po bankiecie... Spałem sam. Kropka.

Westchnęła, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Chciałam usłyszeć to z twoich ust. Aby być sprawiedliwą.

Nagle wyraz jej twarzy zmienił się i jeszcze nigdy nie widziałem kogoś tak rozgniewanego. Cichym, prawie obojętnym głosem, zaczęła mi wyjaśniać, co o mnie myśli.

- Ty bohaterze. Ty niewiarygodny, tępotłowy bałwanie. Niezdarny, zarozumiały, nieokrzesany, pryszczaty, niedorobiony, nadmiernie umięśniony, zidiociały...

- Przestań!

- Cicho, jeszcze nie skończyłam. Obrażać trzy niewinne damy, znieważać porządnego...

- ZAMKNIJ SIĘ!!

Podmuch rozwiał jej włosy. Zanim doszła do siebie, zacząłem kontratak.

- Nigdy więcej tak do mnie nie mów, Star. Nigdy.

- Ale...

- Powściągnij swój język, nie wychowana smarkuło! Nie masz prawa mówić do mnie w ten sposób. Żadna dziewczyna nie będzie miała takiego prawa. W przyszłości zawsze - zawsze! - zwracaj się do mnie uprzejmie i z szacunkiem. Jeszcze jedno obraźliwe słowo, a przetrzepię ci tyłek, aż zapłaczesz rzewnymi łzami.

- Nie ośmielisz się!

- Zostaw miecz w spokoju albo odbiorę ci go, ściagnę ci spodnie na środku drogi i zleję cię nim po pupie. Aż tyłek ci spuchnie i zaczniesz błagać o litość. Star, ja nie walczę z kobietami - ale karzę niegrzeczne dzieciaki. Damy traktuję jak damy. Rozpuszczone bachory traktuję jak rozpuszczone bachory. Star, możesz być królową Anglii i władczynią Galaktyki w jednej osobie, ale jeśli znów obrazisz mnie CHOĆ JEDNYM SŁOWEM, spodnie idą w dół i nie usiądziesz przez tydzień. Rozumiesz?

Po chwili powiedziała cichutko:

- Rozumiem, milordzie.

- A ponadto rezygnuję z tego bohaterskiego interesu. Nie mam zamiaru słuchać czegoś takiego ponownie, ani pracować dla osoby, która chociaż raz mnie tak potraktowała.

Westchnąłem, zdawszy sobie sprawę z tego, że właśnie znów straciłem naszywki kaprała. Jednak bez nich zawsze czułem się lepiej i swobodniej.

- Tak, milordzie.

Ledwie ją słyszałem. Przyszło mi do głowy, że do Nicei jest bardzo daleko. Jednak to mnie nie martwiło.

- W porządku, zapomnijmy o tym.

- Tak, milordzie. - I dodała spokojnie. - Czy mogę jednak wyjaśnić, dlaczego tak się zachowałam?

- Nie.

- Tak, milordzie.

Dłuższą chwilę czekaliśmy bez słowa, aż powrócił Rufo. Zatrzymał się poza zasięgiem głosu, więc skinąłem, żeby się zbliżył.

Posililiśmy się w milczeniu; niewiele zjadłem, lecz piwo było dobre. Rufo usiłował rozbawić nas kolejną nieprawdopodobną opowieścią o innym swoim wuju. Nawet w Bostonie nie spotkałby się z chłodniejszym przyjęciem.

Po lunchu Star zawróciła wierzchowca - te „konie” mają niewielki promień skrętu jak na swoją długość, ale na niewielkiej przestrzeni lepiej obrócić je, prowadząc za wodze.

Rufo rzekł:

- Milady?

Odparła beznamiętnie:

- Wracam do Dorala.

- Milady! Proszę, nie!

- Drogi Rufo - powiedziała serdecznym, ale smutnym tonem. Możesz poczekać w tym domu, a jeśli nie wrócę w ciągu trzech dni, jesteś wolny.

Spojrzała na mnie i odwróciła wzrok.

- Mam nadzieję, że milord Oscar zechce mnie odprowadzić. Jednak nie proszę o to. Nie mam prawa.

Pojechała.

Miałem kłopoty z zawróceniem rumaka; niesporo mi szło. Star ujechała już spory kawałek drogi, zanim ruszyłem za nią.

Rufo, gryząc paznokcie, czekał aż obrócę; wtedy niespodziewanie wdrapał się na pokład i dołączył do mnie. Jechaliśmy bok w bok, trzymając się pięćdziesiąt kroków za Star. W końcu rzekł:

- To samobójstwo. Wiesz o tym, prawda?

- Nie, nie wiem.

- Ale tak jest.

- Czy to dlatego nie zadajesz sobie trudu i nie mówisz mi „panie”?

- Słucham, milordzie? - zaśmiał się krótko i rzekł: - Chyba tak. Nie ma sensu wygłupiać się, jeśli wkrótce masz umrzeć.

- Mylisz się.

- Co?

- „Co, milordzie”, jeśli łaska. Tak dla wprawy. Tylko zacznij od

zaraz, nawet jeśli pozostało nam nie więcej niż trzydzieści minut życia. Ponieważ teraz ja kieruję tym wózkiem - i to nie jako jej popychle. Nie chcę, żebyś miał w tej sprawie jakieś wątpliwości, kiedy zacznie się walka. W przeciwnym razie zawracaj, a ja klepnę twojego wierzchowca po zadzie, żeby zabrał się stąd jak najszybciej. Słyszysz?

- Tak, milordzie Oscarze. - I dodał w zadumie: - Jak tylko wróciłem, wiedziałem, że teraz ty jesteś szefem. Nie wiem, jak tego dokonałeś, milordzie. Jeszcze nigdy nie widziałem Jej tak uległej. Czy można zapytać...?

- Nie można. Jednak pozwalam ci zapytać Ją. Jeśli uznasz, że to bezpieczne. A teraz powiedz mi, o co chodzi z tym „samobójstwem” - i nie mów mi, że ona nie chce, abyś mi doradzał. Od tej pory będziesz mi dawał rady, ilekroć tego zażadam - i trzymał gębę na kłódkę, jeśli nie.

- Tak, milordzie. No dobrze, a więc o widokach na samobójstwo. Nie sposób ocenić szanse. Wszystko zależy od tego, jak wściekły jest Doral. Walki nie będzie, bo być nie może. Albo zatłuką nas, gdy wściubimy tam nos... albo będziemy bezpieczni aż do chwili, gdy opuścimy jego ziemię, nawet jeżeli każe nam zawrócić i natychmiast odjechać.

Rufo zamyślił się.

- Milordzie, jeśli wolno zgadywać... Hmm, wydaje mi się, że obraziłeś drażliwego Dorala tak, jak jeszcze nikt nigdy go nie obraził w jego długim życiu. Postawię dziesięć do jednego, że gdy tylko zjedziemy z drogi, naszpikują nas strzałami jak świętego Sebastiana, zanim zdążymy mrugnąć okiem.

- Star też? Przecież ona niczego nie zrobiła. I ty też, prawda?

(I ja też - dodałem w myślach. Co za kraj!) Rufo westchnął.

- Milordzie, każdy świat ma swoje obyczaje. Jock nie chciałby Jej skrzywdzić. Lubi Ją. Wprost przepada za Nią. Można rzec, że to jest miłość. Jednak jeśli zabije ciebie, będzie musiał zabić i Ją. Zgodnie z jego zasadami postąpiłby nieludzko, gdyby tego nie zrobił - a on jest wielkim moralistą; jest z tego znany. Oczywiście, mnie też zabije, ale ja się nie liczę. Musi Ją zgładzić, nawet jeśli zapoczątkuje tym łańcuch wypadków, które doprowadzą do jego niechybnej śmierci, gdy tylko rozejdzie się wieść. Zadaję sobie py-

tanie, czy on musi cię zabić? Znając tych ludzi, sądzę, że tak. Przykro mi... milordzie.

Przetrawiłem to w myślach.

- A więc dlaczego jedziesz z nami. Rufo?

- Milordzie?

- Na jedną godzinę możesz dać sobie spokój z tym tytułowaniem. Dlaczego z nami jedziesz, jeśli twoja ocena sytuacji jest trafna, twój miecz i łuk nie przesądzą sprawy. Star dała ci szansę ucieczki. Zatem dlaczego? Duma? Czy też jesteś w niej zakochany?

- O mój Boże, nie!

Po raz drugi zaszokowałem Rufo.

- Wybacz mi - mówił dalej. - Zaskoczyłeś mnie.

Zastanowił się.

- Chyba z dwóch powodów. Pierwszy, że jeśli Jock zechce się ukladać... No cóż, Ona jest wspaniałym negocjatorem. Drugi... - Tu zerknął na mnie. - Przyznaję, że jestem odrobinę przesądny. Ty masz szczęście. Sam widziałem. Dlatego wolę zostać przy tobie, nawet jeśli rozum nakazuje mi uciekać. Można wpaść w szambo i...

- Bzdury. Powinieneś wysłuchać historii o moim cholernym szczęściu.

- Może kiedyś go miałeś. Ja obstawiam bieżącą grę.

Zamilkł. Trochę później powiedziałem:

- Trzymaj się z tyłu.

Popędziłem wierzchowca i dogoniłem Star.

- Oto nasz plan - rzekłem. - Kiedy tam dojedziemy, zostaniesz na drodze z Rufo. Wjadę tam sam.

Jęknęła.

- Och, milordzie! Nie!

- Tak.

- Ale...

- Star, czy chcesz mnie z powrotem? Jako swego rycerza?

- Całym sercem!

- W porządku. Zatem rób, co mówię.

Zastanawiała się chwilę, zanim odpowiedziała.

- Oscarze...

- Tak, Star?

- Zrobie tak, jak chcesz. Jednak zanim zdecydujesz, co mu powiedzieć, czy pozwolisz mi wyjaśnić?

- Mów.

- Na tym świecie miejsce damy jest u boku jej rycerza. I w razie niebezpieczeństwa tam właśnie chciałabym być, mój Bohaterze. Szczególnie w razie niebezpieczeństwa. Jednak nie proszę o współczucie ani o pusty gest. Wiedząc to, co wiem, mogę z całkowitą pewnością przepowiedzieć, że jeśli wjedziesz tam pierwszy, zginiesz natychmiast, a po tobie ja i Rufo - gdy tylko nas dopadną. Co nie potrwa długo, gdyż nasze wierzchowce są zmęczone. Natomiast jeśli pojawię się tam sama...

- Nie.

- Proszę, milordzie. Wcale tego nie proponuję. Jeżeli pojedę tam sama, prawdopodobnie zginę równie szybko. A może, zamiast rzuć mnie na pożarcie świniom, każą mi je karmić i zabawiać świ-niarczyków - co byłoby karą bardziej litościwą niż sprawiedliwą, jeśli wziąć pod uwagę moje skrajne upodlenie, jakim byłby powrót bez ciebie. Ale Doral lubi mnie i chyba pozwoliby mi żyć... jako dziewczce od świń i nie lepszej od nich. W razie potrzeby mogłabym to zaryzykować i czekać na szansę ucieczki, ponieważ nie mogę sobie pozwolić na dumę; nie kieruję się nią, tylko koniecznością.

Mówiła, tłumiając łzy.

- Star, Star!

- Mój kochany!

- Co? Co powiedziałaś?

- Czy mogę tak mówić? Może nie zostało nam już wiele czasu. Mój Bohaterze... mój kochany!

Nie patrząc wyciągnęła do mnie rękę; podałem jej swoją.

- Już dobrze. Zdarza mi się być kobietą w najmniej spodziewanych chwilach. Nie, mój kochany Bohaterze, tylko w jeden sposób możemy tam wrócić; ramię w ramię, z godnością. Tak jest nie tylko najbezpieczniej, lecz jest to również jedyny sposób, w jaki chciałabym to uczynić.

- Dlaczego tak jest najbezpieczniej ?

- Ponieważ może - powiedziałam „może” - zechce z nami porozmawiać. Jeśli uda mi się powiedzieć choć dziesięć słów, pozwo-

li mi na sto. Potem na tysiąc. Może uda mi się uleczyć jego zranioną dumę.

- No dobrze. Jednak... Star, co ja mu zrobiłem, że czuje się dotknięty? Zadałem sobie sporo trudu, żeby go nie urazić!

Milczała chwilę, a potem stwierdziła:

- Jesteś Amerykaninem.

- I cóż to ma za znaczenie? Przecież Jock o tym nie wie.

- A jednak ma wielkie znaczenie. Racja, Ameryka pozostaje dla Dorala jedynie nazwą, bo choć wiele się uczył o wszechświatach, nigdy nie podróżował. Ale... nie będziesz, znów się na mnie złościł?

- Mmm... Bądźmy miłosierni. Mów, co musisz powiedzieć, ale wyjaśniaj, o co chodzi. Tylko już mnie nie objeżdżaj. Och, do licha, objeżdżaj mnie, ile chcesz - tym razem. Po prostu niech ci to wejdzie w nawyk... kochana.

Uścisnęła moją dłoń”.

- Nigdy więcej tego nie zrobię. Popełniłam błąd, nie biorąc pod uwagę tego, że jesteś Amerykaninem. Nie znam twojego kraju, w każdym razie nie tak dobrze jak Rufo. Gdyby on tam był... Jednak on uganiał się za dziewczkami w kuchni. Zdaje się, iż oczekiwałam, że kiedy zaproponowano ci gościnę pod dachem, przy stole i w łóżku, ty zachowasz się tak, jak w takiej sytuacji zachowałby się Francuz. Nawet nie podejrzewałam, że możesz ją odrzucić. Gdybym wiedziała, wymyśliłabym dla ciebie tysiące wymówek. Złożone śluby. Święto wyznawców twojej religii. Jock byłby rozczarowany, ale nie dotknięty; jest człowiekiem honoru.

- Ale... Niech to diabli, nadal nie rozumiem, dlaczego chce mnie ustrzelić za niezrobienie czegoś, za co w domu spodziewałbym się zostać zastrzelony. Czy w tym kraju mężczyzna musi przyjąć propozycję każdej dziewczyny? I dlaczego ona uciekła i poskarżyła się? Dlaczego nie zatrzymała tego w sekrecie? Do licha, nawet nie próbowała! Jeszcze wciągnęła w to córki!

- Kochanie, to wcale nie miał być sekret. On zapytał cię publicznie, a ty publicznie przyjałeś propozycję. Jakbyś się czuł, gdyby twoja wybranka w noc poślubną wykopała cię z sypialni? „Stół, dach i łoże”. Przyjałeś.

- „Łoże”. Star, w Ameryce łóżka są meblami wielofunkcyjnymi.

Czasami w nich śpimy. Po prostu śpimy. Nie zorientowałem się.

- Teraz wiem. Nie zrozumiałeś idiomu. Moja wina. Jednak teraz rozumiesz, dlaczego został tak całkowicie - publicznie - upokorzony?

- No cóż, ale sam się o to prosił. Zapytał mnie publicznie. Byłoby gorzej, gdybym wtedy powiedział „nie”.

- Wprost przeciwnie. Nie musiałeś przyjmować oferty. Mogłeś uprzejmie odmówić. Może jest najzręczniejsze, gdy bohater ucieka się do nieszkodliwego kłamstwa i odmawia ze względu na tragiczną niezdolność - czasową lub trwałą - wywołaną ranami odniesionymi w tej samej walce, w której udowodnił swój heroizm.

- Zapamiętam to sobie. Jednak nadal nie rozumiem, dlaczego w ogóle był tak zdumiewająco szczodry.

Odwróciła się i spojrzała na mnie.

- Kochany, czy nie obruszysz się, jeśli ci powiem, że ja zdumiewam się nieustannie, ilekroć rozmawiam z tobą? A sądziłam, że już nigdy nic nie zdoła mnie zdziwić.

- To uczucie jest wzajemne. Ty również nieustannie mnie zdziwiasz. Zresztą lubię to - pomijając jeden wypadek.

- Mój Bohaterze, czy sądzisz, że zwykły ziemski posiadacz często ma okazję zdobyć dla swego rodu syna Bohatera i wychować go jak własne dziecko? Czy nie rozumiesz piękającej żółci rozczarowania, kiedy pozbawiłeś go czegoś, co - jak sądził - publicznie mu obiecałeś? Jego wstydu? I wściekłości?

Rozważyłem tę myśl.

- No, niech mnie dunder świśnie! W Ameryce również zdarzają się takie rzeczy. Tyle że tam się tym nie chwala.

- Co kraj to obyczaj. Doral sądził, iż ma honor z bohaterem, który traktuje go jak brata. I spodziewał się, że przy odrobinie szczęścia zyska bohatera dla swego rodu.

- Zaczekaj chwilę! Czy to dlatego przysłał mi trzy? Żeby zwiększyć szanse?

- Oscarze, on chętnie przysłałby ci trzydzieści... Gdybyś tylko napomknął, że czujesz się dostatecznie bohatersko, żeby podjąć się takiej próby. A tak przysłał ci swoją pierwszą żonę i dwie ulubione córki.

Zawahała się.

- Wciąż nie rozumiem...

Urwała i zadała mi osobiste pytanie.

- Do licha, nie! - zaprotestowałem czerwieniąc się. - Nie, od kiedy skończyłem piętnaście lat. Zniechęciło mnie to, że jedna z nich była zaledwie dzieckiem. To przez nią. Tak myślę.

Star wzruszyła ramionami.

- Możliwe. Jednak ona nie jest dzieckiem; na Nevii jest kobietą. A nawet jeśli jest jeszcze nietknięta, założę się, że w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy zostanie matką. Ale jeśli tak wzdrygałeś się przed tą małą, to czemu jej nie wygoniłeś i nie spróbowałeś jej starszej siostry? Wiem, że ta osóbką nie jest dziewczyną, od kiedy urosły jej piersi - a słyszałam, iż Muri to „istny specjał”, jeśli dobrze dobrałam amerykańskie słowa.

Mruknąłem coś pod nosem. Myślałem o tym samym. Jednak nie zamierzałem omawiać tego ze Star. Star powiedziała:

- Pardonne - moi, mon cher? Tu as dit?

- Mówię ci, że podczas Wielkiego Postu nie dokonuję przestępstw seksualnych!

Wyglądała na zaskoczoną.

- Przecież Wielki Post już się skończył, nawet na Ziemi. A tu w ogóle go nie znają.

- Przepraszam.

- Mimo to jestem rada, że nie przedkładałeś Muri nad Letwę; po czymś takim Muri nieznośnie pyszniłaby się przed matką. Rozumiem jednak, że naprawisz ten błąd, jeśli uda mi się wyjaśnić sytuację? - I dodała: - Od tego zależy to, jaką przyjmę taktykę.

(Star, Star - to z tobą pragnę iść do łóżka!)

- Czy tego chcesz... kochana?

- Och, to bardzo by pomogło!

- W porządku. Ty tu jesteś lekarzem. Jedna, trzy lub trzydzieści - zrobię, co będę mógł. Tylko żadnych małych dziewczynek!

- Nie ma sprawy. Niech pomyślę. Jeśli Doral da mi powiedzieć tylko pięć słów...

Zamilkła. Jej dłoń była przyjemnie ciepła.

Ja też rozmyślałem o tym i owym. Te dziwne obyczaje miały konsekwencje, o jakich wołałem nie myśleć. Jeżeli Letva natychmiast powiedziała swojemu mężowi, jaki ze mnie świntuch.

- Star? A gdzie ty spałaś zeszłej nocy?

Spojrzała na mnie ostro.

- Milordzie - czy mogę cię prosić, żebyś nie wtykał nosa w cudze sprawy?

- Chyba tak. Jednak wszyscy wtykają go w moje.

- Przepraszam. Bardzo się niepokoję, a najpoważniejszych powodów do zmartwienia jeszcze nie znasz. To było uczciwe pytanie i wymaga uczciwej odpowiedzi. Gościniec zobowiązuje zawsze, a zaszczyt jest obustronny. Spałam w łóżku Dorała. Jednakże, jeśli to ma jakieś znaczenie - a dla ciebie może mieć, to nadal nie rozumiem Amerykanów - wczoraj zostałam ranna i rana wciąż mi dolegała. Jock jest miłym i dobrym człowiekiem. Spaliśmy. Tylko spaliśmy.

Usiłowałem potraktować to nonszalancko.

- Przykro mi z powodu rany. Czy jeszcze boli?

- Wcale nie. Opatrunek odpadnie jutro. Mimo to... Wczorajsza noc nie była pierwsza, jaką spędziłam pod dachem, przy stole i w łóżku Dorała. Jock i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi, bliskimi przyjaciółmi - i dlatego sądzę, iż mogę zaryzykować w nadziei, że poczeka kilka sekund, zanim mnie zabije.

- No cóż, domyśliłem się tego.

- Oscarze, zgodnie z twoimi normami moralnymi, według których cię wychowano, jestem dziwką.

- Och, nie! Księżniczką.

- Dziwką. Jednak nie pochodzę z twego kraju i zostałam inaczej wychowana. Według moich norm moralnych, a mnie one odpowiadają, jestem uczciwą kobietą. A teraz... Czy nadal jestem twoją najmilszą?

- Tak!

- Mój rycerzu. Nachyl się i pocałuj mnie. Jeśli umrzemy, niech moje wargi czują ciepło twych ust. Wjazd jest już za tamtym zakrętem.

- Wiem.

Kilka chwil później, z mieczami w pochwach i łukami zawieszonymi na plecach, znaleźliśmy się na środku strzelnicy.

ROZDZIAŁ X

Wyjeżdżaliśmy stamtąd po trzech dniach. Tym razem śniadanie było wystawne. Tym razem zegnaliśmy się wśród dźwięków muzyki. Tym razem jechał z nami Doral.

Rufo z trudem dotarł do swego wierzchowca, w każdej ręce trzymając butelkę, a obojgiem ramion obejmując dwie hoże dziewczynki, i wyściskany przez tuzin innych, został wsadzony na fotel i przypięty w półleżącej pozycji. Zasnął, głośno chrapiąc, nim jeszcze wyruszyliśmy.

Zostałem wycalowany więcej razy, niż zdołałbym zliczyć, a niektóre panny nie miały powodu robić tego tak żarliwie - ponieważ dopiero praktykowałem w fachu bohatera i musiałem wiele się jeszcze nauczyć.

Nie jest to zły fach mimo długich godzin pracy, ryzyka zawodowego i całkowitego braku poczucia bezpieczeństwa; ma swoje uboczne korzyści oraz wiele okazji i niespodziewanych możliwości dla człowieka z zacięciem i ochotą do nauki. Doral wyglądał na niezmiernie zadowolonego ze mnie.

Podczas śniadania opiewał moje wyczyny w tysięcznym poemacie. Jednak ja byłem trzeźwy i nie pozwoliłem, aby jego pochwały napępły mnie podziwem dla mojej własnej krzepy; zachowałem rozsądek. Najwidoczniej jakiś mały ptaszek regularnie składał mi sprawozdanie - lecz ta ptaszyna łągała aż miło. Wyczynów, jakie przypisywał mi Jocko, nie zdołałby dokonać Stalowy John Henry.

Mimo to przyjąłem pochwały z niewzruszonym wyrazem bohaterskiego oblicza, po czym wstałem i poczęstowałem ich balladą „Casey w polu”, wkładając całe serce i duszę w okrzyk: „Potężny Casey wybił ją z GRY!”

Star zatroszczyła się o wolny przekład. Wysławiałem (według jej słów) zalety dam z rodu Doral, na sposób przyjęty dla Madame Pompadour, Nell Gwyn, Teodory, Ninon d l'Enclos oraz Obszarpanej Lil. Nie wymieniła tych słynnych pań z nazwiska; wygłosiła istną neviańską odę pełną szczegółowych opisów, które spowodowałyby wytrzeszcz oczu Francois Villona.

Tak więc musiałem dać im coś na bis. Wygłosiłem „Córkę Reil-

ly'ego”, a potem „Jabberwocky”, z odpowiednią gestykulacją.

Star oddała ducha mego występu; powiedziała to, co sam powiedziałbym, gdybym umiał wygłaszać improwizowane poezje.

Po południu drugiego dnia natknąłem się na Star w łaźni parowej. Zawinięci w prześcieradła, przez godzinę leżeliśmy na sąsiednich kamieniach, pocąc się i regenerując tkanki. W końcu wyznałem jej, jak jestem zdziwiony i zadowolony. Uczyniłem to w dość niezręcznych słowach, ale Star była jedyną, przed którą ośmieliłem się otworzyć duszę.

Wysłuchiwała z powagą. Kiedy umilkłem, powiedziała spokojnie:

- Mój bohaterze, jak wiesz, nie znam Ameryki. Jednak sądząc po tym, co mówi mi Rufo, wasza kultura jest unikatowa pośród wszystkich wszechświatów.

- Hmm, zdaje sobie sprawę z tego, że Stany Zjednoczone nie są w tych sprawach tak wyrafinowane jak Francja.

- Francja! - wdzięcznie wrzuciła ramionami. - „Latynosi są kiepskimi kochankami”. Słyszałam to gdzieś i mogę zaświadczyć, że to prawda. Oscarze, o ile wiem, Ameryka jest jedynym z na pół cywilizowanych krajów, w którym miłości nie uważa się za najwspanialszą ze sztuk i nie poświęca jej należytej uwagi, na jaką zasługuje.

- Mówisz o sposobie, w jaki traktują ją tutaj. Phi! „To o wiele za dobra rzecz dla zwykłych ludzi”!

- Nie, nie mówię o sposobie, w jaki tutaj ją traktują - powiedziała po angielsku. - Mimo iż kocham naszych miejscowych przyjaciół, to barbarzyńcy, a ich sztuki również są barbarzyńskie. Och, w swoim rodzaju są niezłe, naprawdę niezłe; rzetelnie podchodzą do sprawy. Jednak - jeśli przeżyjemy i nasze kłopoty się skończą - chcę, żebyś odwiedził kilka różnych wszechświatów. Zobaczysz, co mam na myśli.

Wstała i owinęła się prześcieradłem jak toga.

- Cieszę się, że jesteś zadowolony, mój Bohaterze. Jestem z ciebie dumna.

Leżałem tam jeszcze przez chwilę, rozmyślając o tym, co mi powiedziała. „Najwspanialsza ze sztuk” - a my, tam w domu, nie poświęcamy jej wiele uwagi, a nawet jej nie nauczamy. Tancerze baletowi ćwiczą latami. W Metropolitan Opera też nie występuje

każdy, kto ma donośny głos.

Dlaczego „miłość” miałyby zostać zaliczana do „instynktów”? Na pewno apetyt seksualny jest instynktem - lecz czy i inny rodzaj apetytu czyni z żarłoka smakosza, a z każdego kuchcika mistrza kuchni? Do licha, nawet na kuchcika trzeba się uczyć.

Wymaszerowałem z łaźni, pogwizdując „Najlepsze rzeczy w życiu są za darmo” - a potem urwałem gwałtownie, w nagłym przypływie współczucia dla moich biednych, nieszczęśliwych współziomków, którzy w wyniku największego oszustwa w historii świata zostali okradzeni z należnych im praw.

Mile dalej Doral pożegnał się z nami, uściskawszy mnie, ucałowawszy Star i czule wicherząc jej włosy; potem on i jego świta dobyli mieczy i unieśli je w salucie, aż zniknęli nam z oczu, gdy mineliśmy następne wzniesienie. Star i ja jechaliśmy ramie w ramie, a Rufo chrapał z tyłu.

Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że powstrzymuje śmiech. Pochwyciła moje spojrzenie i rzekła z udaną powagą:

- Dzień dobry, milordzie.
- Dzień dobry, milady. Dobrze spałaś?
- Dzięki, milordzie, bardzo dobrze. A ty?
- Również, dziękuję.
- A więc? Cóż to za dziwne rzeczy wyczyniał w nocy ten pies?
- Pies niczego nie wyprawiał w nocy i właśnie to było niezwykle
- odpowiedziałem, nie mrugnawszy okiem.

- Naprawdę? Co za nienormalny* pies! Zatem któż tak damę ściskał z całej mocy! Mój promienny chłopcze!

* Gra słów; w oryginale gay - wesoły, dziarski lub o skłonnościach seksualnych (przyp. tłum.).

- Nie próbuj mnie omotać swoją gadaniną, rozwiązała dziewczko - powiedziałem srogo. - Mam przyjaciół i... mogę przedstawić alibi. Ponadto „sił mam za dziesięciu, gdy me serce jest czyste”.

- „I przenoszę wiele nad jedną”. Tak, wiem; twoi przyjaciele opowiedzieli mi o tym, milordzie.

Nagle uśmiechnęła się szeroko, klepnęła mnie w udo i zaczęła głośno śpiewać partię chóru z „Córki Reilly'ego”. Vita Brevis prychnął; Ars Longa nastawiła ucha i obejrzała się z dezaprobatą.

- Przestań - powiedziałem. - Konie są zaszokowane.
 - To nie są konie i nie można ich zaszokować. Milordzie, czy widziałeś, jak one to robią? Pomimo tych wszystkich nóg? Najpierw...
 - Pohamuj język! Ars Longa jest damą, nawet jeśli ty nią nie jesteś.
 - Ostrzegałam cię, że jestem dziwką. Najpierw ustawia się bokiem...
 - Już to widziałem. Muri sądziła, że to mnie rozbawi. Zamiast tego popadłem w kompleks niższości na całe popołudnie.
 - Jestem skłonna sądzić, iż nie na całe popołudnie, panie Bohaterze. Zaśpiewajmy więc o Reillym. Podaj ton, ja będę wtórować.
 - Dobrze... Ale nie za głośno, obudzimy Rufo.
 - Na pewno nie, jest zabalsamowany.
 - A więc pobudzisz mnie, co będzie dużo gorsze. Star, kochanie, kiedy i gdzie Rufo był przedsiębiorcą pogrzebowym? I w jaki sposób zmienił fach i wpakował się w ten interes? Czy wypędzili go z miasta?
- Zrobiła wielkie oczy.
- Przedsiębiorca pogrzebowy? Rufo? Nie.
 - Był bardzo przekonujący.
 - Ach, tak? Milordzie, Rufo ma wiele wad. Jednak prawdopodobność nie jest jedną z nich. Co więcej, nasz lud nie potrzebuje przedsiębiorców pogrzebowych.
 - Nie? A więc co robicie ze zwłokami? Przecież nie zostawiacie ich na stercie w saloniku. To niehigieniczne.
 - Też tak sądzę, ale nasi rodacy tak właśnie postępują; trzymają je w salonie. Przynajmniej przez kilka lat. Niezmiernie sentymentalny zwyczaj, jesteście uczciwym narodem. Mimo to, można z tym przesadzić. Jedna z moich ciotek trzymała w sypialni wszystkich swoich poprzednich mężów - co powodowało okropny ścisk i było strasznie nudne, ponieważ wciąż o nich mówiła, powtarzając się i wyolbrzymiając fakty. Przystałam ją odwiedzać.
 - No tak. Czy odkurzała ich czasem?
 - Och, tak. Bardzo dbała o porządek.

- Hmm. Ilu ich było?
- Siedmiu czy ośmiu. Nigdy nie liczyłam.
- Rozumiem. Star, czy nie miałaś przypadkiem czarnej wdowy w rodzinie?

- Czego? Och! Kochany, przecież każda kobieta ma w żyłach krew czarnej wdowy.

Pokazała dołeczki, wyciągnęła rękę i poklepała mnie po kolanie.

- Jednak cioteczka ich nie zabijała. Wierz mi, mój Bohaterze, kobiety w mojej rodzinie zbyt lubią mężczyzn, aby ich marnować. Nie, ona po prostu nie mogła pogodzić się z myślą, że ich traci. Uważam, że to głupie. Trzeba patrzeć przed siebie, a nie oglądać się wstecz.

- „I niech martwych martwa przeszłość pogrzebie”. Słuchaj, jeśli twoi rodacy trzymają nieboszczyków w domu, to musicie mieć przedsiębiorców pogrzebowych. A przynajmniej speców od balsamowania. Czy też u was nic się nie psuje?

- Balsamowanie? Och, nie! Po prostu umieszczamy ich w polu zerczasowym, kiedy jesteśmy pewni, że umarli. Albo umierają. Każdy uczeń potrafi to zrobić.

I dodała:

- Może myślę się co do Rufo. Spędził wiele czasu na twojej Ziemi - podoba mu się tam, fascynuje go wasz świat - i mógł prowadzić przedsiębiorstwo pogrzebowe. Jednak wydaje mi się, że to dla niego zbyt uczciwe i rzetelne zajęcie.

- Jeszcze nie powiedziałaś mi, co twoi ziomkowie robią w końcu z nieboszczykami.

- Nie chowają ich. Taki pomysł uznaliby za szokujący.

Star wzdrygnęła się.

- Ja również, chociaż podróżowałam po wszechświatach i nauczyłam się nie dziwić żadnym zwyczajom.

- No więc co?

- Przeważnie to, co ty zrobiłaś z Iglim. Stosują rozwiązania geometryczne i pozbywają się zwłok.

- Ach tak, Star, gdzie się podział Igli?

- Nie potrafię zgadnąć, milordzie. Nie miałam okazji dokonać obliczeń. Może wiedzą ci, którzy go stworzyli. Ale myślę, że ich to zaskoczyło jeszcze bardziej niż mnie.

- Chyba jestem tępy, Star. Ty nazywasz to geometrią; Jocko nazwał mnie „matematykiem”. A przecież zrobiłem tylko to, do czego zmusiły mnie okoliczności; nie rozumiem tego.

- .Można rzec, iż to raczej Igli został zmuszony, panie Bohaterze. Co się dzieje, kiedy wywierasz przemożny nacisk na jakiś obiekt, tak że nic może pozostać w miejscu, w którym się znajduje? Nie pozostawiając mu żadnej drogi ucieczki. To podstawowy problem geometrii metafizycznej, najstarszy praparakoks - o przemożnej sile i nieruchomym obiekcie. Masa ulega implozji. Zostaje wyciśnięta ze swojego świata do jakiegoś innego. W ten sposób ludy Wszechświata często odkrywają inne światy - lecz zazwyczaj z opłakanym skutkiem, tak jak stało się to z Iglim; mogą minąć tysiąclecia, zanim udaje im się opanować ten proces. Przez długi czas może być uważany za „czary”; czasem działa, niekiedy zawodzi, czasem uderza rykoszetem w magika.

- I ty nazywasz to „matematyką”?

- A jakże inaczej?

- Ja nazwałbym to magią.

- Tak, oczywiście. Jak już powiedziałam Jockowi, masz wrodzone zdolności. Mógłbyś zostać wielkim magiem.

Niepewnie wzruszyłem ramionami.

- Nie wierzę w czary.

- Ja też nie - odparła. - Przynajmniej nie w takie, jak myślisz. Wierzę w to, co istnieje.

- Właśnie o tym mówię, Star. Nie wierzę w żadne hokus-pokus. To, co stało się z Iglim - chcę powiedzieć, co pozornie stało się z Iglim - nie mogło się zdarzyć, ponieważ byłoby pogwałceniem prawa zachowania masy i energii. Musi istnieć jakieś inne wytłumaczenie.

Star grzecznie milczała.

Odwołałem się więc do zdrowego rozsądku i związanej z nim ignorancji oraz uprzedzeń.

- Słuchaj, Star, nie zamierzam uwierzyć w coś niemożliwego tylko dlatego, że byłem tego świadkiem. Prawa natury są prawami natury. Musisz to przyznać.

Przejechaliśmy kilka stacji, zanim odparła:

- Jeśli to ma sprawić przyjemność panu Bohaterowi, wyja-

śniam, że świat nie jest takim, jakim chcielibyśmy go mieć. Jest taki, jaki jest. Nie, zakładam zbyt pochopnie. Może istotnie jest takim, jakim chcielibyśmy go widzieć. W każdym razie jest taki, jaki jest. Le Voila! I musisz go takim przyjąć. Das Dind an sich. Posmakuj go. On jest. Ai-je-rai-son? Czy dobrze mówię?

- Przecież tak właśnie mówiłem. Wszechświat jest, jaki jest, i nie można go zmienić kuglarskimi sztuczkami. Funkcjonuje dzięki ściśle określonym prawom jak maszyna.

(Tu zawahałem się, przypomniawszy sobie nasz samochód o hipochondrycznych skłonnościach. „Chorował”, a potem uległ cudownemu „ozdrowieniu”, gdy tylko zaczynał go oglądać mechanik.)

Stanowczo wróciłem do tematu:

- Prawa natury nie miewają wakacji. Niezmiennność praw natury jest kamieniem węgielnym nauki.

- Zgadza się.

- No więc? - naciskałem.

- Tym gorzej dla nauki.

- Przecież... - zamknąłem się i jechałem w ponurym milczeniu.

W końcu smukła dłoń dotknęła pieszczotliwie mojego ramienia.

- Masz takie silne ramię - powiedziała łagodnie Star. - Milordzie, czy mogę ci coś wyjaśnić?

- Mów - rzekłem. - Jeśli zdołasz mnie przekonać, to uda ci się też nawrócić papieża na mormonizm. Jestem uparty.

- Czy spośród setek miliardów wybrałabym ciebie na mego rycerza, gdybyś nie był?

- Setek miliardów? Masz na myśli miliony, prawda?

- Posłuchaj, milordzie. Zaufaj mi. Rozważmy to sokratycznie. Ja będę zadawała podchwytliwe pytania, a ty udzielaj głupich odpowiedzi - i dowiemy się, kto golił cyrulika. Potem zamieniamy się rolami i ja obejmę rolę przygłupa. Dobrze?

- W porządku, wrzuc monetę.

- Świetnie. Pytanie: Czy obyczaje rodu Dorala są zwyczajami, do jakich przywykłeś w domu?

- Co takiego? Wiesz, że nie. Nigdy nie byłem bardziej oniemiały, od kiedy córka kaznodziei zabrała mnie na dzwonnice, żeby pokazać Ducha Świętego.

Zachichotałem głupkowato.

- Teraz zaczerwieniłbym się, ale przepaliłem już bezpieczniki.

- A przecież podstawowa różnica między neviańskimi obyczajami a zwyczajami twego kraju polega na jednym założeniu, mi-lordzie, że są światy, na których samce zabijają samice zaraz po złożeniu jaj i takie, gdzie samice zjadają samców zaraz po zapłodnieniu - jak ta czarna wdowa, którą raczyłeś uczynić moją kuzynką.

- Nie myślałem tak naprawdę, Star.

- Nie poczułam się dotknięta, kochanie. Zniewaga jest jak trunk; skutkuje tylko wtedy, jeśli się ją przyjmie. A duma to zbyt ciężki bagaż w tej podróży; nie zabrałam jej ze sobą. Oscarze, czy uznałbyś tamte światy za dziwniejsze od tego?

- Mówisz o pajakach i tym podobnych stworzeniach. Nie o istotach rozumnych.

- Mówię o rozumnych istotach, dominującym gatunku na każdym ze światów, posiadających wysoko rozwiniętą cywilizację.

- Uch!

- Kiedy ich zobaczysz, nie powiesz „uch”. Są od nas tak odmienni, że ich życie rodzinne nie ma dla nas żadnego znaczenia. W porównaniu z ich światami, ta planeta jest bardzo podobna do twojej Ziemi - a jednak twoje zwyczaje zaparły dech w piersi staremu Jockowi. Najmilszy, na twojej planecie istnieje pewien obyczaj, jakiego nie znajdzie się w żadnym z wszechświatów. A przynajmniej w dwudziestu znanych mi wszechświatach spośród tysięcy milionów czy iluś tam wszechświatów. W tych dwudziestu jedynie na Ziemi panuje ten zdumiewający zwyczaj.

- Czy mówisz o wojnie?

- Och nie! Większość światów prowadzi jakieś wojny. Nevia jest jedną z nielicznych, na których zabija się pojedynczo, a nie zbiorowo. To planeta Bohaterów i zabijają się tu z uczuciem. To świat miłości i rzezi; obu oddaje się w radosnym rozpasaniu. Nie, mam na myśli coś bardziej szokującego. Potrafisz zgadnąć?

- Hmm... reklamy telewizyjne?

- Coś w tym stylu, chociaż nie to. Macie takie wyrażenie: „najstarszy zawód świata”. Tutaj - na wszystkich znanych mi planetach - nie jest to nawet najmłodszy. Nikt o nim nie słyszał i nikt

nie uwierzyłby, gdyby mu powiedzieć. Ci nieliczni, którzy odwiedzili Ziemię, nie opowiadają o tym. Jakkolwiek i tak nie miałyby to znaczenia; ludzie nie wierzą w opowieści podróżników.

- Star, czy chcesz mi powiedzieć, że prostytutka jest zjawiskiem nieznanym we wszechświecie?

- We wszechświatach, mój miły. Całkowicie.

- Wiesz co - rzekłem w zadumie - to będzie szok dla mojego sierżanta. W ogóle żadnej?

- Chcę powiedzieć - rzekła prosto z mostu - że kurewstwo zdaje się być wynalazkiem Ziemi i nikogo innego. Ta idea wpędziłaby starego Jocko w impotencję. On jest pruderyjnym moralistą.

- Niech mnie diabli! Ależ z nas kupa świntuchów.

- Nie chciałam cię obrazić, Oscarze; przytaczam fakty. Ale to ziemskie dziwactwo nie jest dziwne samo w sobie. Każdy towar można sprzedać - kupić, sprzedać, wynająć, wydzierżawić, zamienić, prehandlować, przecenić, stabilizować lub podbić jego cenę, zakazać rozprowadzania lub zalegalizować - i kobiety „towar”, jak czasem nazywają go na Ziemi co uczciwsi, nie jest wyjątkiem. Jedyną zdumiewającą rzeczą jest niezwykle pomysł, aby traktować go jako towar. Wiesz, to mnie tak zaskoczyło, że kiedyś nawet... Nieważne. Wszystko może być towarem. Kiedyś pokażę ci cywilizacje żyjące w przestrzeni kosmicznej, nie na planetach - i nie opierając się na żadnych fundamentach, bo nie wszystkie wszechświaty mają planety - społeczeństwa, w których życiodajne powietrze sprzedaje się jak kilogram masła w Prowansji. Inne są tak zatłoczone, że przywilej utrzymania się przy życiu podlega opodatkowaniu - a niewypłacalni są zabijani na miejscu przez urzędników Ministerstwa Skarbu, ich sąsiedzi zaś nie tylko w tym nie przeszkadzają, ale są zadowoleni.

- Wielki Boże! Dlaczego?

- Uporali się z problemem śmierci, milordzie, a większość z nich nie chce emigrować pomimo istnienia o wiele przestronniejszych planet. Jednak mówimy o Ziemi. Nie tylko kurewstwo nie jest znane nigdzie indziej, ale i jego odmiany: posag, wykup panny młodej, alimenty, świadczenia separacyjne - wszystkie te warianty ubarwiają życie ziemskich instytucji. Nigdzie nie ma jakiegokolwiek zwyczaju choćby luźno związanego z tym niewiarygodnym

konceptem, że to, czego wszystkie kobiety mają niewyczerpany zapas, może w ogóle być towarem, który można gromadzić i sprzedawać.

Ars Longa prychnęła z odrazą. Nie, nie sędzę, żeby zrozumiała. Rozumie trochę po neviańsku, lecz Star mówiła po angielsku; w neviańskim języku brakowało odpowiednich słów.

- Nawet wasze pochodne zwyczaje - mówiła dalej - są ukształtowane przez tę unikalną instytucję. Odzież - zauważyłeś, że tutaj nie ma istotnej różnicy w tym, jak ubierają się obie płci?

Dziś rano włożyłam rajstopy, a ty jesteś w szortach, lecz gdyby było odwrotnie, nikt nie zwróciłby na to uwagi.

- Akurat. Twoje rajstopy nie weszłyby na mnie.

- Są rozciągliwe. Ponadto wstydlivość wynikająca z odmiennych sposobów ubierania się płci. Tutaj nagość nie zwraca niczyjej uwagi, tak jak na tej wysepce, na której cię znalazłam. Wszystkie bezwłose ludy zakładają czasem odzież i wszystkie istoty rozumne, choćby nie wiem jak owłosione, noszą ozdoby - lecz tabu nagości spotyka się wyłącznie tam, gdzie ciało jest towarem do zapakowania lub wystawienia... Na Ziemi. Można to porównać z wywieszka „Nie dotykać grejpfrutów” i z wkładaniem fałszywego dna kosza z jagodami. Jeśli nie ma się o co targować, nie trzeba z tego robić tajemnicy.

- A więc jeśli pozbedziemy się odzieży, zniknie prostytutka?

- Wielkie nieba, nie! Opatycznie mnie zrozumiałeś.

Zmarszczyła brwi.

- Nie mam pojęcia, jak można zlikwidować na Ziemi prostytutkę; za bardzo jest związana ze wszystkim, co robicie.

- Star, pomieszałaś pojęcia. W Ameryce prawie nie ma prostytutki.

Wyglądała na zdumioną.

- Naprawdę? Przecież... Czy „alimenty” nie są amerykańskim terminem? A „łowca posagów”? Albo „różowy balecik”?

- Tak, ale prostytutka prawie już znikła. Do licha, nie wiedziałbym gdzie szukać burdelu, nawet w garnizonowym miasteczku. Nie mówię, że nie znalazłbym panienki. Jednak to nie jest skomercjalizowane. Star, stawiam dziesięć do jednego, że gdybyś zaproponowała pięć czy dwadzieścia dolarów amerykańskiej dziew-

czynnie - nawet znanej z tego, że rzadko odmawia - dostałabyś od niej po twarzy.

- No to jak się to odbywa?

- Trzeba być dla niej miłym. Zabrać ja na kolację, może na jakieś przedstawienie. Kupić jej kwiaty, dziewczęta bardzo lubią kwiaty. A potem delikatnie przejść do rzeczy.

- Oscarze, czy ta kolacja i przedstawienie, a nawet kwiaty, kosztują więcej niż pięć dolarów? Albo i dwadzieścia? O ile wiem, ceny w Ameryce są tak samo wysokie jak we Francji.

- No tak, lecz nie możesz po prostu uchylić kapelusza i spodziewać się, że dziewczyna położy się na wznak. Kutwa i dusi-grosz...

- Poddaję się. Próbowałem ci tylko uświadomić, że zwyczaje na różnych planetach mogą być zaskakująco odmienne.

- To prawda, nawet za Ziemi. Jednak...

- Proszę, milordzie. Nie zamierzam spierać się o cnoty amerykańskich kobiet i nie krytykowałam ich. Gdybym wychowała się w Ameryce, myślę, że zażądałabym co najmniej bransoletki wysadzonej szmaragdami, a nie kolacji i spektaklu. Chodziło mi o przedmiot naszej pierwotnej dyskusji - o „prawa natury”. Czy zmienność praw natury nie jest założeniem apriorycznym? Nawet na Ziemi?

- No... Źle ujęłaś pytanie. Sadzę, iż jest takim. Jednak jeszcze nie było przypadku, żeby okazało się ono fałszywe.

- Żadnych czarnych łabędzi? Czyż nie mogło być tak, że obserwator, który zauważył taki przypadek, wolał nie wierzyć własnym oczom? Tak jak ty nie chcesz uwierzyć, że Igli sam się... Nieważne. Zostawmy Sokratesa jego Ksantypie. Prawa natury mogą być niezmiennie w jakimś wszechświecie - i wydaje się, iż takie są, w niektórych stabilnych wszechświatach. Jednak nie ulega wątpliwości, że są różne w różnych wszechświatach - a w to musisz uwierzyć, milordzie, inaczej żadne z nas nie pożyje długo!

Zastanowiłem się nad tym. Niech to diabli, gdzie podział się ten Igli?

- To bardzo irytujące.

- Nie bardziej irytujące, niż zmiana języka i zwyczajów przy przenoszeniu się z kraju do kraju, kiedy już do tego przywykniesz.

Ile pierwiastków chemicznych występuje na Ziemi?

- Mm... Dziewięćdziesiąt dwa i kupa takich, które późno wpadły do worka. Sto sześć lub sto siedem.

- Tu jest bardzo podobnie. Mimo to ziemski chemik przeżyłby tu szok. Te pierwiastki nie są identyczne i nie zachowują się tak samo. Bomby wodorowe tutaj nie będą działać, a dynamit nie wybuchnie.

- Hej, zaczekaj! - przerwałem ostro. - Czy chcesz powiedzieć, że - sprowadzając sprawę do podstaw - elektrony i protony nie są tu takie same?

Wzruszyła ramionami.

- Może tak, może nie. Czym jest elektron, jeśli nie matematyczną koncepcją? Zjadłeś ostatnio jakiś? A może nasypałeś soli na ogon jakiejś cząstce falowej? Czy to ważne?

- Piekielnie ważne. Z powodu braku mikroelementów można umrzeć z głodu równie dobrze, jak z braku chleba.

- To prawda. My, ludzie, musimy zabierać ze sobą żywność, odwiedzając niektóre światy - a czasem trzeba się na nie udać, choćby po to, żeby się przesiąść. Jednak tutaj i w każdym ze wszechświatów oraz niezliczonych planet, gdzie żyją ludzie, nie musisz się martwić; miejscowa żywność nadaje się do jedzenia. Oczywiście, gdybyś żył tu wiele lat, a potem wrócił na Ziemię i zaraz umarł, a ktoś przeprowadziłby sekcję, stosując najdokładniejsze metody mikroanalizy, analityk mógłby nie uwierzyć własnym oczom. Lecz twojemu żołądkowi nie sprawiłoby to różnicy.

Pomyślałem o tym, mając brzuch napchany wspaniałym żarciem i wdychając otaczające mnie rześkie powietrze. Moje ciało z pewnością nie przejmowało się ewentualnym istnieniem różnic, o jakich mówiła Star.

A później przypomniałem sobie pewien aspekt życia, w którym małe różnice mogły prowadzić do ogromnych różnic. Zapytałem o to Star. Spojrzała na mnie niewinnie.

- Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie, milordzie? Znikniesz stąd na długo przed tym, zanim zacznie to być ważne dla Dorala. Sądziłam, że w ciągu tych trzech dni twoich jedynym celem była po prostu pomoc w rozwiązaniu moich problemów. Oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego, że ta praca sprawiała ci przyjemność -

doskonale wczułeś się w sytuację.

- Niech to diabli, przestań się ze mnie nabijać! Próbowałem ci pomóc. Jednak człowiek nie może powstrzymać pewnych myśli.

Klepnęła mnie po udzie i zaśmiała się.

- Och, mój ty kochany! Przestań się martwić; ludzkie rasy wszystkich wszechświatów mogą się krzyżować. Z niektórych krzyżówek rzadko powstają owoce, a inne są bezpłodne. Lecz ta do nich nie należy. Będiesz tutaj ciałem, nawet jeśli nigdy tu nie wrócisz. Nie jesteś bezpłodny; to jedna z wielu rzeczy, jakie sprawdziłam, gdy badałam twoje piękne ciało w Nicei. Nigdy nie można przewidzieć biegu wypadków, ale... Myślę, że Doral nie będzie rozczarowany.

Pochyliła się ku mnie.

- Czy nie zechciałbyś podać swojemu lekarzowi kilku dokładniejszych informacji niż te w pieśni Jocko? Mogłabym pokusić się o analizę opartą na rachunku prawdopodobieństwa. Albo spróbować wizji.

- Nie, nie ma mowy! Wścibinos.

- To oznacza długi nos, prawda! Jak uważasz, milordzie. Jeśli rozważać rzecz pod mniej osobistym kątem, fakt krzyżowania się ludzkich istot z różnych wszechświatów - a także niektórych zwierząt, takich jak psy i koty - jest niezwykle interesującym zagadnieniem. Jedynym pewnikiem jest to, iż istoty ludzkie mogą rozwijać się i żyć wyłącznie na planetach pokrewnych chemicznie, na których pierwiastki wchodzące w skład kwasu dezoksyrybonukleinowego są tak podobne, że nie ma to znaczenia. Co do reszty, każdy uczonec ma swoją teorię. Niektórzy składają się do wyjaśnienia teologicznego, zakładającego, że Człowiek powstał z takich samych podstawowych cząsteczek, w każdym wszechświecie zapewniającym mu warunki do życia, w myśl Boskiego Planu - lub dzięki nieuchronnej konieczności, zależnie od tego, czy naukowiec traktuje religię poważnie, czy rozcieńcza ją wodą sodową. Inni uważają, że w pewnej chwili powstaliśmy - albo zostaliśmy stworzeni - i rozproszyliśmy się po różnych wszechświatach. Ci spierają się, który wszechświat był kolebką naszej rasy.

- O co tu się kłócić? - zaprotestowałem. - Na Ziemi znaleziono skamieniałe dowody ewolucji człowieka. Inne planety posiadają

takie dowody lub inne i to powinno załatwić sprawę.

- Jesteś pewien, milordzie? Sądziłam, że drzewo rodowe człowieka na Ziemi ma tyle ślepych odgałęzień, ilu bękartów można znaleźć w królewskich rodzinach Europy.

Zamknąłem się. W końcu przeczytałem tylko kilka popularnych książek. Może miała rację; rasa, która nie potrafi zgodzić się co do tego, kto co komu uczynił w czasie wojny zakończonej zaledwie dwadzieścia lat temu, prawdopodobnie nie może wiedzieć, co Alley Oop zrobił panience z gałęzi piętro wyżej przed milionem lat, jeśli jedynym dowodem jest kupka pobielających kości. Mało było mistyfikacji? Na przykład Człowiek z Piltown i tym podobne odkrycia?

Star mówiła dalej:

- Gdziekolwiek leży prawda, istnieją jakieś przecieki między wszechświatami. Na twojej planecie liczba zaginionych sięga setek tysięcy i nie wszyscy uciekają od żon lub przed prawem; zajrzyj do kartotek pierwszego lepszego komisariatu. Jednym z pospolitych miejsc jest pole bitwy. Napięcie staje się zbyt wielkie i człowiek prześlizguje się przez dziurę, której istnienia nie podejrzewał - po czym zostaje „zaginionym w akcji”. Czasami - niezbyt często - ktoś jest świadkiem takiego zniknięcia. Jeden z waszych amerykańskich pisarzy, Bierce czy Pierce, interesował się takimi przypadkami i gromadził ich opisy. Zebrał ich tak wiele, że i on też został zabrany. Na Ziemi znane jest również odwrotne zjawisko - mówię o różnych „Kasperach Hauserach”, osobach znikąd, mówiących nieznanym nikomu językiem i nie potrafiących wyjaśnić”, skąd się wzięły.

- Zaczekaj! Dlaczego wyłącznie ludzie?

- Wcale nie powiedziałam, że „wyłącznie ludzie”. Nigdy nie słyszałeś o deszczu żab? Lub kamieni? Albo krwi? Kto pyta, skąd się wziął bezański kot? Czy wszystkie latające spodki są złudzeniem optycznym? Zapewniam cię, że nie wszystkie; w niektórych znajdują się biedni, zagubieni astronauty, szukający drogi do domu. Mój lud rzadko korzysta z podróży kosmicznych, gdyż podróżowanie z szybkością nadświetlną jest najpewniejszym sposobem zagubienia się we wszechświatach. Wolimy bezpieczniejszą metodę geometrii metafizycznej lub - mówiąc wulgarnie - „magii”.

Star zamyśliła się.

- Milordzie, twoja Ziemia może być ojczyzną ludzkości. Niektórzy uczeni tak sądzą.

- Dlaczego?

- Styka się z tak wieloma innymi światami. Znajduje się na pierwszym miejscu listy punktów transferowych. Gdyby twoja rasa uczyniła ją nieprzydatną do życia - mało prawdopodobne, chociaż nie niemożliwe - spowodowałoby to przerwę w ruchu między tuzinem wszechświatów. Na Ziemi od wieków istnieją zakłete kręgi. Bramy i Mosty Bifrostu; ten, którego użyliśmy w Nicei, był tam jeszcze przed przybyciem Rzymian.

- Star, jak możesz mówić o punktach na Ziemi „stykających się” z innymi planetami - i to co najmniej od wieków? Ziemia porusza się dookoła Słońca z prędkością dwudziestu mil na sekundę lub coś koło tego i obraca się wokół swojej osi, że nie wspomnę już o innych ruchach, które składają się na skomplikowaną krzywą, pokonywaną z niesłychaną szybkością. Jakże więc może „stykać się” z innymi światami?

Znów jechaliśmy w milczeniu. W końcu Star powiedziała:

- Mój Bohaterze, jak długo uczyłeś się rachunku różniczkowego?

- No cóż, jeszcze się go nie nauczyłem. Choć uczono mnie kilka lat.

- Czy możesz mi powiedzieć, jak to się dzieje, że cząsteczka może być falą?

- Co? Star, to mechanika kwantowa, a nie rachunek różniczkowy. Mógłbym dać ci jakieś wyjaśnienie, ale niewiele by tłumaczyło; za słabo znam matematykę. Inżynierowi nie jest to potrzebne.

- Najprościej byłoby - rzekła nieśmiało - odpowiedzieć na twoje pytanie, mówiąc: „to czary”, tak jak ty odpowiedziałeś na moje słowami: „to mechanika kwantowa”. Jednak nie lubisz tego słowa, więc powiem tylko, że jeśli postudiujesz geometrię metafizyczną, wielowymiarową, jak również topologiczną i krytyczną - jeżeli zechcesz podjąć te nauki - z przyjemnością udzielę ci odpowiedzi. Tylko że wtedy nie będziesz jej już potrzebował.

(Powiedziano mi kiedyś: Poczekaj, aż podrośniesz, mój drogi, wtedy zrozumiesz? Jako dzieciak nie lubiłem wysłuchiwać tego od

dorosłych; jeszcze mniej podobało mi się, gdy usłyszałem to z ust dziewczyny, którą kochałem, będąc już zupełnie duży.)

Star nie pozwoliła mi pograżyć się w ponurych rozmyślaniach - zmieniła temat rozmowy.

- Niektóre z krzyżówek nie powstały w wyniku przypadkowych przejść ani zaplanowanych podróży. Słyszałeś o inkubach i sukubach?

- Och, rzeczywiście. Jednak nigdy nie zwracałem sobie głowy mitami.

- To nie mity, kochany, obojętnie jak często używano legend do wyjaśniania kłopotliwych sytuacji. Czarownice i czarnoksiężnicy nie zawsze są bez skazy, a niektórzy z nich znajdują upodobania w gwałcie. Osoba, która umie otwierać Bramy, może do woli oddawać się takim występkom; może zakradać się do śpiących - dziewcząt, cnotliwych żon, niewinnych chłopców - zaspokoić swoje żądze i zniknąć, nim kur zapieje.

Wzdrygnęła się.

- Grzech w całej swej ohydzie. Jeśli uda nam się ich złapać, zabijemy ich. Sama schwytałam i zabiłam kilku. To najgorszy z grzechów, nawet jeśli ofiara znajdzie w nim upodobanie.

Znów się wzdrygnęła.

- Star, a jaka jest twoja definicja „grzechu”?

- A czyż może być więcej niż jedna? Grzech to niesprawiedliwość i okrucieństwo, wszystko inne to drobne grzeszki. Och, pojęcie grzechu wiąże się z pogwałceniem zwyczajów twojego plemienia. Jednak łamanie obyczajów samo w sobie nie jest grzechem, nawet jeśli tak się komuś zdaje; grzechem jest krzywdzenie innych.

- A co z grzechami przeciwko Bogu? - nalegałem.

Spojrzała na mnie ostro.

- Znów golimy cyrulika? Najpierw, milordzie, powiedz mi, co rozumiesz pod pojęciem „Bóg”.

- Po prostu byłem ciekaw, czy poruszysz ten temat.

- Nie poruszałam tego problemu od bardzo wielu lat. Wołałabym fechtować się, mając złamaną rękę, albo ubrana wejść do pentagramu. Skoro mowa o pentagramach, mój Bohaterze, zmierzamy teraz nie tam, dokąd podążaliśmy trzy dni temu. Teraz po-

dażamy ku Bramie, której nie spodziewałam się przechodzić. To bardziej niebezpieczne, lecz nic na to nie możemy poradzić.

- To moja wina! Przykro mi, Star.

- Moja wina, milordzie. Jednak nie wszystko stracone. Kiedy utraciliśmy bagaż, obawiałam się bardziej, niż odważyłam się okazać - chociaż niechętnie myślałam o przenoszeniu broni przez świat, w którym nie wolno jej używać. Jednak w naszym składanym kuferku było dużo więcej niż tylko broń palna - znajdowały się w nim rzeczy, bez których jesteśmy narażeni na atak. Czas, który spędziłeś na kojeniu ran paniom w domu Dorala, ja poświęciłam - przynajmniej częściowo - naciągając Dorala na nowy zestaw, w którym jest wszystko z wyjątkiem broni palnej. Nie wszystko stracone.

- Przeniesiemy się teraz do innego świata?

- Nie później niż jutro rano, jeśli dożyjemy.

- Do diabła. Star, oboje z Rufo zachowujecie się tak, jakby każdy nasz oddech mógł być ostatnim.

- Bo tak jest.

- Przecież nie spodziewacie się teraz zasadzki; nadal znajdujemy się na ziemi Dorala. Tymczasem Rufo sypie ponurymi przepowiedniami jak postać z taniego melodramatu. A ty jesteś niewiele lepsza.

- Przepraszam. Rufo gryzie się - ale dobrze mieć go za plecami, gdy zaczynają się kłopoty. Co do mnie, milordzie, to próbowałam po prostu uczciwie ostrzec się przed tym, co może nas spotkać.

- Zamiast tego zbiłaś mnie z tropu. Czy nie sądzisz, że czas wyłożyć karty na stół?

Wyglądała na zakłopotaną.

- A jeżeli pierwszą odsłoniętą kartą będzie Wisielec?

- Guzik mnie to obchodzi! Potrafię stawić czoła niebezpieczeństwu i nie zemdleć...

- Wiem, że potrafisz, mój rycerzu.

- Dzięki. Jednak niewiedza sprawia, że staję się nerwowy. Mów zatem.

- Odpowiem na pytania, milordzie Oscarze. Zawsze na nie czekam.

- Przecież wiesz, że nie mam pojęcia, o co pytać. Może gołąb

pocztowy nie musi wiedzieć, o co toczy się wojna, ale ja czuję się jak lotka podczas partii badmintonu. Tak więc zacznij od początku.

- Jak sobie życzysz, milordzie. Około siedem tysięcy lat temu...

- Star urwała. - Oscarze, czy chcesz usłyszeć teraz wszystko o tysiącletnich rozgrywkach politycznych na miriadach planet w dwudziestu wszechświatach, aż do obecnego kryzysu? Jeśli będziesz nalegał, to spróbuję, lecz samo pobieżne omówienie tego zajmie mi więcej czasu, niż pozostało nam do chwili, gdy musimy przejść przez Bramę. Jesteś moim rycerzem; moje życie zależy od twojej odwagi i zręczności. Czy chcesz, abym mówiła o polityce, która spowodowała moje obecne, fatalne i niemal beznadziejne - gdyby nie ty - położenie? Czy też mam się skupić na sytuacji taktycznej?

(Niech to szlag! Chciałem usłyszeć wszystko!)

- Zostańmy przy sytuacji i taktycznej. Na razie.

- Obiecuję - powiedziała poważnie - że jeżeli przeżyjemy, poznasz każdy szczegół. Sytuacja jest następująca: zamierzałam przepłynąć Nevię barką, a potem przejść przez góry i dotrzeć do Bramy za Odwiecznymi Szczytami. To szlak mniej niebezpieczny, lecz długi. Jednak musimy się spieszyć. Dziś późnym popołudniem zejdziemy z drogi i wejdziemy w dziki kraj, który po zapadnięciu zmroku stanie się jeszcze gorszy. Do Bramy musimy dojść przed świtem; przy odrobinie szczęścia może uda nam się trochę przespać. Taką mam nadzieję, ponieważ ta Brama zaprowadzi nas do innego świata, w jeszcze bardziej niebezpieczne miejsce. Wyłoniwszy się w tamtym świecie - zwanym Hokesh lub Karth - w tym Karth-Hokesh znajdziemy się blisko, zbyt blisko, wyniosłej wieży wysokiej na milę, a jeśli zdołamy do niej dotrzeć, zaczną się nasze kłopoty. Zamieszkuje ją Nie Narodzony Pożeracz Dusz...

- Star, próbujesz mnie przestraszyć?

- Wolę, abyś przestraszył się teraz, jeśli to możliwe, niż był później zaskoczony. Zamierzałam, milordzie, przedstawić ci każde z niebezpieczeństw, w miarę jak przed nimi staniemy, tak żebyś mógł się skoncentrować na jednym. Ale postanowiłeś inaczej.

- Może miałaś rację. Załóżmy, że podasz mi bliższe szczegóły w miarę pojawiania się niebezpieczeństw, a teraz opisz mi je tylko z grubsza. Zatem mam walczyć z Pożeraczem Dusz, tak? To imię

mnie nie przeraża; jeśli spróbuje pożreć moją duszę, z pewnością cofnie mu się. I co mam mu zrobić? Opluć go?

- To jeden ze sposobów - odparła poważnie - ale przy odrobinie szczęścia wcale nie będziemy musieli z nim - z tym - walczyć. Chcemy tylko tego, czego on strzeże.

- A cóż to takiego?

- Jajo Feniksa.

- Feniks nie składa jaj.

- Wiem, milordzie. Dlatego też to ma unikatową wartość.

- Ale...

Szybko mówiła dalej:

- Tak to się nazywa. To niewielki przedmiot, nieco większy od strusiego jaja i czarny. Jeśli go nie zdobędę, wydarzy się wiele nieszczęść. A wśród nich jedna drobna przykrość - umrę.

Wspominam o tym dlatego, że może dla ciebie nie będzie to drobiazgiem, mój miły, a łatwiej mi wyznać tę część prawdy, niż wyjaśnić wszystkie następstwa.

- W porządku. Kradniemy jajo. Co potem?

- Wracamy do domu. Do mojego domu. A później możesz wrócić do siebie. Albo pozostać u mnie. Udasz się, gdziekolwiek zechcesz, do dowolnego z dwudziestu wszechświatów i miriadów światów. Cokolwiek zechcesz, jakiegokolwiek skarbu zapragniesz, otrzymasz - gdyż zasłużysz na to i na jeszcze więcej... A także moje serdeczne podziękowania, panie Bohaterze, i wszystko, o co mnie poprosisz.

(Największy czek na okaziciela, jaki kiedykolwiek napisano - jeśli tylko zdołam go zrealizować).

- Star, wygląda na to, iż uważasz, że nie wyjdziemy z tego cało. Westchnęła.

- Tak, ponieważ to mało prawdopodobne. Powiem ci prawdę. Mój błąd zmusił nas do wyboru najbardziej desperackiego rozwiązania.

- Rozumiem. Star, wyjdiesz za mnie? Dzisiaj?

I zaraz powiedziałem:

- Spokojnie! Nie spadnij!

Upadek jej nie groził. Przytrzymał ją pas fotela. Jednak zwiła na nim bezwładnie. Nachyliłem się i objąłem ją ramieniem.

- Nie ma powodu do płaczu. Po prostu powiedz tak albo nie i tak będę dla ciebie walczył. Och, zapomniałem. Kocham cię. Przy najmniej myślę, że to miłość. Zabawne kołatanie serca, jakie czuję, ilekroć na ciebie spojrzę lub o tobie pomyślę - to znaczy przez większość czasu.

- Kocham cię, milordzie - powiedziała ochryple. - Pokochałam cię w chwili, kiedy po raz pierwszy cię ujrzałam. Tak, to „zabawne kołatanie serca” i omdlałość wszystkich członków.

- No, tak tego nie odczuwam - przyznaję - ale to pewnie dwa bieguny tego samego zjawiska. W każdym razie kołatanie. Dreszcze i błyski. Jak tutaj zawiera się związek małżeński?

- Milordzie - moja miłości - wciąż mnie zdumiewasz. Wiedziałam, że mnie kochasz. Miałam nadzieję, że wyznasz mi to zanim... No, w porę. Że kiedyś to powiesz. Nie spodziewałam się, że zechcesz mnie poślubić!

- A czemu nie? Ja jestem mężczyzną, a ty kobietą. To powszechnie przyjęte.

- Ale... Och, mój kochany, mówiłam ci! Nie musisz mnie poślubić. Wedle norm jestem dziwką...

- Dziwka, wróżka, tupnij nóżką... Co jest, do licha, najmilsza? To ty użyłaś tego słowa, nie ja. Prawie przekonałaś mnie, że zasady, w jakich mnie wychowano, są barbarzyńskie, natomiast twoje są słuszne. Lepiej wytrzymaj nos - chcesz chusteczkę?

Star otarła oczy i nos, ale zamiast rzec „tak, kochanie”, co pragnęłam usłyszeć, siadła prosto, a uśmiech zniknął z jej twarzy. Potem powiedziała urzędowym tonem:

- Panie Bohaterze, czy nie lepiej, abyś zakosztował wina, zanim kupisz całą beczkę?

Udałem, że nie pojmuję.

- Proszę, kochany milordzie - nalegała. - Naprawdę. Tuż przed nami, przy drodze, widzę trawę. Możesz mnie tam teraz zaprowadzić; pójdę z ochotą.

Wyprostowałem się w siodle i udawałem, że patrzę we wskazanym kierunku.

- Wygląda na wiechlicę. Szorstka.

- Zatem sam wybierz miejsce! Milordzie... Jestem chętna, gotowa i nie taka brzydka - lecz przekonasz się, że jestem tylko nie-

dzielną malarką w porównaniu z artystkami, które kiedyś spotkasz. Jestem kobietą pracującą. Nie miałam czasu na wnikliwe studia, jakich wymagają te sprawy. Uwierz mi! Nie, lepiej mnie wypróbuj. Skąd możesz wiedzieć, czy naprawdę chcesz mnie poślubić.

- A więc jesteś zimną i niezdarną dziewczką, tak?

- No... tego nie powiedziałam. Jestem tylko zupełnie nie wykształcona - ale mam sporo zapału.

- Tak, jak ta twoja cioteczka z zapchaną sypialnią - sama mówiłaś, że to rodzinne. Ustalmy więc, iż chcę cię poślubić mimo twoich oczywistych wad.

- Ale...

- Star, za dużo mówisz.

- Tak, milordzie - powiedziała pokornie.

- Pobieramy się. Jak to się tu robi? Czy miejscowy dziedzic jest też sędzią pokoju? Jeśli tak, to tym razem nie będzie żadnych *droit du seigneur*; nie mamy czasu na swawole.

- Każdy ziemianin jest lokalnym sędzią - przytaknęła z namysłem Star - i udziela ślubów, choć większość *Neviańczyków* nie zawraca sobie głowy formalnościami. Jednak... No tak, będzie oczekiwał spełnienia *droit du seigneur*, a - jak zauważyłeś - nie mamy czasu do stracenia.

- Nie tak wyobrażam sobie nasz miodowy miesiąc. Star, spójrz na mnie. Nie zamierzam trzymać cię w klatce; wiem, że nie tak cię wychowano. Jednak nie będziemy szukali jakiegoś ziemianina. Czy są tu jacyś kaznodzieje? Wolałbym takiego, który zachowuje celibat.

- Dziedzic jest również kapłanem. Zresztą na *Nevii* religia nie jest traktowana poważnie; mieszkańcy obchodzą tylko święto urodzaju, kochany milordzie, najprostszym sposobem byłoby przeskoczyć przez twój miecz.

- Czy ta ceremonia ślubna to zwyczaj z twojego świata, Star?

- Nie, z twojego:

Skocz, draniu, i ty skacz, dziewczko,

i niech ślub

złączy was aż po grób!

- To bardzo stary zwyczaj - dodała.

- Hmm... Nie dbam o formę zaślubin. Może jestem draniem, ale wiem, co sądzisz o dziwkach. Jakie mamy inne możliwości?

- Niech pomyślę. W wiosce, przez którą będziemy przejeżdżać tuż po lunchu, jest taki plotkarz. Niekiedy pobierają się tam mieszczuchy, którzy chcą, żeby wszyscy o tym wiedzieli; rozgłaszanie wieści wchodzi w zakres usług.

- Jakich usług?

- Nie wiem. I nic mnie to nie obchodzi, kochany milordzie. Będziemy małżeństwem!

- O to właśnie chodzi! Nie zatrzymujmy się na lunch.

- Nie, milordzie - powiedziała stanowczo. - Jeśli mam być żoną, to dobrą; dopilnuję, żebyś regularnie jadał.

- Już mnie bierzesz pod swoje skrzydełka. Chyba powinienem cię sprać.

- Jak sobie życzysz, milordzie. Ale musisz jeść, bo będziesz potrzebował sił...

- Na pewno!

- ... do walki. Ponieważ teraz dziesięć razy bardziej zależy mi na tym, żebyśmy oboje wyszli z tego z życiem. Oto dobre miejsce na posiłek.

Skierowała Vita Brevis w bok; Ars Longa ruszyła za nią. Star obejrzała się na mnie.

- Czy mówiłam ci już dzisiaj, że jesteś piękny... moja miłości?

ROZDZIAŁ XI

Długi wierzchowiec Rufo podążył za nami na skraj trawiastej polanki, którą Star wybrała na piknik. Rufo nadal zwisał w fotelu jak mokra skarpetka i chrapał. Pozwoliłbym mu spać, ale Star już nim potrząsała.

Obudził się błyskawicznie, sięgając po miecz i krzycząc:

- A moi! M'aidez! Les vaches!

Na szczęście jakaś dobra dusza odebrała mu to śmiercionośne narzędzie i przytroczyła je do bagażnika, razem z łukiem, kołczanem i naszą nową składaną skrzyneczką.

Rufo potrząsnął głową i rzekł:

- Ilu ich było?

- Złaź, stary przyjacielu - powiedziała wesoło Star. - Zatrzymaliśmy się, żeby coś zjeść.

- Jeść! - Rufo wzdrygnął się głośno i przełknął ślinę. - Proszę, milady. Tylko bez świństw.

Pogmerał przy pasie fotela i spadł; złapałem go w locie. Star grzebała w swojej sakwie; wyjęła jakąś fiolkę i podsunęła ją Rufo. Odskoczył.

- Milady!

- Mam cię przytrzymać za nos? - zapytała słodko.

- Nic mi nie będzie. Dajcie mi tylko chwilę czasu... i coś na klina.

- Pewnie, że nic ci nie będzie. Czy mam poprosić lorda Oscara, żeby przytrzymał cię za ręce?

Rufo spojrzał na mnie błagalnie; Star otworzyła fiolkę. Zasycało, zbulgotało i z otworu wydobyły się ciężkie opary.

- No już!

Rufo zadygotał, zacisnął nos i wypił.

Nie powiem, że dym wyszedł mu uszami. Jednak zatrzęsło nim jak wichur podartym żaglem. Wydał kilka okropnych odgłosów.

Potem nagle znieruchomiał jak obraz w rozregulowanym telewizorze. Wydawał się cięższy oraz o kilka cali wyższy i stał prosto na nogach. Jego cera, uprzednio trupioblada, stała się świeża i różana.

- Dzięki, milady - rzekł wesoło dźwięcznym i dziarskim głosem.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia odwzajemnię tę przysługę.

- Na święty nigdy - zgodziła się Star.

Rufo odprowadził wierzchowce na bok i nakarmił je, otworzywszy skrzynkę i wyjąwszy z niej ochłapy surowego mięsa. Ars Longa zeżarła chyba z cetnar, a Vita Brevis i Mors Profunda jeszcze więcej; w podróży zwierzęta potrzebowały wysokoprocentowej diety. Zrobiwszy to, rozstawił stół oraz krzesła dla Star i dla mnie.

- Kwiatuszku! Co to za mikstura? - zapytałem Star.

- Stary rodzinny przepis:

Żabie oko, łapki jeża,

Psi pysk i puch nietoperza,

Żądło żmii, łeb jaszczurzy,

Sowi lot i ogon szczurzy...

- Szekspir! - zawołałem - Makbet!

- „By zaś zakląć wszelkie duchy, wlejcie jeszcze małpiej juchy”.

Nie, kochany milordzie; Will dostał tę receptę ode mnie. Tak to już jest z pisarzami, wszystko kradną, potem wypiólowują numery seryjne i twierdzą, że to ich własność. Dostałam ją od mojej ciotki, która była profesorem medycyny wewnętrznej. Rym tylko przypomina o prawdziwych składnikach mieszaniny, która jest o wiele bardziej skomplikowana - nigdy nie wiadomo, kiedy człowiekowi przyda się lekarstwo na kaca. Przygotowałam je w nocy, wiedząc, że dla naszego własnego dobra Rufo musi być dziś w szczytowej formie; prawdę mówiąc, sporządziłam dwie porcje, na wypadek gdyby i tobie się przydało. Ale ty zaskoczyłeś mnie, kochany; okazujesz szlachetne cechy charakteru w najbardziej nieoczekiwanych chwilach.

- To rodzinna słabostka. Nic na to nie poradzę.

- Podano do stołu, milady.

Podaliśmy ramię Star. Gorące potrawy były gorące, zimne wychłodzone; ten nowy składany kuferek, o barwie zieleni z Lincoln i ozdobiony herbami Dorala, posiadał wyposażenie, jakiego nie miała utracona przez nas skrzynka. Wszystko było pyszne, a wina wspaniałe.

Rufo zjadał z apetytem na swojej ławeczce, pilnie bacząc na nasze potrzeby. Podszedł, by nalać nam wina do sałatki, gdy przekazałem mu nowiny.

- Rufo, stary druhu, milady Star i ja pobieramy się dzisiaj. Chcę, żebyś był moim przyjacielem i pomógł mi się ogarnąć.

Wypuścił butelkę z rąk.

Potem zajął się wycieraniem mnie i ścieraniem ze stołu. Kiedy w końcu przemówił, zwrócił się do Star.

- Milady - wycodził przez zęby. - Wiele znosiłem, bez słowa skargi, z powodów, których nie muszę przypominać. Jednak tego już za wiele. Nie pozwolę...

- Bacz na swój język!

- Racja - przytaknąłem. - Uważaj, bo ci go obetnę. Mam go upiec? Czy ugotować?

Rufo patrzył na mnie i ciężko oddychał. Potem nagle odszedł, wycofując się za swoją ławeczkę. Star powiedziała łagodnie:

- Przepraszam, kochany milordzie.

- Co go ugryzło? - spytałem, zastanawiając się nad jego reakcją. Potem przyszła mi do głowy oczywista odpowiedź. - Star! Czy Rufo jest zazdrosny?

Wyglądała na zdumioną; zaczęła się śmiać, lecz zaraz przestała.

- Nie, nie, kochanie! Wcale nie o to chodzi. Rufo... No cóż, Rufo ma swoje słabostki, ale można na nim polegać w potrzebie. A my go potrzebujemy. Nie zwracaj na niego uwagi, milordzie.

- Jak sobie życzysz. Dzisiaj nic nie jest w stanie zepsuć mi humoru.

Rufo wrócił i z twarzą pozbawioną wyrazu skończył podawać do stołu. Bez słowa spakował wszystko i ruszyliśmy dalej.

Droga dotarła do dróżki wiodącej ku wsi; przed wejściem czeladnik walił w bęben i wykrzykiwał złośliwe plotki do gromadki mieszkańców. Precisnęliśmy się przez tłum i weszliśmy do środka.

Mistrz plotkarz czytał coś, trzymając w każdej ręce rulon pergaminu, a trzeci zwój podtrzymując opartymi o biurko stopami. Spojrzał na nas, spuścił nogi na ziemię, podskoczył i szurnał nogą, skinieniem zapraszając nas, żebyśmy usiedli.

- Wejdźcież, wejdźcież, moi szlachetni państwo! - zapiał. - Cóż za wielki zaszczyt, cóż to dla mnie za dzień! I jeśli wolno mi tak powiedzieć, trafiliście państwo pod właściwy adres, jakiegokolwiek macie problemy, jakiegokolwiek macie potrzeby, wieści dobre, wieści złe, wieści wszelkiego rodzaju prócz smutnych, dobre imię odzyskane, wydarzenia upiększone, historia na nowo opisana, wielkie czyny opiewane, wszystko to gwarantowane przez najstarszą na Nevii agencję informacyjną; wieści ze wszystkich światów i wszystkich wszechświatów, propaganda kierowana lub zwalczana, głośna lub szeptana, satysfakcja gwarantowana, uczciwość jest najlepszą polityką, ale klient ma zawsze rację, nie mówcie mi, wiem, wiem, mam szpiegów w każdej kuchni, w każdej łazience. Bohater Gordon, niewątpliwie, pańska sława nie potrzebuje heraldów, milordzie, lecz czyżbyś zaszczycił mnie poleceniem zapewnienia ci biografii dorównującej może twym niezrównanym czy-

nom, całkowitej i pełnej, włącznie ze starą nianią, która swym cichym i - och, jakże przekonującym - starczym głosikiem będzie wyliczać wróżby i znaki towarzyszące twoim narodzinom... Star przerwała ten potok słów.

- Chcemy się pobrać.

Zamknął się, spojrzał przenikliwie na talię Star i omal nie zarobił w nos.

- To wielka przyjemność robić interesy z klientami, którzy wiedzą, czego chcą. I muszę dodać, że całym sercem popieram ten przepojony obywatelskim duchem pomysł. Całe to współczesne migdalenie się i obłapianie, a potem czmychanie bez słowa pożegnania powoduje wzrost podatków i spadek dochodów, co jest logiczne. Żałuję, że sam nie miałem czasu na ożenek; wciąż powtarzam to mojej żonie. Wracając do planów, jeśli mogę nieśmiało proponować...

- Chcemy się pobrać w sposób przyjęty na Ziemi.

- Ach, tak, oczywiście. - Odwrócił się do pulpitu stojącego obok biurka i pokręcił tarcze. Po chwili rzekł: - Najmocniej przepraszam, drodzy państwo, ale głowę mam nabitą miliardem faktów, ważnych i nieważnych... Jaka to nazwa? Zaczyna się na jedno „ż” czy na dwa?

Star podeszła do niego, obejrzała tarcze i ustawiła je właściwie. Zaskoczony plotkarz zamrugał oczami.

- W tym wszechświecie? Rzadko ktoś tam czegoś chce. Często marzyłem, żeby mieć czas na podróże, ale interesy, interesy i wciąż... BIBLIOTEKA!

- Tak, mistrzu? - odezwał się głos.

- Planeta Ziemia, Obyczaje Ślubne. Przez duże „zet” - rzekł i dodał pięciocyfrowy numer. - Migiem!

Po krótkiej chwili przybiegł czeladnik, niosąc w ręku cienki zwój.

- Bibliotekarz powiada, żebyś obchodził się z tym ostrożnie, Mistrzu. To bardzo kruche, powiada. Mówi, że...

- Zamknij się. Proszę mi wybaczyć, mili państwo.

Włożył zwój do czytnika i zaczął go przeglądać.

Wytrzeszczył oczy i nachylił się do przodu.

- Niewiary... - urwał. Po chwili mruknął: - Zdumiewające!

Skąd coś takiego przyszło im do głowy?

Przez kilka minut zdawał się zupełnie nie pamiętać o naszej obecności wykrzykując:

- Niezwykłe! Fantastyczne! - i tym podobnie.

Postukałem go po ramieniu.

- Spieszmy się.

- Co? Ach, tak, milordzie Bohaterze Gordonie... Milady. Niechętnie oderwał się od czytania, splótł dłonie i rzekł:

- Trafiliście pod właściwy adres. Żaden inny plotkarz na Nevii nie poradziłby sobie z takim zadaniem. Mam pewien pomysł - po prostu myśl, która właśnie wpadła mi do głowy - że do orszaku trzeba będzie wezwać ludność ze wszystkich okolicznych wiosek, chociaż kocią muzykę dla nowożeńców możemy zrobić, wykorzystując w tym celu tylko mieszkańców miasteczka, jeśli pragniesz, panie, uroczystości pełnej szlachetnej prostoty - powiedzmy jeden dzień na procesję i choćby dwa dni wiwatów z gwarantowanym poziomem hałasu nie mniejszym...

- Dosyc.

- Milordzie? Nie zamierzam na tym zarobić; to będzie dzieło sztuki, włożę w nie swe serce - po cenie kosztów plus niewielki narzut za nadzór. Jako fachowiec uważam też, iż samoańska ceremonia przedślubna będzie bardziej autentyczna i wzruszająca niż ewentualne rytuały zuluskie. Dla dodania szczypty humoru - i bez dodatkowej opłaty - jedna z moich pracownic, która przypadkiem jest władnie w siódmym miesiącu, z chęcią pobiegnie nawą i przerwie ceremonię. No i jest jeszcze kwestia świadków konsumpcji, ilu dla każdej ze stron, jednak tego nie musimy ustalać w tym tygodniu; najpierw musimy pomyśleć o dekoracji ulic i o...

Wziąłem ją za ramię.

- Idziemy.

- Tak, milordzie - zgodziła się Star.

Gonił za nami, krzycząc o zerwanym kontrakcie. Położyłem dłoń na rękojeści miecza i pokazałem mu sześć cali ostrza; skrzeczenie ucichło.

Wyglądało na to, że Rufo minął zły humor; powitał nas grzecznie, a nawet wesoło. Wsiedliśmy na wierzchowce i pojechaliśmy. Kiedy przejechaliśmy milę czy dwie na południe, powiedzia-

łem:

- Star, najdroższa...
- Tak, milordzie kochany?
- To „skakanie przez miecz” - czy to naprawdę ślubna ceremonia?

- I bardzo stara, mój drogi. Sądzę, że pochodzi z czasów wypraw krzyżowych.

- Wymyśliłem lepsze słowa:

Skacz, draniu, a księżniczka niech skoczy za draniem,
Moją małżonką jesteś i moją zostaniesz!

- Czy to ci odpowiada?

- Tak, tak!

- Tyle że ty powiesz: Twoją małżonką jestem i twoją zostanę. -
Rozumiesz?

Star głęboko nabrała powietrza.

- Tak, mój kochany.

Zostawiliśmy Rufo przy wierzchowcach, nie dając mu żadnych wyjaśnień i wspięliśmy się na mały lesisty pagórek. Cała Nevia jest piękna i jej rajskiego uroku nic psują żadne puszki po piwie ani brudne chusteczki higieniczne, lecz tutaj znaleźliśmy przedświątynię, czarodziejskie sanktuarium miękkiej murawy pod sklepieniem drzew.

Wyciągnąłem miecz i spojrzałem wzdłuż klingi, czując jej doskonale wyważony ciężar i ponownie zauważając delikatne znaki, pozostawione przez lekkie uderzenia młotem jakiegoś mistrza sztuki płatnerskiej. Podrzuciłem broń w powietrze i złapałem pod rękę.

- Przeczytaj maksymę, Star.

Przyjrzała się uważnie wygrawerowanym literom.

- Dum vivimu, vivamus! Żyjmy, póki żyjemy! Tak, moja miłości, tak!

Pocałowała ostrze i oddała mi je; położyłem je na ziemi.

- Znasz swój tekst? - spytałem.
- Jest wyryty w moim sercu.

Wziąłem ją za rękę.

- Skacz wysoko. Raz... dwa... trzy!

ROZDZIAŁ XII

Kiedy sprowadziłem swoją oblubienicę z tego cudownego pagórka, obejmując ramieniem jej kibić, Rufo bez żadnych komentarzy pomógł nam dosiąść wierzchowców. Nie mógł jednak nie zauważyć, że Star mówiła mi teraz „panie mężu”.

Wsiadł na swojego rumaka i ruszył za nami, trzymając się w należytej odległości, poza zasięgiem głosu. Ja i Star co najmniej przez godzinę jechaliśmy, trzymając się za ręce. Ilekroć na nią popatrzyłem, uśmiechała się, a kiedy chwytała moje spojrzenie, na jej twarzy pojawiały się dołeczki. W pewnej chwili spytałem:

- Od kiedy będziemy musieli mieć się na baczności?
- Dopóki nie zjedziemy z drogi, możemy być spokojni, panie mężu.

I tak to trwało przez następną milę. W końcu rzekła cichutko:

- Panie mężu?
- Tak, żono?
- Czy nadal uważasz, że jestem „zimną i niezdarną dziewczką”?
- Hmm... - zamyśliłem się. - „Zimną” - nie, nie mogę powiedzieć, że jesteś zimną. Ale „niezdarna”... No cóż, w porównaniu z taką artystką jak, na przykład, Muri...

- Panie mężu!
- Tak? Jak mówiłem...
- Czy chcesz dostać kopa w brzuch? - i dodała: - Ci Amerykanie!

- Żono... czy naprawdę kopnęłabyś mnie w brzuch?

Nie spieszyła się z odpowiedzią, lecz wreszcie szepnęła:

- Nie, panie mężu. Nigdy.
- Miło mi to słyszeć. A gdybyś to zrobiła, cóż by się stało?
- Sprzałbyś mnie po pupie. Moim własnym mieczem.
- Zrobiłbym to ręką. Mocno. Najpierw sprzałbym cię. A potem...
- A potem co?

Odpowiedziałem:

- Jednak lepiej nie dawaj mi do tego powodu. Zgodnie z planem czeka mnie walka. I w przyszłości nie przerywaj mi.

- Tak, panie mężu. - Bardzo dobrze. A teraz przyznajmy Muri

dziesięć punktów. W tej skali oceniam cię na... Niech pomyślę.

- Trzy, może cztery? A może nawet pięć?

- Cicho. Dałbym ci mniej więcej tysiąc. Tak, tysiąc, plus minus jeden punkt. Nie mam suwaka logarytmicznego.

- Och, ależ z ciebie drań, kochanie! Pochyl się i pocałuj mnie - i poczekaj, aż powiem o tym Muri.

- Nic nie powiedz Muri, najmilsza, albo dostaniesz klapsa. Przestań wyłudzać komplementy. Wiesz, kim jesteś, ty skacząca przez miecz dziewczko?

- A kim jestem?

- Moją księżniczką.

- Och!

- A przy tym skromną - jak futro z norek.

- Czy to aby komplement? Bardzo uważnie studiowałam amerykańskie idiomy, ale czasem nie wszystko rozumiem.

- Uważa się, że to coś najlepszego. Taki potoczny zwrot. Nigdy nie znałem się za dobrze na norkach. A teraz skup się na innych sprawach albo zostaniesz wdową w dniu ślubu. Smoki, powiadasz?

- Nie przed nadejściem zmroku, panie mężu - i tak naprawdę, to wcale nie są smoki.

- A co? Osiem stóp w kłębie, każdy waży kilka ton i ma zęby długości mojego przedramienia - brakuje tylko, żeby ziały ogniem.

- Och, ależ one to robią! Czy ci nie mówiłam?

Westchnąłem.

- Nie, nie mówiłaś.

- Właściwie to one nie zięją ogniem. To by je zabiło. Wyrzucając ogień, wstrzymują oddech. Spalają metan z przewodu pokarmowego. To kontrolowane beknięcie połączone z efektem hipergolicznym wywołanym przez enzym wydzielany między pierwszym a drugim rzędem zębów. Gaz bucha płomieniem, wydostając się na zewnątrz.

- Nie obchodzi mnie, jak to robią te miotacze płomieni. No i co? Jak mam je załatwić?

- Miałam nadzieję, że wpadniesz na jakiś pomysł. Widzisz - dodała przepraszająco - nie zaplanowałam tego, nie wiedziałam, że będziemy szli tą drogą.

- No cóż... Żono, wracajmy do tamtej wioski. Rzućmy wyzwanie naszemu staremu przyjacielowi plotkarzowi. Założę się, że potrafiłbyśmy go przegadać.

- Panie mężu?

- Nieważne. Jeśli chcesz, żebym zabijał smoki w każdą środę i sobotę, to jestem do dyspozycji. Ten płonący metan... Czy on tryska im z obu końców?

- Och nie, tylko z przodu. Jak mogłyby to robić na dwie strony?

- Bez trudu. Obejrzyj przyszłoroczny model. A teraz cicho; myślę nad taktyką. Będę potrzebował Rufo. Zakładam, że on już kiedyś zabijał smoki?

- Wątpię czy jakikolwiek człowiek zdołał zabić choć jednego, panie mężu?

- Ach, tak? Moja księżniczko, pochlebia mi zaufanie, jakim mnie darzysz. A może to desperacja? Nie odpowiadaj; nie chcę wiedzieć. Siedź cicho i daj mi pomyśleć.

Przy następnej zagrodzie wysłaliśmy mojego giermka, aby załatwił powrót wierzchowców. Należały do nas jako prezent od Dorała, lecz musieliśmy je odesłać do domu, bowiem nie mogły żyć tam, dokąd zmierzaliśmy - Muri obiecała mi, że zatroszczy się o Ars Longa i ułoży ją.

Wrócił z jakimś gamoniem siedzącym na oklep na ciężkim, pociągowym zwierzęciu - wieśniak przesuwiał się między drugą a trzecią parą nóg, aby oszczędzać grzbiet wierzchowca i powodował nim za pomocą głosu.

Wzięliśmy nasze łuki oraz kołczany, po czym rozsiedlaliśmy wierzchowce i przygotowaliśmy się do drogi, gdy podszedł do mnie Rufo.

- Szefie. Gówniane Stopy bardzo chce poznać bohatera i dotknąć jego miecza. Spławić go?

Ranga ma swoje przywileje, ale i obowiązki.

- Dawaj go tu.

Chłopak, przerośnięty i z puszką zarostu na podbródku, podszedł pospiesznie, potykając się o własne stopy, a potem skłonił się tak nisko, że prawie upadł.

- Wyprostuj się, synu - powiedziałem. - Jak się nazywasz?

- Pug, panie Bohaterze - odparł piskliwym głosem.

(To imię dobrze do niego pasowało. Neviańskie znaczenie tego słowa było równie rubaszne jak żarty Jocko).

- Solidne imię. Kim chciałbyś być, kiedy dorośniesz?
- Bohaterem, panie! Tak jak ty.

Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć mu o tych wybojach na Szlaku Chwały. Jednak lepiej niech sam się o nich dowie, jeśli kiedykolwiek ruszy tą drogą - i albo nie zwróci na nie uwagi, albo zawróci i zapomni o tych głupstwach. Tak więc z aprobatą skinąłem głową i zapewniłem go, że dla chłopaka z ikrą zawsze znajdzie się miejsce w dziale Bohaterów - a z im niższej pozycji startujesz, tym większa czeka cię sława... Zatem ucz się i pracuj i czekaj na swoją okazję. Trzymaj gardę, ale zawsze rozmawiaj z obcymi damami; w ten sposób napotkasz przygodę. Potem pozwoliłem mu dotknąć szabli - ale nie dałem mu jej do ręki. Lady Vivamus jest moja i prędzej pożyczylbym mu szczotkę do zębów.

Kiedyś, gdy byłem młody, przedstawiono mnie pewnemu kongresmenowi. Wcisnął mi te same ojcowskie gadki, które teraz splagiatowałem. Podobnie jak modlitwa, nie zaszkodzi, a może pomóc, a ponadto stwierdziłem, że mówię to szczerze i niewątpliwie kongresmen też był szczery. Och, istniało pewne niebezpieczeństwo, że młodzian może dać się zabić na pierwszej mili tego szlaku. Jednak to lepsze niż wysiadanie na starość przy ogniu, cmokanie bezzębnymi szczękami i rozmyślanie o wszystkich zmarnowanych szansach i nie obłapionych dziewczynach. Czyż nie?

Doszedłem do wniosku, iż ta chwila zdaje się tak ważna dla Puga, że należałoby ją jakoś upamiętnić, więc sięgnąłem do kieszeni i znalazłem ćwierćdolarówkę.

- Pug, jak brzmi reszta twojego nazwiska?
- Po prostu Pug, milordzie. Z rodu Lerdki, oczywiście.
- Od tej chwili będziesz nosił trzy imiona, ponieważ daję ci jedno z moich.

Miałem jedno, którego nie potrzebowałem; Oscar Gordon zupełnie mi wystarczył. Nie „Flash”, ponieważ nigdy nie uznałem tego przydomka za swój. I nie przezwisko, jakim obdarzono mnie w wojsku; tego nie napisałbym na ścianie latryny. „Easy” było imieniem, które miałem na zbyciu. Zawsze podpisywałem się

E.C.Gordon, a nie Evelyn Cyril Gordon i w szkole szybko nazwano mnie „E.C”, a potem „Easy” z powodu mojego stylu gry w wolnym polu - nigdy nie biegłem szybciej i nie robiłem więcej uników, niż było trzeba.

- Władzą nadaną mi przez Naczelne Dowództwo Armii Stanów Zjednoczonych w Azji Południowowschodniej, ja, Bohater Oscar, nakazuję, iż od tej chwili masz być znany jako Lerdki't Fug Easy. Noś to imię z godnością.

Dałem mu ćwiartkę i pokazałem profil Jerzego Waszyngtona na rewersie.

- Oto ojciec mojego narodu, bohater większy, niż ja będę kiedykolwiek. Kroczył dumnie i prostą drogą i walczył o dobro takie, jakim je widział, przeciw straszliwej przewadze wroga. Spróbuj być taki jak on. A tu - odwróciłem monetę - jest herb mojego domu, który on założył. Ten ptak symbolizuje odwagę, wolność i najwyższe ideały.

(Nie powiedziałem tego, że amerykański orzeł zre padlinę, nie tyka niczego, co dorównuje mu wielkością i wkrótce zostanie wytopiony - ponieważ naprawdę strzeże tych ideałów. Symbole mają takie znaczenie, jakie im się przypisuje).

Pug Easy żywo pokiwał głową i łzy popłynęły mu z oczu. Nie przedstawiałem go mojej małżonce; nie wiedziałem, czy zechce z nim mówić. Ale ona podeszła do niego i powiedziała łagodnie:

- Pugu Easy, zapamiętaj słowa milorda Bohatera. Ceń je jak skarb, a będą ci towarzyszyć do końca życia.

Chłopak padł na kolana. Star pogłaskała go po czuprynie i rzekła:

- Wstań, Lerdki't Pugu Easy. Nie zginaj karku.

Pożegnałem się z Ars Longa, kazałem jej być grzeczną dziewczynką i obiecałem kiedyś wrócić. Pug Easy zawrócił wraz z idącymi jego śladem wierzchowcami, a my zagłębiliśmy się w las; trzymaliśmy strzały w cięciwach, Rufo zaś strzegł naszych tyłów. Kiedy schodziliśmy z żółtej ceglanej drogi, zauważyliśmy znak ostrzegawczy; umieszczony na nim napis głosił, w swobodnym przekładzie, co następuje: WY, KTÓRZY TU WKRACZACIE, PORZUĆCIE WSZELKĄ NADZIEJĘ.

(Jego dokładna treść przypominała tablice z parku Yellowstone:

„Ostrzeżenie! W tych lasach zwierzęta nie są oswojone. Podróżnych uprasza się o pozostawanie na drodze, w przeciwnym razie szczątki nie będą zwracane rodzinie. Podpisano: Lerdkki, herb”).

W końcu Star powiedziała:

- Panie mężu...

- Tak, ślicznonoga?

Nie patrzyłem na nią. Obserwowałem las po mojej stronie i kawałek jej rewiru, jednocześnie patrząc w górę, ponieważ stamtąd też mogliśmy zostać zaatakowani - przez stworzenia podobne do harpii, tylko mniejsze i interesujące się naszymi oczami.

- Mój Bohaterze, jesteś naprawdę szlachetny i sprawiłeś, że twoja żona jest z ciebie naprawdę dumna.

- Hę? Dlaczego?

Rozmyślałem o ewentualnym spotkaniu z ziemnymi mieszkańcami tego lasu, a były ich dwa rodzaje: szczur, dostatecznie duży, aby zjeść kota i mający chętkę na ludzi, oraz dzik mniej więcej tejże wielkości, z którego nie wykroiłoby się szynki, mający grubą skórę i paskudne usposobienie. Powiedziano mi, że dziki są łatwiejszym celem, ponieważ szarżują prosto na ciebie. Jednak nie wolno ci chybić. I trzymaj miecz w pogotowiu, bo nie zdążysz założyć drugiej strzały.

- Chodzi mi o tego chłopaka, Puga Easy'ego. O to, co dla niego zrobiłeś.

- O niego? Wcisnąłem mu drętwą gadkę. Nic mnie to nie kosztowało.

- To był dworny czyn, panie mężu.

- Och, bzdury, mowa-trawa. Spodziewał się wielkich słów od Bohatera, więc spełniłem jego oczekiwania.

- Oscarze, mój ukochany, czy wierna żona może sprostować małżonka, kiedy ten plecie bzdury? Znałam wielu bohaterów i niektórzy byli takimi głabami, że karmiono by ich w kuchni, wpuszczając tylnymi drzwiami, gdyby swymi czynami nie zyskali prawa do zasiadania przy stole. Niewielu poznałam prawdziwych, szlachetnych mężczyzn, gdyż szlachetność jest jeszcze rzadsza od heroizmu. Jednak szlachetny charakter można zawsze rozpoznać... Nawet u kogoś tak uparcie nieśmiałego w jej okazywaniu jak ty. Chłopiec spodziewał się tego, więc spełniłeś jego oczekiwa-

nia - lecz zasada noblesse oblige jest uznawana tylko przez tych, którzy są szlachetni.

- No cóż, możliwe. Star, znów za dużo mówisz. Czy sądzisz, że tutejsze zwierzęta nie mają uszu?

- Wybacz mi, milordzie. Mają tak dobry słuch, że słyszą odgłos kroków na długo przedtem, zanim usłyszą głosy. Pozwól mi mieć ostatnie słowo - chociaż w dniu naszego ślubu. Jeżeli jesteś... Nie, raczej kiedy jesteś dworny wobec jakiejś piękności, na przykład Letvy - czy Muri, niech diabli wezmą jej piękne oczy! - nie uważam tego za czyn szlachetny, gdyż można uznać, iż wypływa on z innych pobudek niż poczucie noblesse oblige. Jednak gdy przemawiasz do wiejskiego gamonia, który ma nogi umazane gnojem, pryszcze na twarzy i śmierdzi czosnkiem oraz potem - rozmawiasz z nim uprzejmie i sprawiasz, że przez chwilę czuje się równie szlachetny jak ty i pozwalasz mu żywić nadzieję, iż pewnego dnia stanie się równy tobie - wtedy wiem, że nie czynisz tego, licząc na obłapkę.

- Och, nie wiem. W pewnych kręgach chłopcy w jego wieku są uważani za niezłą gratkę. Wykąp go, wyperfumuj, zrób trwałą...

- Panie mężu, czy wolno mi choć pomyśleć o daniu ci kopa w brzuch?

- Za myślenie nie staję się przed sądem polowym, to jedyne, czego nie mogę ci odebrać. No dobrze, wolę dziewczyny; jestem normalny i nic na to nie poradzę. Co mówiłaś o oczach Muri? Długonoga, czy jesteś zazdrosna?

Mimo iż nie zatrzymałem się, żeby na nią spojrzeć, widziałem dołeczki na jej policzkach.

- Tylko w dniu naszego ślubu, panie mężu, pozostałe dni należą do ciebie. Jeśli przyłapię cię na amorach, to albo udam, że tego nie widzę, albo złożę ci gratulacje.

- Nie sądzę, żeby udało ci się mnie przyłapać.

- A ja ufam, że ty nie przyłapiesz mnie, panie draniu - odparła pogodnie.

Miała swoje ostatnie słowo, bo w tym momencie cięciwa łuku Rufo wydała głośnie „ping!”. Krzyknął: „Dostał!”, a potem mieliśmy pełne ręce roboty. Te odyńce są tak paskudne, że zwykłe dzikie świnię wyglądają przy nich jak polska porcelana - położyłem jed-

nego strzałą w ociekającą pianą paszczę i w ułamek sekundy później nakarmiłem stałą jego brata. Star dobrze trafiła swojego, ale strzała odbiła się od kości i bydlę szarżowało dalej, więc kopnąłem je w bok, nie zdążywszy wyszarpnąć ostrza z cielska jego kuzyna. Uspokoilem go stopą stali między żebra, a w tym czasie Star spokojnie założyła następną strzałę i wypuściła ją. Załatwiła jeszcze jednego mieczem, trafiając idealnie w komorę jak matador w chwili prawdy, robiąc taneczny unik, gdy zwierzę szarżowało dalej martwe, lecz nie chcące się do tego stanu przyznać.

Walka skończyła się. Stary sługa miał na rozkładzie trzy sztuki i paskudną ranę; ja wykpiłem się draśnięciem, a moja ślubna była nietknięta, o czym upewniłem się, gdy tylko trochę się uspokoiło.

Następnie objąłem straż, podczas gdy nasza lekarka zajęła się Rufo, a potem opatrzyła mnie.

- I jak tam, Rufo? - zapytałem. - Możesz chodzić?

- Szefie, nie zostałem w tym lesie, nawet gdybym musiał się czołgać. Ruszajmy. Przynajmniej - rzekł, wskazując na leżącą wokół bezwartościową wieprzowinę - na razie nie będziemy mieli kłopotów ze szczurami.

Przeformowałem szyk, posyłając przodem Star i Rufo (zdrową nogą na zewnątrz), sam zaś poszedłem jako tylna straż, co powinienem zrobić od razu. W normalnych warunkach, idąc w tylnej straży, jest się bezpieczniejszym niż w szpicy, lecz nie w tej chwili. Pozwoliłem, aby przemożna chęć ochrony mojej pani wpłynęła na moją ocenę sytuacji.

Objąwszy tę trudną placówkę, prawie dostałem zezę, usiłując jednocześnie patrzeć w tył i w przód, tak by doskoczyć natychmiast, gdyby tych dwoje wpadło w jakieś tarapaty. Na szczęście mieliśmy chwilę wytchnienia, w czasie której oprzytomniałem na tyle, że przypomniałem sobie pierwszą zasadę obowiązującą na patrolu: nie możesz wykonywać roboty innych. Od tej pory całą uwagę poświęciłem naszym tyłom. Rufo, jakkolwiek stary i ranny, nie da się wyprawić do piekła, nie zabierając ze sobą honorowej świty, a Star nie była omdlewającą heroiną z romansu. Postawiłbym na nią w starciu z każdym przeciwnikiem równym jej waga, dowolną bronią lub gołymi rękami, i żał mi było faceta, który kiedykolwiek próbował ją zgwałcić - pewnie do dziś szuka swoich co-

jones.

Odyńce już nas nie niepokoiły, ale w miarę jak nadchodził wieczór, coraz częściej widzieliśmy i słyszeliśmy te gigantyczne szczury; szły za nami, najczęściej trzymając się poza zasięgiem wzroku. Nigdy nie atakowały na oślep, tak jak dziki; czekały na odpowiednią chwilę, jak zawsze robią to szczury.

Okropnie boję się szczurów. Kiedyś, kiedy byłem dzieckiem, mój ojciec już nie żył, a matka nie wyszła ponownie za mąż, wpadliśmy w kłopoty finansowe i mieszkaliśmy na strychu budynku przeznaczanego do rozbiórki. Słysząc było, jak szczury łażą pod podłogą i dwukrotnie przebiegały po mnie, kiedy spałem.

Do tej pory zdarza mi się budzić z wrzaskiem.

Kiedy nadmucha się szczura do rozmiarów kojota, wcale nie poprawi mu to urody. Te tutaj były prawdziwymi szczurami, miały nawet szczurze wąsy i budowę ciała, tylko zbyt duże kończyny i łapy - może reguła złotego podziału działa nie wszędzie.

Nie marnowaliśmy strzał, chyba że trafienie było pewne. Wykorzystywaliśmy bardziej odsłonięte miejsca, jakie trafiały się w tej puszczy - co zwiększało zagrożenie z góry, jednak las był tak gęsty, że ewentualny atak z tej strony nie był największą z naszych trosk.

Dostałem jednego szczura, który podkradł się zbyt blisko i o włos chybiłem innego. Musieliśmy posyłać im strzałę, ilekroć robiły się zbyt zuchwałe; wtedy pozostałe przypominały sobie o ostrożności. W pewnej chwili, gdy Rufo napinał łuk, a Star osłaniała go z mieczem w dłoni, jeden z tych złośliwych małych sokołów zanurkował w kierunku starego.

Moja żona przecięła harpię na dwoje tuż nad głową sługi, który nawet tego nie zauważył, zajęty celowaniem w braciszka szczura.

Nie musieliśmy się martwić poszyciem; ta puszcza była niczym park - tylko drzewa, trawa, żadnych zarośli. W sumie przyjemna przechadzka, tyle, że zaczynały nam się kończyć strzały. Niepokoiłem się tym właśnie, kiedy coś zauważyłem.

- Hej, wy tam, z przodu! Zbaczacie z kursu. Odbijcie w prawo.

Kiedy schodziliśmy z drogi, wskazała mi kierunek marszu, ale do mnie należało utrzymanie go; ona kiepsko orientowała się w terenie.

- Przepraszam, wodzu - odkrzyknęła. - Tam było trochę zbyt stromo.

Dołączyłem do nich.

- Rufo, jak twoja noga?

Dostrzegłem krople potu na jego czole. Nie odpowiedział, lecz zwrócił się do Star:

- Milady, niebawem będzie ciemno.

- Wiem - odparła chłodno. - Czas więc przegryźć coś na kolację. Panie mężu, ta wielka płaska skała przed nami wyglądała na odpowiednie miejsce.

Myślałem, że coś jej się pokręciło, i on też tak sądził, chociaż z zupełnie innego powodu.

- Ależ milady, jesteśmy bardzo spóźnieni.

- I spóźnimy się jeszcze bardziej, o ile znów nie opatrzę twojej nogi.

- Lepiej zostawcie mnie tutaj - mruknął.

- Lepiej siedź cicho, dopóki nie zapytają cię o radę - powiedziałem mu. - Nawet Rogatego Ducha nie zostawiłbym na pożarcie szczurom. Star, jak to zrobimy?

Wielka, płaska skała, stercząca przed nami jak czaszka pośród drzew, była górną częścią ogromnego głazu. Stanałem na straży na jej środku, podczas gdy Rufo usiadł obok mnie, a Star rozstawiała bariery w kluczowych i mniej ważnych punktach. Nie udało mi się podpatrzeć, jak to robiła, ponieważ musiałem wyteżać wzrok, pilnując jej pleców, trzymając strzałę na cięciwie i gotów zestrzelić lub wystraszyć wszystko, cokolwiek się ukaże, a on pilnował przeciwnej strony. Zresztą Star powiedziała mi później, że te bariery nie miały nic wspólnego z „magią”, ale leżały w zasięgu ziemskiej technologii, gdyby jakiś bystry chłopak wpadł na ten pomysł - „elektryczny płot” bez płotu, tak jak radiostacja jest telefonem bez drutu, chociaż ta analogia niezupełnie oddaje istotę rzeczy.

Jednak dobrze się stało, że pilnie wypatrywałem, zamiast próbować odgadnąć, jak ustawia ten zaczarowany krąg, ponieważ zainteresował się nią jedynie napotkany przez nas szczur, nie mający oleju we łbie. Ruszył prosto na nią; mój grot przelatujący nad uchem ostrzegł ją i wykończyła napastnika ciosem miecza. To był

bardzo stary samiec, bezzębny, posiwiały i pewnie cierpiący na starczą sklerozę. Jednak wielkością dorównywał wilkowi i mimo dwóch śmiertelnych ran, łypał nabiegłymi krwią ślepiami, strosząć sierść.

Rozmieściwszy ostatnią zaporę, moja dama powiedziała mi, że nie muszę się już obawiać ataku z powietrza; bariery tworzyły nad nami dach równie szczelny, jak otaczający nas krąg. Jak powiada Rufo - jeśli Ona coś mówi, nie ma o czym dyskutować. Obserwując teren, on sam zdążył już częściowo rozłożyć skrzynkę; wyjąłem torbę lekarską, więcej strzał dla nas wszystkich i żywność. Żadnych głupot z podziałami na służbę i dżentelmenów, zjedliśmy razem, siedząc lub leżąc, a nasz ranny wyciągnął się jak długi, dając nodze nieco wytchnienia, zaś Star karmiła go, czasami z iście neviańską gościnnością pakując mu jedzenie wprost do ust. Dość długo pracowała nad jego nogą, a ja trzymałem światło i podawałem jej różne rzeczy. Zanim owinęła ranę bandażem, obłożyła ją bezbarwną galaretką.

W czasie, gdy jedliśmy, zrobiło się ciemno i przy niewidzialnych zaporach pojawiły się rzędy łypiących ku nam ślepi, migoczących światłem, przy których jedliśmy kolację, i niemal równie licznych jak tłumek tego runka, gdy Igli zeżarł sam siebie. Osadziłem, że większość tych oczu należała do szczurów. Część z nich trzymała się w zwartej grupie, oddzielonej przerwą od pozostałych; to dziki - ich ślepia znajdowały się trochę wyżej od innych.

- Kochana milady - powiedziałem. - Czy te bariery wytrzymają całą noc?

- Tak, panie mężu.

- Dobrze by było. Jest zbyt ciemno, aby szyc z luków, a nie wydaje mi się, żebyśmy zdołali wyrąbać sobie drogę przez ten tłum. Obawiam się, że jeszcze raz będziesz musiała zmodyfikować swój plan.

- Nie mogę, panie Bohaterze. Ale zapomnij o tych bestiach. Teraz polecimy.

Rufo jęknął.

- Tego się obawiałem. Wiesz, że dostaję od tego mdłości.

- Biedny! - rzekła łagodnie Star. - Nie obawiaj się, stary druhu, mam dla ciebie niespodziankę. Właśnie na taka okazję kupiłam w

Cannes dramaminę - no, wiesz, to lekarstwo, które tam, na Ziemi, umożliwiło inwazję w Normandii. Chociaż może nic o tym nie wiesz.

- Nie wiem? - odparł. - Brałem w niej udział, milady, i jestem uczulony na dramaminę; karmiłem ryby przez całą drogę do Omaha Beach. Najgorsza noc w moim życiu - już wolę być tutaj!

- Rufo - spytałem. - Czy naprawdę byłeś w Omaha Beach?

- Do licha, szefie, tak! Odwaliłem za Eisenhowera całą pracę koncepcyjną.

- Ale dlaczego? Przecież to nie była twoja wina.

- Ty też mógłbyś zadać sobie pytanie, dlaczego tu jesteś, szefie. W moim przypadku powodem były francuskie dziewczęta. Zdrowe, bez przesądów, podchodzące do tego z entuzjazmem i zawsze garzące się do nauki. Pamiętam jedna panienkę z Armentieres - poprawnie wymówił nazwę - która nie...

Przerwała mu.

- Kiedy będziecie wymieniać swoje kawalerskie doświadczenia, ja przygotuję sprzęt do latania.

Wstała i podeszła do skrzynki.

- No już, mów - powiedziałem, myśląc o tym, jak daleko posunie się tym razem.

- Nie - rzekł ponuro. - Jej nie spodobałoby się to. Widzę. Masz na nią paskudny wpływ, szefie. Z minuty na minutę zachowuje się coraz bardziej jak dama, a to w ogóle do niej nie pasuje. Zobaczysz, że najpierw zaprezentuje Vogue, a potem nie wiadomo do czego jeszcze dojdzie. Nic pojmuję tego, przecież to nie z powodu twojej aparycji. Bez urazy.

- Nie obrażę się. No więc, opowiesz mi o tym innym razem. Jeśli nie zapomnisz.

- Tamtej nigdy nie zapomnę. Ale, szefie, choroba morska to nawet nie połowa naszych zmartwień. Wydaje ci się, że w tym lesie roi się od różnego paskudztwa. No, tam, dokąd zmierzamy - z drżeniem kolan, przynajmniej w moim przypadku - są smoki.

- Wiem.

- A więc powiedziała ci o tym? Jednak musisz je zobaczyć, żeby uwierzyć. W tamtych lasach jest ich pełno. Więcej niż Doyle'ow w Bostonie. Wielkie, małe i dwutonowe nastolatki, wiecznie głodne.

Może bawi cię perspektywa pożarcia przez smoka; mnie nie. To upokarzające. I ostateczne. Trzeba to miejsce posypać smoczym zielem, oto co powinni zrobić. Wydać odpowiednie zarządzenie.

Wróciła Star.

- Nie, nie powinni wydać takiego zarządzenia - stwierdziła stanowczo. - Rufo, nie gadaj o rzeczach, których nie rozumiesz. Naruszanie równowagi ekologicznej to najgorszy błąd, jaki może popełnić każdy rząd.

Zamknął się, pomrukując pod nosem. Zapytałem:

- Miłości moja jedyna, jakież pożytek ze smoka? Wyjaśnij mi tę zagadkę.

- Nigdy nie sporządzałam wykresów równowagi dla Nevii, to nie należy do moich obowiązków. Potrafię jednak przewidzieć zaburzenia, jakie spowodowałyby próba pozbycia się smoków - co Nevianie mogliby uczynić; widziałeś, że nie można nie doceniać ich technologii. Szczury i dziki zniszczyłyby zbiory. Szczury ograniczają populację dzików, pożerają warchlaki. Jednak są nawet gorsze od dzików, jeśli idzie o plony. Za dnia w tych lasach żerują smoki - one są stworzeniami dziennymi, a szczury nocnymi, kryjącymi się przed światłem w swoich norach. Dziki i szczury wyjadają poszycie leśne, a smoki ogryzają niższe gałęzie drzew. Jednak smoki lubią też smacznego szczura, więc gdy któryś znajdzie norę, tryska w nią ogniem, nie zawsze załatwiając stare, ponieważ te wykopują po dwa wyjścia z każdego gniazda, ale niechybnie zabijając młode - a potem smok kopie i wygrzebuje swoją ulubioną zakąskę. To odwieczna ugoda, prawie traktat, że dopóki smoki pozostają na swoim terytorium i trzymają szczury w szachu, ludzie nie będą ich niepokoić.

- A dlaczego nie wytepią szczurów, by potem oczyścić teren ze smoków?

- I pozwolić rozmnożyć się dzikom? Proszę, panie mężu, nie znam wszystkich odpowiedzi w tej kwestii; po prostu wiem, że zakłócenie naturalnej równowagi jest sprawą, do której należy podchodzić z najwyższą obawą i ostrożnością - oraz bardzo sprawnym komputerem. Nevianie zdają się być zadowoleni z istniejącego stanu rzeczy.

- Ale my prawdopodobnie będziemy musieli je zaczepić. Czy to

nie spowoduje zerwania traktatu?

- To nie jest prawdziwy traktat, tylko ludowa mądrość ze strony Nevian, a odruch warunkowy u smoków. Ponadto nie będziemy zaczepiać smoków, jeśli nie zostaniemy do tego zmuszeni. Czy omówiłeś już naszą taktykę? Kiedy tam dolecimy, nie będzie na to czasu.

Tak więc przedyskutowałem z Rufo szczegóły smokobójstwa, a Star słuchała nas, kończąc przygotowania.

- No dobrze - stwierdził ponuro. - Lepsze to od siedzenia bez ruchu, jak ostryga w skorupie, czekając, aż nas zjedzą. Więcej w tym godności. Jestem lepszym - a przynajmniej równie dobrym - łucznikiem jak ty, więc zabiorę się do niego od tyłu, ponieważ nie jestem dziś tak zwinny, jak powinienem.

- Przyszykuj się do szybkiej zamiany ról, jeśli się odwróci.

- To ty się przyszykuj, szefie. Ja będę miał bardzo silną motywację - troskę o moją ulubioną skórę.

Star była już gotowa. Założyła nam podwiązki, podciągając je na wysokość kolan, po czym kazała usiąść na skale twarzami w kierunku miejsca przeznaczenia.

- Rufo, tę dębową strzałę.

- Czy wzięłaś to z tej książki Alberta Magnusa?

- Niezupełnie - odparła. - Mój przepis jest bardziej skuteczny, a ingrediencje, którymi nasączam podwiązki, nie psują się. Panie mężu, jeśli pozwolisz, muszę skupić się na moich czarach. Połóż strzałę tak, żeby wskazywała na jaskinię.

Tak zrobiłem.

- Czy kierunek jest dobry?

- Jeśli mapa, którą mi pokazałaś, jest dokładna, to tak. Strzała wskazuje w tym kierunku, w jakim szliśmy od chwili, gdy porzuciliśmy drogę.

- Jak daleko leży Puszcza Smoków?

- Hmm, kochanie, ponieważ mamy podróżować drogą powietrzną, to dlaczego nie wlecimy prosto do jaskini i nie ominiemy smoków?

Powiedziała cierpliwie:

- Chciałabym bardzo. Ale korony drzew są tak gęste, że nie zdołamy wlecieć wprost do jaskini, nie mając swobody manewru.

A stwory żyjące wśród tych drzew, wysoko, są jeszcze gorsze od smoków. One hodują...

- Proszę! - przerwał nam Rufo. - Już mnie mdli, a jeszcze nie oderwaliśmy się od ziemi.

- Później ci wyjaśnię, Oscarze, jeśli nadal będziesz chciał wiedzieć. W każdym razie nie możemy i nie będziemy ryzykować spotkania z nimi; one żyją wysoko, gdzie nie mogą dosięgnąć ich smoki. Jak daleko jest do tej puszczy?

- Hmm... Osiem i pół mili, według tej mapy i sądząc po drodze, jaką przebyliśmy - a potem nie więcej niż dwie mile do Jaskini Wrót.

- W porządku. Obejmijcie mnie mocno w talii, obaj, i przytulcie się do mnie tak mocno, jak to możliwe; zaklęcie musi działać jednakowo na nas wszystkich.

Otoczyliśmy ramionami jej kibić i spleliśmy dłonie na jej brzuchu.

- Dobrze. Trzymajcie się mocno.

Nakreśliła jakieś symbole na skale obok strzały.

Strzała poleciała w noc, a my za nią.

Nie wiem, jak można nie nazwać tego magią, ponieważ nie widzę żadnego sposobu, w jaki można by wbudować pasy Bucka Rogersa w te elastyczne podwiązki. Och, jeśli chcecie, możecie uważać, że zahipnotyzowała nas, po czym użyła swoich sił psi i teleportowała nas osiem i pół mili. „Psi” jest lepszym słowem niż „magia”, gdyż monosylaby są mocniejsze od słów wielosylabowych - zajrzyjcie do przemówień Winstona Churchilla. Nie jestem w stanie pojąć żadnego z nich, tak samo jak nie potrafię się zgubić. Uważam, że to niesamowite, iż inni ludzie mogą.

Kiedy latam we śnie, lubię to na dwa sposoby: pierwszy polega na tym, że daję błyskawicznego nura w dół, po czym wywijam pętlę, kręcę beczki i inne takie sztuczki; w drugim siedzę po turecku jak Dalajlama i płynę przez powietrze dzięki samej sile mojej osobowości.

Skorzystaliśmy z tego drugiego sposobu, lecąc jak w szybowcu, tylko bez szybowca. To była piękna noc na latanie (powiedziano mi, że na Nevii wszystkie noce są piękne, tylko w sezonie deszczowym czasem pada przed świtem) i większy z księżyców srebrzył

ziemię pod nami. Lasy skończyły się, przechodząc w kępy drzew; w oddali widniała ciemna ściana puszczy, ku której zmierzaliśmy - o wiele wyższa i robiąca większe wrażenie niż piękne gaje za nami. Daleko po lewej dostrzegłem przez chwilę pola rodu Lerdkki.

Byliśmy w powietrzu przez około dwie minuty, gdy Rufo rzekł:

- Pp-przepraszam! - i odwrócił głowę. Nie można twierdzić, że ma słaby żołądek; nie spadła na nas nawet kropelka. Tryskało z niego jak z fontanny. To był jedyny incydent podczas tego doskonałego lotu.

Tuż przed tym, nim dotarliśmy do wysokich drzew, Star powiedziała ostro: Amech! Zatrzymaliśmy się w powietrzu jak helikopter i opadaliśmy, lądując na trzech tyłkach. Strzała leżała na trawie przed nami, znowu nieruchoma. Rufo schował ją do kołczana.

- Jak się czujesz? - spytałem. - I co z twoją nogą?

Głośno przełknął ślinę.

- Noga jest w porządku. Ale ziemia skacze w górę i w dół.

- Cii! - szepnęła Star. - Nic mu nie będzie. Tylko cicho; idzie o wasze życie!

Ruszyliśmy kilka chwil później; ja na przedzie z mieczem w dłoni, Star za mną, a na końcu Rufo, trzymając strzałę na cięciwie.

Wszedłszy z księżycowego światła w głęboki mrok, zostałem oślepiiony, więc lazałem po omacku, macając pnie drzew i modląc się, żeby żaden smok nie stanął na drodze, którą wiodło mnie moje wyczucie kierunku. Oczywiście wiedziałem, że smoki w nocy śpią, lecz nie ufałem smokom. Może kawalerowie jednak stali na warcie, tak jak dzieje się to u pawianów. Miałem ochotę założyć ten chwalebny obowiązek w ręce świętego Jerzego i oddalić się pośpiesznie.

W pewnej chwili zatrzymałem się, wyczuwając zapach starego piżma. Odczekałem chwilę i powoli zdałem sobie sprawę z obecności kształtu o rozmiarach sporej hali biurowej - to był smok, śpiący z głową opartą na ogonie. Poprowadziłem naszą grupkę okreśną drogą, idąc jak najciszej i mając nadzieję, że serce nie bije mi tak głośno, jak mi się wydaje.

Teraz moje oczy spisały się lepiej, wykorzystując każdy promień księżyca, jaki przesączał się przez gałęzie - i zauważyłem jeszcze

coś. Ziemia była porośnięta mchem i lekko fosforyzująca, tak jak to czasem dzieje się z próchniejącą kłodą. Słabe światło. Och, bardzo nikłe. Jednak tak samo jest w ciemni fotograficznej; kiedy wchodzisz, nie widzisz prawie nic, a potem okazuje się, że jest dość jasno. Dostrzegłem już drzewa, ziemię - i smoki.

Przedtem myślałem sobie: och, co tam tuzin czy dwa smoków w takim wielkim lesie? Może nie natkniemy się na żadnego, tak jak przeważnie nie napotyka się sarny w zamieszkanym przez nie ostępach.

Facet, który uzyskałby koncesję na parking całodobowy w tej puszczy, zrobiłby fortunę, gdyby udało mu się zmusić smoki do uiszczenia opłat. Kiedy nasze oczy przywykły już do ciemności, przez cały czas mieliśmy jakiegoś potwora w zasięgu wzroku.

Oczywiście, to nie są smoki. Nie, te są paskudniejsze od nich. Gady, bardzo podobne do tyranozaurusa - wielki zad, ciężkie tylne łapy, gruby ogon i mniejsze przednie łapy, wykorzystywane do chodzenia oraz chwytania zdobyczy. Łeb stanowiły głównie zęby. Te stwory są wszystkożerne, podczas gdy Tyrannosaurus rex - o ile wiem - jadał wyłącznie mięso. Ten fakt nie polepszał naszego położenia; smoki jedzą mięso, jeśli tylko mają okazję, i wolą ten pokarm od innych. Co więcej, te nie-tak-znów-podrabiane smoki wykształciły uroczą sztuczkę z podpalaniem własnych gazów trawiennych. Jednak żaden kaprys ewolucji nie może być uważany za dziwactwo, jeśli porównać go ze sposobem, w jaki uprawiają miłość ośmiornice.

W pewnej chwili, daleko po lewej, w powietrzu trysnął słup ognia i rozległ się głuchy ryk, jaki mógłby wydać bardzo stary aligator. Błysk trwał kilka sekund i zgasł. Nie pytajcie mnie, co to było - może dwa samce pokłóciły się o samicę. Gdy światło zgasło, poszliśmy dalej, lecz nieco wolniej, gdyż nawet ten nikły rozbłysk wystarczył, żeby na jakiś czas nas oślepić.

Jestem uczulony na smoki - dosłownie, nie w przenośni. Moja alergia przypomina tę, jaką biedny, stary Rufo ma na dramaminę, tyle że objawia się w sposób, w jaki niektórzy ludzie reagują na kocią sierść.

Gdy tylko znaleźliśmy się w tym lesie, oczy zaczęły mi łzawić, potem zatkało mi zatoki i nim uszliśmy pół mili, tarłem lewym

nadgarstkiem górną wargę najmocniej, jak mogłem, próbując przez ból opanować chęć kichnięcia. W końcu nie mogłem już wytrzymać; zatkałem palcami nozdrza, zagryzłem wargi i stłumiona eksplozja omal nie rozerwała mi bębenków usznych. Zdarzyło się to akurat wtedy, gdy mijaliśmy tylną część ciała bydłęcia wielkości sporej przyczepy kempingowej. Zamarłem; oni też zastygli i czekaliśmy przez chwilę. Nie obudziło się.

Kiedy ruszyłem dalej, moja ukochana podeszła do mnie i złapała mnie za ramię; znów stanąłem. Sięgnęła do swojej sakwy, odszukała coś po omacku, natarła mi tym nos i nozdrza, a potem lekkim pchnięciem dała mi znać, że możemy iść.

Nos najpierw zrobił mi się zimny jak po balsamie „Vick”, później cały mi zdrętwiał, aż wreszcie się przeczyścił.

Mniej więcej po godzinie przekradania się między drzewami i śpiącymi gigantami, które wydawało się trwać całe wieki, zacząłem mieć nadzieję, że uda nam się przedostać. Jaskinia Wrót nie powinna znajdować się dalej niż sto jardów przed nami i dostrzegłem już wzniesienie, gdzie miało być wejście - musieliśmy ominąć tylko jednego smoka, który leżał nieco z boku.

Przyspieszyłem kroku.

Był tam ten malec, nie większy od kangura i podobnej budowy, jeśli pominąć mleczone ząbki długości czterech cali. Może był tak mały, że musiał w nocy siadać na nocniczku, nie mam pojęcia. Wiem tylko, że przechodziłem koło drzewa, za którym się skrył, i nadepnałem mu na ogon, a maluch pisnął.

Miał prawo. Ale to właśnie wtedy wszystko... równo wpadło w wentylator. Dorosły smok, leżący między nami a jaskinią, natychmiast się zbudził. Nie był wielki - powiedzmy, jakieś czterdzieści stóp, razem z ogonem.

Dobry, stary Rufo natychmiast wkroczył do akcji, jakby przećwiczył to nieskończoną ilość razy, śmigając ku tylnej części ciała bestii, napinając łuk i szykując się do wypuszczenia strzały.

- Podnieś mu ogon!- wrzasnął.

Podbiegłem z przeciwnej strony i próbowałem rozjuszyć bestię, wrzeszcząc, wywijając mieczem i cały czas zastanawiając się, jaki zasięg ma ten miotacz płomieni. Neviański smok ma tylko cztery miejsca, w jakie możesz wpakować mu strzałę, reszta jest okryta

pancerzem jak u nosorożca, tylko grubszym. Te cztery miejsca to paszcza (kiedy jest otwarta), oczy (trudny strzał; są małe i świńskie) oraz ten punkt pod ogonem, będący słabym punktem niemal każdego zwierzęcia. Sądziłem, że strzała umieszczona w tej delikatnej części ciała mogłaby potężnie wzmocnić uczucie „swędzenia i pieczenia”, opisywane w niewielkich ogłoszeniach na ostatnich stronach gazet pod nagłówkiem „UNIKAJ INTERWENCJI CHIRURGA!”

Zakładałem, że jeśli smok, niezbyt bystre zwierzę, zostanie nieznacznie podrażniony z obu końcówek jednocześnie, to diabli wezmą jego koordynację ruchową i będziemy mogli go kłuć, aż straci formę albo zrobi mu się niedobrze i ucieknie. Ale musiałem go zmusić do podniesienia ogona, żeby Rufo mógł wypuścić strzałę. Te stworzenia, brzuchate jak stary t.rex, atakują z uniesioną głową i przednimi łapami, utrzymując równowagę przez podniesienie ogona.

Smok wysuwał i cofał łeb, a ja próbowałem poruszać się w rytmie jego ruchów, starając się nie znaleźć na linii ognia, kiedy wypali - gdy nieoczekiwanie dostałem swoją pierwszą porcję metanu. Wyczułem zapach gazu, zanim nastąpił zapłon, i cofnąłem się tak szybko, że wpadłem na tego brzdąca, na którego wcześniej nadepnałem; wywróciłem się, lądując na plecach, i przetoczyłem się w bok, co uratowało mi życie. Płomienie wystrzeliły na dwadzieścia stóp. Dorosły smok stanął dęba i byłby mnie usmażył, ale malec był na linii strzału. Bestia wstrzymała ogień, a Rufo krzyknął: „W dziesiątkę!”

Powodem, dla którego cofnąłem się w porę, był cuchnący oddech potwora. Mówi się, że „czysty metan jest bezbarwnym, bezwonnym gazem”. Smok miał niedopracowany cykl produkcyjny; metan był tak zanieczyszczony ketonami i aldehydami, że w porównaniu z nim otwarte szambo pachniałoby jak Shalimar.

Sądzę, że Star, dając mi ten balsam na katar, uratowała mi życie. Kiedy mam zatkany nos, nie czuję nawet tego, co mam na górnej wardze.

W czasie, gdy dochodziłem do tego wniosku, wydarzenia wcale nie zwolniły biegu; całą tę pracę myślową wykonałem wcześniej lub później. Zaraz po tym, jak Rufo trafił w cel, bestia znów otwo-

rzyła pysk, na którym malował się wyraz urażonej godności, i zapomniawszy o miotaniu ognia, usiłowała obiema łapami chwycić się za tyłek. Nie mogła - przednie łapy miała za krótkie - ale próbowała. Kiedy zobaczyłem, jaki zasięg ma wyrzucana przez nią struga ognia, pospiesznie schowałem miecz i złapałem łuk. Zdażyłem wpakować jej jedną strzałę w pysk, chyba w lewy migdał.

Tym razem szybciej pojęła aluzję. Z rykiem wściekłości, który wstrząsnął ziemią, ruszyła na mnie, czkając płomieniami, a Rufo krzyknął: „Siódemka!”

Byłem zbyt zajęty, aby mu pogratulować, gdyż jak na swoje rozmiary te stworzonka są dość żwawe. Jednak ja też jestem szybki i miałem lepszą motywację. Tak wielkie stworzenie nie może szybko zmienić kierunku ataku, lecz może obrócić łeb, a z nim strumień ognia. Osmaliło mi gacie, więc skoczyłem ze zdwojoną szybkością, starając się zejść smoka od tyłu.

Kiedy robiłem uniki, moja małżonka starannie wpakowała mu strzałę w drugi migdałek, dokładnie w miejsce, skąd wydobywał się płomień. Biedne zwierzę tak rozpaczliwie próbowało odwrócić się w obie strony jednocześnie i dostać nas oboje, że potknęło się o własne nogi i runęło jak długie, powodując małe trzęsienie ziemi. Rufo umieścił kolejną strzałę w delikatnym zadzie, a Star wypuściła jeszcze jedną, która przebiła smoczy jęzor, wbijając się aż po lotkę, nie powodując wielkiej szkody, ale okropnie irytując potwora.

Smok zwinął się w kłębek, dźwignął się z ziemi, stanął na tylnych łapach i znów próbował mnie usmażyć. Doszedłem do wniosku, że mnie nie lubi.

I wtedy płomień zgasł.

Właśnie na to liczyłem. Prawdziwy smok, posiadający zamki i uwięzione księżniczki, może wypalić tyle razy, ile chce - jak te sześciostrzałowe w telewizyjnych westernach. Jednak te stworzenia same wytwarzały swój metan i nie mogły mieć zbyt dużego zbiornika na gaz, ani trzymać go pod zbyt wielkim ciśnieniem - a przynajmniej taką miałem nadzieję. Gdybyśmy, drażniąc smoka, skłonili go do szybkiego zużycia całej amunicji, musiałoby trochę potrwać, zanim ponownie by się naładował.

W tym czasie moi towarzysze nie dawali mu spokoju, traktując

jak poduszkę na szpilki. Zwierzę usilnie próbowało ponownie wypalić, podczas gdy ja szybko zmykałem, starając się manewrować tak, aby piszczące smoczątko znalazło się między mną a dorosłym osobnikiem, który zachowywał się tak, jak pusty ronson - płomień zamigotał i trysnął, strzelił na marne sześć stóp i zgasł. Smok tak bardzo starał się trafić mnie resztkami ognia, że znów się przewrócił.

Zakładając, że przez sekundę lub dwie będzie - tak jak mocno uderzony człowiek - nieco oszołomiony, podbiegłem i wbiłem mu miecz w prawe oko.

Zadygotał konwulsyjnie i znieruchomiał.

(Szczęśliwy traf. Powiadają, że dinozaury tych rozmiarów miały mózg wielkości kasztana. Załóżmy, że ten miał większy - powiedzmy, jak melon - ale i tak, jeśli wbijesz ostrze w gałkę oczną i trafisz prosto w mózg, możesz mówić o szczęściu. Wszystko, co zrobiliśmy mu wcześniej, nie znaczyło dla niego więcej niż ukąszenie komarów. Ale to jedno pchnięcie położyło go trupem. Chyba święty Michał razem ze świętym Jerzym kierowali moim ostrzem).

Usłyszałem:

- Szefie! Wiejmy!

Nadciągał smoczy peleton. Podobne uczucie ma się na ćwiczeniach, kiedy każą ci wykopać okop i przepuszczają nad tobą czołg.

- Tędy! - krzyknąłem. - Tutaj, nie tam!

Rufo zatrzymał się z poślizgiem, razem pomknęliśmy przed siebie i zobaczyłem wylot jaskini, ponury jak grzech i zapraszający jak matczyne ramiona. Star została trochę z tyłu; wepchnąłem ją do środka. Rufo wtoczył się za nią, a ja odwróciłem się, aby dla mojej ukochanej stawić czoła pozostałym smokom.

Ale ona krzyknęła:

- Milordzie! Oscarze! Do środka, idioto! Muszę ustawić zapory!

Tak więc szybko schowałem się w jaskini, a ona zrobiła swoje i nigdy nie obtańcowałem jej za to, że nazwała swojego męża idiotą.

ROZDZIAŁ XIII

Najmniejszy smok polazł do jaskini, nie w złych zamiarach (choć nie ufam niczemu, co ma takie zęby), ale raczej jak kacze pisklę, idące za każdym, kto prowadzi. Próbował wejść do środka i gdy dotknął pyskiem niewidzialnej bariery, cofnął się gwałtownie, jak kociak trafiający na ładunek elektrostatyczny. Potem tylko stał na zewnątrz, wydając jękliwe dźwięki.

Zacząłem się zastanawiać, czy zapory Star zatrzymają płomień. Niebawem dowiedziałem się, gdy pojawił się stary smok, wsadził łeb w otwór, cofnął się z obrzydzeniem tak samo jak tamten maluch, a potem łypnął na nas okiem i włączył swój miotacz płomieni.

Nie, bariery nie powstrzymywały ognia.

Weszliśmy dostatecznie głęboko, żeby nas nie poparzył, ale dym, smród i gorąco były okropne, a gdyby potrwały dłużej, mogły być zabójcze.

Strzała świsnęła mu nad uchem i smok stracił całe zainteresowanie. Zastąpił go inny, jeszcze nie zniechęcony. Rufo, a może Star, przekonali go, zanim zdążył włączyć swój palnik. Powietrze oczyściło się; gdzieś z głębi pieczary szedł świeży powiew.

Tymczasem zapaliło się światło, a smoki zwołały wiec protestacyjny. Obejrzałem się - wąski, niski korytarz, opadający w dół i skręcający. Przestałem zwracać na nich uwagę; nadchodził kolejny komitet pożegnalny.

Trafiłem przewodniczącego w podniebienie, zanim zdążył rygnać ogniem. Jego miejsce zajął wiceprzewodniczący, który palnął piętnastostopową mównicę, zanim i on zmienił zdanie. Komitet odszedł z rykiem, oskarżając się wzajemnie o kiepskie pomysły.

Smoczątko przez cały ten czas stało opodal jaskini. Kiedy dorośli wycofali się, znowu podeszło do wejścia, aż do miejsca, gdzie poparzyło sobie nos.

- Koo-werp? - powiedziało bez ogródek. - Koo-werp? Keet!

Najwyraźniej chciało wejść.

Star dotknęła mojego ramienia.

- Jeśli pozwolisz, panie mężu, jesteśmy gotowi.

Keet!

- Już, już - zgodziłem się i krzyknąłem: - Zmykaj, mały! Wracaj do mamy.

Rufo też wetknął głowę.

- Pewnie nie może - skomentował. - Prawdopodobnie załatwiliśmy jego mamę.

Nie odpowiedziałem, ponieważ w jego słowach było sporo sensu; dorosły smok, którego zabiliśmy, zbudził się natychmiast, gdy nadepnałem temu pętałowi na ogon. Wyglądało to na miłość macierzyńska, choć nie mam pojęcia, czy smoki są zdolne do jej okazywania.

Jednak to piekielnie niemiłe, kiedy nie można nawet zabić smoka i nie odczuwać potem wyrzutów sumienia.

Krętym szlakiem schodziliśmy w głąb góry, schylając głowy pod stalaktytami i omijając stalagmity; Rufo szedł na przedzie, trzymając pochodnię. Dotarliśmy do kopulasto sklepionej komory o podłożu wygładzonym przez niezliczone wieki kalcytowego osadu. Stalaktyty wiszące pod ścianami miały pastelowe barwy, a jeden, zwisający ze sklepienia i nie mający pod sobą stalagmitu, tworzył niemal symetryczny kandelabr. Razem ze Star poutykali w kilkunastu miejscach kawałki fosforyzującego kitu, który skąpał jaskinię w miękkim świetle, podkreślając kolory wapiennych nacieków.

Pokazał mi rozsnute między stalaktytami pajęczyny.

- Te stwory są nieszkodliwe - rzekł. - Są po prostu duże i brzydkie. Nawet nie gryzą jak pajaki. Ale... uważaj, gdzie stajesz!

Odciągnął mnie w tył.

- Wystarczy je dotknąć, żeby się otruć. Padalce. Dlatego zajęło nam to tyle czasu. Musieliśmy się upewnić, że miejsce jest czyste, zanim postawiliśmy zapórę. Jednak teraz, kiedy Ona ustawia bariery przy przejściach, sprawdzę wszystko jeszcze raz.

Te tak zwane padalce były przezroczytymi, świecącymi stworzeniami wielkości sporych grzechotników i podobnymi do dżdżownic; byłem rad, że nie żyją.

Ponadziewał je na swój miecz, jak ohydny szaszłyk, i wyniósł je na korytarz, którym tu przyszliśmy.

Wrócił szybko, a Star uporała się ze stawianiem zapór.

- Teraz lepiej - rzekł z westchnieniem, zabierając się za wycieranie ostrza. - Nie chcę, żeby mi śmierdziały pod nosem. Gniją

bardzo szybko i przypominają mi siną skórę. Albo koprę. Czy mówiłem ci o tych czasach, gdy zaokrętowałem się jako kucharz na statek płynący do Sydney? Mieliśmy drugiego mata, który nigdy się nie mył, a w kajucie trzymał pingwina. Samicę, oczywiście. Ten ptak nie był wcale czyściejszy od właściciela i miał zwyczaj...

- Rufo - powiedziała Star. - Zechcesz pomóc mi przy bagażu?

- Już idę, milady.

Wyjeliśmy żywność, maty do spania, zapas strzał, rzeczy potrzebne do czarów czy też czegoś tam oraz bukłak na wodę, którą również weźmiemy ze składanego kufra. Star ostrzegła mnie wcześniej, iż Karth-Hokesh jest miejscem, które ze względu na różnice chemiczne nie nadaje się do życia; całe jedzenie i picie musieliśmy zabrać ze sobą.

Bez entuzjazmu spojrzałem na te jednolitrowe pojemniki.

- Dziecinko, myślę, że przesadnie ograniczamy racje żywności i wody.

Potrząsnęła głową.

- Więcej nam nie potrzeba, naprawdę.

- Lindbergh przeleciał przez Atlantyk, mając jedną kanapkę z masłem orzechowym - wtrącił Rufo. - Chociaż nalegałem, żeby wziął więcej.

- Skąd wiesz, że tyle nam wystarczy? - nalegałem. - A szczególnie wody.

- Ja napełnię swoją brandy - rzekł. - Jak podzielicie się ze mną, ja podzielę się z wami.

- Kochany milordzie, woda jest ciężka. Jeśli spróbujemy zabrać wszystko, co może się przydać, to niczym Biały Rycerz, będziemy zbyt obciążeni, żeby walczyć. I tak będę musiała sporo się natrudzić, żeby przetrzymać troje ludzi, broń i minimum odzieży. Żywe ciała są najłatwiejsze do transportu; mogę wykorzystać waszą moc. Następne w kolejności są obiekty, które niegdyś były żywe; sądzę, że zauważyliście, iż nasza odzież jest z czystej wełny, łuki drewniane, a cięciwy ze zwierzęcych jelit. Najtrudniejsze do transportu są przedmioty martwe, szczególnie stal, jednak musimy mieć miecze, a gdybyśmy nie utracili broni palnej, wyteżyłabym wszystkie siły, aby ją przenieść, ponieważ teraz będzie nam potrzebna. Jednakże, panie Bohaterze, ja tylko cię informuję. Mu-

sisz sam zdecydować - i czuję, że zdołam unieść, och, jeszcze z pół cetnara przedmiotów martwych, jeśli będzie trzeba, nabierz to, co podpowiada ci twój geniusz.

- Mój geniusz poszedł na ryby. Jednak, moja miłości, rozwiązanie jest proste. Weź wszystko.

- Milordzie.

- Wygląda na to, że Jocko zaopatrzył nas w pół tony żywności, tyle wina, że można w nim pływać, i trochę wody. Plus szeroki asortyment najlepszych neviańskich przyrządów do zabijania, dźgania i rzeźnia; nawet w zbroje. I inne rzeczy. W tym kufierku jest dość zapasów, aby przetrwać obleżenie, nie jedząc i nie pijąc niczego, co pochodzi z Karth-Hokesh. Urok tego polega na tym, że wszystko to waży tylko około piętnaście funtów po zapakowaniu - a nie pięćdziesiąt, o których mówiłaś, że możesz je przerzucić, jeśli się sprężysz. Przytroczę to sobie na plecach i nawet nie poczuję. Nie będzie mi przeszkadzało, a może nawet ochroni przed ciosami w plecy. Dobrze?

Star miała taki wyraz twarzy, jaki przybiera matka, której dziecko właśnie zdemaskowało oszustwo z bocianem i która zastanawia się, jak poradzić sobie z tym trudnym tematem.

- Panie mężu, masa jest o wiele za duża. Wątpię czy jakakolwiek czarownica lub czarownik potrafiłby ją ruszyć bez asysty.

- Nawet złożona?

- To niczego nie zmienia, milordzie; masa nadal tam pozostaje - i jest tym bardziej niebezpieczna. Wyobraź sobie potężną sprężynę, ściśniętą bardzo mocno i ciasno, a więc magazynującą wiele energii. Potrzeba ogromnej siły, aby przenieść składany kuferek w jego złożonej postaci - inaczej eksploduje.

Przypomniałem sobie błotny wulkan, który nas opryskał i przestałem się spierać.

- W porządku, nie mam racji. Jednak jeszcze jedno pytanie... Jeżeli masa pozostaje nie zmieniona, dlaczego skrzynka waży tak mało po złożeniu?

Zrobiła tę samą zakłopotaną minę.

- Wybacz, milordzie, ale nie mówimy tym samym językiem matematycznym językiem - abym mogła udzielić ci odpowiedzi. Umówmy się, tak: dam ci okazję przestudiować ten problem, jeśli

będziesz chciał. Podpowiadam ci, żebyś myślał o tym, jako o stabilnym zakrzywieniu przestrzeni. Albo jako o masie tak nieskończenie odległej - w innym kierunku - od ścian skrzynki, że lokalna grawitacja prawie nie ma znaczenia.

(Przypomniałem sobie, jak kiedyś babcia poprosiła mnie, żebym jej wyjaśnił zasady działania telewizji - chodziło jej o wnętrze aparatu, nie o te zabawne obrazki. Są pewne rzeczy, których nie da się wytłumaczyć w dziesięciu krótkich lekcjach, ani spopularyzować dla mas; trzeba je latami wkuwać w pocie czoła. Wydaje się to herezją w czasach, gdy ignorancja jest powszechna, a opinia jednego człowieka równie dobra jak zdanie drugiego. Ale tak to się dzieje. Jak powiada Star, świat jest, jaki jest - nie wybacza ignorancji).

Jednak nadal byłem ciekawy.

- Star, czy potrafisz mi wyjaśnić, dlaczego pewne rzeczy przechodzą łatwiej niż inne? Na przykład drewno łatwiej od żelaza.

Zrobiła niewyraźną minę.

- Nie, ponieważ sama nie wiem. Magia to nie nauka, lecz zbiór zasad robienia pewnych rzeczy - zasad, które działają, ale często nie wiemy, dlaczego.

- Podobnie jak w inżynierii. Projektujesz coś zgodnie z teorią, a potem i tak wprowadzasz poprawki.

- Tak, panie mężu. Mag jest inżynierem wykonującym pomiary na oko.

- A filozof - wtrącił Rufo - jest niewidomym naukowcem. Ja jestem filozofem. To najlepszy fach.

Zignorowała go i wyjęła szkicownik; narysowała mi, co wiedziała o wielkiej wieży, z której mieliśmy wykraść Jajo Feniksa. Szkicownik przypominał duży sześcian pleksiglasu; miał ten sam wygląd i konsystencję i także zostawały na nim ślady palców.

Jednak Star miała długi wskaźnik, który przechodził przez ten blok jak przez powietrze. Końcem tego wskaźnika kreśliła trójwymiarowy rysunek; wszędzie, gdzie chciała, zostawiał cienką, lśniąca linię - trójwymiarowa tablica szkolna.

To nie były czary, lecz zaawansowana technologia - kiedy ją opanujemy, pobije na głowę wszystkie nasze metody projektowania, szczególnie tak skomplikowanych obiektów jak silniki lotni-

cze i obwody UKF- to lepsze od rzutów na przezroczystej kalce. Ten blok miał bok o długości około trzydziestu cali i rysunek wewnątrz można było oglądać ze wszystkich stron - a nawet odwracać i spojrzeć od spodu.

Wieża Wysoka Na Milę nic była smukła, lecz podobna do masywnej bryły, przypominającej trochę te schodkowate budynki w Nowym Jorku, ale nieporównanie większa.

Wewnątrz mieścił się labirynt.

- Panie rycerzu - rzekła przepraszająco. - Kiedy opuszczaliśmy Niecę, mieliśmy w bagażu dokładny plan wieży. Teraz muszę odtwarzać go z pamięci. Jednakże studiowałam go tak długo, że jestem przekonana, iż wiernie odtworzę układ pomieszczeń, nawet jeśli ucierpią na tym proporcje. Jestem pewna, że pamiętam niewłaściwą drogę, prowadzącą do Jaja. Może nie narysuję wszystkich ślepych korytarzy i bocznych odgałęzień - nic studiowałam ich tak dokładnie.

- Nie sądzę, aby to było istotne - zapewniłem ją. - Jeśli będę znał dobrą drogę, wszystkie nie znane mi będą niewłaściwe. Zatem nie wybierzemy ich. Chyba żeby ukryć się w razie potrzeby.

Nakreśliła właściwą trasę płonąca czerwienią, a inne przejścia na zielono - i tych ostatnich było o wiele więcej. Stworzenie, które projektowało tę wieżę, miało pokrętny umysł. To, co pozornie było głównym wejściem, ciągnęło się, rozgałęziało, ponownie łączyło, przechodziło opodal Komnaty Jaja - a potem wiodło z powrotem zawiłym szlakiem i w końcu wyprowadzało cię na manowce, jak u P.T. Barnuma w „Tędy do wyjścia”.

Inne korytarze biegły w głąb i wprowadzały cię w labirynt, z którego nie można było wyjść, kierując się regułą lewej ręki. Gdybyś próbował, umarłbyś tam z głodu. Nawet przejścia zaznaczone na czerwono były bardzo skomplikowane. Jeśli nie wiedziałeś, gdzie ukryto Jajo, mogłeś wybrać właściwą drogę, a i tak spędzić rok z okładem na bezowocnych poszukiwaniach.

- Star, czy byłaś kiedyś w tej Wieży?

- Nie, milordzie. Byłam w Karth-Hokesh. Jednak daleko stąd, na Wzgórzach Groty. Widziałam Wieżę tylko z bardzo daleka.

- Ktoś musiał tam być. Przecież twoi... przeciwnicy nie przesłali ci mapy.

Odparła posepnie:

- Milordzie, sześćdziesięciu trzech ludzi zginęło, aby zdobyć informacje, które ci teraz przekazuję.

(A zatem zobaczymy próbę numer sześćdziesiąt cztery!)

- Czy możesz pokazać mi tylko czerwone przejścia? - zapytałem.

- Oczywiście, milordzie.

Dotknęła przełącznika i zielone linie zniknęły. Czerwone zaczęły się od jednego z trzech wejść - jedynych „drzwi” oraz pary „okien”.

Wskazałem na najniższy poziom.

- Czy tylko te spośród trzydziestu czy czterdziestu drzwi prowadzą do Jaja.

- Istotnie.

- A więc tuż za tymi drzwiami będą czekali, żeby nas załatwić.

- To bardzo możliwe, milordzie.

- Hmm... - Odwróciłem się do Rufo. - Czy masz w tej rupieciar-ni jakąś lekką i mocną linę?

- Mam taką, z której Jocko robił wnyki. Coś w rodzaju żyłki wędkarskiej, wytrzymałej ciężar półtora tysiąca funtów.

- Dobry chłopiec!

- Pomyślałem, że możesz jej potrzebować. Czy tysiąc jardów wystarczy?

- Tak. Czy masz jeszcze coś lżejszego?

- Trochę jedwabnej linki na łososia.

W ciągu godziny uporaliśmy się z przygotowaniem wszystkiego, co przyszło mi do głowy, a schemat labiryntu wykułem na pamięć jak alfabet.

- Star, złotko, możemy się zwijać. Zechcesz cisnąć swoje zaklęcie?

- Nie, milordzie.

- Dlaczego nie? Lepiej zrobić to szybko.

- Ponieważ nie mogę, kochanie. Te Bramy nie są prawdziwymi wrotami; trzeba wybrać odpowiednią chwilę. Ta tutaj będzie gotowa do otwarcia tylko przez kilka minut, mniej więcej za siedem godzin, a potem nie da się jej otworzyć ponownie przez parę tygodni.

Przyszła mi do głowy niemiała myśl.

- Jeśli te typy, z którymi mamy na pieńku, wiedzą o tym, rzucają się na nas, gdy tylko przez nią przejdziemy.

- Mam nadzieję, że nie, mój rycerzu. Powinni oczekiwać nas przy Wzgórzach Groty, ponieważ wiedzą, że gdzieś mamy Bramę - i rzeczywiście znajduje się tam Brama, z której zamierzałam skorzystać. Jednak ta, nawet jeśli wiedzą o jej istnieniu, jest tak fatalnie - dla nas - położona, że nie sądzę, aby spodziewali się, że odważymy się jej użyć.

- Coraz bardziej poprawiasz mi humor. Czy zamierzasz powiedzieć mi coś o tym, czego mam się spodziewać? Czołgów? Kawalerii? Zielonych olbrzymów z kosmatymi uszami?

Była zakłopotana.

- Milordzie, cokolwiek powiem, mogę wprowadzić cię w błąd. Możemy założyć, że ich oddziały będą złożone raczej z tworów niż z żywych istot... Co oznacza, że mogą być wszystkim. Ale też wszystko może okazać się złudzeniem. Czy mówiłam ci o grawitacji?

- Nie sądzę.

- Wybacz mi, jestem zmęczona i nie myślę jasno. Grawitacja jest tam zmienna, czasami w sposób zupełnie przypadkowy. Płaski odcinek może wyglądać na schodzący w dół, a w następnej chwili piąć się w górę. Są też inne zjawiska, z których każde może być iluzją.

- Szefie - rzekł Rufo. - Jeśli coś się rusza, strzelaj. Jeśli gada, poderżnij gardło. W ten sposób pozbędziesz się większości złudzeń. Nie potrzebujesz programu imprezy; będziemy tam tylko my i oni. Tak więc, jeśli będziesz miał jakieś wątpliwości, zabij. Nie musisz się przejmować.

Uśmiechnąłem się do niego.

- Nie przejmować się. W porządku, będziemy się martwić, kiedy dotrzemy na miejsce. A więc koniec gadania.

- Tak, panie mężu - przytaknęła Star. - Najlepiej prześpijmy się kilka godzin.

Jej głos zmienił się trochę. Spojrzałem na nią i zauważyłem, że i ona trochę się zmieniła. Wydawała się mniejsza, delikatniejsza, bardziej kobieca i potulna niż ta amazonka, która przed dwiema

godzinami pakowała strzałę za strzałą w bestię sto razy większą od niej.

- Dobry pomysł - powiedziałem wolno i rozejrzałem się wokół.

Kiedy kreśliła schemat labiryntu Wieży, sługa ponownie zapakował to, czego nie mogliśmy zabrać i - co właśnie zauważyłem - umościł jedno posłanie pod ścianą jaskini, a dwa pozostałe daleko od niego, po przeciwnej stronie komory.

Zadałem jej nieme pytanie, zerknąwszy na Rufo i lekko wzruszywszy ramionami, co oznaczało: „I co teraz?”

Jej spojrzenie nie odpowiedziało ani tak, ani nie. Zamiast tego zawołała:

- Idź spać, Rufo, i daj wypocząć swojej nodze. Nie leż na niej. Połóż się na brzuchu albo twarzą do ściany.

Rufo po raz pierwszy okazał dezaprobatę dla tego, co robimy. Odpowiedział gwałtownie, nie komentując polecenia, lecz to, co kryło się za jej słowami:

- Nie patrzyłbym, nawet gdybyś mi płaciła!

Star powiedziała mi tak cicho, że ledwie usłyszałem jej słowa:

- Wybacz mu, panie mężu. To stary człowiek i ma swoje dziwactwa. Kiedy znajdzie się w łóżku, pogaszę światła.

- Star, ukochana - szepnąłem. - Nadal twierdzę, że nie tak wyobrażam sobie miodowy miesiąc.

Poszukała spojrzeniem moich oczu.

- Czy taka jest twoja wola, kochany milordzie ?

- Tak. Przypis mówi o dzbanie wina i kromce chleba. Nie ma tam ani słowa o przyzwoitce. Przykro mi.

Położyła smukłą dłoń na mojej piersi i spojrzała na mnie.

- Cieszę się, milordzie.

- Naprawdę? - Nie widziałem powodu.

- Tak. Oboje potrzebujemy snu. Aż do ranka. Aby twoje silne ramię i miecz zapewniły nam wiele następnych wschodów słońca.

Poczułem się raźniej i uśmiechnąłem się do niej.

- Dobrze, moja księżniczko. Jednak wątpię w to, czy zasnę.

- Och, zaśniesz.

- Chcesz się założyć?

- Posłuchaj mnie, drogi milordzie. Jutro... kiedy zwyciężysz... szybko udamy się do mojego domu. Koniec ze zwlekaniem, koniec

z kłopotami. Chcę, żebyś poznał język mojej ojczyzny, tak abyś nie czuł się tam obco. Chcę, żeby to była twoja ojczyzna, od razu. A więc? Czy teraz pan mąż zechce udać się do łóża? Czy zechce się położyć i pozwoli, że udzielę mu lekcji języka? Zaśniesz, panie, wiesz, że zaśniesz.

- Hmm... To dobry pomysł. Ale ty potrzebujesz snu nawet bardziej niż ja.

- Wybacz, milordzie, ale tak nie jest. Cztery godziny snu przywrócą mi sprężysty krok i pieśń na usta.

- No cóż...

Pięć minut później leżałem wygodnie wyciągnięty, patrząc w najpiękniejsze na wszystkich światach oczy i słuchając kochanego głosu, przemawiającego cicho w nie znanym mi języku...

ROZDZIAŁ XIV

Rufo tarł mnie za ramię.

- Śniadanie, szefie! - rzekł, wciskając mi w jedną rękę sandwiczka, a w drugą kufel piwa. - Tyle wystarczy przed walką, a obiad już zapakowałem. Przygotowałem czyste ubranie oraz twoją broń i ubiorę cię, jak tylko skończysz jeść. Ale wcinaj szybko. Za kilka minut ruszamy.

Był już ubrany i opięty pasem.

Ziewnąłem i ugryzłem kanapkę (sardynki, szynka i majonez, z czymś, co przypominało jednocześnie pomidora i sałatę) - po czym rozejrzałem się dookoła. Miejsce obok nie było puste, ale Star chyba dopiero co wstała - jeszcze nie zdążyła się ubrać. Klęczała na środku komory, rysując na skale jakiś wielki wzór.

- Dzień dobry, szczebiotko - powiedziałem. - Pentagram?

- Mmm... - odpowiedziała, nie podnosząc głowy.

Podszedłem i przyglądałem się jej pracy. Czymkolwiek był ten wzór, nie został nakreślony na planie pięcioramiennej gwiazdy. Miał trzy centra symetrii, był bardzo skomplikowany, tu i ówdzie upstrzony napisami - w nie znanym mi języku i alfabecie - i jedyne, co wyglądało znajomo, to fragment przypominający hipersześcian narysowany na płaszczyźnie.

- Jadłaś, kochanie?
- Dziś rano poszczę.
- I tak jesteś chuda. Czy to tesserakt?
- Przestań!

Odrzuciła włosy spadające na twarz, spojrzała na mnie i uśmiechnęła się ze skruchą.

- Przepraszam, kochany. Jestem czarownicą-latawicą, to pewne. Ale, proszę, nie stój mi nad głową. Ponieważ straciłam na bagnach moje księgi, muszę kreślić to z pamięci - a to trudne zadanie. O nic już nie pytaj, proszę. Możesz zachwiać moją pewnością siebie - a muszę być całkowicie pewna swego.

Dygnałem.

- Proszę o wybaczenie, milady.
- Nie bądź taki formalny, mój drogi. Kochaj mnie mimo to i daj mi szybkiego całusa - a potem zostaw w spokoju.

Tak więc pochyliłem się nad nią i obdarzyłem wysokokalorycznym pocałunkiem z majonezem, a później zostawiłem w spokoju. Ubrałem się, kończąc piwo i kanapkę, a potem odszukałem naturalną niszę tuż przed stojącymi w korytarzu zaporami, którą przeznaczono na toaletę dla panów. Kiedy wróciłem, Rufo czekał, trzymając mój pas z mieczem.

- Szefie, spóźnisz się na własny pogrzeb.
- Mam nadzieję.

Kilka minut później staliśmy już na tym diagramie. Star na miejscu miotacza, ja na pierwszej, a Rufo na trzeciej bazie. Obaj byliśmy solidnie objuczeni; ja miałem dwa bukłaki i pas z mieczem żony (zapięty na pierwszą dziurkę) oprócz mojego. Rufo dźwigał na plecach luk Star i dwa kołczany, jak również lunch i jej apteczkę. Pod lewe ramię obydwaj wcisnęliśmy po łuku z założoną cięciwą, a w rękach trzymaliśmy obnażone miecze. Zwinięte w kłęb rajtuzy Star wcisnąłem za pas, kurtkę niósł Rufo, wepchnąwszy do kieszeni jej buty i kapelusz - i tak dalej. Wyglądaliśmy jak wędrowni handlarze starzyzną.

Jednak w ten sposób Rufo i ja mieliśmy wolne lewe ręce. Trzymając miecze w pogotowiu, stanęliśmy twarzami na zewnątrz, sięgnęliśmy w tył i Star mocno chwyciła nasze dłonie. Znajdowała się dokładnie w środku diagramu, stojąc pewnie na lekko rozstawio-

nych nogach i mając na sobie strój, jaki zgodnie z wymaganiami czarnoksięskiego fachu muszą nosić czarownice przy pracy - to znaczy zupełnie naga. Z zarumienioną twarzą i błyszczącymi oczami, rozczochrana, wyglądała wspaniale i żałowałem, że muszę się odwrócić.

- Gotowi, moi śmiałkowie? - spytała podekscytowanym głosem.
- Gotowi - potwierdziłem.
- Ave, Imeratrix, nos morituri te...
- Przestań, Rufo! Cicho!

Zaczęła nucić w nie znanym mi języku. Poczulem, jak włos jeży mi się na karku. Urwała, jeszcze mocniej ścisnęła nasze ręce i zawołała:

- Teraz!

W sposób niespodziewany, jak trzaśnięcie drzwi, poczułem się jak bohater Bootha Tarkingtona w sytuacji typowej dla Mickeya Spillane'a.

Nawet nie mam czasu jęknąć, oto coś wyrasta przede mną, szykując się, żeby mnie zarażać, więc wbijam mu ostrze w bebechy i wyrywam je, podczas gdy on zastanawia się, gdzie upaść; potem tak samo traktuje jego kumpla. Jeszcze jeden przykuca za swoimi towarzyszami broni i próbuje trafić mnie w nogi. Jestem zajęty jak szczerbaty marchewką i prawie nie czuję szarpnięcia za pas, gdy Star wyciąga swój miecz.

Następnie zauważam, jak zabija wroga, który usiłuje do mnie strzelić. Ona jest wszędzie jednocześnie, naga jak noworodek i o wiele bardziej żywotna. W czasie przejścia mieliśmy wrażenie, jakiego doznaje się w szybko zjeżdżającej windzie, i nagłe zmniejszenie grawitacji mogłoby być nieprzyjemne, gdybyśmy mieli czas o tym myśleć.

Świetnie to wykorzystuje. Pchnąwszy faceta, który chciał mnie ustrzelić, przeskakuje nad moją głową i łbem następnego natręta, w przelocie dźga go w szyję i drań przestaje być natrętny.

Zdaje się, że pomogła i Rufo, ale nie mam czasu na to patrzeć. Słyszę za plecami jego sapnięcia, mówiące mi, że nadal zadaje więcej ciosów, niż otrzymuje.

Nagle krzyczy: „Padnij!” i coś podcina mi kolana, tak że walę się na ziemię. Łąduję miękko, jak należy, i już mam stanąć, kiedy

zdaje sobie sprawę, że wywrócił mnie Rufo. Leży na brzuchu koło mnie i strzela z czegoś, co musi być karabinem, do poruszających się celów na równinie, kryjąc się za martwym ciałem jednego z uczestników tej zabawy.

Star również leży, ale nie walczy. Coś przedziurawiło jej prawe ramię między łokciem a barkiem.

Oprócz tych dwojga nie dostrzegalem wokół nikogo żywego, ale czterysta do pięciuset stóp dalej były jakieś cele, oddalające się szybko. Zobaczyłem, że jeden upadł, usłyszałem „zzzyt” i obok mnie zaśmierdziało przypalonym mięsem. Trup leżący po lewej trzymał coś, co wyglądało na karabin; złapałem broń i usiłowałem zorientować się, jak działa. Miał kolbę i rurę, która powinna być lufą; reszta nie wyglądała znajomo.

- Trzeba tak, mój Bohaterze - Star podczołgała się do mnie, wlokąc za sobą ranione ramię i zostawiając smugę krwi. - Przyłóż go jak strzelbę i wyceluj, tak. Pod lewym kciukiem masz przycisk. Naciśnij go. To wszystko - nie znosi i nic podrzuca.

I nie kopie, co stwierdziłem, gdy wzięłem jedną z tych biegnących postaci na cel i wcisnąłem przycisk. Z lufy wyleciał dymek i tamten padł. „Promień śmierci”, karabin laserowy czy cokolwiek to było, działało bez zarzutu - wyceluj, naciśnij guzik i każdy, kto znajdzie się na linii ognia, opuszcza przyjęcie z powodu dziury wypalanej w garniturku.

Dostałem jeszcze kilku, przesuwając lufę od prawej do lewej, a w tym czasie Rufo zdążył załatwić resztę celów. Nic się nie poruszyło, nigdzie.

Rufo rozejrzał się dookoła.

- Lepiej nie podnoś się, szefie.

Przetoczył się po ziemi, otworzył sakwę przy swoim pasie, zawierającą apteczkę, i założył Star prowizoryczny opatrunek na ramię. Potem odwrócił się do mnie.

- Jak ciężko jesteś ranny, szefie?

- Ja? Nawet mnie nie drasnęli.

- No to co masz na tunice? Ketchup? Pewnego dnia ktoś naprawdę cię załatwi. Zobacysz to.

Pozwoliłem, aby rozpiął mi kurtkę. Ktoś, posługując się ostrą

piłą, zrobił mi dziurę w lewym boku, poniżej żeber. Nie zauważyłem tego i nie czułem - dopóki jej nie zobaczyłem; wtedy mnie zabolalo i zrobiło mi się niedobrze. Stanowczo sprzeciwiam się wszelkim aktom przemocy popełnianym na mojej osobie. Kiedy Rufo bandażował ranę, rozglądałem się wokół, żeby nie patrzeć.

W pierwszym starciu zabiliśmy około tuzina wrogów, plus pół tuzina tych, którzy umykali - i chyba zastrzeliliśmy wszystkich, którzy uciekli. Jak? A w jaki sposób sześćdziesięciofuntowy pies, dysponujący jedynie zębami, chwyta, zwała z nóg i obezwładnia uzbrojonego mężczyznę? Odpowiedź: dzięki gwałtowności ataku.

Sądzę, że przybyliśmy w chwili, gdy zmieniali straż w miejscu, o którym wiedzieli, że jest

Bramą - i gdybyśmy przybyli, mając miecze w pochwach, usiekliby nas jak nic. A tak, położyliśmy większość z nich, zanim połapali się, że tu jesteśmy. Zostali zaskoczeni, zdemoralizowani i wyróżniliśmy pozostałych, nawet tych, którzy usiłowali spłynąć. Karate oraz wiele innych poważnych form walki (boks, tak samo jak wszelkie sposoby ograniczone przepisami, nie jest poważny) - wszystkie one opierają się na tym samym: idź na całego, nieustannie atakuj i nie popuszczaj. W sumie rzecz polega bardziej na odpowiednim nastawieniu niż na zręczności.

Miałem chwilę czasu, żeby obejrzeć naszych niedawnych przeciwników; jeden z nich leżał pyskiem do mnie i z otwartym brzuchem. Powiedziałbym, że to Igli, tylko w wersji ekonomicznej. Ani śladu urody i bez pępka, a także nie za dużo mózgu - prawdopodobnie stworzony tylko w jednym celu: aby walczyć, starając się zostać przy życiu. Co odnosiło się również do nas - ale my byliśmy szybsi.

Ich widok źle wpływał na mój żołądek, więc popatrzyłem w niebo. Wcale nie poczułem się lepiej; to nie było porządne niebo i nie mogłem skupić na nim wzroku. Ruszało się, a jego barwy były niewłaściwe i drażniące jak na niektórych abstrakcyjnych malowidłach. Ponownie spojrzałem na nasze ofiary, które w porównaniu z tym niebem wyglądały zupełnie normalnie.

Kiedy Rufo opatrywał mnie, Star wcisnęła się w rajstopy i założyła buty.

- Czy mogę usiąść, aby założyć kurtkę? - spytała.

- Nie - odparłem. - Może pomyśla, że nas pozabijali. Razem z Rufo pomogliśmy jej ubrać się, nie wystawiając głów nad barykadę trupów. Jestem pewien, że uraziliśmy ją w ramię, ale powiodła tylko:

- Zawieście mi miecz przy prawym boku. I co teraz, Oscarze?

- Gdzie są podwiązki?

- Mam je. Jednak nie jestem przekonana, że będą działać. To bardzo dziwne miejsce.

- Pewność siebie - powiedziałem jej. - Sama mi to mówiłaś kilka minut temu. Pogoń swój rozumek do roboty i uwierz, iż potrafisz to zrobić.

Ułożyliśmy się rzędem, trzymając cały nasz dobytek wzbogacony o trzy „strzelby” oraz broń boczną tego samego rodzaju, po czym ustawiliśmy dębową strzałę w kierunku Wieży Wysokiej Na Mile. Budowla dominowała nad całą okolicą, bardziej przypominając górę niż wieżę, czarna i złowroga.

- Gotowi? - spytała Star. - Teraz i wy uwierzcie!

Nakreśliła coś palcem na piasku.

- Jazda!

Poleciliśmy. W powietrzu zdałem sobie sprawę z tego, że stanowiliśmy doskonały cel - ale takim też bylibyśmy na ziemi dla każdego siedzącego w tej wieży - jeszcze lepszym, gdybyśmy szli pieszo.

- Szybciej! - krzyknąłem Star do ucha. - Lećmy szybciej!

I poleciliśmy. Powietrze zaświszczało nam w uszach, gdy rzucało nami w górę, w dół lub na boki przy napotykanii tych anomalii grawitacyjnych, o których ostrzegała mnie Star - i może to nas ocaliło; stanowiliśmy trudny cel. Chociaż, jeśli zlikwidowaliśmy wszystkich strażników, być może nikt w Wieży nie wiedział, że przybyliśmy.

Ziemia w dole była szaro-czarną pustynią, otoczoną pierścieniem gór tworzących jakby księżycowy krater, na którego środku wznosiła się Wieża. Zaryzykowałem jeszcze jedno spojrzenie w niebo, usiłując określić strony świata. Żadnego słońca. Żadnych gwiazd. Żadnej czerni ani błękitu - światło padało ze wszystkich stron, a „niebo” składało się z pasm, kotłujących się kształtów i mrocznych dziur we wszelkich możliwych kolorach.

- Na miłość boską, cóż to za planeta? - zakrzyknąłem.
- To nie jest planeta - odkrzyknęła Star.- To po prostu miejsce w zupełnie innym wszechświecie. Nie nadające się do życia.
- A jednak ktoś tu mieszka. - Wskazałem na wieżę.
- Nie, nikt tu nie mieszka. Wybudowano ją jedynie po to, żeby strzec Jaja.

Potworność tej idei nie dotarła do mnie od razu. Nagle przypomniałem sobie, że nie wolno nam tu niczego jeść ani pić - i zacząłem się zastanawiać, jak możemy oddychać, skoro wszystko jest tu dla nas trujące. Poczulem ucisk w piersi i zapiekło mnie w płucach. Zapytałem o to Star, a Rufo tylko jęknął. (Jęknął już raz czy dwa razy, ale nie puścił pawia. Chyba nie miał czym).

- Och, mamy co najmniej dwanaście godzin - powiedziała. Zapomnij o tym. To nieistotne.

Wtedy naprawdę zaboląły mnie piersi i ja również jęknąłem.

Zaraz potem wylądowaliśmy na szczycie Wieży; Star ledwie zdążyła krzyknąć „Amech!”, zanim nas przeniosło.

Dach był płaski, zdawał się być zrobiony z czarnego szkła, miał mniej więcej dwieście jardów kwadratowych - i żadnego, choćby najmniejszego występu, do którego można by przywiązać linę. Liczyłem przynajmniej na komin wentylacyjny.

Jajo Feniksa znajdowało się około sto jardów pod nami. Na wypadek, jeśli uda nam się dotrzeć do Wieży, opracowałem dwa plany. Były tu trzy (spośród setek) otwory prowadzące do przejść wiodących do Jaja - oraz do Nie Narodzonego Pożeracza Dusz, żandarma, który je pilnował. Jedno wejście znajdowało się na dole i tego w ogóle nie brałem pod uwagę. Drugie na wysokości kilkuset stóp nad ziemią i nad tym poważnie się zastanawiałem; wypuścić strzałę z uwiązaną do niej linką, tak aby przeleciała nad jakimś występem nad otworem, potem wciągnąć grubszą linę i wspiąć się po niej w górę - żadna sztuka dla wprawnych alpinistów, do których ja się nie zaliczałem, ale Rufo tak.

Jednak okazało się, że ta wielka Wieża nie ma żadnych występów - okaz współczesnej prostoty architektonicznej, doprowadzonej do przesady.

Trzeci plan polegał na tym, żeby - jeśli uda się dostać na dach - opuścić się na linie do trzeciego z właściwych wejść, znajdującego

się niemal na tym samym poziomie co Jajo. I oto byliśmy tu, zgodnie z planem - tylko nie mieliśmy do czego uwiązać liny.

Powtórne przemyślenie problemu daje niekiedy cudowne wyniki; dlaczego nie powiedziałem Star, żeby wleciała z nami prosto w tę dziurę w murze?

No cóż, musieliśmy bardzo dokładnie nastawić tę dębową strzałę; mogliśmy trafić w złą dziurkę. Ale prawdziwy powód był taki, że nie przyszło mi to do głowy.

Star siedziała i trzymała się za zranione ramię.

- Kochanie - powiedziałem. - Czy nie mogłabyś nas sprowadzić, powoli i spokojnie, w dół, a potem wlecieć do tej dziury, co trzeba?

Spojrzała na mnie. Twarz miała ściągniętą.

- Nie.

- No cóż. To niedobrze.

- Niechętnie ci to mówię, ale przegrzałam podwiązki przy tej nadmiernej szybkości, na nic nam się nie zdadzą, dopóki ponownie ich nie naładuję. A tutaj nie ma czym tego zrobić. Potrzebuje zielonej bylicy, zajęczej krwi i tym podobnych rzeczy.

- Szefie - rzekł Rufo. - A gdybyśmy potraktowali cały ten szczyt Wieży jako kulek?

- Co masz na myśli?

- Mamy mnóstwo liny.

Pomysł był godny uwagi - obejść dach z liną w rękę, podczas gdy ktoś będzie trzymał drugi jej koniec, potem zawiązać węzeł i zjechać po reszcie sznura. Tak zrobiliśmy - ale odkryliśmy, że na tysiącyardowej linie zabrakło nam około stu stóp.

Star obserwowała nas. Kiedy byłem zmuszony przyznać, że sto stóp za mało to tak samo, jakbyśmy w ogóle nie mieli liny, powiedziała z namysłem:

- Zastanawiam się, czy nie pomogłaby nam Laska Arona?

- Pewnie, gdyby ją wbił w ten przyduży stół pingpongowy. Co to takiego, ta Laska Arona?

- Sprawia, że rzeczy miękkie sztywnieją, a sztywne miękną. Nie, nie, to nie to. No tak, to też, ale ja myślałam o przełożeniu tej liny przez dach, tak aby dziesięć jej jardów zwisało po drugiej stronie. A potem ten koniec i część przechodzącą przez dach zmienić tak, żeby stały się sztywne jak stal - coś jakby hak.

- Czy możesz to zrobić?

- Nie wiem. Jest częścią Klucza Salomona i czymś w rodzaju zaklęcia. To zależy od tego, czy zdołam je sobie przypomnieć - i czy takie czary działają w tym wszechświecie.

- Więcej wiary! Na pewno możesz to zrobić.

- Nie pamiętam nawet, jak się zaczyna. Kochany, czy umiesz hipnotyzować? Rufo nie potrafi, a przynajmniej nie mnie.

- Nie mam o tym zielonego pojęcia.

- Rób po prostu to samo, co ja robiłam, kiedy udzielałam ci lekcji języka. Patrz mi w oczy, mów cicho i każ mi przypomnieć sobie właściwe słowa. Może lepiej, żebyście przedtem ułożyli linę.

Tak też zrobiliśmy i spuściłem po drugiej stronie sto, a nie dziesięć stóp sznura, licząc, że im większy hak, tym lepszy. Star położyła się, a ja zacząłem mówić do niej cicho (i bez przekonania), powtarzając w kółko to samo.

Zamknęła oczy i pozornie zasnęła. Nagle zaczęła coś mamrotać w nieznanym języku.

- Hej, szefie! To draństwo jest twarde jak skała i nieustępliwe jak sąd apelacyjny!

Kazałem Star, aby się obudziła, i ześliznęliśmy się w dół najszybciej, jak umieliśmy, modląc się w duchu, żeby hak nie zmiękł pod naszym ciężarem. Nie opuszczaliśmy liny; po prostu nakłoniłem Star, żeby trochę ją usztywniła, a potem zjechałem w dół i upewniłem się, że jestem przy właściwym otworze - trzy rzędy niżej i czternaście nad ziemią. Później zjechała Star, którą złapałem w ramiona, a Rufo spuścił bagaże, na które składała się głównie broń, i w końcu zjechał sam. Znaleźliśmy się w Wieży i na planecie... Poprawka: „w miejscu” - byliśmy w miejscu zwanym Karth-Hokesh dopiero od czterdziestu minut.

Przystanąłem i w myślach porównałem budynek ze szkicem w przejrzystym sześcianie, ustaliłem kierunek i położenie Jaja, a także „czerwoną linię” prowadzącej do niego właściwej drogi.

No dobra, przejdziemy te kilkaset jardów, weźmiemy Jajo Feniksa i jazda! Przestało kłuć mnie w piersiach.

ROZDZIAŁ XV

- Szefie - rzekł Rufo. - Spójrz na równinę.

- Na co?

- Na nic - odparł. - Ciała zniknęły. Powinny być cholernie dobrze widoczne na tym czarnym piachu, skoro nie ma tam nawet krzaczka mogącego je zasłonić.

Nie popatrzyłem.

- Psiakrew, niech się tym martwi ranny łoś, nie my! Mamy zadanie do wykonania. Star, możesz strzelać lewą ręką? Z jednego z tych pistoletów?

- Oczywiście, milordzie.

- Trzymaj się dziesięć stóp za mną i strzelaj do wszystkiego, co się rusza. Rufo, ty idź za nią z łukiem w rękę i strzałą na cięciwie. Strzelaj, jeśli coś zobaczysz. Przewieś sobie przez ramię jedną z tych strzelb - zrób uchwyt z kawałka liny.

Zmarszczyłem brwi.

- Większość rzeczy będziemy musieli pozostawić. Star, nie dasz rady napiąć łuku, więc choć jest taki śliczny, zostaw go tutaj razem z kołczanem. Rufo weźmie mój; używamy takich samych strzał. Niechętnie go zostawiam - świetnie leży w rękę. Jednak muszę. Cholera!

- Poniosę go, mój Bohaterze.

- Nie, musimy wyrzucić wszystkie bezużyteczne rupiecie.

Odczepiłem manierkę, łyknąłem solidnie i podałem ją dalej.

- Dopijcie i wyrzućcie.

Podczas gdy Rufo pił, Star przewiesiła sobie mój łuk przez ramię.

- Panie mężu? W ten sposób prawie nic nie waży i nie przeszkadza w strzelaniu. A więc?

- No cóż... Jeśli zaczniesz ci przeszkadzać, przetnij cięciwę i zapomnij o nim. Teraz wypij swoją porcję i ruszajmy.

Zerknąłem w głąb korytarza, w którym byliśmy; piętnaście stóp szerokości i tyleż wysokości, oświetlony światłem padającym nie wiadomo skąd, skręcał w prawo - co zgadzało się z obrazem, jaki miałem w pamięci.

- Gotowi? Trzymajcie się blisko. Jeśli nic damy rady ich posie-

kać, zastrzelić lub naszpikować, powiemy im dzień dobry.

Dobylem miecza i ruszyliśmy szybkim krokiem.

Dlaczego wolałem miecz od jednego z karabinów siejących „promienie śmierci”? Taki pistolet trzymała Star, która wiedziała o tej broni więcej niż ja. Ja nawet nie miałbym pojęcia, czy jest nabity, ani jak długo wduszać przycisk. Umiała celować, co udowodniła, strzelając z łuku, a w walce była równie bezwzględna jak Rufo i ja.

Rozdzieliłem broń i ludzi najlepiej, jak umiałem. Rufo, idący z tyłu z dwoma kołczanami strzał, mógł użyć łuku lub w razie potrzeby miał czas sięgnąć po swój miecz lub tę „strzelbę” z arsenału Bucka Rogersa - jeśli uzna to za konieczne - i nie musiałem mu doradzać, sam będzie wiedział, kiedy.

Tak więc miałem osłonę dwóch dalekosiężnych broni - staromodnej i supernowoczesnej, znajdujących się w rękach ludzi, którzy mieli pojęcie, jak ich używać, i odpowiedni temperament - przy czym ten ostatni czynnik był najważniejszy. (Czy wiesz, ilu żołnierzy w plutonie naprawdę strzela w czasie walki? Może sześciu. A raczej trzech. Reszta zamiera w bezruchu.)

Dobrze wyważony miecz przy walce wręcz jest najbardziej wszechstronną z wymyślonych broni. Pistolety i karabiny są bronią ofensywną, nie defensywną; przyskocz do niego i facet z karabinem nie wystrzeli, więc musi zatrzymać cię, zanim go dopadniesz. Dostaniesz faceta z ostrzem i zostaniesz nadziany jak kurczak na rożen - chyba że też masz miecz i potrafisz zrobić z niego lepszy użytek niż on.

Miecz nigdy się nie zacina, nie trzeba go przeładowywać, jest zawsze odbezpieczony. Jego największą wadą jest to, że wymaga sporych umiejętności i długotrwałej praktyki; aby je osiąść, nie można zrobić szermierza z surowego rekruta w ciągu kilku tygodni, a nawet mie sięcy.

Jednakże najważniejszym (i prawdziwym) powodem mojej decyzji był fakt, że czując w dłoni rękojeść Lady Vivamus oraz jej gotowość do ataku, nabierałem otuchy - bo ze strachu zaschło mi w gardle.

Tamci (kimkolwiek byli) mogli ostrzelać nas z zasadzki, zagazować, pozakładać miny - mogli zrobić wiele rzeczy. Jednak mogli to

zrobić, nawet gdybym niósł w rękę jedną z tych dziwnych strzelb.

Z mieczem w rękę byłem rozluźniony i spokojny - dzięki czemu mój oddziałek był bezpieczniejszy. Jeśli dowódca odczuwa potrzebę noszenia króliczej łapki, powinien ją nosić - a dotknięcie rękojeści tej cudownej szabli było lepszym lekiem niż wszystkie królicze łapki w całym Kansas.

Korytarz ciągnął się w dal, bez zakrętów, pełen zalegającej ciszy i bez śladu zagrożenia. Niebawem straciliśmy z oczu wejście. Wnętrze Wieży było puste, ale nie martwe - żyło tak, jak żyje w nocy muzeum; wyczuwało się obecność odwiecznego zła. Mocniej chwyciłem rękojeść miecza, lecz uświadomiwszy sobie to, rozluźniłem palce.

Doszliśmy do ostrego zakrętu w prawo. Stanałem jak wryty.

- Star, tego nie było na twoim szkicu!

Nie odpowiedziała. Nalegałem:

- Nie, nie było. Prawda?

- Nie jestem pewna, milordzie.

- No cóż, ale ja jestem. Hmm...

- Szefie - rzekł Rufo. - Czy jesteś zupełnie pewien, że trafiliśmy we właściwą dziurkę?

- Jestem pewien. Mogę się mylić, ale nie mam wątpliwości - a jeśli się mylę, to i tak już z niej nie wyjdziemy. Hmm... Rufo, weź swój łuk, zatknij na koniec kapelusza i wystaw go za róg na takiej wysokości, na jakiej wyglądałby stojący człowiek - i zrób to w tej samej chwili, gdy ja wyjrzę niżej.

Położyłem się na brzuchu.

- Gotów... Teraz!

Trzymając głowę tuż nad podłogą, wyjrzałem za róg, podczas gdy Rufo ściągał ewentualny ogień wyżej. Zobaczyli tylko pusty korytarz, zupełnie prosty.

- Dobra, za mną!

Szybko mineliśmy zakręt. Po kilku krokach zatrzymałem się.

- Co, do licha?

- Coś nie w porządku, szefie?

- Istotnie. - Odwróciłem się i powąchałem. - I to bardzo. Jajo jest tam - rzekłem, wskazując ręką - może dwieście jardów stąd,

według mapy Star.

- Czy to źle?

- Nie jestem pewien. Ponieważ zanim skręciliśmy, znajdowało się po lewej, w tym samym kierunku i pod tym samym kątem. Zatem teraz powinno być po prawej.

- Słuchaj, szefie - powiedział Rufo. - Dlaczego po prostu nie pójdziemy szlakiem, który zapamiętałeś? Przecież nie mogłeś zapamiętać każdego...

- Zamknij się. Pilnuj korytarza. Star, stań na rogu i obserwuj mnie uważnie. Spróbuję pewnej sztuczki.

Zajęli swoje miejsca. Rufo „na oku”, a ona tam, skąd mogła widzieć oba korytarze - na rogu. Wróciłem do pierwszego tunelu i poszedłem z powrotem. Dochodząc do zakrętu, zamknąłem oczy i szedłem dalej.

Przeszedłem jeszcze tuzin kroków i otworzyłem oczy.

- Nie ma wątpliwości - rzekłem do Rufo.

- Co do czego?

- Nie ma żadnego zakrętu. - Wskazałem na róg.

Rufo zrobił zaniepokojoną minę.

- Dobrze się czujesz, szefie?

Próbowałem dotknąć mojego czoła. Cofnąłem się.

- Nie mam gorączki. Chodźcie ze mną oboje.

Zaprowadziłem ich za róg i stanąłem po przejściu około dwudziestu kroków.

- Rufo, wypuść strzałę w tę ścianę przed zakrętem. Wyceluj ją tak, żeby uderzyła w ścianę na wysokości około dziesięciu stóp.

Rufo westchnął, lecz usłuchał. Strzała pomknęła i znikła w murze. Rufo wzruszył ramionami.

- Tam musi być bardzo miękko. Straciliśmy strzałę, szefie.

- Może. Na pozycje i za mną.

Ponownie minęliśmy zakręt i nieco dalej niż odległość od miejsca wystrzelenia do zakrętu leżała nasza strzała. Pozwoliłem Rufo podnieść ją; spojrzał uważnie na herb Dorala przy lotce i wrzucił swoją własność do kołczana. Nic nie powiedział. Poszliśmy dalej.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie schody prowadziły w dół - ale z planu, który miałem w głowie, wynikało, że powinniśmy wchodzić w górę.

- Uważajcie na pierwszy stopień - zawołałem za siebie. - Wymacajcie go stopami i nie potknijcie się.

Stopnie zdawały się normalne jak na schody prowadzące w dół - tyle że mój zmysł orientacji mówił mi, że idziemy do góry, a kierunek i odległość - od naszego miejsca przeznaczenia uległy odpowiedniej zmianie. Robiąc szybki test, zamknąłem na moment oczy i stwierdziłem, że naprawdę wchodzę, a tylko moje oczy dały się zwieść. To był jeden z tych „zwariowanych domów” w lunapar-kach, w którym „podłoga” może być każdą ścianą lub sufitem - tylko złudzenie było nieskończenie lepsze.

Przestałem kwestionować dokładność rysunku Star i szedłem podaną trasą, niezależnie od tego, co mi mówił wzrok. Kiedy korytarz rozgałęział się na cztery odnogi, podczas gdy pamięć podsuwała mi tylko dwie, przy czym jedna była ślepym zaułkiem, bez wahania zamykałem oczy i zdawałem się na mój nos - i Jajo zostawało na swoim miejscu, tam gdzie miało być.

Ale niekoniecznie zbliżaliśmy się do niego za każdym zakrętem i nawrotem; a przynajmniej nie w takim sensie, że najkrótsza linia łącząca dwa punkty to prosta - bo czy zawsze tak jest? Trasa wiła się jak flaki w brzuchu; architekt musiał używać precla zamiast linijki. Co gorsza, za którymś razem, gdy szliśmy schodami „w górę” - według mapy: idąc równym korytarzem - złapała nas anomalia grawitacyjna, sprawiając, że wykonaliśmy pełny obrót i nieoczekiwanie ześliznęliśmy się na sufit.

Nic nam się nie stało oprócz tego, że wszystko ponownie przekręciło się w chwili, gdy spadaliśmy z sufitu, i z powrotem rzuciło nas na podłogę. Rozglądając się na bok, pomogłem Rufo pozbierać strzały i ruszyliśmy dalej. Zbliżaliśmy się do legowiska Nie Narodzonego - i do Jaja.

Korytarze robiły się węższe i bardziej nierówne, fałszywe zakręty ciaśniejsze i trudniejsze do przebycia - i światło zaczęło przygasać.

Nie to było najgorsze. Nie boję się ciemności ani ciasnoty; klaustrofobię odczuwam tylko, jadąc windą w domu towarowym w dniu Wielkiej Wyprzedaży. Ale teraz usłyszałem szczury.

Szczury, mnóstwo szczurów, biegnące i piszczące pod ścianami wokół nas, pod i nad nami. Zacząłem się pocić i pożałowałem, że wypilem tyle wody. Ciemności i ciasnota pogłębiały się, aż wresz-

cie musieliśmy iść na czworakach tunelem wykutym w chropowatej skale, a potem po omacku czołgać na brzuchach, jak więźniowie zamku d'If... A szczury biegały wokół nas, piszcząc i zgrzytając zębami.

Nie, nie wrzeszczałem. Star szła tuż za mną i nie krzyczała ani nie narzekała na zranione ramię - więc nie wrzeszczałem. Za każdym razem, gdy przesuwała się ku mnie, klepała mnie w nogę, żeby powiadomić, że dobrze się czuje i z Rufo też wszystko w porządku. Nie traciliśmy sił na rozmowy.

Zobaczyłem coś przed sobą, dwa słabe światełka, więc stanąłem, zamrugałem oczami i spojrzałem jeszcze raz. Potem szepnąłem do Star:

- Widzę coś. Trzymaj się z daleka, ja podejść i sprawdzę, co to takiego. Słyszysz?

- Tak, panie Bohaterze.

- Powiedz Rufo.

Następnie zrobiłem jedną odważną rzecz w swoim życiu; cał po cał zacząłem czołgać się naprzód. Bowiem dzielność to kontynuowanie marszu, kiedy jesteś tak przerażony, że zawodzi cię zwieracz, kiedy nie możesz oddychać i serce odmawia ci posłuszeństwa - a jest to dokładny opis aktualnego stanu ducha niejakiego E. □ Gordona, byłego szeregowca, z zawodu bohatera. Wydawało mi się, że wiem, czym są te dwa światełka, a im bardziej się zbliżałem, tym bardziej byłem pewien - czułem już zapach cholernika i widziałem jego sylwetkę.

Szczur. Nie zwykły szczur, żyjący w miejskich ściekach i czasem zjadający dzieci, lecz gigantyczny, na tyle wielki, aby zablokować to przejście, lecz na tyle mniejszy ode mnie, żeby mieć swobodę manewru i miejsce do ataku - miejsce, którego ja nie miałem. Jedyne, co mogłem zrobić, to pełznąć naprzód z nastawionym mieczem i trzymając ostrze wymierzone w niego, starać się w razie czego nadziać go na nie - ponieważ gdyby je ominął, nie pozostałoby mi nic prócz gołych rąk, a nie miałem miejsca, by ich użyć. Dobrałby mi się do twarzy.

Przelknąłem wzbierającą mi w gardle żółć i pełzłem naprzód. Jego oczy opadły do podłogi, jakby szykował się do skoku.

Jednak nie skoczył. Światełka pojaśniały i rozdzieliły się, a gdy

przecisnąłem się stopę czy dwie dalej, z drżeniem ulgi zdałem sobie sprawę z tego, że to nie szcurze ślepie, ale coś innego - nieważne co.

Przepychałem się dalej naprzód. Nie chodziło tylko o to, że tam było Jajo; nadal nie wiedziałem, co to za światełka i musiałem to sprawdzić, zanim pozwolę, aby Star ruszyła z mną.

„Ślepie” okazały się dwoma dziurkami w tkaninie zamykającej ten koniec szcurzej nory. Widziałem już wzór materiału i kiedy do niej dotarłem, stwierdziłem, że mogę popatrzeć przez jeden z otworów.

Za nim rozpościerała się wielka komnata, której podłoga była kilka stóp poniżej miejsca, gdzie się znajdowała. W głębi pomieszczenia, pięćdziesiąt stóp dalej, jakiś człowiek stał przy ławie, czytając książkę. Kiedy go zobaczyłem, podniósł głowę i zerknął w moją stronę. Zdawał się zastanawiać.

Ja się nie wahałem. Tunel rozszerzył się na tyle, że udało mi się podkurczyć jedną nogę i skoczyć, odrzucając na bok arras ręką uzbrojoną w miecz. Potknąłem się, ale spadłem na nogi w postawie szermierczej.

Był co najmniej równie szybki jak ja. Zatrzasnął książkę i wyciągnął swój miecz, zмирzając ku mnie, nim jeszcze zdążyłem zeskoczyć na podłogę. Stał, uginając kolana, z prostym nadgarstkiem, założywszy lewą rękę na plecy i mierząc we mnie ostrzem - w idealnej postawie mistrza szermierki - po czym zmierzył mnie spojrzeniem z odległości tych kilku dzielących nas stóp.

Nie nacierałem. Jest taka skuteczna taktyka „sportowa”, zalecana przez najlepszych szermierzy, polegająca na szybkim ataku z wyprostowanym ramieniem i nadgarstkiem oraz klingą wyciągniętą na całą długość - sam atak i żadnych prób parowania. Jednak jest skuteczna jedynie wtedy, kiedy uwaga przeciwnika na ułamek sekundy osłabnie. W innym wypadku to samobójstwo.

Tym razem byłoby to samobójstwo; był gotów do walki. Tak więc zmierzył go spojrzeniem, kiedy mi się przyglądał. Był niewysokim mężczyzną o rękach dość długich jak na swój wzrost - może pod tym względem miałem nad nim przewagę, a może nie, szczególnie że używał staromodnego rapiera, dłuższego niż Lady Vivamus (ale dlatego też musiał być wolniejszy, chyba że miał

znacznie silniejsze przeguby niż ja), a jego strój bardziej pasował do Paryża z czasów Richelieu niż do Karth-Hokesh. Chociaż nie, to niezupełnie prawda; ta wielka, czarna Wieża nie miała żadnego stylu, w przeciwnym razie ja, w moim przebraniu Robin Hooda, też nie pasowałbym tu. Iglisi, których zabiliśmy, nie nosili żadnych ubrań.

Ten facet był brzydkim zadziornym człowieczkiem o wesołym uśmiechu i największym nochalą, jaki widziałem na wschód od Durante - co przypomniało mi nos mojego pierwszego sierżanta, który z tego powodu bardzo obrażał się, gdy przezywano go „Schnozzola”. Jednak to podobieństwo kończyło się na nosie; mój sierżant nigdy się nie uśmiechał i miał mętne, świńskie oczka; oczy tego gościa były wesołe i dumne.

- Czy jesteś chrześcijaninem? - zapytał.

- A co cię to obchodzi?

- Nic. Krew to krew, tak czy inaczej, jeśliś chrześcijaninem, wyznaj swe grzechy. Jeśliś poganinem, wzywaj swoich bożków. Nie dam ci więcej, jak trzy zwrotki. Jednak jestem sentymentalny, lubię wiedzieć, kogo zabijam.

- Jestem Amerykaninem.

- Czy to kraj? Czy też jakaś choroba? I co robisz w Hokus?

- Hokus? Chyba Hokesh?

Wzruszenie ramion uwidoczniło się tylko w jego oczach; ostrze nawet nie drgnęło.

- Hokus, Hokesh - sprawa geografii i akcentu; ten zamek stał niegdyś w Karpatach, niechże więc zwie się „Hokesh”, jeśli to umili ci chwilę śmierci. No, chodź, zaśpiewajmy.

Natarł tak szybko i płynnie, że wydawało się, iż czyni to tylko dla zabawy i nasze ostrza zadzwoniły, gdy sparowałem atak w sekście, zripostowałem, a on się zastawił. Kontra, pchnięcie, zastaw i atak - złożenie biegło tak gładko i było tak długie i zmienne, że widziałbym się pomyśleć, że ćwiczyliśmy Grande Salute.

Jednak ja wiedziałem! Ten pierwszy atak miał mnie zabić, podobnie jak wszystkie kolejne pchnięcia w tym złożeniu. Równocześnie badał mnie, próbując siły mego nadgarstka, szukając słabych punktów, badając, czy obawiam się ataku z dołu i zawsze przyjmuję górną pozycję albo czy można mi wytrącić broń. Nie

zrobiłem ani jednego wypadu, nie miałem okazji; wymuszał na mnie każdy element złożenia, a ja po prostu parowałem ciosy, usiłując zostać przy życiu.

Już po trzech sekundach wiedziałem, że mam przed sobą lepszego szermierza niż ja, ze stalowym przegubem i zwinnego jak atakujący wąż. Był jedynym, jakiego spotkałem, który używał primy i oktawy - używał ich, zauważcie - równie łatwo co seksty i kwarty. Każdy się ich uczy i mój nauczyciel fechtunku kazał mi je ćwiczyć równie intensywnie jak inne - lecz większość uprawiających szermierkę nie używa ich; chyba że zmuszeni sytuacją wykonują je niezręcznie, broniąc się przed utratą punktu.

Ja straciłbym nie punkt, lecz życie - i na długo przed końcem tego [pierwszego](#), długiego starcia wiedziałem, że prawdopodobnie je stracę. A do tego przy pierwszym trzasku kling ten idiota zaczął śpiewać!

Zrób wypad i paruj, i pchnij,
Logika to stali i miecza!
Co czujesz, mój dobry paniczu?
Ripostuj, odbijaj i tnij.
Tu fałszywe wykręty są niczym!
I po cóż nam sporu ten trud?
I tak racja przy mnie zostanie!
Mów, czemuż to wzdrygasz, mój panie?
Tu es fatigue, sans doute?
Śpij zatem, a mnie łup się dostanie!

W trakcie wypowiedzianych słów wykonał co najmniej trzydzieści prawie udanych zamachów na moje życie, a po ostatnim słowie rozłączył klingi równie gładko i nieoczekiwanie, jak przedtem je związał.

- No, kolego! - powiedział. - Wtóruj! Czy pozwolisz, abym śpiewał sam? Chcesz umrzeć jak błazen na oczach patrzących dam? Śpiewaj! - i z wdziękiem powiedz do widzenia, a ostatni rym wyjdzie ci z gardła wraz z ostatnim tchnieniem.

Prawym butem uderzył o podłogę w rytmie flamenco.

- Spróbuj! Cena i tak jest ta sama.

Nie opuściłem oczu, słysząc odgłos tupnięcia; to stara sztuczka i niektórzy szermierze robią tak przy każdym ataku i pchnięciu,

licząc, że hałas zaskoczy przeciwnika, wybije go z rytmu lub zmusi do cofnięcia się i pozwoli im zdobyć punkt. Ostatni raz dałem się na to nabrać, zanim zacząłem się golić.

Jednak jego słowa podsunęły mi pewien pomysł. Jego pchnięcia były płytkie - wyciągnięcie klingi na pełny zasięg jest niebezpieczną grą, zbyt ryzykowną, gdy idzie o życie. Ale ja wyłącznie cofałem się powoli, a za sobą miałem tylko ścianę. W następnym starciu albo zostanę szybko przyszpilony do niej jak motyl, albo potknąwszy się o coś, runę, jak długi aby zostać nadziany jak śmieć w parku. Nie mogłem ryzykować i nadal stać plecami do tej ściany.

Co gorsza, z tej szczurzej dziury za mną miała lada chwila wyjść Star, a on mógł ją zabić, nawet gdybym przy tym zdołał zabić jego. Jeśli jednak zdołałbym go odwrócić... Moja ukochana była kobietą praktyczną i „duch sportowej walki” nie powstrzymałby jej od wsadzenia mu w plecy stalowego żądła.

Ten szczęśliwy pomysł polegał na tym, że jeśli przystanę na jego zwariowaną sugestię i zacznę rymować i śpiewać, może podjąć tę grę, ciekaw usłyszeć, co mam do powiedzenia, zanim mnie zabije.

Jednak nie mogłem przeciągać tego zbyt długo. Chociaż wcale tego nie poczułem, skaleczył mnie w ramię. Niewielkie draśnięcie w rodzaju tych, jakie Star leczy w kilka minut, ale niebawem osłabi mój przegub i utrudni obronę przed atakiem z dołu; krew sprawia, że rękojeść staje się śliska.

- Pierwsza zwrotka - oznajmiłem, nacierając i ledwie tykając klingą jego broń. Czekał nie atakując, bawiąc się tylko końcem mojego ostrza, wykonując maleńkie pchnięcia i lekkie jak piórka zastawy.

Tego właśnie było mi trzeba. Zaczynając recytować, jednocześnie, obracałem się w prawo - a on na to pozwolił.

Tweedledum i Tweedledee Zgodzili się
kraść bydełko.

Rzekł Tweedledum do Tweedledee,
Wezmę moje nowiutkie siodełko.

- Daj spokój, chłopcze! - strofował mnie łagodnie. - Tylko bez kradzieży. Honor pośród złodziei, zawsze. Zresztą rym i rytm kuleją. Carroll powinien płynąć ci z ust lekko i swobodnie.

- Spróbuję - przytaknąłem, wciąż przesuając się w prawo. -
Druga zwrotka...

W miasteczku Birmingham dwie dziewczki hoże znam,
Czy mamy opłakiwać skandal tyżący owych dam?

Skoczyłem na niego.

Nie całkiem mi się udało. Zgodnie z moimi oczekiwaniami rozluźnił się odrobinę, najwidoczniej sądząc, że będę kontynuował tę żartobliwą grę samymi końcami kling podczas recytacji.

Zaskoczyłem go nagłym atakiem, ale nie cofnął się; zamiast tego sparował i nagle znaleźliśmy się w pozycji niemożliwej do utrzymania na dłuższą metę - ciało przy ciele, forta do forty i prawie tete-a-tete.

Zaśmiał mi się w twarz i odskoczył w tył podobnie jak ja, po czym znów stanęliśmy en garde. Jednak coś zyskałem. Fechtowaliśmy się, używając jedynie sztychów. Pchnięcie jest lepsze od cięcia, ale mając w dłoni moją broń, mogłem stosować i jedno, i drugie, a człowiek przyzwyczajony do sztychów jest czasem słabszy w parowaniu cięć. Gdy odskakiwaliśmy, trafiłem go w głowę.

Chciałem ją rozplatać. Zabrakło na to czasu i cios nie był dość silny, ale rozciąłem mu czoło aż do brwi.

- Touche! - krzyknął. - Pięknie! I dobra piosenka. Wysłuchajmy jej do końca.

- Dobrze - zgodziłem się, fechtując ostrożnie i czekając, aż krew zaleje mu oczy. Rany głowy należą do najobficiej krwawiących i bardzo na to liczyłem. Szermierka zaś to dziwna rzecz - tak naprawdę to nie używasz swego umysłu, sprawy toczą się zbyt szybko. Myślisz przegubem, który mówi stopom i ciału, co mają robić, pomijając mózg - wszelkie myślenie dotyczy przyszłych czynności, wykonywanych według zwięzłych instrukcji, jak zaprogramowany komputer.

Mówiłem dalej:

Teraz w dyby zakute Za igraszki...

Trafiłem w ramię, tak samo jak on mnie, tylko lepiej. Myślałem, że już po nim i energicznie natarłem. Jednak on zrobił coś, o czym słyszałem, ale czego nigdy nie widziałem: cofnął się szybko i przerzucił broń do drugiej ręki.

Niewiele mi to pomogło. Praworęczny szermierz nienawidzi po-

tykania się z mańkutem; zostaje wybity z rytmu, podczas gdy przeciwnik jest przyzwyczajony do starć z klingami praworęcznej większości - a ten wiedźmi syn równie sprawnie i zręcznie posługiwał się lewą ręką. Co gorsza, teraz obrócił się do mnie okiem, którego nie zalała krew.

Trafił mnie ponownie, w kolano; bolało jak diabli i spowolniło moje ruchy. Wiedziałem, że mimo zadanych mu ran, nie wytrwam długo. Zaczęła się zawzięta rąbanina.

Fechtowaliśmy, nie popełniając żadnych błędów. Nagle cofnął się, parując pchnięcie, i lekko pośliznął się we własnej krwi.

Mój przegub przejął inicjatywę; wywinałem młyńca, z gracją przechodząc do sekundy - i moja klinga przeszła jego ciało.

Zrobił zdziwioną minę, uniósł gardę w salucie i runął na kolana, wypuszczając broń z ręki. Gdy padał, musiałem zrobić krok naprzód i zacząłem wyciągać ostrze.

Złapał je ręką.

- Nie, mój przyjacielu. Zostaw je tam, gdzie jest. To korek na winie, nim życie upłynie. Twa ostra logika me serce przenika. Jak cię zwa, panie?

- Oscar z Gordon.

- Dobre imię. Nikt nie powinien umierać z ręki nieznanego. Powiedz mi, Oscarze z Gordon, czy widziałeś Carcassonne?

- Nie.

- Odwiedź je. Pokochaj dziewczynę, zabij człowieka, napisz książkę, poleć na Księżyc - wszystkiego tego dokonałem.

Zakaszła i na usta wystąpiła mu różowa piana.

- Kiedyś nawet zwał się na mnie dom. Cóż za druzgoczący koncept! Jakże cenić honor masz, gdy drewno wali cię w łeb? Łeb? Kiep? Masz, dasz... twarz! Gdy drewno wali cię w twarz! Ty ogoliłeś moją.

Zakrztusił się i mówił dalej:

- Robi się ciemno. Wymieńmy podarunki i rozstańmy się jak przyjaciele, jeśli chcesz. Najpierw mój podarunek, w dwóch częściach. Po pierwsze: jesteś szczęściarzem i nie umrzesz w łóżku.

- Chyba nie.

- Proszę. Po drugie: brzytwa braciszka Guillame'a nigdy nie goiliła golibrody, jest na to zbyt tępa. A teraz twój dar, mój stary... I

pospiesz się, nie mam wiele czasu. Ale najpierw... Jak kończy się ten limeryk?

Powiedziałem mu. Odparł słabym głosem, prawie szeptem:

- Bardzo dobry. Nie ustawaj w wysiłkach. Teraz daj mi swój podarunek, jestem bardziej niż gotów.

Spróbował się przeżegnać.

Zrobiłem to, o co prosił, wstałem chwiejnie, podszedłem do ławy i opadłem na nią, a potem wytarłem starannie oba ostrza - najpierw mały nóż, a potem o wiele dokładniej oczyściłem Lady Vivamus. Zdołałem wstać i zasalutować mu czystym mieczem. Zaszczytem było poznać tego człowieka.

Żałowałem, że nie zapytałem go o jego imię. Zdawał się sądzić, że powinienem je znać.

Usiadłem ciężko i spojrzałem na arras zakrywający wylot tej szczurzej nory, zastanawiając się, dlaczego nie wychodzą stamtąd Star i Rufo. Ten brzęk stali i rozmowa...

Myślałem o tym, aby podejść tam i zawołać ich. Jednak na razie byłem zbyt słaby, żeby się ruszyć. Westchnąłem i zamknąłem oczy...

W wyniku zwykłej chłopięcej nieuwagi (roztargnienia, za które byłem raz po raz strofowany) rozbiłem tuzin jaj. Matka spojrzała na cały ten bałagan i widziałem, że zbierało jej się na płacz. Tak więc ja również spochmurniałem. Powstrzymywała łzy, wzięła mnie delikatnie za ramię i powiedziała:

- Nic nie szkodzi, synku. Jajka nie są takie ważne.

Jednak było mi wstyd, więc wyrwałem się i uciekłem.

Zbiegałem ze wzgórza, na oślep, prawie lecąc - i nagle z przerażeniem uświadomiłem sobie, że siedzę za kierownicą i wóz wymknął mi się spod kontroli. Rozpaczliwie szukałem nogą hamulca, nie mogłem go znaleźć i wpadłem w panikę... A potem znalazłem go - i poczułem, że wchodzi jak w masło, z tym charakterystycznym luzem, sygnalizującym brak płynu hamulcowego. Coś było na drodze przede mną, a ja nie mogłem niczego dojrzeć. Nie mogłem nawet ruszyć głową, a oczy zalała mi jakaś ciecz. Skręciłem kierownicą i nic się nie stało - jej kolumna zniknęła.

Te wrzaski w moich uszach, gdy uderzyliśmy! I obudziłem się gwałtownie, usiadłszy na łóżku, słysząc swoje krzyki. Spóźnię się

do szkoły, wstyd nie do zniesienia. Nieznośny wstyd, wprost potworny, bo szkolny dziedziniec był już pusty; inne dzieci, schludne i porządne, siedziały już w swoich ławkach, a ja nie mogłem znaleźć swojej klasy. Nawet nie miałem czasu pójść do łazienki i teraz siedziałem w mojej ławce z opuszczonymi majteczkami, zamierzając zrobić to, czego nie miałem czasu zrobić przed wyjściem z domu i wszystkie pozostałe dzieci trzymały ręce w górze, ale nauczycielka wywołała mnie. Ja nie mogłem wstać i odpowiadać; nie tylko miałem spuszczone spodnie - w ogóle ich nie miałem i gdybym wstał, zobaczyliby to; chłopcy śmialiby się ze mnie, a dziewczęta chichotałyby i odwracały głowy, zatykając noski. Jednak najgorszą udręką było to, że nie znałem odpowiedzi!

- No, już! - powiedziała ostro nauczycielka. - Cała klasa traci przez ciebie czas, E.C. NIE NAUCZYŁEŚ SIĘ LEKCJI.

No cóż, nie nauczyłem się. A właściwie tak, ale napisała na tablicy „zadanie 1-6”, a ja uznałem, że oznacza to „1 i 6”, tymczasem teraz pytała o czwarte. Jednak ona nigdy w to nie uwierzy - wymówka była zbyt kiepska. W grze liczą się punkty, nie wymówki.

- Tak już jest, Easy - ciągnął tenor, bardziej smutnym niż gniewnym głosem. - Zdobywanie jardów to bardzo dobra rzecz, ale nic zarobisz nawet miedziaka, jeśli nie przekroczysz tej pocziwej linii z jajem pod pachą. Wskazał na piłkę baseballową, leżącą na biurku.

- Oto i ono. Na początku sezonu kazałem je pozłocić i wytłoczyć na nim napis, bo robiłeś takie dobre wrażenie i pokładałem w tobie takie nadzieje - miało być twoje z końcem sezonu, na bankiecie z okazji zwycięstwa.

Zmarszczył brwi i mówił, jakby siląc się na obiektywizm.

- Nie powiem, że sam jeden mogłeś zmienić bieg wydarzeń. Ale traktujesz wszystko zbyt lekko, Easy - może przydałby ci się inny przydomek. Kiedy droga robi się wyboista, powinieneś bardziej się starać.

Westchnął.

- To moja wina, powinienem był cię złamać. Zamiast tego próbowałem być dla ciebie jak ojciec. Jednak chcę, żebyś wiedział, że nie jesteś jedynym, który na tym traci - w moim wieku nie jest ła-

two znaleźć nową pracę.

Naciągnąłem koc na głowę; nie mogłem spojrzeć mu w twarz. Ale nie zostawili mnie w spokoju; ktoś zaczął szarpać mnie za ramię.

- Wstawaj, Gordon, i zbieraj dupę. Masz kłopoty.

Niewątpliwie tak było, zrozumiałem to w tej samej chwili, gdy wsze dłem do biura. W ustach miałem kwaśny smak wymiocin i czułem się okropnie - jakby przeleciało po mnie stado bawołów, nadeptując tu i ówdzie. I to brudnych bawołów.

Sierżant-szef nie popatrzył na mnie, kiedy wszedłem; najpierw dał mi chwilę postać i spocić się. Kiedy wreszcie raczył podnieść głowę, przez chwilę mierzył mnie wzrokiem, zanim zechciał przemówić.

Mówił powoli, pozwalając posmakować każde słowo.

- Samowolne oddalenie, terroryzowanie i znieważanie miejscowych kobiet, bezprawne używanie własności rządowej, skandaliczne zachowanie... niesubordynacja i używanie słów powszechnie uważanych za obraźliwe... stawianie oporu władzy... pobicie żandarma... Gordon, dlaczego nie ukradłeś konia? W tych stronach wieszamy koniokradów. To uprościłoby procedurę.

Zaśmiał się ze swojego żartu. Ten stary skurwiel zawsze uważał, że ma głowę. Miał rację - połowicznie. Jednak guzik mnie obchodziło, co teraz mówi. Niejasno zdawałem sobie sprawę, z tego, że wszystko to było snem, jeszcze jednym z tych koszmarów, jakie miewałem ostatnio zbyt często, chcąc wyrwać się z tej okropnej dżungli. Nawet Ona nie była prawdziwa. Moja... Jak ona miała na imię? Nawet imię wymyśliłem, Star. Moja szczęśliwa gwiazda... Och, Star, kochana, ciebie nie ma! A on mówił dalej:

- Widzę, że odprułeś już sobie naszywki. Dobrze, to nam oszczędzi czasu, ale to jedyny plus na twoją korzyść. W nieregularnym mundurze. Nie ogolony. A twoje ubranie jest brudne! Gordon, ścigasza hańbę na Armię Stanów Zjednoczonych. Rozumiesz to, prawda! I nie uda ci się z tego wykręcić. Bez dokumentów, bez przepustki, pod cudzym nazwiskiem. No, Evelynie Cyrilu, mój dobry chłopcze, tym razem użyjemy twojego nazwiska. Oficjalnie.

Określił się w obrotowym fotelu - od czasu, gdy przysłali go do

Azji, nie wyjął z niego swojej tłustej dupy; nie dla niego patrole w dżungli.

- Interesuje mnie tylko jedno. Skąd to wytrzasnąłeś. I co cię podkusiło, żeby to ukraść? - Ruchem głowy wskazał szafkę na akta, stojącą za jego biurkiem.

Poznałem przedmiot, który na niej leżał, chociaż była pozłacana, kiedy poprzednio ją widziałem, a teraz pokrywało ją czarne kleiste błoto, będące specjalnością południowowschodniej Azji. Skoczyłem do niej.

- Nie, nie! - rzekł ostrym tonem. - Co za napaleniec!

Odsunął piłkę dalej.

- Kradzież nie daje ci do niej żadnych praw. Zatrzymam ją jako dowód rzeczowy. Do twojej wiadomości, fałszywy bohaterze, lekarze sądzą, że on umrze.

- Kto?

- A co cię obchodzi, kto? Dwa kawałki przeciw tajlandzkiemu świstkowi, że nie znałeś jego nazwiska, kiedy walnąłeś go w łeb. Nie możesz chodzić i walić po głowie tubylców tylko dlatego, że czujesz nadmiar energii - oni mają swoje prawa, chyba o tym słyszałeś? Masz ich tłuc tylko wtedy i tylko tam, gdzie ci każe.

Nieoczekiwanie uśmiechnął się. Nie dodało mu to urody. Nagle odkryłem, że z tym długim, cienkim nosem i nabiegłymi krwią oczkami bardzo przypomina szczura.

Ale on uśmiechał się nadal i rzekł:

- Evelyn, mój chłopcze, może za wcześnie odprułeś te naszywki.

- He?

- Tak. Może jakoś uda się wyciągnąć cię z tego. Siadaj. Siadaj, mówię! - powtórzył ostro. - Gdyby to zależało ode mnie, po prostu odesłalibyśmy cię do domu w oparciu o paragraf ósmy* i zapomnieli o tobie na wieki - żeby tylko mieć cię z głowy. Ale dowódca kompanii ma inne plany co do twojej osoby - wpadł na rzeczywiście świetny pomysł, który może zamknąć całą sprawę i twoje akta. Na dzisiejsza noc jest zaplanowana akcja. Tak więc... - Pochylił się, wyjął z biurka butelkę „Czterech Róż” oraz dwie szklaneczki i nalał. - Napij się.

* Paragraf ósmy - paragraf ósmy wojskowego regulaminu 615 - 360, stosowany od grudnia 1922 do lipca 1944, na mocy którego

zwalniano z Armii Stanów Zjednoczonych żołnierzy o niewłaściwym stosunku do służby wojskowej lub okazujących niepożądane przyzwyczajenia lub cechy charakteru, (przyp. tłum.)

O tej butelce wiedział każdy - może oprócz dowódcy kompanii. Jednak sierżant-szef był znany z tego, że nigdy nikomu nie postawił drinka - nie licząc tego jednego razu, po którym powiedział swojej ofierze, że oddaje ją pod sad polowy.

- Nie, dzięki.

- Daj spokój, pij. Na klina. Będzie ci potrzebny. Potem weź prysznic i doprowadź się do porządku, zanim staniesz przed dowódcą kompanii.

Wstałem. Chciałem tego drinka, był mi potrzebny. Wypiłbym nawet najgorszy bimber - a „Cztery Róże” to bardzo dobry trunek - ale zadowolilibym się i ta woda ognista starego... (jak on się nazywał?), od której puszczałem dym uszami.

Jednak nie chciałem z nim pić. Niczego nie powinienem tu pić. Ani jeść...

Plunałem mu w twarz.

Zrobił zaszokowana minę i zaczął się topić. Wyciągnąłem miecz i runąłem na niego.

Zapadł mrok, ale wciąż waliłem na wszystkie strony, czasem trafiając w coś, czasem nie.

ROZDZIAŁ XVI

Ktoś ta rmosił mnie
za ramię. - Obudź
się!

- Dajcie mi spokój!

- Musisz wstać. Szefie, proszę, zbudź się.

- Tak, mój Bohaterze - proszę!

Otworzyłem oczy, uśmiechnąłem się do niej, a potem spróbowałem rozejrzeć się wokół. O rany, co za bałagan! Pośrodku tego wszystkiego, obok mnie, wznosiła się czarna szklana kolumna, gruba i wysoka na około pięć stóp. Na jej szczycie było Jajo.

- Czy to ono?

- No! - przytaknął Rufo. - To ono! Był trochę poobijany, ale wesoły.

- Tak, mój dzielny rycerzu - potwierdziła Star. - To prawdziwe Jajo Feniksa. Sprawdziłam.

- Hmm... - Rozejrzałem się wokół. - Zatem gdzie jest stary Pożeracz Dusz?

- Zabiłeś go. Zanim tu weszliśmy. Wciąż miałeś miecz w ręku, a pod lewym ramieniem ściskałeś Jajo. Musieliśmy się sporo natrudzić, żeby ci je odebrać, tak abym mogła cię opatrzyć.

Spojrzałem na swój tors, zobaczyłem, co miała na myśli, i odwróciłem wzrok. Nie lubię czerwonego koloru. Aby zapomnieć na chwilę o chirurgii, zapytałem:

- Co was zatrzymało tak długo?

- Myślałam, że nigdy cię nie znajdziemy! - odrzekła Star.

- A jak to się wam udało?

- Szefie - powiedział Rufo. - Nie mogliśmy cię zgubić. Po prostu szliśmy twoim krwawym śladem - nawet wtedy, gdy wchodził prosto w ściany. Ona jest uparta.

- Hmm... Widzieliście zabitych?

- Trzech czy czterech. Obcy, nie nasza sprawa. Najprawdopodobniej biomechy. Nie zatrzymywaliśmy się, żeby sprawdzić.

I dodał:

- Tu też się nie zatrzymamy; wyruszamy, gdy tylko pozszywamy cię tak, żebyś mógł iść. Czas nagli.

Ostrożnie zgiąłem kolano. Miejsce, gdzie tamten dziabnął mnie w rękę, nadal bolało, ale dzięki zabiegom Star ból już zelżał.

- Nogi mam w porządku. Jak tylko Star skończy, możemy iść. Ale... - zmarszczyłem brwi. - Niezbyt cieszy mnie myśl o ponownym przechodzeniu przez ten szcurzy tunel. Szcury przygotowują mnie o gęsią skórę.

- Jakie szcury? Jaki tunel?

Powiedziałem mu.

Star nie komentowała moich słów, lecz nadal oblepiała mnie plastrami i owijała bandażami. Rufo rzekł:

- Szefie, opadłeś na czworaki i czołgałeś się w korytarzu takim samym jak inne. Nie widziałem w tym sensu, ale dowiodłeś, że

wiesz, co robisz, więc nie sprzeczałyśmy się i zrobiliśmy to samo. Kiedy kazałeś nam zaczekać i udałeś się na zwiady, również usłuchaliśmy, aż oczekiwanie zaczęło się nam dłużyć i Ona zdecydowała, że lepiej będzie, jeśli cię poszukamy.

Porzuciłem temat.

Wyruszyliśmy zaraz potem, wychodząc „frontowymi” drzwiami i nie napotykając żadnych kłopotów, złudzeń, pułapek, niczego - jedynie odkrywając, że „właściwa droga” była długa i nużąca. Rufo i ja mieliśmy oko na wszystko, a Star szła w środku, niosąc Jajo.

Ani Rufo, ani Star nie wiedzieli, czy możemy jeszcze zostać zaatakowani; a nie potrafilibyśmy stawić teraz czoła przeciwnikowi groźniejszemu niż drużyna skautów. Tylko Rufo zdołałby napiąć łuk, a ja już nie mogłem władać mieczem. Jednakże w razie potrzeby musieliśmy dać Star czas, aby raczej zniszczyła Jajo, niż pozwoliła, żeby ponownie wpadło w ręce wrogów.

- Nie ma się czym przejmować - zapewnił mnie Rufo. - To tak jak siedzieć na bombie H. Nawet tego nie zauważysz.

Kiedy wydostaliśmy się już na zewnątrz, czekała nas długa, piesza wędrówka ku Wzgórzom Groty i drugiej Bramie. Zjedliśmy w marszu - byłem strasznie głodny - dzieląc się brandy z Rufo i wodą ze Star, chociaż wody nie było za wiele. Zanim dotarliśmy do jaskini tych Wrót, czułem się już całkiem nieźle; nie miałem już hic przeciw niebu, które nie było niebem, lecz czymś w rodzaju dachu, ani przeciw niezwykłym zmianom ciśnienia.

W jaskini był już narysowany „pentagram”. Star musiała go jedynie odświeżyć, a potem zaczekaliśmy krótką chwilę - stąd ten pośpiech, żeby znaleźć się tu przed otwarciem „Bramy”, która ponownie otworzy się dopiero za kilka tygodni lub nawet miesięcy - o wiele za późno, by człowiek mógł przeżyć na Karth-Hokesh.

Przybyliśmy na miejsce kilka minut wcześniej. Ja byłem ubrany jak Władca Marsa - moja własna skóra, pas z mieczem i miecz. Maksymalnie odciążyliśmy statek, ponieważ Star była zmęczona i przeniesienie trzech żywych istot miało jej sprawić wystarczająco duży kłopot. Star chciała ocalić mój ulubiony łuk, ale nie pozwoliłem. Jednak nalegała, abym zabrał Lady Vivamus i temu nie sprzeciwiałem się zbyt energicznie - nie chciałem już nigdy rozstawać się z moim mieczem. Dotknęła go i powiedziała, że teraz

nie jest to zimny metal, lecz część mnie samego.

Rufo zabrał jedynie swoją paskudną różową skórę i bandażę; uważał, że miecz to miecz, a w domu ma lepsze. Star, ze względów zawodowych, nie miała na sobie niczego.

- Ile jeszcze? - spytał Rufo, gdy złączyliśmy dłonie.

- Dwie minuty do startu - odparła. Miała w głowie zegar równie dokładny jak moje poczucie kierunku. Nigdy nie używała zegarka.

- Powiedziałaś mu?

- Nie.

- Nie masz żadnego poczucia wstydu? - rzekł Rufo. - Nie uważasz, że dość już go naciągałaś?

Mówił zaskakująco szorstko i już miałem mu powiedzieć, że nie powinien tak do niej mówić. Ale Star przerwała mu.

- CICHOO!

Zaczęła nucić. I nagle...

- Teraz!

Znaleźliśmy się w innej jaskini.

- Gdzie jesteśmy? - spytałem. Czułem się cięższy.

- Na Nevii - odparł Rufo. - Po drugiej stronie Wieczystych Szczytów - i mam wielką ochotę wysiąść i odwiedzić Jocko.

- Zrób tak - powiedziała ze złością Star. - Za dużo gadasz!

- Tylko jeśli mój koleś Oscar pójdzie ze mną. Chcesz, stary druhu? Mogę cię tam zaprowadzić, zajmie nam to około tydzień czasu. Żadnych smoków. Ucieszą się na twój widok - a szczególnie Muri.

- Nie wspominaj o Muri! - Naprawdę podniosła głos.

- Nie możesz tego znieść, co? - rzekł kwaśno. - Młodsze kobiety i tak dalej.

- Wiesz, że nie o to chodzi!

- Och, właśnie, że tak! - stwierdził. - Jak myślisz, jak długo ci się to uda zataić? To nieuczciwe, nigdy nie było uczciwe. To...

- Cisza! Odliczamy!

Złączyliśmy ręce i łup! Byliśmy na innej planecie. Znowu znaleźliśmy się w jaskini z bardzo szerokim wejściem; powietrze było rzadkie i wściekle zimne i do wnętrza zawiewało śniegiem. Diagram wpuszczony w skałę był z czystego złota.

- Gdzie jesteśmy? - dopytywałem się.

- Na twojej planecie - odparła Star. - W miejscu zwanym Tybetem.

- I tu mógłbyś się przesiaść - dodał Rufo. - Gdyby Ona nie była taka uparta. Albo mógłbyś po prostu pójść sobie - choć byłaby to długa, ciężka droga; kiedyś ją przeszedłem.

Nie miałem ochoty. Kiedy ostatnio o nim słyszałem, Tybet był w rękach nieprzyjaznych miłośników pokoju.

- Czy zostaniemy tutaj długo? - zapytałem. Przydałoby się tu centralne ogrzewanie.

Nie chciałem słyszeć dalszych sprzeczek. Star była moją ukochaną i nie mogłem znieść, jeśli ktoś był dla niej niegrzeczny - lecz Rufo był moim bratem dzięki wspólnie przelanej krwi; co najmniej kilka razy uratował mi życie.

- Nie - odparła Star.

Wyglądała na wyczerpaną i przemęczoną.

- Niemniej wystarczająco długo, żeby wszystko wyjaśnić - dodał Rufo. - Tak, żebyś mógł sam podjąć decyzję, a nie kupował kota w worku. Ona już dawno powinna ci powiedzieć. Ona...

- Na miejsca! - ucięła Star. - Zaczynamy odliczać. Rufo, jeśli się nie zamkniesz, zostawię cię tu i jeszcze raz pozwolę ci wracać na piechotę - boso i po szyję w śniegu.

- No już - rzekł. - Pod wpływem gróźb robię się równie uparty jak ty. A to naprawdę zdumiewające. Oscarze, Ona jest...

- CICHOO!

- Cesarzową Dwudziestu Wszechświatów...

ROZDZIAŁ XVII

Znajdowaliśmy się w dużym ośmiokątym pokoju, o bogato zdobionych srebrzystych ściankach.

- ... i moją babką - dokończył Rufo.

- Nie „Cesarzową” - protestowała Star. - To głupie określenie.

- Ale dość trafne.

- Co zaś do tego drugiego, to mój pech, a nie wina.

Star zerwała się na nogi i wyglądała już na zmęczoną, gdy objęła mnie ramieniem, pomagając mi wstać, a w drugiej ręce trzyma-

jąc Jajo Feniksa.

- Och, kochanie, jestem taka szczęśliwa! Udało nam się! Witaj w domu, mój Bohaterze!

- Gdzie?

Byłem oszołomiony - zbyt wiele stref czasowych, zbyt wiele idei, zbyt szybko.

- W domu. W moim domu. A teraz i w twoim - jeśli chcesz. W naszym domu.

- Hmm, rozumiem... Cesarzowo.

Tupnęła nogą.

- Nie nazywaj mnie tak!

- Właściwą formą zwracania się do Niej - rzekł Rufo - to „Wasza Mądrość”. Czyż nie tak, Wasza Mądrość?

- Och, zamknij się, Rufo. Idź i zorganizuj dla nas jakąś odzież.

Potrząsnęła głową.

- Wojna się skończyła i właśnie wróciłem do cywila. Sama sobie zorganizuj, babciu.

- Rufo, jesteś niemożliwy.

- Złóścisz się na mnie, babciu?

- Będę, jeżeli nie przestaniesz nazywać mnie „babcią”.

Nagle wręczyła mi Jajo, objęła Rufo ramionami i ucałowała go.

- Nie, babcia się na ciebie nie gniewa - powiedziała łagodnie. Zawsze byłeś nieznośnym dzieciakiem i nigdy nie zapomnę, że włożyłeś mi ostrygi do łóżka. Jednak myślę, że jesteś usprawiedliwiony - odziedzyczyłeś to po babce.

Pocałowała go jeszcze raz i musnęła wianuszek siwych włosów.

- Babcia cię kocha. I zawsze będzie. Myślę, że byłbyś niemal tak doskonały jak Oscar - gdybyś nie był takim nieznośnym, nierzetelnym, rozpuszczonym, nieposłusznym, pozbawionym krzty szacunku bachorem.

- To już lepiej - powiedział. - Jeśli już o tym mowa, ja myślę o tobie dokładnie to samo. Co zamierzasz założyć?

- Mmm... Wyciągnij dużo rzeczy. Od dawna nie miałam na sobie porządnego ubrania.

Odwróciła się do mnie.

- A co ty chciałbyś założyć, mój Bohaterze?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia. Cokolwiek uznasz za odpowied-

nie, Wasza Mądrość.

- Och, kochanie, proszę nie nazywaj mnie tak. Nigdy.

Nagle wyglądała tak, jakby zamierzała się rozplakać.

- W porządku. Zatem jak mam się do ciebie zwracać?

- Nadałeś mi imię Star. Jeżeli musisz nazywać mnie inaczej, możesz mnie zwać swoją „księżniczką”. Nie jestem księżniczką nie jestem również „cesarzową”; to kiepski przekład. Jednak lubię być „twoją księżniczką” - lubię sposób, w jaki to mówisz. Może to też być „dziarska dziewucha” lub każde z wielu imion, jakimi mnie obdarzyłeś.

Obrzuciła mnie bystrym spojrzeniem.

- Tak jak przedtem. Na zawsze.

- Spróbuj ę... moj a księżniczko.

- Mój Bohaterze.

- Myślę jednak, że jest bardzo wiele rzeczy, o których nic nie wiem.

Przeszła z angielskiego na neviański.

- Panie mężu, chciałam ci wszystko powiedzieć. Wzdychałam do chwili, kiedy będę mogła to czynić. Wszystko też zostanie mi-lordowi opowiedziane. Ale śmiertelnie się obawiam, że jeśli do-wiesz się o tym zbyt wcześnie, milordzie, nie zechcesz ze mną pójść. Nie do Czarnej Wieży, lecz tutaj. Do naszego domu.

- Może podjęłaś słuszne ryzyko - odpowiedziałem w tym samym języku. - Jednak jestem tutaj, pani żono - moja księżniczko. A więc powiedz mi. Życzę sobie tego.

Ponownie przeszła na angielski.

- Powiem, powiem. Jednak to zajmie trochę czasu. Kochanie, czy zechciałbyś wstrzymać swe konie jeszcze przez chwilę? Byłeś tak cierpliwy, tak bardzo cierpliwy, mój najdroższy, i tak długo!

- Dobra - zgodziłem się. - Jakoś wytrzymam. Ale słuchaj, nie znam nazw sąsiednich ulic, więc będę potrzebował paru wskazówek. Przypomnij sobie pomyłkę, jaką popełniłem u starego Jocko w wyniku nieznamości lokalnych zwyczajów.

- Tak, mój drogi, będę o tym pamiętała. Jednak nie martw się, tutejsze zwyczaje są proste. Prymitywne społeczeństwa są zawsze bardziej skomplikowane od cywilizowanych - a tutejsze nie zalicza się do tych pierwszych.

Rufo rzucił jej pod nogi wielki stos odzieży. Odwróciła się, wciąż trzymając dłoń na moim ramieniu i przyciskając palec drugiej ręki do ust, zrobiła skupioną, niemal zmartwioną minę.

- Niech popatrzę. Co mam ubrać?

„Skomplikowany” to pojęcie względne; opiszę wszystko jedynie z grubsza.

Center jest stołeczną planetą Dwudziestu Wszechświatów. Jednak Star nie była „Cesarzową” i nie jest to Cesarstwo. Będę nadal nazywał ją „Star”, gdyż miała setki imion, a państwo to będę zwał „cesarstwem”, ponieważ żadne inne słowo nie oddaje lepiej istoty rzeczy; będę też mówił o „cesarzach” i „cesarzowych” - oraz o Cesarzowej, mojej żonie.

Nikt nie wie, ile jest wszechświatów. Teoria nie stawia żadnych ograniczeń; każda i wszystkie możliwości z nieskończonej liczby kombinacji „praw natury”, każde z połączeń właściwych dla danego świata. Jednak to tylko słowa, a brzytwa Ockhama jest o wiele za tępa. Wszystko, co wiadomo o Dwudziestu Wszechświatach, to fakt, że odkryto ich dwadzieścia, że każdy ma własne prawa i że w większości z nich istnieją planety, a czasem „miejsca”, gdzie żyją istoty podobne do ludzi. Nie podejmę się próby opisywania tych, którzy zamieszkują pozostałe światy.

Pośród Dwudziestu Wszechświatów jest wiele prawdziwych imperiów. Galaktyka naszego wszechświata również ma swoje gwiazdne imperium - lecz jest tak rozległa, że nasza ludzka rasa może nigdy nie natknąć się na drugą, chyba że poprzez Bramy łączące wszechświaty. Na niektórych planetach nie ma żadnych Bram. Na Ziemi jest ich wiele i na tym polega jej znaczenie; gdyby nie to, byłaby uważana za głuchą prowincję.

Siedem tysięcy lat temu wymyślono sposób radzenia sobie ze zbyt skomplikowanymi problemami politycznymi. Na początek zadano sobie proste pytanie: jak rządzić planetą, nie doprowadzając jej do ruiny? Wśród mieszkańców tej planety byli doświadczeni cybernetycy, ale pod innymi względami wcale nas nie wyprzedzali; tak samo palili stodoły, aby wytepić szczury i wtykali paluchy w tryby. Ci eksperymentatorzy wybrali sobie nietuzinkowego władcę i spróbowali mu pomóc.

Nikt nie wiedział, dlaczego temu gościowi wszystko tak się udało, ale miał szczęście i to im wystarczyło; nie upierali się przy teoretycznych wyjaśnieniach. Wspomagali go cybernetyką, dając mu taśmy z zapisanymi na nich wszelkimi kryzysami w ich historii, ze wszystkimi szczegółami, opisem podjętych działań i rezultatami - a zorganizowali to tak, że mógł korzystać z tego banku danych niemal równie łatwo, jak wy konsultujecie się z własną pamięcią.

Udało się. Po pewnym czasie doglądał całej planety - a była nią Center, choć wtedy nazywała się inaczej. Nie władał nią, po prostu pomagał rozwikłać trudne przypadki.

Zapisałi również wszystko, co robił ten pierwszy „Cesarz”, jego sukcesy i klęski, jako wskazówkę dla jego następcy.

Jajo Feniksa jest cybernetycznym zapisem doświadczeń dwustu trzech „cesarzy” i „cesarzowych”, z których większość „rządziła” wszystkimi znanymi wszechświatami. Podobnie jak składana skrzyneczka, Jajo jest większe wewnątrz niż na zewnątrz. Praktycznie jest większe od Wielkiej Piramidy.

W każdym ze wszechświatów znana jest legenda o Feniksie; stworzeniu, które umiera, lecz jest nieśmiertelne i za każdym razem powstaje z własnych popiołów. Takim właśnie cudem jest Jajo, ponieważ jest ono teraz czymś więcej niż skondensowaną biblioteką - stanowi rejestr, włącznie z zapisem osobowości, wszystkich doświadczeń wszystkich członków tej linii - od Jego Mądrości IX po jej Mądrość CCIV, panią Oscarową Gordon.

Ten urząd nie jest dziedziczny. Wśród przodków Star jest Jego Mądrość I oraz większość innych „cesarzy” - ale miliony innych mają w żyłach równie wiele „królewskiej” krwi. Jej wnuk, Rufo, nie został wybrany, chociaż mają wspólnych przodków. A może odrzucił propozycję. Nigdy nie pytałem; może przypomniałoby mu to, że jeden z jego wujów zrobił coś odrażającego i niewłaściwego. Nie zadaje się takich pytań.

Po dokonaniu wyboru kandydata kształci się dosłownie we wszystkim, poczynając od gotowania flaków po wyższą matematykę - włącznie z wszelkimi formami sztuki walki, ponieważ już tysiące lat temu zrozumiano, że niezależnie od tego, jak dobrze będzie strzeżony, ma większe szanse przetrwać, jeśli umie walczyć jak rozwścieczony szerszeń. Dowiedziałem się o tych rewelacjach,

zadając mojej ukochanej niezręczne pytanie.

Wciąż usiłowałem oswoić się z myślą, że poślubiłem babcię, której wnuk wygląda na starszego ode mnie i jest nawet starszy, niż wygląda. Ludzie z Center żyją dłużej niż my, a ponadto zarówno Star jak i Rufo przeszli kurację zapewniającą długowieczność. Musiałem się do tego przyzwyczaić. Zapytałem Star:

- Jak długo żyje Wasza Mądrość?

- Niezbyt długo - odparła niemal opryskliwie. - Zwykle padamy ofiarami zamachów.

(Ta moja niewyparzona gęba!)

Trening kandydata obejmuje podróż do wielu światów - nie do wszystkich planet, zamieszkanych przez ludzkie istoty; nikt nie żyje aż tak długo. Jednak do wielu. Kiedy kandydat dokona tego i zostanie wybrany następcą, zaczyna się praca podyplomowa: samo Jajo. Następcy (następczyni) implementuje się pamięć i osobowości poprzednich cesarzy i cesarzowych. On (Ona) staje się ich ucieleśnieniem. Gwiazdą. Supernową. Jej Mądrością.

Żyjąca osobowość dominuje, ale cały ten tłum też tam jest. Nie korzystając z pomocy Jaja, Star mogła przypomnieć sobie doświadczenie ludzi martwych od wielu stuleci. Za pomocą Jaja - wpięta w cybernetyczną sieć - dysponowała siedmioma tysiącami wyraźnych wspomnień.

Star przyznała mi się, że wahała się dziesięć lat, nim zaakceptowała nominację. Nie chciała być tymi wszystkimi ludźmi; chciała pozostać sobą, żyć, jak jej się podoba. Jednak metody doboru kandydatów (nie znam ich, są zawarte w Jaju) wydają się niezawodne; dotychczas tylko trzech odmówiło.

Star została Cesarzową w chwili, gdy właśnie rozpoczęła drugą część szkolenia - wpisano jej dopiero siedmiu poprzedników. Wpisanie nie trwa długo, ale po każdym takim zabiegu ofiara potrzebuje sporo czasu, aby dojść do siebie - ponieważ otrzymuje wszystkie cholerne wspomnienia innej postaci, dobre i złe: pamięta, że jako dziecko była okrutna dla swojego ulubionego zwierzątka i wstyd, jaki odczuwała na myśl o tym, kiedy dorosła; utratę dziewictwa; nieznośne skrepowanie, kiedy strasznie się wygłupił - wszystko.

- Muszę doświadczać ich błędów - powiedziała mi Star. - Po-

pełnianie pomyłek to jedyny sposób nauczenia się czegoś.

Tak więc cały ten system opiera się na tym, iż jedna osoba doświadcza skutków wszystkich pożałowania godnych błędów, jakie popełniono w ciągu siedmiu tysięcy lat.

Na szczęście Jaja nie trzeba używać zbyt często. Przez większość czasu Star mogła być sobą, a zaimplementowane wspomnienia nie doskwierały jej bardziej, niż wam dokucza myśl o tej złośliwej uwadze, jaką skierowano pod waszym adresem w drugiej klasie. Większość problemów Star była w stanie rozwiązać od ręki - nie korzystając z Czarnej Komnaty i pełnego połączenia.

Ponieważ w trakcie praktycznego stosowania tej metody rządzenia imperium okazało się, iż odpowiedź na większość problemów brzmiała: Nie rób nic.

Zawsze Król Kij, nigdy Król Bocian - „Żyj i daj żyć innym”. „Jakoś to będzie”. „Czas jest najlepszym lekarzem”. „Nie budź licha”. „Nic nie mów nikomu, a wróci do domu, jak pies z podkulonym ogonem”.

Nawet stanowcze edykty Imperium miały zazwyczaj formę przezwania: „Nie będziesz rozwalał planety bliźniego swego”. (Rozwal swoją, jeśli masz ochotę.) Ręce precz od strażników Bram. Nie sądź, abyś nie został osadzony.

I nade wszystko, nie poddawaj poważnych kwestii pod publiczne głosowanie. Och, nie chodzi tu o lokalne demokracje, lecz o sprawy imperium. Stary Rufo - wybaczcie mi: doktor Rufo, jeden z najwybitniejszych autorytetów w kulturoznawstwie porównawczym (ze słabością do slamsów) - Rufo powiedział mi, że każda ludzka rasa wypróbowuje wszelkie ustroje polityczne, a demokracja występuje wśród wielu prymitywnych społeczeństw, ale nie słyszał, aby stosowano ten rodzaj rządów na jakiegokolwiek cywilizowanej planecie, ponieważ „Vox populi, vox Dei” należy tłumaczyć: „Mój Boże! Jak mogliśmy wpakować się w coś takiego!”.

Jednak Rufo twierdził, że uwielbia demokrację - ilekroć popadał w przygnębienie, cytował Waszyngtona, a mówców francuskiego parlamentu cenił niemal tak samo jak Francuzki.

Spytałem go, jak te rozwinięte społeczeństwa są rządzone.

Zmarszczył brwi.

- Przeważnie nie są.

To odnosiło się również do Cesarzowej Dwudziestu Wszechświatów: przeważnie nie robiła nic. Niekiedy jednak coś robi. Potrafi na przykład powiedzieć:

- Wszystko będzie dobrze, jeżeli weźmiecie tego rozrabiacza... jak się nazywasz? Ty, z kozią bródką - zabierzcie go i zastrzelcie. Natychmiast.

(Byłem przy tym. Zrobiono to natychmiast. Rozrabiacz przewodniczył delegacji, która przedstawiła swój problem - chodziło o jakieś spory międzygalaktycznych imperiów handlowych VIII Wszechświata - zastępca przytrzymał nieszczęśnika, a pozostali delegaci wywlekli go na zewnątrz i zabili. Star piła swoją kawę. To lepsza kawa od naszej i byłem tak wzburzony, że sam napełniłem sobie filiżankę.)

Cesarz nie ma żadnej władzy. A jednak, gdyby Star uznała, iż jakaś planeta powinna zostać unicestwiona, ludzie zabraliby się do roboty i na wskazanym niebie pojawiłaby się nowa. Star nigdy tego nie zrobiła, lecz zdarzało się to w przeszłości. Nie często - gdyż nawet jeśli jego nadmiernie wybijają zdrowy rozsądek podpowie mu, że nie ma innego wyjścia, Jego Mądrość długo będzie grzebał się w swojej duszy (i w Jaju), zanim wyda tak ostateczny werdykt.

Cesarz jest jedynym źródłem imperialnego prawa, jedynym sędzią, jedynym wykonawcą - lecz niewiele robi i nie może narzucać swoich decyzji. Natomiast dysponuje ogromnym autorytetem, popieranym przez system działający od siedmiu tysięcy lat. Ten anty-system utrzymuje się dzięki temu, że nie posiada żadnych cech wspólnoty, żadnej jednorodności, nie dąży do doskonałości ani innych utopii - po prostu dostarcza odpowiedzi zapewniających przetrwanie, mnóstwo swobody oraz miejsca dla wielu poglądów i zapatrywań.

Sprawy lokalne pozostawia się odpowiednim władzom. Dzieciobójstwo? To wasze dzieci i wasza planeta. Stowarzyszenie Rodziców i Nauczycieli, cenzura filmowa, odszkodowania dla ofiar klęsk żywiołowych - Cesarstwo zachowuje w tych kwestiach majestatyczną obojętność.

Kryzys Jaja zaczął się długo przed moimi narodzinami. Jego Mądrość CCIII został zamordowany, a Jajo ukradzione. Jacyś źli

faceci chcieli zagarnąć władzę - a Jajo, ze względu na swoją unikatową zawartość, zapewnia władzę, o jakiej nie śniło się Dżyngischanowi.

Dlaczego ktoś miałby pragnąć władzy? Nie potrafię tego zrozumieć. Jednak są tacy i tamci do takich należeli.

Tak więc Star objęła urząd, nie ukończywszy szkolenia, stając w obliczu największego kryzysu w historii Cesarstwa, odcięta od swej skarbnicy Mądrości.

Jednak nie bezsilna. Miała zaimplementowane doświadczenia siedmiu superrozsądnych ludzi i dysponowała całym tym cyberkomputerowym systemem, oprócz tej unikatowej jego części, którą nazywano Jajem. Najpierw musiała się dowiedzieć, co zrobiono z Jajem. Nie można było ryzykować ataku na planetę tych złych facetów - mogło ulec zniszczeniu.

Istniały sposoby pozwalające zmusić ludzi do mówienia - jeśli nie miało się oporów przed ich użyciem. Star nie miała. Nie mówię tu o czymś tak prymitywnym jak cęgi i rozżarzone węgle. Bardziej przypominało to obieranie cebuli i obrali ich kilka.

Karth-Hokesh jest tak śmiertelnie niebezpiecznym miejscem, że nazywano go imionami jedynych badaczy, którzy wrócili stamtąd żywi. (My byliśmy zaledwie w „cieplarni”, reszta jest o wiele gorsza). Ci źli faceci nie próbowali tam zostać; po prostu ukryli tam Jajo, rozstawiając strażę i pułapki dookoła niego, jak również na wszystkich podejściach.

- A jakież mieli tam z niego pożytek? - zapytałem Rufo.

- Żadnego - przytaknął. - Jednak niebawem zorientowali się, że bez Niej nigdzie nie będą mieli z niego pożytku. Potrzebowali całego sztabu cybernetyków - albo Jej Mądrości. Nie zdołali otworzyć Jaja. Tylko Ona może dokonać tego bez niczyjej pomocy. Tak więc zastawili na Nią pułapkę. Chcieli schwytać Jej Mądrość lub zabić ją - woleliby schwytać, lecz w razie konieczności zabiliby i próbowali wywrzeć nacisk na najważniejszych ludzi tu, na Center. Jednak nie odważyli się ryzykować tego drugiego, dopóki Ona pozostawała przy życiu.

Star podjęła próbę znalezienia najlepszego sposobu odzyskania Jaja. Najechać Karth-Hokesh? „Do diabła, nie!” - odparły maszyny. Ja też odpowiedziałbym: „nie”. Jak dokonać inwazji na miej-

sce, w którym człowiek nie tylko nie może niczego jeść ani pić, ale nawet oddychać powietrzem może zaledwie kilka godzin? A w dodatku zmasowany atak spowoduje zniszczenie tego, co chcemy zdobyć. I gdy ewentualny desant można przeprowadzić jedynie przez dwie ciasne Bramy?

Niezależnie od tego, jak formułowano pytanie, komputery niezmiennie udzielały jednej, głupiej odpowiedzi.

Tą odpowiedzią byłem ja.

To znaczy „Bohater” - gość z twardym karkiem, ograniczonym intelektem i wysoko ceniący całość swojej skóry. Plus kilka innych cech. Niespodziewany atak w wykonaniu takiego oto człowieka, wspomagany przez samą Star, mógłby się udać. Rufo dołączono do ekspedycji w wyniku przeczucia, jakie miała Star (przechucia Ich Mądrości są równoznaczne z przebłyskami geniuszu), a potwierdziły maszyny.

- Powołano mnie - rzekł Rufo. - Więc odmówiłem. Jednak gdy chodziło o Nią, zawsze traciłem głowę, niech to szlag! Rozpuszczała mnie, kiedy byłem dzieckiem.

Potem nastąpiły całe lata poszukiwań odpowiedniego człowieka. (To znowu ja, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego). W tym samym czasie dzielni ludzie rozpoznali sytuację i w końcu sporządzili mapę Wieży. Star również przeprowadziła rekonesans i zaznajomiła się z Nevia.

(Czy Nevia jest częścią Cesarstwa? I tak, i nie. Na Nevii znajdują się jedyne Bramy do Karth- Hokesh, poza istniejącymi na planecie tych złych facetów; na tym polega jej znaczenie dla Cesarstwa - natomiast Cesarstwo nie ma żadnego znaczenia dla Nevii).

Znalezienie takiego „Bohatera” było najbardziej prawdopodobne na barbarzyńskiej planecie, takiej jak Ziemia. Star sprawdziła i odrzuciła niezliczonych kandydatów, rekrutujących się spośród największych twardzieli, aż intuicja podpowiedziała jej, że może ja się nadam.

Zapytałem Rufo, jakie szanse dawały nam maszyny.

- Dlaczego pytasz?
- No cóż, wiem co nieco o cybernetyce.
- Tak ci się tylko wydaje. Jednak... Tak, przeprowadzono pewne obliczenia. Trzyście procent szans na sukces, siedemnaście

na remis i siedemdziesiąt na to, że wszyscy zginiemy.

Gwizdnąłem.

- Ty nie masz powodu gwizdać! - powiedział z oburzeniem. - Nie wiedziałeś więcej niż koń kawalerzysty. Nie miałeś powodu do obaw.

- Ale bałem się!

- Nie miałeś na to czasu. Tak to zaplanowano. Naszą jedyną szansą było szybkie działanie i całkowite zaskoczenie. Jednak ja wiedziałem. Synu, kiedy tam na Wieży kazałeś nam czekać, a potem zniknąłeś i nie wracałeś, byłem tak przerażony, że przyłapałem się na żalu za grzechy.

Rozpoczęta akcja potoczyła się tak, jak tu opowiedziałem. A przynajmniej dość podobnie, ponieważ może widziałem to, co był w stanie zaakceptować mój umysł, a nie to, co naprawdę się zdarzyło. Myślę o „magii”. Ile razy bywało, że dzikusy mówiły o „czarach”, kiedy cywilizowany człowiek wymyślił coś, czego dzicy nie mogli pojąć. Jakże często jakieś pojęcie, takie jak „telewizja”, jest używane przez kulturalnych dzikusów (którzy jednak umieją kręcić gałkami), podczas gdy uczciwszym słowem byłyby „czary”.

Star nie upierała się przy tym słowie. Zaakceptowała je, skoro ja na to nalegałem.

Jednak byłbym rozczarowany, gdyby wszystko, co widziałem, okazało się czymś, co mogłoby powstać w zakładach Western Electric, gdy tylko laboratoria Bella rozgryzą technologię. Gdzieś musi pozostać trochę magii, choćby dla poprawy nastroju.

Och, tak, uspili mnie przed pierwszą transmisją, żeby nie przerazić głupiego dzikusa. Te „czarne katafalki” wcale nie zostały przeniesione - to była tylko posthipnotyczna sugestia eksperta od tych spraw - mojej żony.

Czy powiedziałem wam, co stało się z tymi niedobrymi facetami? Nic. Zniszczono ich Bramy; pozostaną odizolowani, aż opanują technikę podróży międzygwiazdnych. Całkiem niezłe, według norm cesarstwa. Ich Mądrości nigdy nie żywią urazy.

ROZDZIAŁ XVIII

Center jest uroczą planetą, podobną do Ziemi, ale pozbawioną jej wad. W ciągu tysiącleci przekształcono ją tak, by uczynić z niej Krainę Nigdy-Nigdy. Dla przyjemności postawiono trochę pustyń, śniegów i dżungli; powódzie i inne klęski żywiołowe zostały wyeliminowane.

Center nie jest przeludniona, choć ma sporą populację jak na swoje rozmiary - mniej więcej równa wielkości Marsa, ale z oceanami. Ciężenie na powierzchni jest prawie takie same jak na Ziemi. (Przy wyższej stałej grawitacyjnej, jak rozumiem). Mniej więcej połowa ludności mieszka tu tylko czasowo - ponieważ niezwykła uroda planety oraz jej znaczenie - jako centrum dwudziestu wszechświatów - czynią ją turystycznym rajem. Wszystko ma tu służyć wygodzie gości, którą zapewnia się tu ze szwajcarską dokładnością, ale przy użyciu technologii nie znanej na Ziemi.

Star i ja mieliśmy tuzin rezydencji w różnych miejscach planety (oraz nieskończenie wiele innych w innych wszechświatach) - od pałaców po chatkę rybacką, w której Star sama gotowała. Przeważnie mieszkaliśmy w apartamentach sztucznej góry, mieszczącej Jajo i obsługujący je personel; obok znajdowały się wielkie sale, pokoje konferencyjne, sekretariaty i tak dalej. Jeśli Star odczuwała ochotę do pracy, chciała mieć takie rzeczy pod ręką. Jednak ambasador jakiegoś systemu słonecznego czy przebywający z wizytą imperator stu takich systemów mieli takie same szanse na to, że zostaną zaproszeni do naszych prywatnych apartamentów, jakie włóczęga pukający do tylnych drzwi posesji w Beverly Hills ma na przyjęcie w saloniku.

Jeśli jednak spodobał się Star, mogła przyprowadzić go do domu na późną kolację. Raz tak zrobiła, zapraszając śmiesznego krasnala, mającego cztery ręce i zwyczaj podkreślania swoich gestów stepowaniem. Jednakże nie wydawała oficjalnych przyjęć i nie czuła się zobowiązana do uczestniczenia w życiu towarzyskim. Nie zwoływała konferencji prasowych, nie wygłaszała przemówień, nie przyjmowała delegacji Cór Rewolucji, nie kładła kamieni węgielnych, nie ogłaszała rozpoczęcia „Dni”, nie zaszczyciała obecnością, nie podpisywała dokumentów, nie zaprzeczała pogłoskom -

słowem, nie robiła żadnej z tych pochłaniających mnóstwo czasu rzeczy, jakie robią władcy i ważne osobistości na Ziemi.

Konsultowała się z jednostkami, często wzywając ich z innych wszechświatów, i dysponowała wszystkimi bieżącymi wiadomościami, dostarczonymi dzięki systemowi tworzonemu przez kilka stuleci. W oparciu o ten system decydowała, jakim problemem ma się zająć. Nieustannie skarżono się, iż Cesarstwo ignoruje „najwyższe kwestie” - tak też istotnie było. Jej Mądrość wydawała werdykt jedynie w tych sprawach, które sama wybrała; fundamentem tego systemu było założenie, że większość problemów rozwiązuje się samoistnie.

Często uczestniczyliśmy w wydarzeniach towarzyskich; oboje lubiliśmy przyjęcia, a Jej Mądrość oraz Jej Małżonek mieli nieograniczone możliwości wyboru. Star nigdy nie potwierdzała ani nie odrzucała zaproszeń; zjawiała się, jeśli miała ochotę, i nie lubiła, kiedy robiono wokół niej zamieszanie. Dla stołecznego towarzystwa było to drastyczną zmianą zwyczajów, ponieważ jej poprzednik ustanowił protokół bardziej formalny od watykańskiego.

Kiedyś jedna z gospodyń poskarżyła mi się, jak nudne stało się życie pod nowymi rządami - może mógłbym coś na to poradzić?

Mogłem. Odnalazłem Star i przekazałem jej tę uwagę, wskutek czego opuściliśmy przyjęcie i przyłączyliśmy się do balu podpitych artystów - istna balanga!

Center jest taką mieszaniną kultur, ras, zwyczajów i stylów, że obowiązuje na niej tylko kilka sztywnych zasad. Jedną z nich było: nie narzucaj mi swoich obyczajów. Ludzie nosili to, w czym chodzili po domu albo eksperymentowali ze stylami innych; każde spotkanie towarzyskie wyglądało jak bal kostiumowy. Gość mógł, nie wywołując żadnych uwag, pojawić się na prestiżowym przyjęciu goły jak święty turecki - co też niektórzy, choć nielicznie, robili. Nie mówię tu o przedstawicielach ras niehumanoidalnych czy o mocno owłosionych humanoidach - oni nie potrzebują odzieży. Mówię o ludziach, którzy w ubraniu wyglądałoby jak mieszkańcy Nowego Jorku, i o innych, którzy zwracałoby na siebie uwagę nawet na I'lle du Levant - ponieważ nie mają owłosienia, nawet brwi. Co zresztą jest dla nich źródłem dumy; ich „wyższości nad nami, włochatymi małpami. Są z tego tak dumni, jak biała hołota z Geo-

rgii, pyszniąca się niedoborem melaniny. Dlatego też chodzą nago częściej niż członkowie innych ras. Z początku ich wygląd lekko mnie szokował, ale przyzwyczailem się.

Poza domem Star nosiła odzież, więc ja też. Star nigdy nie pomijała okazji, żeby się wystroić - sympatyczna słabostka, pozwalająca czasem zapomnieć o statusie Jej Mądrości. Nigdy dwukrotnie nie ubierała się tak samo i wciąż zakładała coś nowego - i była rozczarowana, jeśli nie zwróciłem na to uwagi. Niektóre z jej strojów spowodowałyby falę ataków serca nawet na Riwierze. Uważała, że kobiecy strój nie spełnia swego zadania, jeśli mężczyzna nie ma ochoty go z niej zedrzeć.

Jeden z najbardziej efektownych strojów wizytowych Star był jednocześnie jednym z najskromniejszych. Przypadkiem był z nami Rufo, kiedy przyszło jej do głowy, żebyśmy ubrali się tak, jak na wyprawę po Jajo - i trzask-prask, odpowiednie kostiumy zaraz się znalazły - albo zostały uszyte na zamówienie, ponieważ neviańskie stroje są bardzo rzadko noszone na Center.

Łuki, strzały oraz kołczany dostarczono z tą samą szybkością i staliśmy się Wesołą Bandą. Z przyjemnością przypasałem Lady Vivamus - wisiała na ścianie mojego pokoju, od kiedy wróciliśmy z wielkiej czarnej Wieży.

Star stanęła na szeroko rozstawionych nogach, podparłszy się pod boki i odchyliwszy głowę w tył; policzki miała zarumienione, a oczy roześmiane.

- Och, ależ radość! Czuję się świetnie, czuję się młodo! Kochanie, obiecaj mi, obiecaj mi szczerze, że pewnego dnia znów wyruszymy na poszukiwanie przygód! Niedobrze mi się robi od tego rozsądnego postępowania.

Mówiła po angielsku, gdyż język Center nie nadaje się do wygłaszania takich myśli. To żargon zlepiony z tysiącletnich naleciałości i zmian, bezbarwny, suchy i formalny.

- Mnie to odpowiada - zgodziłem się. - A co z tobą, Rufo? Chcesz znów wyruszyć na Szlak Chwały?

- Kiedy go wybrukują.

- Gbur. Pójdiesz, znam cię. Dokąd i kiedy, Star? Zresztą nieważne dokąd, tylko kiedy. Dajmy sobie spokój z tym przyjęciem i ruszajmy od razu.

Nagle straciła humor.

- Kochanie, wiesz, że nie mogę. Nie przeszłam jeszcze nawet jednej trzeciej szkolenia.

- Powiniennem był rozbić to Jajo, kiedy je znalazłem.

- Nie irytuj się, najdroższy. Chodźmy na to przyjęcie i zabawmy się.

Tak też zrobiliśmy. Na Center podróżuje się przez przenośnikowe sztuczne „Bramy”, co nie wymaga żadnych „czarów” (a może wymaga, i to dużo większych): punkt docelowy wybiera się tak, jakby naciskało się guzik w windzie, dlatego też w miastach nie ma problemów z ruchem ulicznym - ani tysiąca innych niemiłych rzeczy; nie pozwalają, aby ich miasta zeszły na psy.

Tej nocy Star postanowiła wysiąść trochę wcześniej, przespacerować się po parku i mieć wejście. Dobrze wie, że ciasne rajtuzy uwydatniają smukłość jej nóg i jędrność pośladków; kręciła biodrami jak Hinduska.

Ludzie, zrobiliśmy sensację! Na Center nikt nie nosi mieczy - no, może oprócz niektórych gości. Łuki i strzały są taką samą rzadkością jak zęby u kur. Rzucaliśmy się w oczy jak rycerz w zbroi na Fifth Avenue.

Star była szczęśliwa jak dzieciak bawiący się w berka. Ja też. Miałem wrażenie, że mogę przenosić góry i chciałem zapolować na smoka.

Ta zabawa nie różniła się od ziemskich przyjęć. (Według Rufo, wszystkie humanoidalne rasy wszędzie bawią się tak samo: zbierają się, aby gromadnie tańczyć, pić i plotkować. Twierdził, że bale samców i ploteczki przy herbatce są przejawem schyłku cywilizacji. Nie spierałem się). Zeszliśmy po wielkich schodach, muzyka przestała grać i ludzie gapili się na nas, rozdziawiając usta - a Star cieszyła się wrażeniem, jakie sprawiła. Potem muzycy nieskładnie znów zabrali się do dzieła, a goście znowu przyjęli pozy obojętnej uprzejmości, jakiej zazwyczaj domagała się Cesarzowa. Jednak nadal byliśmy obiektem ich zainteresowania. Sądziłem, iż historia wyprawy po Jajo stała się tajemnicą państwową, ponieważ nigdy nie słyszałem, aby ktoś o niej wspomniał. A nawet jeśli o tym wiedziano, spodziewałem się, że szczegóły znane są jedynie nam trojgu.

Wcale nie. Wszyscy wiedzieli, co oznaczają te kostiumy - i nie tylko to. Byłem przy barze, sącząc brandy i zagryzając pikantną kanapką mojego własnego wynalazku, kiedy dopadła mnie siostra Szecherezady, ta ładna. Należała do jednej z ras humanoidalnych, ale niezupełnie-takich- jak-my. Miała na sobie rubiny wielkości kciuka i sensownie przezroczystą odzież. Mierzyła mniej więcej pięć stóp i pięć cali na bosaka, ważyła może sto dwadzieścia funtów, a w talii nie mogła mieć więcej niż piętnaście cali, co podkreślało pozostałe dwa obwody, które zresztą wcale tego nie potrzebowały. Była brunetką o najbardziej skośnych oczach, jakie kiedykolwiek widziałem. Przypominała piękną kotkę i spoglądała na mnie w sposób, w jaki kot patrzy na kanarka.

- Sama - oznajmiła.

- Mów.

- Sverlani. Świat... (Tu numer i kod - nigdy o nich nie słyszałem). Studentka planowania żywności, wydział matematykosybarytyki.

- Oscar Gordon. Z Ziemi. Żołnierz.

Nie podawałem identyfikatora Ziemi; wiedziała, kim jestem.

- Można pytać?

- Pytaj.

- Jest miecz?

- Jest.

Spojrzała na Lady Vivamus i szeroko otworzyła oczy.

- Jest-był miecz zniszczyć twój strażnik Jajo?

„Czy ten tu miecz - pomijając teoretyczne anomalie wywołane transformacjami międzywszechświatowymi i sekwencyjne zmiany czasoprzestrzeni - jest tym, którym zabito Nie Narodzonego?” Podwójne znaczenie czasowników, współzależność czasu przyszłego i teraźniejszego, mówi samo za siebie i nie pozwala uznać, że identyczność miecza jest pozbawioną znaczenia abstrakcją. - „Czy to jest ten miecz, którego używałeś na co dzień, i nie nabieraj mnie, żołnierzu, nie jestem dzieckiem”.

- Był-jest - przytaknałem.

(„Byłem tam i powiadam wam, że właśnie stamtąd przybywam, zatem ona istnieje”)

Westchnęła cicho i naprężyły się jej sutki. Wokół każdego z nich

miała namalowany, a może wytatuowany, zrozumiały we wszystkich wszechświatach znak, który nazywamy „murem trojańskim”, a jej reakcja była tak silna, że blanki Ilionu ponownie rozsypały się w proch.

- Dotknąć? - powiedziała błagalnie.
- Dotknąć.
- Dotykać dwukrotnie?

(„Proszę, czy mogę ująć go tak, żeby poczuć go w dłoni? Ślicznie proszę, słodkim głosem! Wiem, że oczekuję zbyt wiele i masz prawo odmówić, ale ręczę, że nic mu nie zrobię”. Nie używając zbyt wielu słów, ale rzecz w tym, jak je mówią).

Niechętnie wyrażałem zgodę, bo przecież to była Lady Vivamus. Mam jednak słabość do ładnych dziewcząt.

- Dotykać dwukrotnie - zgodziłem się.

Wyjąłem miecz i podałem go jej rękojeścią do przodu, gotów odebrać broń, zanim wybiję komuś oko albo dziabnie się w nogę.

Ostrożnie wzięła miecz, szeroko otwierając oczy i wydatne usta, chwytając go za gardę zamiast za rękojeść. Musiałem jej pokazać, jak należy go trzymać. Jej dłoń była na to o wiele za mała; ręce i stopy, podobnie jak kibić, miała niezwykle smukłe.

- Zauważyła inskrypcję.
- Znaczy?

Dum vivimus, vivimus nie tłumaczy się dobrze, nie dlatego, że oni nie pojmują samej idei, lecz dlatego, że niełatwo wytłumaczyć rybnie, co to woda. A jak inaczej można żyć? Jednak spróbowałem.

- Dotykać dwukrotnie życia. Jeść. Pić. Śmiać się.

W zadumie skinęła głową, a potem zrobiła próbny wypad, wyginając przegub i wystawiając łokieć. Nie mogłem tego znieść, więc odebrałem jej miecz, powoli opuściłem ją w salucie, a potem wykonałem wysokie pchnięcie i wróciłem do poprzedniej postawy - ruch tak wdzięczny, że nawet wielcy włochaci faceci wyglądają przy tym zupełnie niezłe. Dlatego też baletnice uczą się szermierki.

Wykonałem salut i ponownie wręczyłem oręż dziewczynie, po czym poprawiłem jej prawy łokieć i nadgarstek oraz lewe ramię - właśnie dlatego baletnice płacą połowę mniej; fechtmistrzowie mają kupę zabawy. Wykonała wypad i prawie dźgnęła innego gościa

w prawy pośladek.

Odebrałem jej miecz, wytarłem ostrze i wsunąłem do pochwy. Ściągnęliśmy sporą grupkę widzów. Wziąłem moją kanapkę z barku, ale dziewczyna jeszcze ze mną nie skończyła.

- Sam skakać miecz?

Zakrztusiłem się. Jeśli ona rozumiała, co mówi - i jeśli ja właściwie to pojmowałem - złożono mi najdelikatniejszą propozycję, z jaką zetknąłem się w Center. Zazwyczaj składano je bez ogródek.

Chyba Star nie rozgłaszała szczegółów naszej ślubnej ceremonii? Rufo? Ja mu nic nie mówiłem, ale mogła to zrobić Star.

Kiedy nie odpowiadałem, wyraziła się jaśniej i wcale nie ściszała głosu.

- Sama nie dziewica nie matka nie ciężarna płodna.

Wyjaśniłem najuprzejmiej, jak pozwalał na to ten język, który niezbyt sprzyjał takim sprawom, że jestem już umówiony. Porzuciła temat i spojrzała na moją kulinarną kompozycję.

- Ugryźć dotknąć skosztować?

To co innego; podałem jej kanapkę. Ugryzła spory kęs, przez chwilę żuła w zadumie i wyglądała na zadowoloną.

- Obce. Prymitywne. Mocne. Silny dysonans. Dobra sztuka.

Po czym odeszła, pozostawiając mnie w lekkim osłupieniu.

W ciągu dziesięciu minut jeszcze wielokrotnie zadano mi to pytanie. Otrzymałem więcej ofert niż na jakimkolwiek przyjęciu na Center i jestem pewien, że spora część zasługi przypada mieczowi. Chcę być dobrze rozumiany; na każdym spotkaniu towarzyskim otrzymywałem kilka propozycji; byłem małżonkiem Jej Mądrości. Mógłbym być orangutanem, a i tak otrzymywałbym niedwuznaczne propozycje. Niektórzy włochaci wyglądali jak orangutany i byli akceptowani towarzysko, ale ja mógłbym nawet śmierdzieć jak małpa. I zachowywać się gorzej niż ona. Po prostu wiele pań interesowało się tym, co też Cesarzowa wzięła sobie do łóżka, a fakt, że byłem dzikusem, a w najlepszym razie barbarzyńcą, jeszcze potęgował ich ciekawość. Żadne tabu nie zakazywało wykładania kawy na ławę i wiele z nich tak właśnie robiło.

Jednak ja nadal przeżywałem nasz miodowy miesiąc. A ponadto, gdybym chciał akceptować wszystkie propozycje, zostałyby po mnie tylko cień. Ale od kiedy przestałem wzdrygać się na tę bez-

pośredniość w stylu „Soda? Czy piwo imbirowe?”, zaczęły mnie one bawić; każdy lubi, kiedy go proszą.

Tej nocy, kiedy się rozbieraliśmy, zapytałem:

- Dobrze się bawiłaś, śliczności?

Star ziewnęła i uśmiechnęła się szeroko.

- Oczywiście. I ty też, mój ty skaucie z zastępów Orłów. Czemu nie zabrałeś tego kociaka do domu?

- Jakiego kociaka?

- Dobrze wiesz, jakiego. Tego, którego uczyłeś szermierki.

- Miauu!

- Nie, nie, mój drogi. Powinieneś po nią posłać. Słyszałam, jak mówiła, co studiuje, a istnieje silny związek między dobrym gotowaniem a dobrym...

- Kobieto, za dużo gadasz!

Przeszła z angielskiego na neviański.

- Tak, panie mężu. Już żaden dźwięk nie wyrwie się niebacznie z tych ust rozpalonych niepokojem miłości.

- Moja ukochana pani małżonko... żywiolo Śpiewających Wód...

Neviański jest bardziej użyteczny od żargonu, jakim mówią na Center.

Center jest zabawnym miejscem, a księżę małżonek Jej Mądrości wie, że słodkie życie. Po naszej pierwszej wizycie w rybackiej chatce Star napomknęła, jak miło byłoby pewnego dnia wrócić i znów łapać rękami pstrągi w tym uroczym miejscu, przy Bramie, którą przybyliśmy na Nevie.

- Chciałbym, żeby to miejsce było na Center.

- Będzie.

- Star, chyba go nie przeniesiesz? Wiem, że niektóre przemysłowe Bramy mogą poradzić sobie ze sporą masą, ale...

- Nie, nie. Jednak to będzie równie dobre. Mniej więcej dzień zajmą zdjęcia stereo, pomiary, badania składu powietrza i tak dalej. Przepływ wody i tym podobne sprawy. Ale równocześnie... za tą ścianą nie ma niczego, oprócz elektrowni oraz innych urządzeń. Powiedzmy, drzwi byłyby tutaj, a miejsce, gdzie piekliśmy ryby, sto jardów dalej. To potrwa najwyżej tydzień albo zmienimy architekta. Pasuje?

- Star, nie zrobisz tego.
- Czemu nie, kochanie?
- Rozwalisz cały dom, żebym miał strumień z pstragami? To fantazje!

- Wcale tak nie uważam.
- Jednak tak jest. A zresztą, najśłodsza, nie chodzi o to, żeby przenieść ten strumień tutaj, ale udać się tam. Na wakacje.

Westchnęła.

- Jakże chciałabym mieć wakacje.
- Dziś znowu kogoś ci wczytali. Masz inny głos.
- To przejdzie, Oscarze.
- Star, bierzesz ich zbyt szybko. Wykończysz się.
- Możliwe. Ale, jak wiesz, w tej kwestii tylko ja jestem sędzią.
- Właśnie, że nie wiem! Możesz sobie być sędzią wszelkiego cholernego stworzenia - tak też jest i ja o tym wiem - ale ja, twój mąż, osądzę najlepiej, czy przepracowujesz się czy nie - położę temu kres.

- Kochanie!

Podobnych incydentów było zbyt wiele.

Nie byłem o nią zazdrosny. Ten upiór mojej prymitywnej przeszłości został pogrzebany na Nevii - więcej mnie nie nawiedzał.

A zresztą Center nie jest miejscem, gdzie mogłyby żyć takie upiory. Center ma tyle obyczajów małżeńskich ile kultur - tysiące. Znoszą się wzajemnie. Niektórzy humanoidzi są instynktownie monogamiczni, tak jak podobno łabędzie. Tak więc nie można tego zaliczyć do „cnót”. Tak jak odwagą jest opanowanie własnego strachu, tak cnotą jest nieugięta postawa w obliczu pokusy. Jeśli nie ma pokusy, nie może być mowy o cnocie. Jednak ci nieugięci monogamiści nie byli niebezpieczni dla otoczenia. Jeśli ktoś, przez ignorancję, złożyłby niestosowną propozycję jednej z tych cnotliwych dam, nie ryzykował otrzymaniem policzka czy pchnięcia nożem; odmówiłaby i przeszła do dalszej rozmowy. Nie miałoby też znaczenia, gdyby słyszał to jej mąż; rasa automatycznie monogamiczna nie zna uczucia zazdrości. Nie mówię, że próbowałem czegoś takiego; dla mnie one wyglądały - i pachniały - jak skwaśniały zaczyn. Gdzie nie ma pokusy, nie ma też cnoty.

Jednak ja miałem wiele okazji, żeby okazać się „cnotliwym”.

Ten kociak z talia jak osa bardzo mnie kusił - a dowiedziałem się, że należała do społeczeństwa, w którym kobiety nie mogą wyjść za mąż, dopóki nie dowiodą, że są płodne - tak jak w niektórych rejonach mórz południowych i w pewnych częściach Europy - tak więc nie łamią żadnego tabu swego plemienia. Jeszcze bardziej kusiała mnie inna dziewczyna, ślicznotka o cudownej figurze, z rozkosznym poczuciem humoru, a w dodatku jedna z najlepszych tancerek we wszystkich wszechświatach. Nie napisała tego na trotuarze, ale zręcznie posługując się tym okropnym żargonem, po prostu dała mi znać, że jest zainteresowana i niezbyt zajęta.

To było pokrępiące. I jakie „amerykańskie”! Sprawdziłem (gdzie indziej) obyczaje jej społeczeństwa i dowiedziałem się, że jakkolwiek traktowali dość poważnie więzy małżeńskie, w innych sprawach byli mniej rygorystyczni. Nie nadawałbym się na zięcia, ale zamykając mi drzwi przed nosem, szeroko otwierano okno.

Stchórzyłem. Zagłębiłem się w swoją duszę i przyznałem, że moja ciekawość była równie niezdrowa jak każdej z tych dam, które ofiarowały mi się tylko dlatego, że byłem małżonkiem Star. Mała, słodka Ahai-ee-van należała do tych, które nie nosiły ubrań. Odzienie rosło wprost na niej; od czubka nosa po paluszki stóp pokrywało ją mięciutkie, lśniące, szare futerko, niezwykle podobne do szynszyli. Fantastyczne!

Nie miałem serca, była zbyt miłym dzieckiem.

Jednak z tej pokusy zwierzyłem się Star - a ona delikatnie zasugerowała, że muszę mieć same mięśnie między uszami; Ahai-ee-van była wybitną artystką nawet wśród swoich ziomków, których uważano za bardzo utalentowanych wyznawców Erosa.

Pozostałem tchórzem. Obcowanie z takim słodkim dzieckiem powinno łączyć się z miłością, choć troszeczkę, a to nie była miłość - tylko to fantastyczne futerko - ponadto powodowała mną obawa, że ona nie poślubi mnie, kiedy porzuci mnie Star.

Albo nie porzuci mnie - na Center nie ma prawa zakazującego poligamii. W niektórych religiach są prawa zezwalające lub zabraniające tego czy tamtego, lecz w tej mieszaninie kultur istnieje mnóstwo religii - tak więc znoszą się one nawzajem tak samo jak przeciwstawne obyczaje. Kulturoznawcy twierdzą, że istnieje pewne powszechne i niezmiennie „prawo”, dotyczące wolności religij-

nej. Otóż w złożonych kulturach wolność religijna jest odwrotnie proporcjonalna do siły najwyższej religii. Uważa się, iż jest to jedna z postaci fundamentalnego, niezmiennego prawa, zgodnie z którym wszelka, wolność powstaje w wyniku konfliktów wewnątrz kulturowych, ponieważ zwyczaj nie mający przeciwstawnego sobie obyczaju staje się obowiązującym i zawsze jest uważany za „prawo natury”.

Rufo nie zgadzał się z tym; powiedział, że jego koledzy ujeli w równania rzeczy niemierzalne i niedefiniowane - tak jak dziury w ich łbach! - i że wolność nigdy nie była niczym innym jak tylko uśmiechem losu, ponieważ przeciętny facet, we wszystkich humanoidalnych rasach, nienawidzi i nie chce jakiegokolwiek wolności, nie tylko dla swoich sąsiadów, ale również dla siebie - i tłamsi ją, jak może.

Wracając do tematu numer jeden - mieszkańcy Center zawierają najróżniejsze umowy małżeńskie. Albo nie zawierają. Praktykują stosunki partnerskie i seksualne, przedłużanie gatunku, przyjaźń i miłość - ale niekoniecznie wszystko z jedną i tą samą osobą. Kontakty i umowy małżeńskie mogą być skomplikowane jak przy dokonywaniu fuzji korporacji - określając czas trwania, cele, obowiązki, zakresy odpowiedzialności, ilość i płeć dzieci, metody ich selekcji genetycznej, ewentualne wynajęcie matek zastępczych, warunki zerwania i możliwości przedłużenia - wszystko oprócz „wierności małżeńskiej”. Przyjmuje się jako pewnik, że nie da się jej wyegzekwować, a więc nie obejmuje się jej kontraktem.

Jednak wierność małżeńską spotyka się tu częściej niż na Ziemi; po prostu nie jest ona tu usankcjonowana prawnie. Mają tutaj takie stare przysłowie o kobietach i kotach. Głosi ono: „Kobiety i koty zawsze robią, co chcą, więc mężczyźni i psy niech się z tym pogodzą”. - Istnieje również powiedzenie o mężczyznach i pogodzie - śmielsze i co najmniej równie stare, ponieważ pogoda od dawna jest tu pod kontrolą.

Najczęściej nie ma żadnej umowy; on przynosi swoje ubranie do jej domu i zostaje - dopóki ona nie wyrzuci ich za drzwi. Ten rodzaj związku wysoko się ceni, ponieważ sprzyja trwałości - kobieta, która zasłynie, jako „wystawiająca walizki”, ma spore kłopoty ze znalezieniem następnego mężczyzny, na tyle odważnego, by ry-

zykować znoszenie jej humorów.

Mój „kontrakt” ze Star nie był niczym więcej, o ile umowy, prawa i zwyczaje w ogóle dotyczą Cesarzowej - a nie dotyczyły i inaczej być nie mogło. Jednak nie to było źródłem mojej narastającej niepewności.

Wierzcie mi, nie byłem zazdrosny.

Ale coraz bardziej niepokoił mnie ci martwi, tłoczący się w jej umyśle.

Pewnego wieczoru, gdy ubieraliśmy się na jakiś ubaw, ofuknęła mnie. Paplałem o tym, jak spędziłem dzień, jak uczono mnie matematyki, i z pewnością byłem równie zabawny, jak dziecko opowiadające o dniu spędzonym w przedszkolu. Jednak wpadłem w euforię, gdyż otwierał się przede mną nowy świat - a Star zawsze słuchała cierpliwie.

A teraz warknęła na mnie barytonem.

Urwałem w pół słowa.

- Dzisiaj znowu kogoś ci wczytano!

Niemal usłyszałem, jak zmienia biegi.

- Och, wybacz mi, najdroższy! Nie jestem sobą. To Jego Mądrość CLXXXII.

Policzyłem szybko.

- To czternasty od czasu naszej wyprawy - a w poprzedzających ją latach zaimplementowano ci zaledwie siedmiu. Co, do licha, próbujesz zrobić? Wypalić się? Stać się idiotką?

Zaczęła mnie objeżdżać. A potem odpowiedziała łagodnie:

- Nie, to mi nie grozi.

- Słyszałem co innego.

- Oscarze, to, co słyszałeś od innych, nie ma żadnego znaczenia, ponieważ nikt poza mną nie może ocenić pojemności mojego umysłu ani tego, co naprawdę oznacza przyjęcie innej osobowości. Chyba, że rozmawiałeś z moim następcą?

- Nie.

Wiedziałem, że już go wybrała, i zakładałem, że przyjął jedną osobowość czy dwie - normalne zabezpieczenie na wypadek morderstwa. Jednak nie spotkałem się z nim; nie chciałem go oglądać ani wiedzieć, kim jest.

- Zatem zapomnij o tym, co ci mówiono. To nie ma żadnego

znaczenia.

Westchnęła.

- Jednak, najdroższy, jeśli nie będziesz miał nic przeciwko temu, wolałabym dziś nigdzie nie wychodzić. Najchętniej położę się do łóżka. Stary śmierdziel CLXXXII jest najobrzydliwszą osobą, jaką kiedykolwiek byłam - odniósł wspaniały sukces w bardzo trudnym okresie, musiałeś

o nim czytać. Miał jednak okropne usposobienie i w głębi duszy nienawidził ludzi, którym pomagał.

- No dobrze, więc chodźmy do łóżka.

Star potrząsnęła głową.

- Spać - powiedziałam. Użyję autosugestii i rankiem nawet nie będziesz wiedział, że on tu był. Idź sam na przyjęcie. Poszukaj sobie jakiejś przygody i zapomnij o tym, że masz trudną żonę.

Poszedłem, ale byłem zbyt wściekły, żeby myśleć o „przygodach”.

Stary paskuda nie był najgorszy. Potrafię udowodnić swoje racje podczas kłótni, a Star, chociaż istna amazonka, nie jest aż taka duża, żeby mogła sobie ze mną poradzić. Gdyby stała się niezdolna, najwyżej dostałaby to obiecane lanie. Nie obawiałem się też interwencji straży, gdyż to ustaliliśmy na samym początku - kiedy jesteśmy we dwoje, mają nas zostawić w spokoju.

Nie powinienem narzekać.

Obecność osób trzecich zmieniała ten stan rzeczy, a Star, kiedy była sama, pilnowano nawet w czasie kąpieli. Nie wiem, czy jej strażnicy to mężczyźni czy kobiety, zresztą nie robiło jej to żadnej różnicy. Nigdy ich nie widzieliśmy. Tak więc nasze sprzeczki odbywały się bez świadków

1 może dobrze nam robiły, przynosząc chwilową ulgę.

Jednak „Święty” był jeszcze gorszy od starego paskudy. Jego Mądrość CXXLI był tak cholernie szlachetny, uduchowiony i świętoszkowaty, że musiałem na trzy dni wyjechać na ryby. Star była rozsądną dziewczyną, pełną radości życia, a ten gość nie pił, nie palił, nie żuł gumy i nigdy nie wypowiedział nieuprzejmego słowa. Kiedy Star była pod jego wpływem, nieomal widziało się aureole nad jej głową.

Co gorsza, poświęcając się dla Wszechświatów, wyrzekł się sek-

su, co miało zaskakujący wpływ na Star; słodka uległość nie była w jej stylu. Tak więc udałem się na ryby.

Jedno trzeba oddać „Świątemu”. Star mówi, że był najbardziej nieszczęśliwym ze wszystkich cesarzy; miał talent do robienia głupstw i podejmowania błędnych decyzji z nabożnych pobudek, tak więc nauczyła się od niego więcej niż od innych; popełnił wszystkie możliwe błędy. Po zaledwie piętnastu latach rządów został zabity przez zdegrustowanych klientów - zbyt krótki okres czasu, aby zniszczyć tak nieruchawy twór jak wielowszechświatowe imperium.

Jego Mądrość CXXXVII była kobietą - i Star zniknęła z domu na dwa dni. Kiedy wróciła, wyjaśniła:

- Mój drogi, musiałam tak postąpić. Zawsze byłam awanturnicą, ale ona zaskoczyła nawet mnie.

- Czym?

- Nie powiem ani słowa, panie. Poddalam się intensywnej terapii, żeby schować ją tam, gdzie nigdy jej nie spotkasz.

- To interesujące.

- Wiem i dlatego wbiłam jej w serce osinowy kołek - niemiłe zajęcie, bo ona należy do moich przodków w prostej linii. Jednak obawiałam się, że możesz ją polubić bardziej niż mnie. Oto cała prawda!

Nadal mnie to intryguje.

Większość z nich nie była taka zła. Jednak nasze małżeństwo miałyby się lepiej, gdybym się nigdy nie dowiedział, że oni tam są. Lepiej już mieć odrobinę szurniętą żonę, niż taką, która jest plutonem innych osób - przeważnie mężczyzn. Nawet kiedy silna osobowość Star dowodziła całością, zdawałem sobie sprawę z obecności tego niesamowitego towarzystwa, co nie wpływało dobrze na moje libido. Muszę jednak przyznać, że Star rozumiała męski punkt widzenia lepiej niż jakakolwiek kobieta w historii jakiegokolwiek świata. Nie musiała zgadywać, co sprawia frajdę mężczyźnie; „z doświadczenia” wiedziała o tym więcej ode mnie - i była wręcz niepomysłownie skłonna dzielić się ze mną tą wiedzą.

Nie powinienem narzekać.

Ale czyniłem to, robiąc jej wymówki za to, że jest tamtymi ludźmi. Znosiła moje niesprawiedliwe zarzuty lepiej, niż ja wy-

trzymywałem to, co uważałem za niesprawiedliwość, patrząc na wszystko z pozycji człowieka zmuszonego stawiać czoła tej bandzie widm.

Zresztą te duchy nie były największą muchą w rosole.

Nie miałem żadnego zajęcia. Nie mam na myśli normalnej pracy od dziewiątej do piątej, koszenia trawy w sobotę i wieczornej popijawy w wiejskim klubie; chodzi o to, że nie miałem żadnego celu w życiu. Czy widzieliście kiedyś lwa w zoo? Świeże mięso w regularnych porach, samice do wyboru, żadnych kłopotów z myśliwymi... Udało mu się, co?

A więc dlaczego wygląda na znudzonego?

Z początku nawet nie wiedziałem, że mam kłopoty. Miałem piękną i kochającą żonę; byłem niewyobrażalnie bogaty; mieszkałem w luksusowym domu w mieście ładniejszym od któregokolwiek z ziemskich miast; wszyscy byli dla mnie mili, ustępując w tym jedynie mojej żonie. Miałem nieskończenie szerokie możliwości podjęcia „studiów” w cudownym i niezwykłym znaczeniu tego słowa, bez potrzeby trzymania się za portfel, czy za kieszeń. Nie musiałem się niczym przejmować i miałem wszelką możliwą pomoc. Brachu, to było tak, jakby Albert Einstein rzucał wszystko, żeby podciągnąć się w algebrze, a Rand Corporation i General Electric wspólnie łamały sobie głowy, aby wykombinować pomoce naukowe, ułatwiające ci zrozumienie jakiegoś problemu.

Taki luksus to więcej niż wszelkie bogactwa.

Wkrótce przekonałem się, że nie wypiję tego oceanu, nawet jeśli ktoś przytrzyma mi szklankę. Już na Ziemi wiedza wymknęła się spod wszelkiej kontroli, tak że żaden człowiek nie jest w stanie jej objąć - pomyśleć więc, jak ogromna jest w Dwudziestu Wszechświatach, z których każdy ma swoje prawa, historie i tylko Starwie, ile cywilizacji.

W fabryce słodczy pracowników zachęca się, żeby jedli wszystko, na co mają ochotę. Szybko przestają.

Nie dałem za wygraną; wiedza jest bardziej różnorodna od słodczy. Jednak moim studiom brakowało motywacji. W dwudziestu wszechświatach istnieje więcej Prawdziwych Imion Boga niż w jednym - a wszystkie przedmioty są jednakowo trudne, chyba że masz wrodzone zdolności.

Nie miałem talentu, byłem dyletantem - co zrozumiałem, gdy stwierdziłem, że nudzę moich nauczycieli. Pozwoliłem więc odejść większości z nich, poprzestając na matematyce oraz historii wszechświatów, i zrezygnowałem z prób nauczania się wszystkiego.

Przemyślałem o zajęciu się interesami. Jednak aby mieć satysfakcję z biznesu, musisz być urodzonym biznesmenem (ja nie jestem) albo potrzebować forsy. Ja miałem forszę, tak więc mogłem ją jedynie stracić, a gdybym zyskał, nigdy nie wiedziałbym, czy nie stało się to dzięki cichemu poleceniu (wydanemu przez jakikolwiek rząd): „Nie oskubcie przypadkiem małżonka cesarzowej, wyrównamy wam wasze straty”.

To samo z pokerem. Wprowadziłem tam tę grę i szybko przyjęła się - po czym stwierdziłem, że nie mogę w nią grać. Pokera należy traktować poważnie albo nie grać w ogóle - a kiedy masz ocean forsy, utrata czy dodanie paru kropli nie ma żadnego znaczenia.

Powinienem wyjaśnić - budżet na „osobiste wydatki” Jej Mądrości może nie być tak ogromny jak sumy trwonione przez wielu hulaków na Center; to planeta bogatych. Jednak może też być tak wielki, jak tego zażąda Star - bezdenne studnia bogactwa. Nie wiem, z ilu światów składa się Cesarstwo, lecz powiedzmy, że jest ich dwadzieścia tysięcy, a każdy z trzymiliardową populacją - skromnie licząc.

Cent od każdego z 60.000.000.000.000 mieszkańców daje sześć miliardów dolarów. Ta liczba ma na celu jedynie udowodnienie, że nawet przy zmniejszeniu podatków do rozmiarów zupełnie nieodczuwalnych przez szarego obywatela, nadal oznaczało to wielokrotnie większą kwotę, niż zdołałbym wydać. Przypuszczam, iż ten nie-rząd nie-cesarstwo, na którego czele stała Star, musiał sporo kosztować - ale jej i moje wydatki, obojętnie jak duże, w ogóle się nie liczyły.

Król Midas przestał się interesować swoją skarbonką. Ja też.

Och, wydawałem pieniądze. (Chociaż nie tykałem ich bez wyraźnej potrzeby). Nasze mieszkanie (nie nazwę go pałacem) - nasz dom miał lepiej wyposażoną salę gimnastyczną niż jakikolwiek uniwersytet; obok znajdowała się salle d'armes i codziennie długo fechtowałem się na różne rodzaje broni. Zamówiłem klingi dorów-

nujące Lady Vivamus i najlepsi szermierze z kilku światów zjeżdżali kolejno, żeby mnie szkolić. Kazałem też zrobić sobie strzelnicę i zabrać mój łuk z Jaskini Wrót na Karth-Hokesh, więc ćwiczyłem również strzelanie z łuku i innych rodzajów broni. Och, wydawałem pieniądze na wszystko, na co miałem ochotę.

Jednak niezbyt mnie to cieszyło.

Pewnego dnia siedziałem w swoim gabinecie i nie robiłem zupełnie nic, oddając się ponurym rozmyśleniom i bawiąc się czarą pełną klejnotów.

Przez jakiś czas zajmowałem się projektowaniem biżuterii. Interesowałem się tym, kiedy byłem w szkole - przez jedno lato pracowałem u jubilera. Umieję rysować, a ładne kamienie zawsze mnie fascynowały. Jubiler pożyczył mi książki - inne wypożyczyłem sobie z biblioteki - i kiedyś nawet zrobił coś według jednego z moich projektów.

Miałem powołanie.

Jednak jubilerstwo nie należy do zawodów, które zwalniają od służby wojskowej, więc dałem sobie z tym spokój - aż znalazłem się na Center.

Widzicie, nie mogłem niczego ofiarować Star, chyba że sam zrobiłem ten prezent. Tak też postąpiłem. Wykonałem cały komplet biżuterii z prawdziwych kamieni, po dokładnym (z pomocą ekspertów, jak zwykle) zgłębieniu tematu, zamówiwszy bogatą kolekcję kamieni, kreśląc rysunki, zlecając obróbkę klejnotów.

Wiedziałem, że Star uwielbia stroić się w szlachetne kamienie i że przyjemność ta nie była całkiem niewinna - nie chodzi tu o łamanie jakichkolwiek zakazów, bowiem takowe nie istniały - ale było to coś w rodzaju artystycznej prowokacji, coś jak pozłacanie lilii, podkreślenie czegoś, co wcale nie potrzebuje podkreślenia.

Rzeczy, które zaprojektowałem, wyglądały jak stroje z francuskiej rewii - tyle że z prawdziwych klejnotów. Szafiry i złoto harmonizowały z jasnowłosą Star, więc właśnie ich użyłem. Zresztą mogła nosić dowolne kolory, więc nie żałowałem również innych klejnotów.

Moja pierwsza próba sprawiła jej wiele radości i nosiła ten strój przez cały wieczór. Byłem z niego dumny; odtworzyłem z pamięci kostium, jaki miała na sobie tancerka z nocnego lokalu we Frank-

furcie, gdzie wpadłem pewnego dnia, wyrwawszy się z objęć armii: skąpe majteczki, przezroczysta długa suknia, rozcięta na jednym biodrze, wyszywana cekinami (ja użyłem szafirów) i coś, co nie było biustonoszem lecz uwznioślaczem, całe wysadzone klejnotami, oraz dobrany drobiazg we włosach. Do tego pantofelki na wysokich, wysadzanych szmaragdami obcasach.

Star była równie zachwycona następnymi strojami.

Jednak przy tej okazji przekonałem się, że nie jestem projektantem biżuterii. Nie miałem szans dorównać zawodowcom zaopatrującym bogaczy na Center. Niebawem zrozumiałem, że Star nosi moje kreacje, ponieważ były prezentem ode mnie, tak samo jak matka przypina w swoim pokoju dziecinnie malowanki, przynieszone z przedszkola przez synka. Dałem więc sobie z tym spokój.

Jeszcze wiele tygodni później napotykałem się w swoim gabinecie na puchary klejnotów - ognistych opali, sardoniksów, karneoli, diamentów i turkusów, rubinów, kamieni księżycowych, szafirów, garnetów, peridotów, szmaragdów, chryzolitów i wielu innych, nie mających swoich angielskich nazw, przesiewałem je przez palce, obserwując kaskady wielobarwnych, ognistych błysków i użalałem się nad sobą. Zastanawiałem się, ile te cudenka byłyby warte na Ziemi. Mogłem jedynie zgadywać, zaokrąglając końcówkę do miliona dolarów.

Nie zwracałem sobie głowy chowaniem ich na noc. I to ja - facet, który musiał zrezygnować z nauki z braku forsy na chesne i hamburgery.

Odsunąłem klejnoty i podszedłem do okna - znajdowało się tam, ponieważ powiedziałem Star, że chciałbym je mieć w swoim pokoju. No i zaraz się tam zjawilo, choć przez wiele miesięcy zastanawiałem się, ile też musieli rozwalić, żeby sprawić mi tę przyjemność - bo przedtem sądziłem, że po prostu wystarczy wybić dziurę w ścianie.

Widok z okna był piękny, bardziej przypominał park niż miasto, ponieważ budowle rozmieszczono daleko od siebie, a nie stłoczono na niewielkiej przestrzeni. Trudno było oswoić się z myślą, że było to miasto większe od Tokio; jego „arterie” były niewidoczne, a mieszkańcy często pracowali po drugiej stronie planety.

Słyszało się łagodny pomruk, podobny do tego stłumionego

szumu, przed którym nie sposób umknąć w Nowym Jorku, ale znacznie cichszy, jednak wystarczający, aby przypomnieć mi, iż zewsząd otaczają mnie ludzie, z których każdy ma swoją pracę, cel i stanowisko.

A moje stanowisko? Książę Małzonek.

Żigolak!

Star, nie zdając sobie z tego sprawy, wprowadziła prostytutkę w świecie, który nie znał tej profesji. Niewinny świat, w którym kobieta i mężczyzna szli do łóżka tylko wtedy, jeśli oboje tego pragnęli.

Książę małzonek nie jest prostytutką. Ma swoje zajęcia, często nużące, gdy musi reprezentować swoją małżonkę, kłaść kamienie węgielne czy wygłaszać przemówienia. Ponadto ma swoje obowiązki - jako królewski ogier musi zadbać o ciągłość dynastii.

Ja nie robiłem takich rzeczy. Nawet nie zabawiałem Star - do licha, w promieniu dziesięciu mil znalazłyby się miliony mężczyzn, którzy z radością skorzystaliby z okazji.

Poprzednia noc była kiepska. Zaczęła się źle i przekształciła się w jedną z tych męczących poduszkowych konferencji, jakie często są udziałem małżonków i nie są tak uzdrawiające jak solidna kłótnia. Mieliśmy już jedną sprzeczkę, ale przebiegła tak spokojnie, jak u wszystkich ludzi pracy, mających na głowie rachunki do zapłacenia i szefa.

Star zrobiła coś, czego nigdy przedtem nie robiła: przyniosła pracę do domu. Pięciu facetów przejętych jakimiś kłopotami międzygalaktycznymi - nie dowiedziałem się, o co chodziło, gdyż dyskusja trwała godzinami i czasami rozmawiali w nie znanym mi języku.

Ignorowali mnie, byłem dla nich meblem. Na Center rzadko przedstawia się kogoś komuś i jeśli chcesz pogadać, mówisz po prostu: „Sam” - i czekasz, jeżeli nie odpowiada - odchodzisz. Jeśli odpowiada, wymieniacie nazwiska.

Żaden z nich tego nie uczynił, a ja wolałbym paść trupem, niż zacząć pierwszy. Ponieważ byli obcy w moim domu, inicjatywa powinna wyjść od nich. Jednak oni zachowywali się tak, jakby to nie był mój dom.

Siedziałem tam jak Niewidzialny Człowiek i z każdą chwilą by-

łem bardziej wściekły.

Dyskutowali dalej, a Star słuchała. W końcu wezwała pokojówki, które zaczęły ją rozbierać i szczotkować jej włosy. Center to nie Ameryka, nie miałem powodów do oburzenia. Teraz ona ich potraktowała niegrzecznie, traktując ich jak meble (zauważyła, jak obeszli się ze mną).

Jeden z nich powiedział z rozdrażnieniem:

- Wasza Mądrość, proszę, abyś wysłuchała nas, tak jak się umówiliśmy.

(Wyglądziłem żargon). Star odparła chłodno:

- Tylko ja jestem sędzią mojego postępowania. Nikt inny.

To było prawdą. Ona mogła oceniać swoje zachowanie, oni nie. Z goryczą zrozumiałem, że ja też nie. Byłem na nią zły (choć wiedziałem, że to nie ma żadnego znaczenia) o to, że wezwała służbę i zaczęła przygotowywać się do łóżka w obecności tych głąbów - i zamierzałem powiedzieć jej, żeby nigdy więcej tego nie robiła. Teraz postanowiłem nie podnosić tej kwestii.

Niebawem Star przerwała im.

- Ona ma rację. Ty się mylisz. Załatwcie to tak. Jazda.

Jednak zamierzałem napomknąć coś o tym i sprzeciwić się sprowadzaniu „klientów” do domu.

Lecz Star uprzedziła mnie. Kiedy zostaliśmy sami, powiedziała:

- Najdroższy, wybacz mi. Zgodziłam się wysłuchać tej głupiej dyskusji, a ona przeciągała się, więc pomyślałam, że zakończę ją szybciej, jeśli poderwę ich z foteli, każę tu stać i dam im do zrozumienia, iż jestem znudzona. Nie sądziłam, że będą paplać jeszcze godzinę, zanim wyduszę z nich coś sensownego. A wiedziałam, że jeśli odłożę sprawę do jutra, znowu rozgadają się na kilka godzin. Jednak ten problem był naprawdę ważny. Nie mogłam ich zbyć.

Westchnęła.

- Co za śmieszny facet - a jednak tacy ludzie umieją wspiąć się wysoko. Zastanawiałam się, czy nie stracić go za głupotę. Zamiast tego musiałam pozwolić, żeby naprawił swój błąd, inaczej kryzys wybuchłby na nowo.

Nie zdołałem nawet napomknąć, że wydała decyzję w gniewie, a gość, którego tak splawiła, był jednym z tych, w których imieniu

rządziła. Powiedziała tylko:

- Chodźmy do łóżka, jestem zmęczona. - Ale nie miałem dość rozsądku, żeby samemu jej nie osądzać.

ROZDZIAŁ XIX

Poszliśmy do łóżka. W końcu powiedziała:

- Oscarze, jesteś niezadowolony.

- Tego nie powiedziałem.

- Wyczuwam to. Nie chodzi jedynie o dzisiejszy wieczór i tych męczących błaznów. Nie chcesz powiedzieć tego na głos, ale jesteś nieszczęśliwy.

- To nic.

- Oscarze, coś, co sprawia ci jakikolwiek kłopot, nigdy nie będzie dla mnie „niczym”. Chociaż mogę nie zdawać sobie sprawy z tego, że coś ci dręczy.

- No więc, czuję się cholernie bezużyteczny.

Położyła mi na piersi swoje delikatne i silne dłonie.

- Dla mnie nie jesteś bezużyteczny. Dlaczego czujesz się niepotrzebny?

- No cóż, spójrz na to łóżko!

To był mebel, o jakim Amerykanie nawet nie marzą; mógł zrobić wszystko oprócz ucałowania

cię na dobranoc i - tak samo jak miasto - było piękne.

- To wyro, tam u mnie, kosztowałyby więcej - gdyby umieli je skonstruować - niż najlepszy dom, w jakim mieszkała moja matka.

Przez chwilę rozmyślała o tym.

- Czy chciałbyś wysłać pieniądze swojej matce?

Skinęła dłonią na komunikator stojący przy łóżku.

- Czy Baza Sił Powietrznych w Elmendorf to wystarczająco dokładny adres?

(Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek mówił jej, gdzie mieszka moja matka).

- Ależ nie! - Gestem wyłączyłem urządzenie. - Nie chcę posyłać jej pieniędzy. Jest na utrzymaniu męża. On nie przyjąłby ode

mnie pieniędzy. Nie o to chodzi.

- A więc nie wiem, o co ci chodzi. Łóżka nie mają znaczenia, ważne jest to, kto w nich śpi. Kochany, jeśli nie podoba ci się to łóżko, możemy sprowadzić inne. Albo spać na podłodze. Łóżka nie są ważne. - Łoże jest w porządku. Jedyłą jego wadą jest to, że nic ja za nie zapłaciłem. Ty to zrobiłaś. Cały dom. Moje ubrania. Wszystko, co jem. Moje... moje zabawki! Każdą przeklętą rzecz, jaką mam, dostałem od ciebie. Wiesz, kim jestem, Star? Żigolakiem! Wiesz, kto to taki? Ktoś w rodzaju męskiej prostytutki.

Jednym z najbardziej irytujących zwyczajów mojej żony jest to, że czasem nie chce się odciąć, kiedy wie, że zmierzam do kłótni. Spojrzała na mnie w zadumie.

- W Ameryce ludzie są bardzo zajęci, prawda? Szczególnie mężczyźni pracują cały czas.

- No... tak.

- Jednak nie jest to powszechny zwyczaj, nawet na Ziemi. Francuz nie jest nieszczęśliwy, jeśli ma wolny czas; zamawia następną cafe au lait i pozwala, żeby w zlewie rósł stos brudnych talerzy. Oscarze, ja też nie przepadam na pracę. Zepsułam nam wieczór przez swoje lenistwo, ponieważ zbyt zależało mi na tym, żeby uniknąć ponownego wałkowania tej nudnej sprawy. Po raz drugi nie popełnię tego błędu.

- Star, to nie ma znaczenia. Już po wszystkim.

- Wiem. Pierwszy powód rzadko jest kluczem do problemu. Tak samo jak drugi. A czasem nawet dwudziesty drugi. Oscarze, nie jesteś żigolakiem.

- A jakbyś to nazwała? Kiedy coś wygląda na kaczkę, kwacze jak kaczką i zachowuje się jak ona, mówię, że to kaczką. Możesz nazwać to bukietem róż. Ale nadal będzie kwakać.

- Nie. Wszystko, co nas otacza. - Wskazała ręką. - Łóżko. Ta piękna sypialnia. Posiłki, które jemy. Twoje i moje ubrania, nasze śliczne baseny pływackie. Nocny majordomus, baczący pilnie, czy któremuś z nas nie zechce się śpiewającego ptaszka czy dojrzałego arbuza. Wszystko, co widzimy, czego dotykamy, używamy lub czym się bawimy - i tysiąc innych, odległych miejsc - na wszystko zapracowałeś własnymi rękami; są twoje, zgodnie z prawem.

Prychnąłem.

- Naprawdę - upierała się. - Taka była umowa. Obiecałam ci wielką przygodę, jeszcze większy skarb i znacznie większe niebezpieczeństwo. Zgodziłeś się. Powiedziałeś: „Księżniczko, masz swego pazia!” - Uśmiechnęła się, mówiąc te słowa. - Taki duży chłopiec. Najdroższy, sędzę, że niebezpieczeństwo było większe, niż podejrzewałeś... Tak więc, aż do tej pory, cieszyło mnie, że i skarb okazał się większy, niż sobie wyobrażałeś. Proszę, przyjmij go bez skrupowania. Zasłużyłeś na to wszystko i na wiele więcej - tyle, ile tylko zechcesz przyjąć.

- Hmm... Nawet jeśli masz rację, to za dużo tego wszystkiego. Grzęzę w tym jak w lotnych piaskach!

- Ależ, Oscarze, nie musisz brać wszystkiego, jeśli nie chcesz. Możemy żyć skromnie. Jeśli chcesz, to możemy mieszkać w jednym pokoju z łóżkiem chowanym w ścianę.

- To nie jest rozwiązanie.

- Może wolałbyś garsonierę lub kawalerkę gdzieś w mieście?

- Wystawiasz moje walizki, tak?

- Mój mężu - powiedziała spokojnie - jeśli twoje walizki zostaną kiedykolwiek spakowane, to zrobisz to własnoręcznie. Przeskoczyłam przez twój miecz. Nie skoczę w przeciwną stronę.

- Nie bierz tego tak poważnie! - rzekłem. - To był twój pomysł. Jeśli źle cię zrozumiałem, przepraszam. Wiem, że nie cofniesz swojego słowa. Ale możesz żałować, że mi je dałaś.

- Nie żałuję. A ty?

- Nie, Star, na pewno nie. Ale...

- To dość długa pauza po tak krótkim słowie - powiedziała poważnie. - Czy zechcesz mi powiedzieć, o co chodzi?

- Hmm... Właśnie o to. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Czego, Oscarze? Było tak wiele do opowiedzenia.

- Właśnie, wiele. Na przykład, w co się pakuję. A szczególnie o tym, że jesteś Cesarzową wszechcałości - przynajmniej zanim pozwoliłaś mi przeskoczyć z tobą ten miecz.

Jej twarz nie zmieniła wyrazu i tylko łzy popłynęły jej po policzkach.

- Mogłabym odpowiedzieć, że o nic nie pytałeś...

- Nie wiedziałem, o co pytać!

- To prawda. Mogłabym cię zapewnić i mówiłabym szczerze, że

gdybyś zapytał, odpowiedziałabym ci. Mogłabym przypominać, że nie ja „pozwoliłam ci” przeskoczyć przez miecz, ale ty sam przełamałeś moje protesty, kiedy mówiłam, iż nie musisz proponować mi zaszczytnego ślubu według praw twego ludu... że jestem dziewczką, z którą możesz igrać do woli. Mogłabym powiedzieć ci, że nie jestem królową ani cesarzową, ale kobietą pracującą, której praca nie pozwala nawet na luksus szlacheckiego postępowania. I wszystko to byłoby prawdą. Jednak nie kryję się za tymi odpowiedziami i wyjdę naprzeciw twojemu pytaniu.

Szybko przeszła na neviański.

- Panie Bohaterze, poważnie obawiam się, iż jeśli nie ulegnę twojej woli, opuścisz mnie!

- Pani małżonko, czy naprawdę sądzisz, że twój rycerz opuściłby cię w obliczu niebezpieczeństwa? - mówiłem dalej po angielsku. - No, to przesadza sprawę. Poślubiłaś mnie, ponieważ trzeba było odzyskać to przekłete Jajo, a Twoja Mądrość powiedziała ci, że jestem do tego potrzebny - i mogę zwać, jeśli za mnie nie wyjdiesz. No cóż, Twoja Mądrość nie spisała się najlepiej; ja nie zwiewam. To głupota z mojej strony, ale jestem uparty.

Zacząłem wstawać z łóżka.

- Panie mężu! - Teraz już otwarcie płakała.

- Wybacz mi. Muszę znaleźć walizki. Zobaczę, jak szybko potrafię je spakować.

Zachowywałem się tak paskudnie, jak tylko potrafi mężczyzna, którego duma została głęboko zraniona.

- Proszę, Oscarze, proszę! Najpierw mnie wysłuchaj.

Westchnąłem ciężko.

- Mów.

Złapała mnie za rękę i trzymała tak mocno, że gdybym próbował się uwolnić, chyba straciłbym palce.

- Wysłuchaj mnie, mój ukochany, to wcale nie było tak. Wiedziałam, że nie zrezygnujesz z wyprawy, dopóki jej nie zakończymy albo póki nie zginiemy. Wiedziałam! Nie tylko z raportów sięgających w przeszłość zanim cię spotkałam, ale również ze wspólnie dzielonych radości, niebezpieczeństw i trudów. Jednak, gdyby było trzeba, omotałabym cię siecią słów i namówiłabym, żebyś

ograniczył się jedynie do zaręczyn - dopóki wyprawa się nie skończy. Jesteś romantykiem, zgodziłbyś się. Najdroższy, kochany! Ja chciałam cię poślubić... Związać cię ze sobą twoimi prawdami, tak żebyś... - urwała na chwilę, łykając łzy - tak żebyś, kiedy zobaczysz to wszystko i to, i to, i wszystkie rzeczy, które nazywasz „twoimi zabawkami”, żebyś nadal pozostał ze mną. Nie było w tym wyrachowania, lecz miłość - miłość romantyczna i nierozsądna, bo pokochałam cię takiego, jakim jesteś.

Ukryła twarz w dłoniach, tak że ledwie mogłem ją słyszeć.

- Tak niewiele wiem o miłości. Miłość to motyl, który rozwija się z poczwarki, kiedy chce i odfruwa, kiedy ma ochotę - nie można go przykuć łańcuchami. Zgrzeszyłam. Próbowałam związać cię ze sobą. Chociaż wiedziałam, że to niesprawiedliwe, dopiero teraz zrozumiałam, iż jest to również okrutne.

Spojrzała na mnie z krzywym uśmiechem.

- Nawet Jej Mądrość nie jest mądrzejsza od zwykłych kobiet w sprawach miłości. Jednak, chociaż jestem głupią dziewczką, nie jestem tak uparta, by nie dostrzec, że skrzywdziłam ukochanego - szczególnie jeśli sam wyłoży mi kawę na ławę. Idź, idź i przynieś mój miecz; przeskocz przez niego po raz drugi i mój rycerz zostanie uwolniony ze swych jedwabnych więzów. Idź, panie Bohaterze, póki nie zmienię zdania.

- Idź i przynieś swój miecz, dziewczko. To lanie od dawna ci się należy!

Nagle uśmiechnęła się łobuzersko.

- Ależ, najdroższy, mój miecz został na Karth-Hokesh. Nie pamiętasz?

- Tym razem ci się nie uda!

Złapałem ją. Star jest zręczna i gibka i wspaniale umięśniona. Jednak ja jestem większy, a zresztą nie walczyła tak zaciekle, jakby mogła. Mimo wszystko podrapała mnie trochę i nabiła mi parę siniaków, zanim unieruchomiłem jej nogi i wykręciłem rękę. Dałem jej parę solidnych klapsów, wystarczająco mocnych, żeby odcisnąć na różowo każdy palec, a potem straciłem do tego serce.

A teraz wyjaśnijcie mi, czy były to słowa płynące prosto z serca - czy też gra najsprytniejszej kobiety w dwudziestu wszechświa-

tach?

Później Star powiedziała:

- Cieszę się, że twoja pierś nie jest takim szorstkim dywanem, jak u niektórych mężczyzn, mój piękny.

- Byłem również prześlicznym niemowlęciem. A ile piersi sprawdziłaś?

- Przypadkowe próby. Kochanie, czy postanowiłeś mnie zatrzymać?

- Na jakiś czas. O ile będziesz grzeczna.

- Wolałabym raczej, żebyś zatrzymał mnie, jeśli będę niegrzeczna. Jednak - skoro jesteś w takim łagodnym nastroju... o ile w nim jesteś - lepiej wyznam ci jeszcze coś - i pokornie przyjmę klapsy, jeśli będzie trzeba.

- Jesteś zbyt zachłanna. Raz dziennie wystarczy, słyszysz?

- Jak sobie życzysz, panie. Tak jest, szefuniu. Rano każę przynieść mój miecz i możesz sprać mnie nim do woli. Jeśli uda ci się mnie złapać. Jednak muszę ci to powiedzieć i zrzucić ciężar z piersi.

- Nic nie masz na piersi. Chyba że mówisz o...

- Proszę! Chodzisz do naszych terapeutów.

- Raz w tygodniu.

Pierwszą rzeczą, jaką Star zleciła po powrocie, były badania lekarskie - tak dokładne, że te przy poborze do wojska wydawały się przy nich powierzchniowymi oględzinami.

- Główny Łapiduch twierdzi, iż moje rany jeszcze się nie zagoiły, ale ja mu nie wierzę; nigdy nie czułem się lepiej.

- Zwodzi cię, Oscarze - na moje polecenie. Już dawno wyzdrowiałaś, znam się na rzeczy i opatrzyłam cię najlepiej, jak umiałam. Jednak... Kochanie, zrobiłam to z egoistycznych pobudek i teraz musisz powiedzieć mi, jeśli uważasz, że ponownie postąpiłam wobec ciebie okrutnie i niesprawiedliwie. Przyznaję, że byłam podstępna. Ale miałam dobre zamiary. Jednakże wiem, gdyż jest to jedna z podstawowych zasad mojego zawodu, że dobre chęci są przyczyną większej ilości popełnionych głupstw niż wszystkie inne powody razem wzięte.

- Star, co ty znów pleciesz? To kobiety są źródłem wszystkich szaleństw.

- Tak, najdroższy. Ponieważ zawsze mają dobre intencje - i potrafię to udowodnić. Mężczyźni czasem kierują się racjonalnym egoizmem, co jest o wiele bezpieczniejsze. Jednak nie często.

- Dlatego, że połowa ich przodków to kobiety. Dlaczego muszę chodzić do lekarza, jeżeli te wizyty są niepotrzebne?

- Nie powiedziałam, że są niepotrzebne. Oczywiście, możesz sądzić, że jest inaczej. Oscarze, przeszedłeś już sporą część kuracji zapewniającej długowieczność.

- No, niech mnie licho!

- Masz coś przeciwko temu? W tym stadium można jeszcze ją przerwać.

- Nie przyszło mi to do głowy.

Wiedziałem, że na Center można było uzyskać długowieczność, ale wiedziałem też, iż kuracja była zastrzeżona tylko dla nielicznych. Każdy mógł ją uzyskać - tuż przed wyemigrowaniem na słabo zaludnioną planetę. Stali mieszkańcy musieli starzeć się i umierać.

Była to jedyna sprawa, w której poprzednicy Star wmieszali się w kompetencje lokalnego rządu. Center, z praktycznie wyeliminowanymi chorobami, dynamicznym rozwojem oraz zjeżdżającym na nią miliardem ludzi, stała się zbyt tłoczna, szczególnie gdy długowieczność wywindowała średnią życia na niebotyczną wysokość.

Ta niewzruszona zasada przerzedziła tłumy. Niektórzy wcześniej poddawali się kuracji zapewniającej długowieczność, przechodzili przez Bramy i szukali szczęścia gdzieś w dziczy. Większość czekała na pierwszy znak losu przypominający im, że są śmiertelni, i dopiero wtedy dochodziła do wniosku, że nie są jeszcze zbyt starzy na zmianę. A niektórzy nie przejmowali się tym i umierali, gdyż przyszedł ich czas.

Ja otrzymałem już ten znak; przekazano mi go tam, w dżungli, za pomocą maczety.

- Sądzę, że nie będę się sprzeciwiał.

Odetchnęła z ulgą.

- Nie wiedziałam, czy się zgodzisz, a nie mogłam wsypać ci tego do kawy. Zasłużyłam na lanie?

- Dodam to do twoich poprzednich grzeszków i rozliczę kiedyś wszystkie razem. Przez kilka dni nie będziesz mogła usiąść. Star,

ile konkretnie lat oznacza ta „długowieczność”?

- Trudno powiedzieć. Niewielu z tych, którzy zostali ją obdarzeni, umarło w swoich łóżkach. Jeżeli będziesz prowadził tak aktywne życie, jak się tego spodziewam, znając twój temperament, to masz niewielkie szanse na to, że umrzesz ze starości. Albo choroby.

- I nigdy się nie zestarzeję?

Do tej myśli trzeba przywyknąć.

- Och, tak, zestarzejesz się. Co gorsza, możesz ulec starczemu zdziecinnieniu. Jeżeli do tego dopuścisz. I jeśli pozwolą ci na to najbliżsi. Jednakże... Kochanie, na ile lat ja wyglądam? Nie mów mi tego, co podpowiada ci serce, lecz użyj swoich oczu. Według ziemskich norm. Bądź szczery, znam odpowiedź.

Spoglądanie na Star zawsze było ucztą dla oczu, ale teraz usiłowałem popatrzeć na nią inaczej, szukając śladów jesieni życia - w zewnętrznych kącikach oczu, w dłoniach, lekkich zmianach skóry - do licha, ani jednej zmarszczki, a przecież wiedziałem, że ma wnuka.

- Star, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, sądziłem, że masz osiemnaście lat. Odwróciłaś się i dodałem ci kilka. Teraz, przyglądając ci się dokładnie i krytycznie, nie dałbym ci więcej niż dwadzieścia pięć. I tylko dlatego, że twoje rysy twarzy są rysami dojrzałej kobiety. Gdy się śmiejesz, wyglądasz na nastolatkę; kiedy robisz przymilną minę, kiedy coś cię zaskoczy lub uraduje (na przykład piesek, kotek czy inna maskotka) - wyglądasz jak dwunastolatka. To znaczy od szyi w górę, bo patrząc niżej, nie można dać ci mniej jak osiemnaście.

- Piersiasta osiemnastolatka - dodała. - Dwadzieścia pięć ziemskich lat - według kryteriów dojrzałości stosowanych na Ziemi - właśnie tego chciałam. Wiek, w którym kobieta przestaje się rozwijać, a zaczyna się starzeć. Oscarze, poddając się kuracji zapewniającej długowieczność, sam wybierasz swój wygląd zewnętrzny. Spójrz na mojego wnuka Józefa - tego, który czasem nazywa siebie hrabią Cagliostro. Wybrał wygląd trzydziestopięcioletka, ponieważ twierdzi, że mężczyzna mający mniej lat to jeszcze chłopiec. Rufo woli wyglądać starzej. Mówi, że dzięki temu jest traktowany z większym szacunkiem i nie musi wdawać się w awantury

z młodszymi mężczyznami, a jednocześnie pozwala mu ich zaskakiwać, kiedy dochodzi do walki, ponieważ - jak wiesz - Rufo jest stary tylko od szyi w górę.

- Może również zaskakiwać młodsze kobiety - podsunąłem.

- Z Rufo nigdy nic nie wiadomo. Najdroższy, jeszcze nie skończyłam. Częścią kuracji jest nauczenie ciała umiejętności samoregeneracji. Te twoje lekcje języka... Nie było ani jednej, podczas której hipnoterapeuta nie oczekiwałby na moment, kiedy po nauce języka, przez twój, uśpiony umysł, będzie mógł nauczać również twoje ciało. Częściowo wygląd zewnętrzny uzyskuje się dzięki odpowiednim zabiegom kosmetycznym - na przykład Rufo wcale nie musiał być łysy - ale głównie kontroluje go umysł. Kiedy zdecydujesz się, na ile lat chcesz wyglądać, złącz kurację.

- Zastanowię się. Nie chciałbym wyglądać na dużo starszego od ciebie.

Star ucieszyła się.

- Dzięki, kochany! Teraz widzisz, jaka byłam samolubna.

- Dlaczego? Nie rozumiem.

Położyła swoją dłoń na mojej.

- Nie chciałam, żebyś się zestarzał - i umarł! - podczas gdy ja pozostałabym młoda.

Zamrugalem oczami.

- O rany, milady, i to ma być samolubne? Przecież mogłabyś mnie polakierować i trzymać w sypialni. Jak twoja cioteczka.

Wykrzywiła się do mnie.

- Jesteś okropny. Ona ich nie lakierowała.

- Star, nigdzie nie widziałem tu tych pamiątkowych nieboszczyków.

Wyglądała na zdumioną.

- Przecież to nie jest planeta, na której się urodziłam. Ten sam wszechświat, ale inny układ słoneczny. Moją ojczyzną jest niezwykle urocza planeta. Nie mówiłam ci?

- Star, kochanie, nie powiedziałaś mi większości rzeczy!

- Przepraszam, Oscarze, nie chciałam cię zaskakiwać. Pytaj mnie. Teraz. O co chcesz.

Zastanowiłem się chwilę. Dręczyła mnie jedna sprawa, a raczej jej brak. Może jednak kobiety

z jej ludu miały inny rytm. Trochę powstrzymał mnie fakt, że poślubiłem babcię - mającą nie wiedzieć ile lat.

- Star, czy jesteś w ciąży?

- Nie, kochany. Och, a chciałbyś? Chcesz, żebyśmy mieli dzieci?

Plącząc się w zeznaniach, próbowałem wyjaśnić jej, że nie jestem pewien, czy to możliwe - a raczej, czy ona może. Była zakłopotana.

- Chyba znów cię rozzłoszcę. Lepiej powiem już wszystko. Oscarze, wychowałam się w nie bardziej luksusowych warunkach niż ty. Miałam miłe dzieciństwo, moi rodzice byli farmerami. Wyszłam za mąż dość młodo i byłam zwyczajną nauczycielką matematyki, a moim hobby były badania w dziedzinie geometrii mniemanej i warunkowej. To znaczy, magia. Troje dzieci. Z mężem układało mi się dobrze... dopóki nie dostałam nominacji. Nie wybrano mnie, po prostu wezwano na egzaminy i ewentualne szkolenie. Kiedy się ze mną żenił, wiedział, że jestem kandydatką ze względu na moje geny - podobnie jak miliony innych osób. Wtedy nie wydawało się to istotne. Chciał, żebym odmówiła. Prawie tak zrobiłam. Jednak kiedy przyjąłem nominację... No cóż, „spakował moje walizki”. Zrobiliśmy to formalnie; zamieścił ogłoszenie, że nie jestem już jego żoną.

- Naprawdę tak zrobił? Masz coś przeciwko temu, żebym go odwiedził i połamał mu ręce i nogi?

- Mój drogi! To było wiele lat temu i daleko stąd; on już dawno nie żyje. To nie ma żadnego znaczenia.

- I tak byłby martwy. A wasza trójka dzieci - czy jedno z nich było matką lub ojcem Rufo?

- Ależ nie. Tamto było później.

- Ach, tak?

Star wzięła głęboki oddech.

- Oscarze, ja mam około pięćdziesięciorga dzieci.

Wzięło mnie. Przeżyłem zbyt wiele wstrząsów na raz i przypuszczam, że musiałem się z tym zdradzić, bo na twarzy Star odmalowało się poważne zaniepokojenie. Pospieszyła z wyjaśnieniami.

Kiedy uznano ją następczynią, zmieniono ją chirurgicznie, biologicznie i endokrynologicznie. Nic tak drastycznego jak steryliza-

cja, zresztą robiono to w innym celu i metodami o wiele doskonalszymi od naszych. W rezultacie blisko dwieście maleńkich części Star - żywych jajeczek - zamrożono w temperaturze bliskiej absolutnego zera.

Mniej więcej pięćdziesiąt z nich zostało zapłodnionych - przeważnie plemnikami martwych od dawna cesarzy - co było genetyczną ruletką, zmierzającą do uzyskania jednego lub dwu następców. Nigdy ich nie widziała - wyjątkiem był ojciec Rufo. Nie powiedziała tego, ale sędzę, że chciała po prostu mieć dziecko, z którym mogłaby się bawić i które mogłaby kochać - dopóki nie nadeszły pełne napięcia pierwsze lata jej rządów, a następnie wyprawa po Jajo, które nie pozostawiły jej nawet chwili czasu.

Zmiany, którym ją poddano, miały podwójny cel; uzyskanie kilku setek dzieci z cesarskiej linii, wywodzących się od jednej matki, a jednocześnie uwolnienie jej od obowiązków macierzyńskich. W wyniku selektywnej kontroli hormonalnej Star uwolniła się od rytmu Ewy, lecz pod innymi względami została wiecznie młoda - i nie dzięki pigułkom czy zastrzykom, lecz na stałe. Po prostu była zdrową kobietą, nie mającą nigdy swoich „złych dni”. Nie uczyniono tego dla jej wygody, ale po to, żeby jej gruczoły nie wpływały na werdykty, które będzie wydawać jako Najwyższy Sędzia.

- Całkiem rozsądnie - stwierdziła z powagą. - Pamiętam, że bywały dni, kiedy bez powodu wydrapałabym oczy najdroższej mi osobie, a potem wybuchnęłabym płaczem. Nie można wydawać sądów, mając taki zamęt w głowie.

- Hmm... A czy to wpłynęło na twoje zainteresowania? Mam na myśli chęć...

Uśmiechnęła się szeroko.

- A jak myślisz? - i już całkiem serio dodała: - Jedyna rzecz, jaka wpływa na moje libido - zmieniając je na niekorzyść, jeśli o tym mowa, to jest... to są... angielski ma dziwną składnię - to te przekłete wczytywania. Raz w górę, raz w dół - przypomnij sobie tę kobietę, której imienia nie chcę wymawiać, a która wpłynęła na mnie tak okropnie, że nie ośmieliłam się stanąć przed tobą, zanim nie wyegzorcyzowałam jej mrocznej duszy! Świeże wczytanie wpływa również na trafność moich sądów, tak więc nigdy ich nie wydaję, zanim nie przetrawią ostatniej implementacji. Będę szczę-

śliwa, kiedy to się skończy.

- Ja też!

- Na pewno nie tak jak ja. Ale mimo to jako kobieta nie zmieniam się aż tak bardzo, jak zresztą sam wiesz. Pozostaję tą samą chutliwą dziewczką, pożerającą chłopców na śniadanie i nakłaniającą ich do skakania przez miecze.

- Przez ile już przeskoczyłaś?

Spojrzała na mnie ostro.

- Od kiedy mój pierwszy mąż wykopał mnie za drzwi, nie poślubiłam nikogo, dopóki nie spotkałam ciebie, panie Gordon. A jeśli nie o to ci chodzi, nie sądzę, że powinieneś obwiniać mnie o rzeczy, które miały miejsce, zanim się urodziłeś. Jeżeli jednak chcesz poznać szczegóły, mogę zaspokoić twoją ciekawość. Niezdrową ciekawość, jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie.

- Teraz chcesz się chełpić. Nie pozwolę ci na to, dziewczko!

- Wcale nie zamierzam się chełpić. Nie mam do tego powodu! Niech to diabli, ten Kryzys Jaja nie pozostawił mi wiele czasu na to, żebym mogła poczuć się kobietą! Dopóki nie trafił mi się Oscar Kogut. Dzięki ci, panie.

- I pohamuj swój koszarowy język!

- Tak jest. Miły kogucik! Jednak bardzo zesłiśmy z tematu. Jeżeli pragniesz dzieci - tak, kochany! Pozostało około dwustu trzydziestu jajeczek, które należą do mnie. Nie do potomności. Nie do drogiego mi ludu, Boże błogosław ich chciwe duszyczki. I nie do tych udających bogów manipulatorów od genetyki. Do mnie! To wszystko, co posiadam. Reszta jest częścią urzędu, stanowiska. Ale one są moje... A jeśli chcesz, również twoje.

Powinienem był powiedzieć „tak” i pocałować ją. Zamiast tego mruknąłem.

- Hmm... Nie spieszymy się zbytnio.

Przygasła.

- Jak sobie życzysz, panie mężu.

- Słuchaj, nie przechodź na neviański i daj spokój tym uprzejmościom. Chcę tylko powiedzieć, że do wszystkiego trzeba przywyknąć. Chodzi mi o strzykawki i tym podobne rzeczy, a także oddawanie się w ręce techników. No i kiedy dotarło do mnie, że nie miałaś czasu, aby sama urodzić dziecko...

Usiłowałem jej powiedzieć, że od kiedy przestałem wierzyć w bociany, zawsze sądziłem, że wszystko powinno odbywać się normalnie, a sztuczne zapłodnienie uważam za świństwo nawet w przypadku krowy - i że to, z czym zetknąłem się teraz, nasuwa mi myśl o automatach z kanapkami oraz sprzedaży wysyłkowej. Dajcie mi jednak trochę czasu, a oswoję się z tym. Tak samo jak oni z tymi przeklętymi wczytywaniami...

Chwyciła mnie za rękę.

- Kochanie, wcale nie musisz!

- Czego nie muszę?

- Oddawać się w ręce techników. A ja znajdę czas, żeby mieć twoje dziecko. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, że zrobię się wielka i gruba - tak będzie, będzie, przecież pamiętam - to będę je nosić z radością. A jeśli chodzi o ciebie, to odbędzie się to tak samo, jak u innych ludzi. Żadnych strzykawek. Żadnych techników. Niczego, co uraziłoby twoją dumę. Och, nade mną będą musieli popracować. Jednak ja jestem przyzwyczajona do tego, że traktują mnie jak krowę medalistkę; to dla mnie jak umycie głowy szamponem.

- Star, czy zgodziłabyś się na dziewięć miesięcy niewygód - i być może naraziła się na śmierć w porożu - żeby oszczędzić mi kilku przykrych chwil?

- Nie umrę. Troje dzieci, pamiętasz? Naturalne porody, bez komplikacji.

- Jednak, jak sama mówiłaś, to było bardzo dawno temu.

- To nieistotne.

- Hm, a ile lat temu?

(Ile masz lat, moja kobieto? Pytanie, jakiego nigdy nie ośmieliłem się zadawać.) Zirytowała się.

- Czy to ma jakieś znaczenie, Oscarze?

- No, chyba nie. Lepiej znasz się na medycynie niż ja...

Powiedziała powoli:

- Pytałeś, ile mam lat, prawda?

Nie odpowiedziałem. Poczekała chwilę, a potem mówiła dalej:

- Na twojej planecie jest takie stare powiedzenie, że kobieta ma tyle lat, na ile się czuje. A ja czuję się młodo i jestem młoda, i umiem cieszyć się życiem, i mogę nosić dziecko - albo dzieci - w

moim własnym brzuchu. Jednak wiem - och, wiem! - że nie martwisz się tylko o to, iż jestem zbyt bogata, a moja pozycja społeczna nie jest dogodna dla męża. Tak, znam to aż za dobrze; mój pierwszy mąż porzucił mnie z tego powodu. A on był w moim wieku. Najbardziej okrutną i niesprawiedliwą rzeczą, jaką uczyniłam, było to, że milczałam, wiedząc, że mój wiek ma dla ciebie znaczenie. Dlatego Rufo tak się wściekł. Kiedy zasnąłeś w tej jaskini po przejściu przez Smoczy Las, wygarnął mi, nie przebierając w słowach. Powiedział, że zawsze wiedział, iż jestem zdolna uwodzić młodych chłopców, ale nigdy nie sądził, że upadnę tak nisko, aby naciągać jednego z nich na małżeństwo, nie mówiąc oblubieńcowi całej prawdy o sobie. Dodał także, iż nigdy nie miał zbyt dobrej opinii o swojej babce, ale tym razem...

- Zamknij się, Star!

- Tak, milordzie.

- To nie robi mi najmniejszej, cholernej różnicy! - powiedziałem tak stanowczo, że sam w to uwierzyłem - i nadal wierzę. - Rufo nie wie, co ja czuję. Jesteś młodsza od jutrzejszego ranka - i zawsze będziesz. Więcej nie chcę słyszeć ani słowa na ten temat.

- Tak, milordzie.

- I daruj sobie to tytułowanie. Powiedz po prostu: „Tak, Oscarze”.

- Tak, Oscarze! W porządku!

- Już lepiej. Chyba że masz ochotę na kolejne lanie. A jestem już trochę zmęczony.

Zmieniłem temat.

- Co do tej drugiej sprawy - nie ma powodu, żebyś musiała rozciągać ten swój śliczny brzuszeczek, jeśli są inne sposoby. Sęk w tym, że jestem chłopcem ze wsi i gubię się w wielkim mieście. Czy mówiąc, że zrobisz to samodzielnie, chciałaś powiedzieć, że składają cię z powrotem taką, jaką byłaś przedtem?

- Nie. Po prostu będę nie tylko matką genetyczną, ale również matką nosicielką.

Uśmiechnęła się i wiedziałem, że odzyskuje punkty.

- W ten sposób zaoszczędzimy sporą sumę pieniędzy, których nie chcesz wydawać. Te zdrowe, krzepkie kobiety, które rodzą dzieci innych ludzi, wysoko się cenią. Czwórka dzieci i mogą iść

na emeryturę - dziesięcioro czyni je bogatymi.

- Ja myślę, że się cenią! Star, nic nie mam przeciw wydawaniu pieniędzy. Jeśli ty tak twierdzisz, to zgadzam się z tym, że jako zawodowy bohater zarobiłem ich więcej, niż jestem w stanie wydać. To też ciężka praca.

- Zarobiłeś je.

- Ten... miejski sposób na to, aby mieć dzieci - czy można sobie wybrać? Chłopca lub dziewczynkę?

- Oczywiście. Plemniki zapewniające męską płć dziecka poruszają się szybciej i można je oddzielić. Właśnie dlatego Ich Mądrości są przeważnie mężczyznami - ja byłam niezaplanowaną kandydatką. Będziesz miał syna, Oscarze.

- Może wybiorę dziewczynkę. Mam słabość - do małych dziewczynek.

- Chłopca, dziewczynkę - albo i jedno, i drugie. Ile tylko zechcesz.

- Star, niech to przemyślę. Tyle aniołków - a ja nie jestem tak dobry w myśleniu jak ty.

- Eee!

- Jeśli nie myślisz sprawniej niż ja, to twoi klienci są nabijani w butelkę. Hmm, czy męskie nasienie można przechowywać równie łatwo jak żeńskie komórki rozrodcze?

- O wiele łatwiej.

- No to mamy odpowiedź. Aż tak nie boję się zastrzyków: dostałem ich dosyć w wojsku. Pójdę do kliniki czy gdziekolwiek trzeba, a potem zastanowimy się nad tym. A kiedy podejmiemy decyzję - wzruszyłem ramionami - wyślemy pocztówkę i trzask-prask! - będziemy rodzicami. Mniej więcej. Jeśli o mnie chodzi, mogą to załatwić technicy i te przaśne baby.

- Tak, kochanie!

Coraz lepiej. Na jej twarz już prawie powrócił uśmiech małej dziewczynki. Wyglądała teraz na szesnastolatkę, która właśnie dostała nową sukienkę i czuje rozkoszne dreszcze niepokoju na myśl o niebezpieczeństwach związanych z chłopcami.

- Star, mówiłaś wcześniej, że często istotny jest nie drugi, lecz nawet dwudziesty drugi powód.

- Tak.

- Wiem, co mnie gryzie. Mogę ci powiedzieć - i może Jej Mądrość znajdzie na to odpowiedź.

Zamrugła oczami.

- Jeśli możesz mi powiedzieć, najdroższy... jej Mądrość rozgryzie problem, nawet gdyby musiała rozebrać wszystko na kawałki i przebudować całą okolicę - aż do najbliższej galaktyki - albo wycofać się z interesu!

- To brzmi już tak, jakby mówiła moja Lucky Star. W porządku, nie o to chodzi, że jestem żigolakiem. Zarobiłem na moją kawę i ciastka, co najmniej; Pożeracz Dusz prawie zjadł moją - znał ją dogłębnie. On-ono, wiedział o sprawach, o których dawno zapomniałem. To nie było przyjemne i zapłata powinna być godziwa. Nie chodzi też o twój wiek, najdroższa. Kogo obchodzi wiek Heleny Trojańskiej? Zawsze będziesz w najlepszym wieku - czy mężczyźni może spotkać większe szczęście? Nie zazdroszczę ci twojego stanowiska - nie chciałbym go nawet na srebrnej tacy. Nie jestem też zazdrosny o mężczyzn z twojej przeszłości - szczęśliwi sztywniacy! Nie byłbym nawet zazdrosny o aktualnych - chyba że zacząłbym się o nich potykać, idąc do łazienki.

- Panie mężu, w moim życiu nie ma teraz innych mężczyzn.

- Nie mam powodów, aby ci nie wierzyć. Zawsze jednak jest następny tydzień, a nawet ty, ukochana, nie możesz tego ujrzeć w swoich wizjach. Nauczyłaś mnie, że małżeństwo nie jest formą śmierci - i tego, że z pewnością nie jesteś martwa, ty hoża dziewczyno.

- Może to nie wizja - przyznała. - Jednak mam takie przecucie.

- Nie założyłbym się. Czytałem raport Kinseya.

- Czyj raport?

- On obalił teorię Syreny. Dotyczącą mężatek. Zapomnij o tym. Pytanie hipotetyczne: Gdyby Jocko odwiedził Center, czy nadal miałabyś to samo przecucie? Powinniśmy zaprosić go, żeby tutaj spał.

- Doral nigdy nie opuści Nevii.

- Nie możesz go o to winić. Nevia jest piękna, powiedziałem „gdyby”. Gdyby to zrobił, czy ofiarowałabyś mu „dach, stół i łóżko”.

- Taka decyzja - rzekła stanowczo - należy do ciebie, milordzie.

- Wyrażę to więc inaczej. Czy spodziewałabyś się, że upokorzę

Jocko, nie odplacając mu się taką samą gościnnością? Rycerskiemu staremu Jocko, który darował nam życie, kiedy miał prawo nas zabić? Którego szczodrość - strzały i inne rzeczy, w tym zestaw medyczny - pozwoliła nam zostać przy życiu i odzyskać Jajo?

- Według neviańskich obyczajów o gościnie dachu, stołu i łoża - upierała się - decyduje mąż, milordzie.

- Nie jesteśmy na Nevii, a tutaj żony mają własny pomysłupek. Wykręcasz się, dziewczko.

Uśmiechnęła się krzywo.

- Czy twoje „gdyby” dotyczy Muri? Albo Letvy? To jego ulubienice, nie podróżowałyby bez nich. A co z tą - jak jej było? - z tą małą nimfetką.

- Poddaję się. Usiłowałem jedynie udowodnić ci, że skok przez miecz nie zmienia hożej dziewczki w zakonnicę.

- Zdaję sobie z tego sprawę, mój Bohaterze - powiedziała spokojnie. - Mogę jedynie powiedzieć, że ta ma zamiar postarać się, żeby hoża dziewczka nie dała swemu Bohaterowi żadnego powodu do zwątpienia - a zazwyczaj dotrzymuję swoich postanowień. Nie jestem „Jej Mądrością” bez powodu.

- Uczciwe postawienie sprawy. Nigdy nie myślałem, że możesz mi dać powód do tego rodzaju zwątpienia. Próbowałem jedynie wykazać, że próba niekoniecznie musi być trudna. Do diaska, odbiegliśmy od tematu! A oto i mój prawdziwy problem. Nie jestem nikomu potrzebny. Nie ma ze mnie żadnego pożytku.

- Ależ najdroższy! Jesteś potrzebny mnie.

- Ale czuję się bezużyteczny. Star, żigolak czy nie, nie potrafie być pokojowym pieskiem, nawet twoim. Słuchaj, ty masz pracę, jesteś zajęta i robisz ważne rzeczy. A ja? Ja nie mam nic do roboty, zupełnie nic - oprócz projektowania kiepskiej biżuterii. Wiesz, kim jestem? Zawodowym bohaterem. Sama mnie tak nazwałaś - i ty mnie zwerbowałaś. Teraz przeszedłem na emeryturę. Czy w dwudziestu wszechświatach znajdziesz coś równie bezużytecznego jak emerytowany bohater?

Wymieniła kilka rzeczy. Powiedziałem:

- Wykręcasz się. Zresztą one zapewniają pustkę w sercu mężczyzny. Star, mówię poważnie. Nic mogę się z tym pogodzić. Naj-

milsza, proszę, żebyś użyła całego swojego intelektu - i wszystkich swoich niesamowitych doradców. Potraktuj to tak, jak traktujesz sprawy Imperium. Zapomnij o tym, że jestem twoim mężem. Rozważ moją sytuację, wszystko, co o mnie wiesz - i powiedz mi, czy jest coś, co mógłbym tymi rękami, tą głową i z moim wolnym czasem zrobić. Ja - taki, jaki jestem.

Przez kilka długich minut siedziała nieruchomo, mając na twarzy ten wyraz zawodowego spokoju, jaki widziałem u niej, kiedy pracowała.

- Masz rację - rzekła w końcu. - Na tej planecie nie ma niczego, co byłoby warte twego trudu.

- A więc cóż mam robić?

- Musisz wyjechać - odparła bezbarwnie.

- Hmm?

- Mój mężu, czy myślisz, że ta odpowiedź przypadła mi do serca? Czy sądzisz, że cieszy mnie większość odpowiedzi, jakich muszę udzielać? Prosiłeś, żebym rozważyła to profesjonalnie. Posłuchałam. Oto odpowiedź. Musisz opuścić tę planetę - i mnie.

- A więc jednak moje walizki zostają wystawione za drzwi?

- Nie bądź rozgoryczony, milordzie. Oto odpowiedź. Mogę wykręcać się i być kobietą tylko w prywatnym życiu; nie potrafię wykręcać się i nie myśleć logicznie, jeśli zgodziłam się rozważyć sprawę jako „Jej Mądrość”. Musisz mnie opuścić. Jednak nie, nie, nie; nie pakuję twoich walizek! To ty mnie opuścisz, ponieważ musisz. Nie dlatego, że ja tego chcę.

Jej twarz nadal była spokojna, ale znów łzy popłynęły jej z oczu.

- Nie można ujeździć kota ani poganiać ślimaka, ani nauczyć węża latać. Nie można też zrobić pudła z Bohatera. Wiedziałam o tym, ale nie chciałam pogodzić się z tą myślą. Zrobisz to, co musisz zrobić. Jednak twoje walizki zawsze pozostaną w mojej sypialni, bo ja cię nie wyganiam!

Zamrugła oczami, powstrzymując łzy.

- Nie potrafię ci skłamać, nawet milczeniem. Nie powiem, że nie będzie tu innych walizek... jeśli odejdiesz na długo. Bywałam już samotna. Nie można opisać słowami, jak samotna jest moja praca. Kiedy odejdiesz... będę bardziej samotna niż kiedykolwiek.

Jednak zawsze zastaniesz tu swoje walizki, kiedy wrócisz.

- Kiedy wrócę? Masz taką wizję?

- Nie, panie Bohaterze, mam tylko przeczucie... że jeśli będziesz żył, to wrócisz. Może będziesz wracał wiele razy. Lecz Bohaterowie nie umierają w łóżku. Nawet tacy jak ty.

Zamrugła i łzy przestały jej płynąć, a głos już nie drżał.

- A teraz, panie mężu, jeśli taka twa wola, czy zgasimy światła i udamy się na spoczynek?

Tak zrobiliśmy, a ona położyła mi głowę na ramieniu i już nie płakała. Jednak nie zasnęliśmy.

Po boleśnie długiej chwili powiedziałem:

- Star, czy słyszysz to, co ja?

Uniosła głowę.

- Nic nie słyszę.

- Miasto. Nie słyszysz go? Ludzie. Maszyny, nawet myśl, niektóre tak wyraźne, że możesz je wyczuwać w kościach i niemal wychwycić uchem.

- Tak. Znam ten dźwięk.

- Star, czy ty lubisz tu być?

- Nie. Nigdy nie musiałam tego lubić.

- Słuchaj, do licha! Powiedziałaś, że powinienem wyjechać. Jedź ze mną!

- Och, Oscarze!

- Cóż jeszcze jesteś im winna? Czy odzyskanie Jaja nie wystarczy? Niech wybiorą sobie inną ofiarę. Ruszaj ze mną ponownie na Szlak Chwały! Gdzieś musi znaleźć się odpowiednia dla mnie robota.

- Zawsze jest jakaś praca dla Bohaterów.

- W porządku, więc założmy spółkę - ty i ja. Bohaterstwo to niezłe zajęcie. Posiłki są nieregularne, a zyski niepewne - ale praca nigdy nie jest nudna. Damy ogłoszenie: Gordon & Gordon, Bohaterskie czyny. Po umiarkowanych cenach. Podejmujemy się wszelkich zadań.

Umowy na tępienie smoków, płatne z dołu po wykonaniu zlecenia. Inne prace do uzgodnienia. Wyprawy, ocalanie dziewic, poszukiwanie złotego runa - czynne o każdej porze.

Usiłowałem ją rozweselić, ale Star pozostała smutna. Odpowie-

działa poważnie:

- Oscarze, jeśli mam się wycofać, powinnam najpierw wyszko-
lić mojego następcę. To prawda, że nikt nie może mi niczego na-
kazać - lecz mam obowiązek przygotować mojego zastępcę.

- Jak to długo potrwa?

- Nie długo. Około trzydziestu lat.

- Trzydzieści lat.

- Może uda mi się okroić to do dwudziestu pięciu.

Westchnąłem.

- Star, czy wiesz, ile mam lat?

- Tak. Nie ukończyłeś jeszcze dwudziestu pięciu. Ale już się nie
zestarzejesz!

- Jednak teraz mam właśnie tyle. Taki okres czasu to dla mnie
wieczność. Po dwudziestu pięciu latach w roli pieska pokojowego
nie będę bohaterem, będę nikim. Stracę nawet te resztki zdrowych
zmysłów, jakie posiadam.

Zastanawiała się nad tym.

- Tak. To prawda.

Odwróciła się. Wtuliliśmy się w siebie i udawaliśmy, że śpimy.
Później poczułem, że ramiona jej drżą i wiedziałem, że płacze.

- Star?

Nie odwróciła głowy. Słyszałem tylko jej zduszone łkanie.

- Och, mój kochany, najukochańszy! Gdybym była choć o sto
lat młodsza!

ROZDZIAŁ XX

Pozwoliłem, by te piękne, bezużyteczne kamienie przesypywały
mi się przez palce i obojętnie odsunąłem je na bok. Gdybym ja był
choć o sto lat starszy...

Jednak Star miała rację. Nie mogła zrezygnować ze swego sta-
nowiska, nie zostawiając następcy. Sama musiała o to zadbać, nie
mogłem jej w tym pomóc ani ja, ani ktokolwiek inny. A ja nie mo-
głem dłużej pozostać w tej pozłacanej klatce, bo niebawem zaczął-
bym tłuc łbem o kraty.

A przecież oboje chcieliśmy być razem.

Ale najgorsze było to, że wiedziałem - tak samo jak ona - że zapomnimy. A przynajmniej trochę. Na tyle, by pojawiły się inne walizki, inni mężczyźni i znów uśmiech powróci na jej twarz.

Na moją też... i ona o tym wiedziała, i poważnie, delikatnie, dbając o to, by mnie nie zranić, powiedziała mi między wierszami, że nie powinienem czuć się winny, kiedy znów związę się z jakąś dziewczyną, gdzie indziej, w jakimś innym kraju.

Dlaczego więc czułem się taki przegrany?

Jak wpakowałem się w ten ślepy zaułek, zmuszony wybierać między zranieniem ukochanej, a stopniowym popadnięciem w szaleństwo?

Czytałem gdzieś o człowieku, który żył na wysokiej górze z powodu astmy, podczas gdy jego żona mieszkała niżej, na brzegu morza, bo miała kłopoty z sercem i nie znosiła wysokości. Od czasu do czasu spoglądali na siebie przez teleskop.

Rano nie rozmawialiśmy już ze Star o jej rezygnacji. Doszliśmy do milczącego porozumienia, że jeśli ona chciałaby wycofać się z zawodu, ja kręciłbym się w pobliżu (trzydzieści lat!), czekając, aż to zrobi. Jej Mądrość uznała, że nie stać mnie na to, i więcej nie wracała do tego tematu.

Zjedliśmy wspólnie śniadanie i udawaliśmy wesołość, kryjąc przed sobą swoje prywatne myśli.

O dzieciach też nie było już mowy. Och, oczywiście znajdę tę klinikę i zrobię to, co trzeba. Jeśli ona zechce zbrukać swoją królewską krew moją pospolitą krwią, będzie to mogła zrobić jutro, albo za sto lat. Albo uśmiechnąć się czule i wyrzucić to na śmietnik. Nikt z mojej rodziny nie był nawet burmistrzem Podunk, a konia pociągowego nie trenuje się do Irlandzkiej Gonitwy. Jeśli Star wyprodukuje dziecko z naszych genów, będzie to sentymentalna, żywa pamiątka - mały pudełek, którego będzie rozpieszczać, zanim wypuści, żeby biegał sobie sam. Jednak tylko sentyment, równie dziwaczny, chociaż mniej niezdrowy niż wyczyny jej ciotuni z nieboszczykami mężami, bo Cesarstwo nie potrzebuje moich bękartów.

Spojrzałem na mój miecz, wiszący naprzeciw. Nie dotknąłem go od czasu tamtego przyjęcia, dawno temu, kiedy Star zechciała

ubrać się jak na Szlak Chwały. Zdjąłem go, przypasałem i wyjąłem z pochwy - czując nagły przypływ sił i widząc przed sobą tę długą drogę i zamek na wzgórzu.

Cóż winien jest rycerz swej damie, gdy wyprawa dobiegła końca?

Spójrz prawdzie w oczy, Gordon! Cóż winien jest mąż swojej żonie? Ten oto miecz... „Skacz, draniu, a księżniczka niech skoczy za draniem; moją małżonką jesteś i moją zostaniesz”. Na dobre i złe... będę cię kochał i nie opuszczę cię aż do śmierci. To miałem na myśli, wypowiadając tę formułkę, i Star wiedziała o tym tak samo jak ja, wtedy i teraz.

Kiedy składaliśmy tę przysięgę, wydawało się całkiem możliwe, iż śmierć dopadnie nas tego samego dnia. Jednak to nie osłabiło siły tego ślubowania ani głębi tego, co pod nim rozumiałem. Nie przeskakiwałem przez miecz dla pospiesznej obłapki na trawie przed śmiercią; mogłem ją mieć bez tego. Nie, ja chciałem „kochać ją i szanować, póki śmierć nas nie rozłączy”!

Star dotrzymała swego ślubowania. Więc czemu świerzbiły mi stopy?

Skrobnij bohatera, a spod pozłotki wyjrzy łągę.

A emerytowany bohater to facet równie śmieszny jak jeden z tych obalonych królów, od których roi się w Europie.

Z mieczem u boku wypadłem z naszego „mieszkania”, nie przejmując się zdumionymi spojrzeniami, zgłosiłem się do terapeutów, dowiedziałem się, dokąd mam pójść, poszedłem tam, zrobiłem, co należało, powiedziałem głównemu biotechnikowi, że musi zawiadomić o tym Jej Mądrość i skoczyłem mu do gardła, kiedy zaczął zadawać pytania.

Potem poszedłem do najbliższej budki transmisyjnej i tam zawahałem się. Potrzebowałem towarzystwa, tak jak anonimowy alkoholik potrzebuje czasem, żeby go powstrzymano. Jednak nie miałem nikogo bliskiego, tylko setki znajomych. Księciu małżonkowi niełatwo jest mieć przyjaciół.

To musiał być Rufo. Ale w ciągu wszystkich tych miesięcy spędzonych na Center, ani razu nie byłem u niego w domu. Na tej planecie nie znają barbarzyńskiego zwyczaju „wpadania” w gości, więc spotykałem go tylko w Rezydencji lub na przyjęciach; nigdy

nie zaprosił mnie do siebie. Nie, nie było żadnego ochłodzenia stosunków; często się widywaliśmy, ale zawsze on przychodził do nas.

Szukałem go w spisie połączeń - bez powodzenia. Daremne okazały się również poszukiwania w książce wizjofonicznej. Zadzwoiłem do Rezydencji i złapałem oficera łącznościowego. Powiedział, że „Rufo” to nie nazwisko i próbował mnie splawić. Naskoczyłem na niego.

- Poczekaj, ty przepłacany urzędasie! Rozłącz się, a za godzinę będziesz pilnował sygnałów dymnych w Timbuktu. Teraz słuchaj. Facet jest starszawy, łysiejący i chyba jedno z jego imion brzmi „Rufo”, a ponadto jest wybitnym kulturoznawcą porównawczym. A także wnukiem Jej Mądrości. Myślę, że wiesz, o kogo mi chodzi, i ociągasz się z nadmiaru biurokratycznej arogancji. Masz pięć minut. Potem porozmawiam z Jej Mądrością i zapytam o to ją, podczas gdy ty będziesz się pakował!

(Daj spokój! Uważaj! Trafi się inny stary, łysy Rufo (?), znany kulturoznawcą. Z jajeczka i spermy Ich Mądrości. Pięć minut. Wyjdiesz na kłamcę i głupca jednocześnie lub na jednego i drugiego osobno. Mądrość? Katastrofa!)

Nim upłynęło pięć minut, na ekranie pojawiło się oblicze Rufo.

- No, niech mnie! - rzekł. - Zastanawiałem się, kto zdołał przeдрzeć się przez moje barykady.

- Rufo, czy mogę do ciebie przyjść?

Zmarszczył czoło.

- Myszy w spiżarni, synu? Twoja twarz przypomina mi, jak pewnego razu mój wuj...

- Proszę, Rufo!

- Tak, synu - rzekł łagodnie. - Odeślę tancerki do domu. Czy może mam je zatrzymać?

- Rób, jak uważasz. Jak cię znaleźć?

Powiedział mi. Wystukałem jego kod, dodałem numer mojego konta i już tam byłem, tysiąc mil za horyzontem. Rufo mieszkał w dworku równie okazałym co Jocko i o tysiąc lat bardziej wymyślnym. Odniosłem wrażenie, że Rufo ma największą na Center ilość służby domowej, wyłącznie kobiecej. Myliłem się. Jednak wszystkie służące, przyjaciółki, kuzynki i ich córki zbiegły się jako komi-

tet powitalny - chcąc obejrzeć sobie towarzysza łoża Jej Mądrości. Rufo rozgonił je i zaprosił mnie do swojego gabinetu. Jakaś tancerka (widocznie pełniąca rolę sekretarki) krzątała się przy taśmach i papierach. Rufo wygonił ją klapssem w tyłek, wskazał mi wygodny fotel, drinka, położył obok mnie paczkę papierosów, usiadł i nic nie mówił.

Palenie nie jest popularne na Center - powodem jest to, czego używają zamiast tytoniu. Wziąłem papierosa.

- Chesterfieldy! Dobry Boże!

- Kazałem je tu przemyścić - rzekł. - Teraz nie robią już takich dobrych jak Sweet Caps. Pakują w nie zmiotki pokładowe i siekane siano.

Od miesięcy nie paliłem. Jednak Star powiedziała mi, że mogę już zapomnieć o raku i tym podobnych rzeczach. Tak więc zapaliłem - i rozkaszałem się jak neviański smok. Nałogi wymagają nieustannej praktyki.

- Co nowego? - spytał Rufo.

Zerknął na mój miecz.

- Och, nic specjalnego.

Przerwawszy Rufo pracę, krępowalem się opowiadać mu teraz o moich kłopotach domowych.

Rufo siedział, palił i czekał. Musiałem coś powiedzieć i te amerykańskie papierosy przypomniały mi pewne zdarzenie, jedno z tych, które pogłębiły moją frustrację. Przed tygodniem, na przyjęciu, spotkałem człowieka wyglądającego na jakieś trzydzieści pięć lat, gładkiego, uprzejmego, ale z tym wyniosłym wyrazem twarzy, który mówi: „Stary, masz rozpięty rozporek, lecz ja jestem zbyt dobrze wychowany, żeby o tym wspomnieć”.

Jednak ucieszyłem się, spotykając go, ponieważ mówił po angielsku!

Myślałem, że Star, Rufo i ja jesteśmy jedynymi mówiącymi po angielsku ludźmi na Center. Często rozmawialiśmy w tym języku - Star ze względu na mnie, Rufo - żeby nie wyjść z wprawy. Mówił cockneyem jak uliczny sprzedawca, bostońskim jak mieszkaniec Beacon Hill, a po australijsku jak kangur - Rufo znał wszystkie odmiany angielszczyzny. Ten facet mówił dobrym ogólnoamerykańskim.

- Nebbi - przedstawił się i wyciągnął rękę (w kraju, gdzie nikt nie podaje rąk na powitanie). - A ty jesteś Gordon - wiem. Miło mi cię poznać.

- Mnie pana również - przyznałem. - To prawdziwa niespodzianka i przyjemność znów usłyszeć moją mowę.

- Zawodowa konieczność, mój drogi. Jestem kulturoznawcą porównawczym ze specjalnością lingwistyczno-historyczno-polityczną. Pan jest Amerykaninem, jak widzę. Niech sam zgadnę - głębokie Południe, ale nie urodzony tam. Może w Nowej Anglii. W pańskiej mowie pobrzmiewa akcent Środkowego Zachodu, może kalifornijski. Zasób słów typowy dla dolnej warstwy klasy średniej.

Ten ulizany głupek był niezły. W latach 1942-45, kiedy nie było ojca, mama i ja mieszkaliśmy w Bostonie. Nigdy nie zapomnę tych zim; od listopada do kwietnia nosiłem kalosze. Mieszkałem też na głębokim Południu, w Georgii i na Florydzie, a podczas wojny koreańskiej oraz później, kiedy chodziłem do college'u, również w La Jolla w Kalifornii. „Dolna warstwa KLASY średniej”? Mama wcale tak nie uważała.

- Prawie pan trafił - przyznałem. - Znam jednego z pańskich kolegów.

- Wiem, o kim pan mówi - o „Szalonym Naukowcu”. Cudownie zwariowane teorie. Jednak niech mi pan powie: jak stały sprawy, kiedy pan wyjeżdżał? Szczególnie interesuje mnie jak w Stanach Zjednoczonych przebiega ten Szlachetny Eksperyment?

- Szlachetny Eksperyment? - Musiałem chwilę pomyśleć. Prohibicja skończyła się, zanim przyszedłem na świat. - Och, wycofano się z tego.

- Naprawdę? Muszę tam wrócić i popracować w terenie. I co tam teraz macie? Monarchię? Przewidywałem, że pański kraj zmierza w tym kierunku, ale nie spodziewałem się, że nastąpi to tak szybko.

- Och, nie - powiedziałem. - Miałem na myśli prohibicję.

- A to sympatyczne, ale nie najważniejsze. Mówiłem o tym zabawnym systemie rządów gadułów. O „demokracji”. Przedziwne złudzenie - jakby dodawanie zer mogło dać jakąś sumę. A jednak w pańskim kraju spróbowano tego eksperymentu na gigantyczną

skale. Przed pańskimi narodzinami, niewątpliwie. Myślałem, że chce mi pan oznajmić, że pozbyliście się już nawet trupa tego systemu. Uśmiechnął się. - A więc nadal są tam wybory i to wszystko?

- Kiedy byłem tam ostatnio - to tak.

- Och, to cudowne. Fantastyczne, po prostu fantastyczne. No cóż, musimy się jeszcze spotkać, chciałbym pana przepyttać. Przez długi czas studiowałem pańską planetę - najbardziej zdumiewające patologie w całym zbadanym zespole wszechświatów. Na razie. Nie daj się nabrać na drewniane miedziaki - jak powiadają pańscy współplemieńcy.

Opowiedziałem o tym Rufo.

- Rufo, wiem, że pochodzę z barbarzyńskiej planety. Ale czy to usprawiedliwia jego chamstwo? I czy to było chamstwo? Właściwie nie mam pojęcia, co uważa się tu za dobre maniery.

Rufo zmarszczył brwi.

- Wyśmiewanie czyjegoś miejsca urodzenia, plemienia czy zwyczajów wszędzie uważa się za przejaw braku wychowania. Ten, kto tak robi, czyni to na własne ryzyko. Jeżeli go zabijesz, nic ci nie zrobią. Może przysporzy trochę kłopotów Jej Mądrości. Jeżeli jej cokolwiek może przysporzyć kłopotów.

- Nie zabiję go, to nie jest aż tak ważne.

- A zatem zapomnij o tym. Nebbi to snob. Niewiele wie, niczego nie rozumie i uważa, iż wszechświaty byłyby lepsze, gdyby on je zaprojektował. Ignoruj go.

- Tak zrobię. Po prostu... Słuchaj, Rufo, moja ojczyzna nie jest idealnym krajem. Jednak nie lubię, kiedy mówią mi to obcy.

- A kto lubi? Mnie podoba się wasz kraj - ma swój styl. Nie jestem obcy i nie wyśmiewam was. Nebbi miał rację.

- Hę?

- Tyle że on widzi wszystko tylko powierzchownie. Demokracja nie może się sprawdzić. Wszędzie są matematycy, wieśniacy i zwierzęta - tak więc demokracja, teoria oparta na założeniu, że matematycy i wieśniacy są równi, nigdy się nie sprawdza. Mądrości nie można sumować - jak maksimum mierzy się mądrością najbystrzejszego członka danej grupy. Natomiast demokratyczna forma rządów jest całkiem niezła, dopóki nie wprowadzi się jej w

życie. Każda organizacja społeczna dość dobrze sobie radzi, jeśli nie jest skostniała. Kształt nie jest istotny, dopóki jest na tyle luźny, że pozwala temu jednemu spośród wielu wykazać się geniuszem. Większość tych tak zwanych socjologów zdaje się uważać, iż organizacja jest wszystkim. Jest prawie niczym - chyba że zmieni się w kaftan bezpieczeństwa. Liczą się bohaterowie, a nie wzór, w jaki układają się zera.

I dodał:

- Twój kraj ma system na tyle luźny, aby pozwalał bohaterom robić swoje. Powinien przetrwać jeszcze długo - chyba że ten luz zostanie ograniczony wewnątrz.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Na pewno się nie mylę. Znam ten temat i nie jestem taki głupi, jak myślisz. Nebbi ma rację, kiedy mówi o jałowości dodawania zer - lecz nie zdaje sobie sprawy z tego, że sam jest zerem.

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Nie ma sensu irytować się na zero.

- Żadnego. Szczególnie, że ty nim nie jesteś. Obojętnie dokąd się udasz, wybijesz się, nie będziesz jednym ze stada. Szanuję cię, a o niewielu ludziach mogę to powiedzieć. Nigdy nie cenilem całej ludzkości i nie byłby ze mnie dobry demokrat. Żądanie „szacunku” czy „miłości” dla mas mających na jednym końcu strony głupie gęby, a na drugim śmierzące nogi wymaga głupiego, bezkrytycznego, cukierkowatego, ślepego i sentymentalnego roztkliwiania się, charakterystycznego dla niektórych przedszkolank, większości cocker-spanieli oraz wszystkich misjonarzy. To nie jest system polityczny, lecz choroba. Jednak bądź dobrej myśli; wasi amerykańscy politycy są na nią uodpornieni... a wasze zwyczaje zostawiają trochę przestrzeni życiowej.

Rufo ponownie zerknął na mój miecz.

- Stary przyjacielu, nie przyszedłeś tu skarżyć się na Nebbiego.

- Nie - odparłem, spoglądając na ostrze. - Wziąłem go, żeby cię ogolić, Rufo.

- He?

- Obiecałem, że ogolę twoje zwłoki. Jestem ci to winien za to, jak mnie zręcznie obsłużyłeś. Tak więc jestem tu, żeby ogolić goli-

brodę.

- Ja jeszcze nie jestem trupem - powiedział powoli. Nie ruszył się. Tylko jego oczy mierzyły dzieląca nas przestrzeń. Żył zbyt długo, aby liczyć na to, iż zachowamy się po rycersku.

- Och, to da się załatwić - powiedziałem wesoło. - Jeżeli nie uzyskam od ciebie szczerych odpowiedzi.

Odrobinę odprężył się.

- Spróbuję, Oscarze.

- Zrób coś więcej, proszę. Jesteś moja ostatnia szansa. Rufo - rzecz musi pozostać między nami. Nawet Star nie może o tym wiedzieć.

- Sub rosa! Daję słowo.

- A pewnie krzyżujesz pod stołem palce. Ale nie ryzykuj, mówię poważnie. Szczere odpowiedzi, potrzebuję ich. Chcę rady w sprawie mojego małżeństwa.

Sposepniał.

- A miałem dzisiaj gdzieś wyskoczyć. Zamiast tego zabrałem się do roboty, Oscar. Wolałbym skrytykować przy kobiecie jej pierworodnego, a nawet jej gust w doborze kapeluszy: Bezpieczniej byłoby uczyć rekina, jak gryźć. Co zrobisz, jeśli odmówię?

- Ogołę cię!

- Wiem, że zrobiłbyś to, oprawco o ciężkiej ręce!

Zmarszczył brwi.

- Szczere odpowiedzi... Przecież nie potrzebujesz ich; potrzeba ci ramienia, żeby się na nim wyplakać.

- Może tego też. Jednak chcę szczerych odpowiedzi, a nie kłamstw, jakie opowiadasz nawet przez sen.

- Zatem leżę i tak, i tak. Mówienie komuś prawdy o jego małżeństwie to czyste samobójstwo. Myślę, że będę siedział spokojnie i zobaczę, czy będziesz miał serce zamordować mnie z zimną krwią.

- Och, Rufo, jeśli chcesz, oddam ci ten miecz, żebyś go schował i zamknął. Wiesz, że nie podniosłbym go na ciebie.

- Niczego takiego nie wiem - odparł zaczepnie. - Kiedyś musi być ten pierwszy raz. Zachowanie łajdaka łatwo przewidzieć, ale ty jesteś człowiekiem honoru i to mnie niepokoi. Czy nie możemy tego mówić przez wizjofon?

- Daj spokój. Nie mam do kogo z tym pójść. Chcę, żebyś mówił szczerze. Wiem, że doradca małżeński musi walić prosto z mostu i nie przebierać w słowach. Przez wzgląd na przelaną wspólnie krew proszę cię, żebyś mi poradził. Szczerze, oczywiście!

- Oczywiście? Ostatni raz, kiedy to zaryzykowałem, chciałeś mi uciąć język.

Łypnął na mnie ponuro.

- Jednak zawsze byłem durniem, gdy przemawiano do mnie w imię przyjaźni. Słuchaj, zaproponuję ci uczciwą grę. Ty mów, a ja posłucham... a jeśli okaże się, że gadasz za długo i moje stare nerki nie wytrzymają i zmuszą mnie, abym na chwilę opuścił twoje przemile towarzystwo... no cóż, wtedy źle mnie zrozumiesz i odejdziesz wściekły, i więcej nie będziemy już o tym mówili. Co?

- Dobrze.

- Wysoki Sąd zna świadka. Proszę dalej.

Zacząłem mówić. Opowiedziałem o swoich dylematach i frustracji, nie oszczędzając ani siebie, ani Star - robiłem to także dla niej, chociaż nie musiałem mówić mu o naszych najintymniejszych sprawach - przynajmniej te układały się dobrze. Jednak powiedziałem mu o naszych sprzeczkach i wielu sprawach, które najlepiej zachować w rodzinie. Musiałem.

Rufo słuchał. W końcu wstał i zaczął krażyć po pokoju; wyglądał na zakłopotanego. Raz syknął z dezaprobatą, gdy doszedłem do mężczyzn, których Star przyprowadziła wtedy do domu.

- Nie powinna wzywać pokojówek. Jednak zapomnij o tym, chłopie. Ona nigdy nie pamięta o tym, że mężczyźni mają poczucie wstydu, gdy kobiety mają tylko pewne przyzwyczajenia. Pozwól jej na to.

Później rzekł:

- Nie musisz być zazdrosny o Jocko, synu. On tylko robi dużo krzyku.

- Nie jestem zazdrosny.

- Rzekł Menelaos. Musisz pójść na pewien kompromis. Każde małżeństwo tego potrzebuje.

Wreszcie skończyłem, doszedłszy do przepowiedni Star, że ja ją opuszczę.

- O nic ją nie obwiniam, a ta rozmowa pomogła mi połapać się,

w czym rzecz. Teraz mogę to już z siebie wyrzucić, wziąć się w garść i być dobrym mężem. Ona okropnie poświęca się dla swej pracy - i przynajmniej w tym mogę jej ulżyć. Jest taka słodka, dobra i miła.

Rufo zatrzymał się w pewnej odległości ode mnie, stojąc plecami do biurka.

- Tak uważasz?
- Wiem, że tak jest.
- To stara torba!

W mgnieniu oka zerwałem się z fotela i skoczyłem na Rufo. Nie chwyciłem za miecz. Nie pomyślałem o tym, a zresztą i tak nie potrzebowałem broni. Chciałem go dostać w swoje ręce i ukarać za to, że tak mówił o mojej ukochanej.

Rufo przeleciał nad biurkiem jak piłka i zanim pokonałem dzielącą nas odległość, stał już z drugiej strony, trzymając jedną rękę w szufladzie.

- Oj, nieładnie, nieładnie - rzekł. - Oscar, ja nie chcę cię ogolić.
- Wyj dź i walcz jak mężczyzna!
- Nigdy, stary druhu. Podejdz jeszcze krok, a staniesz się karmą dla psów. Wszystkie te piękne obietnice i błagania... „Wal prosto z mostu” - powiedziałeś. „Mów szczerze” - powiedziałeś. Siadaj na tym fotelu!

- „Mów szczerze” nie oznacza, że masz obrażać!
- I kto ma tu być sędzią? Czy mam zgłaszać moje uwagi do za-twierdzenia, zanim je wygłoszę? Nie dodawaj dziecinnego braku logiki do złamanej obietnicy. Czy chcesz zmusić mnie do kupienia nowego dywanu? Nigdy nie zatrzymuję takiego, na którym zabiłem przyjaciela; plamy psują mi humor. Siadaj na tym fotelu.

Usiadłem.

- A teraz - rzekł Rufo, zostając na swoim miejscu - ty posłuchasz, a ja będę mówił. Albo wstaniesz i pójdziesz sobie. W drugim wypadku może będę tak uradowany tym, że po raz ostatni widzę twoją paskudną gębę, że pozwolę ci wyjść. A może tak się zdenerwuję, iż mi przerwano, że położę cię trupem w progę, bo już dość długo trzymam nerwy na wodzy i mogę nie wytrzymać. Rób, jak chcesz.

- Powiedziałem - ciągnął - że moja babka to stara torba. Wyra-

ziłem się brutalnie, żeby rozładować twoje napięcie - tak że teraz nie będziesz się zanadto oburzał na różne obraźliwe uwagi, jakie muszę wygłosić. Wiesz, że ona jest stara, chociaż niewątpliwie łatwo o tym zapominasz. Ja sam przeważnie o tym nie pamiętam, chociaż Ona była stara już wtedy, kiedy jako brzdąc robiłem na podłogę i piszczałem z radości na Jej widok. To stara torba i dobrze o tym wiesz. Mogłem powiedzieć „doświadczona kobieta”, ale musiałem tobą wstrząsnąć; nie chciałeś przyjąć tego do wiadomości nawet wtedy, gdy opowiadałeś mi, jak dobrze zdajesz sobie z tego sprawę - i że nic cię to nie obchodzi. Babcia to stara torba, od tego zacznijmy. A czemuż miałyby być czymś innym? Sam sobie odpowiedz. Nie jesteś głupi, tylko bardzo młody. Ona ma tylko dwie przyjemności w życiu, a z drugiej nie odważy się korzystać.

- Co to za przyjemność?

- Wydawanie błędnych decyzji dla zaspokojenia sadystycznego kaprysu - na to nie może sobie pozwolić. Bądźmy więc wdzięczni za to, że używa swego ciała jako swoistego zaworu bezpieczeństwa, inaczej wszyscy okropnie ucierpielibyśmy, zanim komuś udałoby się ją zabić. Chłopcze, drogi chłopcze, czy wyobrażasz sobie, jak śmiertelnie musi ją nużyć większość rzeczy? Twoja umiejętność korzystania z życia skwaśniała po kilku miesiącach. Pomyśl, czym musi być dla niej słuchanie tych samych idiotyzmów rok po roku - obowiązek, od którego może ją uwolnić jedynie zręczny morderca. I bądź wdzięczny za to, że nadal znajduje radość w tej jednej, niewinnej przyjemności. Tak więc Ona jest starą torbą i mówię to z szacunkiem; oddaję cześć wspaniałej równowadze między dwiema istotami, którymi Ona musi być, żeby wykonywać swoje obowiązki. I nie przestała być tym, czym jest, po wyrecytowaniu głupiego wierszyka pewnego słonecznego dnia, na szczycie pagórka. Uważasz, że od tej pory dała sobie spokój, zadowolając się wyłącznie tobą. Może i tak, jeśli dokładnie powtórzyłeś jej słowa, a ja dobrze zrozumiałem; Ona zawsze mówi prawdę. Jednak nigdy nie jest to cała prawda - któż by tak potrafił? - bo nie spotkałeś jeszcze nikogo, kto umiałby zręczniejsz kłamać, mówiąc prawdę. Podejrzewam, że pamięć cię zawiodła i zapomniałeś o jakimś niewinnie brzmiącym słówku, które pozostawia jej drogę ucieczki, choć chroni twoją dumę i uczucia. A jeśli tak, to dlacze-

go miałyby robić coś więcej niż chronić twoje uczucia? Bardzo cię lubi, to jasne - ale czy musi popadać w skrajność? Cały jej trening, całe jej wychowanie skłania ją do unikania krańcowych rozwiązań i do znajdowania praktycznych odpowiedzi. Nawet jeżeli jeszcze nie pomieszała twoich walizek z innymi, jeśli zostaniesz jeszcze tydzień, rok, czy dwadzieścia lat, przyjdzie czas, kiedy tego zechce - znajdzie sposób, aby to zrobić i nie skłamać ci w słowach - i nie poczuje żadnych wyrzutów sumienia, ponieważ go nie posiada. Ma tylko mądrość, absolutnie pragmatyczną.

Odchrząknąłem.

- A teraz przeciwteza, na opak i wprost przeciwnie. Lubię moją babkę i kocham Ją na tyle, na ile pozwala mi mój paskudny charakter, i szanuję ją do głębi jej podstępnej duszy - i zabiję ciebie czy każdego, kto wejdzie Jej w drogę, czy sprawi, że będzie nie-szczęśliwa - a tylko częściowo dlatego, że przekazała mi cień swego ja, pozwalając mi Ją zrozumieć. Jeżeli wystarczająco długo uda jej się uniknąć noża mordercy, bomby czy trucizny, przejdzie do historii jako „Wielka”. Jednak mówiłeś o „okropnych poświęceniach”. Śmieszne! Ona lubi być „Jej Mądrością”, pępkiem, wokół którego kręcą się wszystkie światy. Nie wierzę też, iż zrezygnowałyby z tego dla ciebie czy dla pięćdziesięciu lepszych niż ty. I znowu, Ona wcale nie kłamała, ponieważ - jak mi przekazałeś - powiedziała „jeśli”... wiedząc, że wiele rzeczy może się zdarzyć w ciągu trzydziestu czy dwudziestu pięciu lat, a wśród nich prawie na pewno to, iż nie zostaniesz tu aż tak długo. Szwindel. Jednak to najmniejsze z oszustw, jakich dopuściła się względem ciebie. Oszukiwała cię od chwili, gdy po raz pierwszy ją ujrzałeś, a nawet jeszcze wcześniej. Kantowała na wszystkie możliwe sposoby, zmusiła cię do kupna kota w worku, podpuściła jak pierwszego lepszego frajera, uspokajała, kiedy zaczynałeś coś podejrzewać, umiejętnie pokierowała tobą, prowadząc w zaplanowanym kierunku - i sprawiła, że to ci się podobało. Ona nigdy nie przebiera w środkach i gdyby musiała, oszukałaby Najświętszą Panią, jednocześnie zawierając pakt z diabłem. Och, otrzymałeś zapłatę, i to szczodra; Ona nie jest małostkowa. Jednak nadszedł czas, żebyś zrozumiał, iż zostałeś oszukany. Zwróć uwagę, że ja Jej nie krytykuję, lecz wyrażam swoje uznanie - zresztą sam jej w tym

pomagałem, pomijając chwilę zwątpienia, kiedy zacząłem litować się nad ofiarą. Ale ty byłeś tak omotany, że nie chciałeś mnie słuchać - za co dzięki wszystkim świętym! Na chwilę puściły mi nerwy, kiedy pomyślałem, że idziesz na śmierć z szeroko otwartymi, niewinnymi oczami. Jednak Ona była sprytniejsza ode mnie - jak zwykle. Teraz słuchaj! Lubię Ją. Szanuję. Podziwiam. Nawet trochę Ją kocham. Ją całą, nie tylko urocze aspekty Jej osobowości, ale i te paskudne, które czynią Ją twardą jak stal i pozwalają wykonywać tę pracę. A co z tobą? Co ty do niej czujesz teraz... wiedząc - że cię nabrała, wiedząc, kim Ona jest?

Nie ruszyłem się. Obok mnie stał drink, nie tknięty podczas całej tej długiej o racji. Wziąłem go i wstałem.

- Za najwspanialszą starą torbę w dwudziestu wszechświatach!

Rufo z powrotem przeskoczył przez biurko i chwycił swoją szklankę.

- Mów to głośno i często! Powiedz jej to, będzie zadowolona! Niech Ją błogosławi Bóg, kimkolwiek On jest, i niech ją strzeże od złego. Nigdy nie narodzi się druga taka jak Ona - a szkoda, gdyż potrzebujemy takich na kopy!

Wychyliliśmy toast i rozbiliśmy nasze szklanki. Rufo wydobył nowe, nalał, usiadł w swoim fotelu i rzekł:

- A jeśli chodzi o picie na serio. Czy mówiłem ci kiedyś, jak...

- Tak, Rufo, chcę, żebyś mi opowiedział o tym oszustwie.

- Na przykład co?

- No, sporo już wiem. Przypomnij sobie, jak pierwszy raz lecieliśmy...

Wzdrygnął się.

- Lepiej nie.

- Wtedy mnie to nie zastanowiło. Jednak, skoro Star umie zrobić coś takiego, moglibyśmy uniknąć spotkania z Iglim, Rogatymi Duchami bagna, czasu straconego u Jocko...

- Straconego?

- Z jej punktu widzenia. Ponadto szczury, dziki, a może nawet smoki. Moglibyśmy przelecieć od tej pierwszej Bramy do drugiej. Mam rację?

Potrząsnął głową.

- Mylisz się.

- Nie wiem w czym.

- Zakładając, że Ona mogła przenieść nas tak daleko, czego mam nadzieję nigdy nie sprawdzać, mogłaby dolecieć z nami do Bramy, którą wybrała. Co wtedy zrobiłaby? Gdybyś przeskoczył niemal bezpośrednio z Nicei do Karth-Hokesh? Rzuciłbyś się do ataku i walczył jak rosomak, tak jak to uczyniłeś? Czy też powiedziałbyś: „Panienko, pomyliłaś się. Pokaż mi, jak wyjść z tego gabinetu śmiechu, bo mnie to nie bawi?”

- No cóż, nie wziąłbym ogona pod siebie.

- Ale czy zdołałbyś zwyciężyć? Czy byłbyś taki spięty i gotowy na wszystko?

- Rozumiem. Te pierwsze rundy były ostrym strzelaniem i częścią mojego treningu. Ale czy amunicja naprawdę była ostra? Czy też cała ta pierwsza część była oszustwem? Może ona zasugerowała mi to za pomocą hipnozy? Dobrze wiem, że jest w tym ekspertem. Nic nam nie groziło, dopóki nie dotarliśmy do Czarnej Wieży, tak?

Znów się wzdygnął.

- Nie, nie! Oscarze, w każdej z tych sytuacji moglibyśmy zginać. Nigdy w życiu nie walczyłem tak zajadle, nigdy też nie byłem bardziej przerażony. Nie mogliśmy uniknąć żadnej z tych przygód. Nie rozumiem wszystkich jej pobudek, nie jestem Jej Mądrością. Jednak ona NIE

NARAZIŁABY SIĘ niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. W razie potrzeby poświęciłaby dziesięć milionów dzielnych ludzi, uważając to za niewielką cenę. Ona wie, ile jest warta. Tymczasem walczyła obok nas ze wszystkich swoich sił - sam widziałeś! Ponieważ tak musiało być.

- Nadal nie wszystko rozumiem.

- I nie zrozumiesz. Ani ja. Posłałbym cię samego, gdyby to było możliwe. A w obliczu największego niebezpieczeństwa, tego tworu zwanego „Pożeraczem Dusz”, ponieważ załatwił tylu śmiazków przed tobą... gdybyś przegrał walkę z nim, Ona i ja próbowalibyśmy wydostać się stamtąd - byłem gotów zrobić to w każdej chwili, chociaż nic ci nie mówiłem - a jeśli udałoby się nam - co mało jest prawdopodobne - Ona nie roniłaby po tobie łez. A jeśli nawet, to niewiele. Potem popracowałaby znowu dwadzieścia, trzydzieści

czy sto lat, aby znaleźć, oszukać i wyszkolić następnego rycerza - i walczyć równie zaciekle u jego boku. Ma odwagę to stare pudło. Ona wiedziała, jak marne są nasze szanse - ty nie. Czy choć mru-gnęła okiem?

- Nie.

- Ty byłeś kluczem, który trzeba było odnaleźć i dopasować. Musiałeś działać sam, nie mogłeś być kukielką, inaczej nigdy nie zwyciężyłbyś. Tylko Ona mogła pokierować kimś takim jak ty i umieścić cię w miejscu, w którym miałeś działać - żadna osoba mniejszego kalibru nie zdołałaby poradzić sobie z takim bohaterem, jaki był Jej potrzebny. Tak więc szukała go, aż znalazła... i przekuła we wspaniałą broń. Powiedz mi, dlaczego wziąłeś ten miecz? Rzadko spotyka się je w Ameryce.

- Słucham?

Musiałem pomyśleć. Chyba dlatego, że naczytałem się o królu Arturze, Trzech Muszkieterach i cudownych opowiadaniach marsjańskich Burroughsa... Ale każdy dzieciak je czyta.

- Kiedy przeprowadziliśmy się na Florydę, byłem skautem. Zastępowy był Francuzem, nauczycielem szkoły średniej. Zaczął uczyć kilku z nas. Spodobało mi się, bo byłem w tym dobry. A potem w college'u...

- Czy zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego ten emigrant dostał tę właśnie pracę w tym mieście? I czemu został zastępowym? Albo dlaczego twój college miał drużynę szermierczą, podczas gdy większość szkół ich nie ma? Gdziekolwiek poszedłbyś, też miałbyś okazję do fechtunku - w YMCA czy gdzie indziej. Czy nie stoczyłeś większej liczby walk niż większość zawodników w twojej kategorii wiekowej?

- Do licha, tak!

- Mogłeś zostać zabity - i Ona zwróciłaby się do innego, już przygotowanego kandydata. Synu, nie wiem, jak cię wybrano, ani w jaki sposób z młodego punka przemieniono cię w potencjalnego bohatera. To nie moja sprawa. Moje zadanie było prostsze - i bardziej niebezpieczne - miałem być twoim giermkim i cieniem pilnującym twoich pleców. Rozejrzyj się wokół. Niezła kwatera jak na służącego, co?

- Hmm, tak. Prawie zapomniałem, że miałeś być moim gierm-

kiem.

- Miałem?! Do licha, byłem nim. Trzykrotnie udawałem się do Nicei jako Jej sługa, przygotowując się do tej roli. Jocko do dziś nic o tym nie wie. Gdybym wrócił, pewnie zostałbym mile przyjęty. Ale tylko w kuchni.

- Dlaczego? Ta część planu wydaje się głupotą.

- Czyżby? Kiedy cię usidliliśmy, twoje ego było w kiepskiej formie; musieliśmy je podbudować - a częścią tego było nazywanie cię szefem, podawanie wam do stołu w czasie posiłków, kiedy ty siedziałeś, a ja stałem...

Przez chwilę gryzł palec i wyglądał na rozzłoszczonego.

- Nadal myślę, że Ona zaczarowała te dwie pierwsze strzały. Kiedyś zażadam rewanżowego meczu - kiedy Jej nie będzie w pobliżu.

- Możesz się naciąć. Wciąż ćwiczę.

- Hmm, zapomnijmy o tym. Odzyskaliśmy Jajo, tylko to jest istotne. A tu mamy flaszkę i to również jest ważne. - Znów napełnił szklaneczkę.

- Czy to już wszystko, szefie?

- Niech cię diabli, Rufo? Tak, ty słodki stary łobuzie. Wyjaśniłeś mi wszystko. Albo znów mnie oszukałeś - nie wiem.

- Nie, Oscarze, nie oszukałem cię - na krew, którą razem przełaliśmy. Powiedziałem ci szczerą prawdę, taką, jaką znam, chociaż zrobiłem to z przykrością. Nie chciałem tego, jesteś moim przyjacielem. Pamięć o dniach spędzonych na tej wyboistej drodze zachowam do końca życia.

- Hmm... tak. Ja też. O wszystkim.

- A więc dlaczego marszczysz brwi?

- Teraz ją rozumiem - na tyle, na ile może ją zrozumieć zwykły człowiek - i bardzo ją szanuję... i kocham bardziej niż kiedykolwiek. Jednak nie będę niczyją maskotką. Nawet jej.

- Cieszę się, że nie musiałem tego mówić. Tak. Ona ma rację. Jak zwykle, niech ją diabli! Musisz odejść. Ze względu na was oboje. Och, Ona nie miałaby nic przeciwko temu, lecz gdybyś został, po pewnym czasie zszedłbyś na psy. A gdybyś był uparty - zakończyłbyś się.

- Lepiej wrócę i spakuję się.

Poczułem się lepiej, jakbym powiedział lekarzowi: „No dalej, amputujcie!”

- Nie rób tego.

- Dlaczego?

- A po co miałbyś to robić? Nie musisz palić za sobą mostów. Jeśli małżeństwo ma trwać długo - a twoje może potrwać nawet bardzo długo - to i wakacje powinny być dłuższe. A więc urwij się ze smyczy, synu, nie podając daty swojego powrotu i bez żadnych obietnic. Ona wie, że błędni rycerze spędzają noce tu i tam - spodziewa się tego. Zawsze tak było - un droit de la vocation - i tak musi być. Tam, skąd pochodzisz, po prostu nie wspominało o tym w historyjkach dla dzieci. Zatem idź rozejrzeć się, co się dzieje w twoim fachu gdzie indziej, i nie martw się. Wrócisz za cztery, czterdzieści czy więcej lat i zostaniesz mile przyjęty. Bohaterowie zawsze siadają przy pierwszym stole, to ich przywilej. A także przychodzą i odchodzą, kiedy chcą - i to też ich prawo.

- W pewnym sensie jesteś podobny do Niej.

- Dzięki za komplement!

- Powiedziałem „w pewnym sensie”. Hmm, Oscarze, częścią twego problemu jest chęć powrotu do domu. Do twojej ojczyzny. Aby odzyskać właściwą perspektywę i odnaleźć siebie. Wszyscy podróżnicy mają to uczucie, ja również, od czasu do czasu. Kiedy mnie ogarnia, po prostu mu ulegam.

- Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że tęsknię za domem. Może masz rację.

- Może Ona zdała sobie z tego sprawę. Może w ten sposób nakłania cię do tego. Osobiście przyjąłem zasadę, aby dawać każdej mojej żonie odpocząć ode mnie, kiedy jej twarz wydaje mi się zbyt znajoma - ponieważ przy moim wyglądzie mój widok musiał opa-
trzyć się jej znacznie wcześniej. Czemu nie, chłopcze? Powrócić na Ziemię to nie to samo, co umrzeć. Ja też tam niedługo wracam, dlatego robię porządek w papierach. Może spotkamy się tam kiedyś... i pójdziemy na jednego lub dziesięć, żeby pośmiać się i pogadać. Uszczypnąć kelnerkę i zobaczyć, co powie. Czemu nie?

ROZDZIAŁ XXI

No i dobrze, jestem tu.

Nie wyjechałem w tym samym tygodniu, ale wkrótce potem. Przed wyjazdem spędziliśmy ze Star wspaniałą, skrapianą łzami noc; płakała, gdy mnie całowała, mówiąc „Au voir” (nie „Żegnaj”). Jednak wiedziałem, że jej łzy obeschną, zaraz gdy zniknę jej z oczu; a ona wiedziała, że ja to wiem, i wiedziałem, że woli, aby tak było, ja zresztą też. Nawet jeśli ja też płakałem.

Nawet Pan Amercian nie podróżuje się tak szybko jak Bramami powszechnego użytku. Przerzucono mnie w trzech kolejnych etapach i bez żadnych hokus-pokus. Jakaś dziewczyna powiedziała: „Na miejsca, proszę” - i wiuu!

Wylądowałem na Ziemi, ubrany w londyński garnitur, z Lady Vivamus w pokrowcu nie wyglądającym na pochwę na miecz, mając w kieszeniach czeki, które mogłem wymienić na sporą ilość złota, ponieważ doszedłem do wniosku, że nie odmówię przyjęcia zapłaty za bohaterskie czyny. Przybyłem w pobliżu Zurichu, nie znam adresu; dba o to obsługa Bram. Zamiast tego mam sposoby przesyłania tam wiadomości.

Wkrótce potem czeki zmieniły się w konta numerowe w trzech szwajcarskich bankach, za sprawą prawnika, którego mi polecono. W kilku miejscach kupiłem czeki podróżne i niektóre z nich wysłałem pocztą, a inne wziąłem ze sobą, ponieważ nie miałem zamiaru płacić Wujowi Słodkiemu te dziewięćdziesiąt jeden procent.

Przebywając na planecie o innej długości dnia i kalendarza, tracisz poczucie czasu; zostały mi jeszcze dwa tygodnie, na które wystawiony był mój darmowy bilet do kraju. Wydawało się rozsądne wykorzystać go - w ten sposób nie wzbudzę podejrzeń. Tak też zrobiłem - starym, czteromotorowym samolotem transportowym z Prestwick do Gander w stanie Nowy Jork.

Ulice wydawały się brudniejsze, budynki nie tak wysokie - a nagłówki gorsze niż kiedykolwiek. Przestałem czytać gazety i nie zostałem tam długo; za „dom” uważałem Kalifornię. Zadzwoiłem do matki; zganiała mnie za to, że nie pisałem, a już obiecałem wpaść na Alaskę najszybciej, jak będę mógł. Jak się mają? (Pa-

miętałem o tym, że pewnego dnia moi przyrodni bracia i siostry mogą potrzebować pomocy, jeśli zechcą iść do college'u).

Wiodło im się nieźle. Ojczym był na liście personelu latającego i systematycznie awansował. Poprosiłem, żeby przesyłał moją korespondencję do ciotki.

Kalifornia wyglądała trochę lepiej od Nowego Jorku. Jednak daleko jej do Nevii. Albo do Center. Była bardziej zatłoczona, niż ją pamiętam. Jedyne, co można powiedzieć o miastach Kalifornii, to że nie są takie złe jak gdzie indziej. Odwiedziłem ciotkę i wuja, ponieważ byli dla mnie dobrzy, i zamierzałem użyć trochę tego szwajcarskiego złota na wykupienie go z łap jego pierwszej żony. Jednak ona już umarła i teraz wspominali o basenie kąpielowym.

Tak więc siedziałem cicho. Zbyt wielkie pieniądze o mało już mnie nie zniszczyły i to mnie czegoś nauczyło. Postąpiłem zgodnie z zasadą Ich Mądrości: pozostaw sprawy własnemu biegowi.

Miasteczko studenckie wyglądało na mniejsze, a studenci tak młodo. Pewnie wrażenie było obustronne. Wychodziłem z bufetu naprzeciw budynku administracji, kiedy weszło tam dwóch dryblasów w sportowych podkoszulkach, odpychając mnie na bok. Drugi powiedział:

- Uważaj, tatuśku!

Darowałem mu życie.

Football przywrócono do łask - nowy trener, nowe szatnie, pomalowane umywalnie i ławki, mówiono nawet o nowym stadionie. Trener wiedział, kim jestem; znał kronikę i chciał sobie wyrobić nazwisko.

- Wracasz do gry, prawda?

Powiedziałem mu, że nie sędzę.

- Nonsens! - powiedział. - Musisz zdobyć tę starą gałę! Zrobiłbyś największe głupstwo na świecie, pozwalając, aby powstrzymała cię ta wycieczka do woja. Teraz słuchaj... - zniżył głos. - Żadnych bzdur z „zamiataniem sali” - Rada Szkoły tego nie lubi. Ale chłopak może mieszkać przy rodzinie - a jakąś zawsze można znaleźć. Jeśli płaci chesne gotówką, kogo to obchodzi? - I dodał dyskretnie jak przedsiębiorca pogrzebowy:

- A forsa z przywilejów dla weteranów zostanie ci na kieszonkowie.

- Nie mam żadnych przywilejów.

- Chłopie, nie czytasz gazet?

Miał ten wycinek; kiedy mnie nie było, uznano jednak tę nie-wojnę za dającą przywileje dla weteranów.

Obiecałem, że to przemyśle.

Jednak nie miałem zamiaru tego robić. Istotnie, postanowiłem zdobyć dyplom inżyniera, gdyż lubię kończyć to, co zacząłem. Ale nie tutaj.

Tego wieczoru otrzymałem też wiadomość od Joan, dziewczyny, która tak pięknie mnie pożegnała, a potem splawiła, kiedy byłem w wojsku. Zamierzałem odszukać ją, zadzwonić do niej i jej męża, lecz jeszcze nie zdążyłem się dowiedzieć, jak brzmi jej nowe nazwisko. Jednak ona, robiąc zakupy, natknęła się na moją ciotkę i sama do mnie zatelefonowała.

- Easy - powiedziała i brzmiało to tak, jakby naprawdę się cieszyła.

- Kto...? Czekaj chwilę... Joan!

Muszę wpaść do niej na kolację jeszcze tego wieczoru. Powiedziałem: dobrze, i że nie mogę się doczekać spotkania ze szczęściarzem, którego poślubiła.

Joan wyglądała słodko jak zawsze i zarzuciwszy mi ręce na szyję, ucałowała mnie serdecznie na powitanie; pocałunek siostrzany, ale gorący. Poznałem dzieci, jedno kilkumiesięczne, a drugie raczkujące.

Jej mąż był w Los Angeles.

Powinienem chwycić swój kapelusz i wyjść. Ale wszystko w porządku, nie przejmuj się, Jim telefonował po naszej rozmowie, mówiąc, że musi zostać jeszcze jeden dzień i oczywiście nie ma nic przeciwko temu, że pójdę z tobą na kolację, widział mnie na boisku, może jutro wieczorem miałbym ochotę na kręgle, nie zdołała załatwić opiekunki do dziecka, ale jej siostra i szwagier akurat mają wpaść na drinka, nie mogę zostać na kolację, są umówione, mimo wszystko, mój drogi, czyż nie znamy się od tak dawna, och, na pewno pamiętasz moją siostrę, o, właśnie przyjechali, a ja nie położyłam dzieci spać.

Jej siostra i szwagier zostali na drinka; Joan z siostrą położyły dzieci do łóżek, podczas gdy szwagier siedział ze mną i pytał, jak

tam sprawy w Europie; o ile wiedział, właśnie stamtąd wróciłem, a potem powiedział mi, jak stoją sprawy w Europie i co powinno się tam zrobić.

- Wie pan, panie Gordon - mówił, klepiąc mnie po kolanie. - Człowiek zajmujący się handlem nieruchomościami naprawdę dobrze zna się na ludziach, musi się znać i choć właściwie nie byłem w Europie, bo nie miałem czasu, ktoś musi zostać w domu, płacić podatki i mieć oko na wszystko, podczas gdy wy, młodzi szczęściarze, oglądacie sobie świat, ale ludzka natura jest wszędzie taka sama i gdybyśmy spuścili jakąś bombkę na Mińsk czy Pińsk albo inne takie miejsce, to by ich szybko oświeciło i moglibyśmy dać sobie spokój z tym wzajemnym kiwaniem się, co tak fatalnie wpływa na interesy. Nie sądzi pan?

Powiedziałem, że trafił w sedno. Kiedy wychodzili, powiedział mi, że zadzwoni do mnie jutro i pokaże mi kilka wybranych parceli, które można kupić prawie za bezcen, a które na pewno nabiorą wartości, ponieważ niebawem w pobliżu zaczną budować fabrykę pocisków rakietowych.

- Miło było posłuchać o pańskich przeżyciach, panie Gordon, naprawdę. Muszę panu kiedyś opowiedzieć, co przytrafiło mi się w Tijuanie, ale nie w obecności żony, ha, ha!

- Nie wiem, dlaczego ona za niego wyszła - powiedziała mi Joan. - Nalej mi jeszcze jednego drinka, kochanie, podwójnego, bardzo go potrzebuję. Zmniejsz ogień w piekarniku, kolacja może zaczekać.

Wypiliśmy podwójnego drinka, a potem następnego i zjadłem kolację o jedenastej. Około trzeciej, kiedy upierałem się, że chcę iść do domu, Joan trochę się rozkleiła. Powiedziała mi, że jestem tchórzem, a ja się z nią zgodziłem; oświadczyła, że wszystko mogło być inaczej, gdybym nie uparł się, żeby iść do wojska, i znów jej przytaknałem; kazała mi wyjść tylnymi drzwiami i nie zapalać światła, i że nigdy więcej nie chce mnie widzieć, a Jim wyjeżdża do Sausalito siedemnastego.

Następnego dnia złapałem samolot do Los Angeles.

Słuchajcie - ja nie obwiniam Joan. Lubię ją. Szanuję i zawsze będę jej wdzięczny. To miła osoba. Gdyby w pełni mogła wykorzystać swoje zalety - na przykład na Nevii! - byłaby bombą! Ale i tak

jest niezwykle dziewczyną. Jej dom był schludny, dzieci czyste, zdrowe i zadbane. Jest wspaniałomyślna, pomysłowa i dobroduszna.

Nie czuję się też winny. Jeśli mężczyzna ma choć odrobinę szacunku dla dziewczęcych uczuć, to nie może jej odmówić rewanżowej randki. Nie mam też zamiaru udawać, że nie miałem na to ochoty.

Jednak byłem zły aż do Los Angeles. Nie z powodu jej męża; nic mu nie zrobiłem. Ani przez Joan; nie zbiło jej to z nóg i wątpliwe, żeby czuła jakieś wyrzuty sumienia. Joan to dobre dziecko i udało jej się pogodzić własne potrzeby z wymaganiami społeczeństwa.

Mimo wszystko byłem zły.

Mężczyzna nie powinien krytykować najbardziej kobiecej cechy kobiecego charakteru. Chcę wyraźnie powiedzieć, że ta mała Joanie była tak samo słodka i szczodra jak ta młodsza Joanie, która wysłała mnie do wojska z piersią wezbraną dumą. Wina leżała po mojej stronie - to ja się zmieniłem.

Utyskuję na całe społeczeństwo, nie obciążając poszczególnych osobników więcej niż odrobiną winy. Pozwólcie, że zacytuję doświadczonego podróżnika, kulturoznawcę i rozpustnika, doktora Rufo:

- Oscarze, kiedy wrócisz do domu, nie oczekuj zbyt wiele od swoich współobywatelek. Na pewno rozczarowałeś się, ale nie należy winić tych biedaczek. Amerykańskie kobiety, zatraciwszy instynkt swej płci, kompensują to nadmiernym zainteresowaniem rytuałami odprawianymi nad zimnym trupem seksu... A każda jest pewna, że „intuicyjnie” zna właściwe zaklęcie na ożywienie trupa. Ona wie i nikt nie jest w stanie przekonać ją, iż jest w błędzie... a szczególnie mężczyzna, który ma pecha leżeć z nią w łóżku. Zatem nie próbuj. Albo ją rozwścieczysz, albo załamiesz. Zaa-takowałeś najświętszą ze świętych krów - mit, że kobiety wiedzą wszystko o seksie, ponieważ są kobietami.

Rufo zmarszczył brwi:

- Typowa Amerykanka jest pewna, że jest generalną projektantką mody, dekoratorką wnętrz, mistrzynią rondla i - zawsze kurtyzana. Zazwyczaj myli się we wszystkich czterech punktach. Jednak nie próbuj jej o tym mówić.

I dodał:

- Chyba że złapiesz jakąś, nim skończy dwanaście lat, odseparujesz od innych, szczególnie od matki, a nawet wtedy może być za późno. Jednak nie zrozum mnie źle; wszystko się wyrównuje. Amerykański samiec jest przekonany, iż jest wielkim wojownikiem, wielkim politykiem i wielkim kochankiem. Już pobieżne testy udowadniają, że łądzi się tak samo jak ona. Albo i gorzej. Rozważając rzecz w kategoriach historyczno-kulturalnych, istnieją silne dowody na to, iż amerykański samiec, a nie samica, zamordował seks w waszym kraju.

- A co ja mam z tym zrobić?

- Od czasu do czasu wyskocz sobie do Francji. Francuzki są prawie takimi samymi ignorantkami, ale znacznie mniej zarozumiałe i często można je czegoś nauczyć.

Kiedy mój samolot wylądował, odłożyłem te rozmyślenia na później, postanowiwszy na jakiś czas zostać anachoretą. W wojsku nauczyłem się, że łatwiej wytrzymać abstynencję seksualną niż racjonowanie żywności - a miałem poważne plany.

Postanowiłem zostać prostym człowiekiem, jakim jestem z natury, ciężko pracującym i mającym jakiś cel w życiu. Mogłem użyć tej forsy w szwajcarskich bankach i zostać playboyem. Jednak byłem już playboyem - i stwierdziłem, że to nie w moim stylu.

Wziąłem udział w największej rozróbce w historii - tak wielkiej, że nie uwierzyłbym, gdybym tyle przy tej okazji nie zgarnął. Teraz przyszedł czas, żeby osiąść gdzieś i przyłączyć się do Anonimowych Bohaterów. Dobrze być bohaterem. Jednak emerytowany bohater najpierw staje się nudny, a potem traktuje się go jak łazika.

Moim pierwszym przystankiem był Caltech. Teraz stać mnie było na najlepsze, a jedyny rywal tej uczelni znajduje się tam, gdzie próbowano całkowicie zlikwidować seks. W latach 1942-45 naparzyłem się już na to ponure cmentarzysko.

Dziekan do spraw rekrutacji nie był dobrej myśli.

- Panie Gordon, czy pan wie, że odrzucamy znacznie więcej kandydatów, niż przyjmujemy?

Nie możemy również przyznać panu wielu punktów za to świadectwo. Nie krytykuję pańskiej szkoły - i chcielibyśmy pójść na rękę

byłym żołnierzom - ale ta szkoła ma wyższe wymagania. Ponadto kosztów życia w Pasadenie nie uzna pan za niewygórowane.

Powiedziałem mu, że będę szczęśliwy, mogąc studiować na warunkach, jakie uznają za stosowne, po czym pokazałem mu wyciąg bankowy (jeden z trzech) i zaproponowałem czek na chesne za rok z góry. Nie przyjął go, ale trochę zmiękł. Wyszedłem od niego z wrażeniem, że może uda się znaleźć jakieś miejsce dla E.C. „Oscara” Gordona.

Pojechałem do centrum i podjąłem działania, aby legalnie stać się Oscarem, a nie Evelynem Cyrilem. Potem zacząłem szukać pracy.

Znalazłem ją w Dolinie, jako młodszy kreślacz w filii towarzystwa będącego częścią korporacji produkującej opony, urządzenia dla przemysłu spożywczego oraz inne rzeczy - a konkretnie pociski raketowe. To było częścią planu rehabilitacji Gordona. Kilka miesięcy nad deską kreślarską przywróci mi dawną formę; zamierzałem studiować wieczorami i dobrze się sprawować. Znalazłem umeblowane mieszkanie w Sawtelle i kupiłem używanego forda na dojazdy.

Poczułem się nieco raźniej. „Milord Bohater” odszedł w niepaamięć. Pozostała po nim tylko Lady Vivamus, wisząca nad telewizorem. Jednak zanim ją tam umieściłem, zważyłem ją w dłoni i poczułem ten rozkoszny dreszcz. Postanowiłem znaleźć salle d'armes i zapisać się do klubu. W Dolinie widziałem też strzelnicę dla łuczników i powinno tu być jakieś miejsce, gdzie członkowie American Rifle Association pukają sobie w niedzielę. Nie ma potrzeby obrastać w tłuszcz...

Postanowiłem na razie zapomnieć o tej forsie w Szwajcarii. Ten fundusz był w złocie, nie w jakiejś nędznej walucie, więc jeśli pozostawię go w spokoju, może nabrać większej - może dużo większej - wartości w wyniku inflacji niż dzięki inwestycjom. Pewnego dnia, kiedy otworzę własną firmę, stanie się moim kapitałem zakładowym.

Właśnie na to się nastawiłem: być szefem. Najemny pracownik, nawet w tych zawodach, którym Wuj Słodki zabiera więcej niż połowę, jest zwykłym niewolnikiem. Jednak od Jej Mądrości nauczyłem się, że szef musi ćwiczyć; nie mogłem kupić tego tytułu za zło-

to.

Tak więc ustatkowałem się. Zmieniłem imię; Caltech uznał, że mogę zacząć się rozglądać za mieszkaniem w Pasadenie - i dotarła do mnie poczta.

Matka wysłała ją do mojej ciotki, ta przekazała ją na adres hotelu, w którym najpierw mieszkałem, aż w końcu listy trafiły do mojego mieszkania. Niektóre nadano w Stanach przed przeszło rokiem, wysłano do Azji południowoschodniej, potem do Niemiec, na Alaskę, aż poprzez kolejne zmiany adresów dotarły do mnie w Sawtelle.

W jednym proponowano mi ponownie te usługi w dziedzinie poradnictwa inwestycyjnego - tym razem mogłem zyskać jeszcze dziesięć procent. Inny był od trenera z college'u - na zwykłym papierze listowym i napisany niewyraźnym pismem. Zawiadamiał mnie, że pewni ludzie chcą zacząć sezon z hukiem. Czy dwieście pięćdziesiąt dolarów na miesiąc wpłynie na zmianę mojej decyzji? Numer telefonu domowego, rozmowa na jego koszt. Podarłem ten list.

Następny był z Departamentu do Spraw Weteranów, datowany tuż po moim zwolnieniu do cywila; powiadamiano mnie, iż w wyniku procesu Barton versus United States i tak dalej, uznano, że zaliczam się do „sierot wojennych” i przyznano mi stypendium w wysokości stu dziesięciu dolarów miesięcznie, dopóki nie ukończę dwudziestu trzech lat.

Śmiałem się tak, aż mnie wszystko bolało.

Wśród innych śmieci był inny list od pewnego kongresmena. Miał zaszczyt poinformować mnie, że wspólnie z organizacją Weteranów Wojen Zagranicznych opracował pakiet specjalnych ustaw, mających na celu naprawę krzywd wynikłych z niesprawiedliwej klasyfikacji osób, które należało uznać za „sieroty wojenne”, że ustawy te przeszły jednogłośnie i z radością może mnie powiadomić, iż ta, która dotyczy mnie, pozwala na przedłużenie okresu pobierania świadczenia stypendialnego do chwili ukończenia dwudziestu siedmiu lat, ponieważ skończyłem dwadzieścia trzy, zanim naprawiono błąd. Z poważaniem itd.

Nie mogłem się już śmiać. Pomyślałem, ile obelg - czy czegokolwiek innego - byłem gotów przełknąć tego lata, kiedy mnie po-

wołano do wojska, byleby mieć te sto dziesięć dolarów miesięcznie. Napisałem do tego kongresmena list z podziękowaniami - najserdeczniej, jak umiałem.

Następny list wyglądał jak kolejny śmieć. Nadawcą była Spółka Fundusze Szpitalne - więc prawdopodobnie zawierała prośbę o datek lub reklamę ubezpieczenia zdrowotnego - tyle że nie widziałem powodu, dla jakiego miałbym znajdować się na liście przedsiębiorstwa w Dublinie.

Fundusze Szpitalne zapytywały mnie, czy mam kupon irlandzkiej loterii o numerze takim a takim i pokwitowanie zakupu? Ten los został sprzedany szanownemu panu J.L. Weatherby'emu. Numer tego kuponu został wylosowany w drugim ciagnieniu i okazał się biletem zwycięskiego konia. J.L. Weatherby został powiadomiony i zawiadomił Fundusze Szpitalne, iż przeniósł prawa własności kuponu na E.C. Gordona i otrzymawszy pokwitowanie, przesłał je wyżej wymienionej osobie.

Czy ja byłem „tym E.C. Gordonem”, czy miałem kupon, czy posiadałem kwit? Spółka uprzejmie prosi o szybką odpowiedź.

Ostatnia koperta miała adres zwrotny poczty wojskowej. Zawierała pokwitowanie zakupu kuponu irlandzkiej loterii i notatkę: To powinno mnie nauczyć, żeby nie grać w pokera. Mam nadzieję, że to ci pomoże - J.L. Weatherby. Stempel nosi datę sprzed roku.

Przez chwilę gapiłem się na list, a potem wyjąłem papiery, które ciągnąłem ze sobą przez wszechświaty. Znalazłem odpowiedni kupon. Był trochę poplamiony krwią, ale numer miał czytelny.

Spojrzałem na list. Powtórne losowanie...

Zacząłem oglądać kupony pod światło. Inne były podrobione. Jednak na tym kuponie i pokwitowaniu ryty były tak wyraźne jak na banknotach. Nie wiem, gdzie Weatherby kupił ten los, ale na pewno nie od złodzieja, który sprzedał mi moje.

Drugie losowanie... Nie wiedziałem, że było ich więcej niż jedno. Tymczasem ilość ciagnień zależała od liczby sprzedanych kuponów, w grupach po 120.000 funtów. Ja sprawdziłem tylko wyniki pierwszego.

Weatherby wysłał kwit na adres mamy, do Wiesbaden, tak więc kiedy byłem w Nicei, list musiał być w Elmendorfie - potem dotarł do Nicei i wrócił do Elmendorf, ponieważ Rufo zostawił ten adres

w biurze American Express; Rufo wiedział o mnie wszystko i podjął odpowiednie kroki, aby ukryć moje zniknięcie.

Tamtego ranka, przed rokiem, kiedy siedziałem w kawiarni w Nicei, byłem posiadaczem wygrywającego kuponu, a pokwitowanie nań czekało wśród mojej poczty. Gdybym przeczytał całą „Herald Tribune”, a nie zakończył lekturę na ogłoszeniach osobistych, znalazłbym wyniki drugiego losowania i nigdy nie odpowiedziałbym na tamten anons.

Odebrałbym sto czterdzieści tysięcy dolarów, nie zobaczyłbym Star po raz drugi...

A może Jej Mądrość nie dopuściłaby do tego?

Czy zrezygnowałbym z podążania za moją „Heleną Trojańską” tylko dlatego, że miałbym pełne kieszenie forsy?

Przyznałem sobie dobrodziejstwo wątpliwości. I tak podążyłbym Szlakiem Chwały!

Przynajmniej taka mam nadzieję.

Następnego ranka zadzwoniłem do fabryki, potem poszedłem do banku i wykonałem rutynowe czynności, przez jakie już dwukrotnie przebrnąłem w Nicei.

Tak, to był dobry kupon. Czy bank może służyć swoją pomocą w jego realizowaniu? Podziękowałem im i wyszedłem.

Człowieczek z urzędu podatkowego już stał u moich drzwi...

No prawie... Zadzwonił z dołu, kiedy pisałem list do Funduszy Szpitalnych.

Powiedziałem mu, że niech mnie diabli, jeśli to zrobią! Zostawie pieniądze w Europie i mogą mi nagwizdać! Spokojnie powiedział, że bym nie podchodził do tego w ten sposób i nie unosił się, gdyż urząd podatkowy niechętnie opłaca informatorów, ale będzie musiał to zrobić, jeśli moje działania wzbudzą podejrzenia, że zamierzam uniknąć płacenia podatków.

Załatwili mnie. Odebrałem sto czterdzieści tysięcy dolarów i zapłaciłem sto trzy tysiące dolarów Wujowi Słodkiemu. Spokojny człowieczek stwierdził, że tak jest lepiej; tak często ludzie odmawiają płacenia i pakują się w kłopoty.

Gdybym był w Europie, miałbym tę sumę w złocie - ale teraz dostałem trzydzieści siedem tysięcy dolarów w papierkach - ponieważ wolni i suwerenni Amerykanie nie mogą posiadać złota.

Mogliby rozpętać jakąś wojnę, przejść na komunizm albo zrobić nie wiadomo co. Nie, nie mogę pozostawić tych pieniędzy w Europie, w złocie - to również jest nielegalne. Byli bardzo uprzejmi.

Przesłałem dziesięć procent czyli trzy tysiące siedemset dolarów sierżantowi Weatherby'emu i opisałem mu tę historię. Wziąłem pozostałe i stworzyłem z nich fundusz powierniczy dla mojego przyrodniego rodzeństwa, urządziwszy wszystko tak, żeby rodzina nie dowiedziała się o nim, dopóki nie będzie potrzebny. Skrzyżowałem palce w nadziei, że wieść o tym nie dojdzie na Alaskę. Gazety w Los Angeles nie wspominały o tym, ale wieść jakoś się rozeszła; znalazłem się na liście potencjalnych frajerów - poczta przynosiła informacje o nadzwyczajnych okazjach, błagania o pożyczki lub żądania darowizn.

Minał cały miesiąc, zanim zdałem sobie sprawę z tego, że zupełnie zapomniałem o Urzędzie Podatkowym Stanu Kalifornia. Nigdy nie mogłem się połapać w tym gąszczu przepisów.

ROZDZIAŁ XXII

Wróciłem do starej deski kreślarskiej, spędzając wieczory przy książce, trochę oglądając telewizję, a w weekendy ćwicząc szermierkę.

Jednak wciąż powtarzał mi się ten sam sen...

Po raz pierwszy przyśnił mi się, kiedy podjąłem pracę, a teraz nawiedzał mnie co noc...

Podążam tą długą, długą drogą, a potem jest zakręt, a za nim zamek. Jest piękny - z proporcjami powiewającymi na wieżyczkach - a ta kręta, stroma droga wiedzie do zwodzonego mostu. Jednak ja wiem, po prostu wiem, że w lochu jest uwięziona księżniczka.

Ta część jest zawsze taka sama. Zmieniają się jedynie szczegóły. Ostatnio na drodze pojawił się ten grzeczny człowieczek z urzędu podatkowego i powiedział mi, że pobierają tu myto - dziesięć procent więcej niż suma, jaką posiadam.

Innym razem jest to gliniarz, który opiera się o mojego wierzchowca (mającego czasem cztery nogi, a czasami osiem) i wypisuje mandat za wstrzymywanie ruchu, jazdę z przedatowanym prawem

jazdy, ignorowanie znaków drogowych i niepodporządkowanie się władzy. Chce wiedzieć, czy mam zezwolenie na tę lancę - i ostrzeża mnie, iż prawo łowieckie nakazuje zgłaszać ilość zabitych smoków.

Czasem mijam ten zakręt i rusza na mnie potężna fala samochodów, pędzących pięciopasmową szosą. Ten sen jest najgorszy.

Zacząłem spisywać to wszystko, kiedy zaczęły się te koszmary. Nie mogłem pójść do psychoanalityka i powiedzieć:

- Słuchaj, doktorku, jestem z zawodu bohaterem, a moja żona jest cesarzową w innym wszechświecie...

Jeszcze mniejszą ochotę miałem na wylegiwanie się na jego koczecie i opowiadanie o tym, jak rodzice źle mnie traktowali w dzieciństwie (nieprawda) i jak dowiedziałem się, co zrobić z dziewczynkami (to moja sprawa).

Postanowiłem pogadać o tym z maszyną do pisania.

Poprawiło mi to samopoczucie, ale nie uleczyło ze snów. Jednak poznałem nowe słowo - „zaadaptowany”. Oznacza ono członka jednej kultury, dopasowującego się do życia według norm innej, po przykrym okresie niedopasowania. Jak ci Indianie w miasteczkach Arizony, którzy nic nie robią, tylko gapią się na witryny sklepów albo po prostu stoją. Adaptacja. Oni nie pasują.

Właśnie jechałem do miasta, żeby odwiedzić lekarza od uszu, nosa i gardła - Star obiecała mi, że jej terapia oraz kuracja przeprowadzona na Center uwolni mnie od pospolitych przeziębień - i to prawda, nic się mnie nie łapie. Jednak nawet specjaliści od kuracji zapewniającej długowieczność nie mogą zabezpieczyć ludzkich tkanek przed trującymi gazami - dokuczał mi smog Los Angeles. Pieczenie oczu, zatkany nos - dwa razy w tygodniu jeździłem do laryngologa, który wyczyniał z moim nosem okropne rzeczy. Zwykle zostawiałem samochód na parkingu i dojeżdżałem do Wilshire autobusem - bliżej nie sposób było zaparkować.

W autobusie usłyszałem rozmowę dwóch dam: „... chociaż ich nie cierpię, nie można wydać koktajl-party, nie zapraszając Sylwestrów”.

Wydawało mi się, że mówią w obcym języku. Puściłem taśmę jeszcze raz i zrozumiałem słowa.

Dlaczego ona musi zapraszać tych Sylwestrów? Jeśli ich nie

cierpi, to czemu ich nie zignoruje albo dlaczego nie zwali im czegoś na łby?

Na Boga, po co w ogóle wydawać koktajl-party? Ludzie, którzy za sobą nie przepadają, stojący tu i ówdzie (krzesel jest zawsze za mało), rozmawiający o rzeczach, które ich nie interesują, pijący drinki, których nie potrzebują (po co ustalać porę, kiedy można się napić?) i upijający się tak, że nawet nie zauważają, iż wcale się nie bawią. Po co?

Uświadomiłem sobie, że mój proces adaptacji posunął się już za daleko. Nie pasowałem tu.

Zrezygnowałem zjazd autobusem, co skończyło się pięcioma mandatami za nieprawidłowe parkowanie oraz rozbitym zderzakiem. Dałem też sobie spokój ze studiami. Czytanie książek wydawało mi się bezsensowne. Nie tak uczono mnie na starej, dobrej Center.

Jednak nie zrezygnowałem z posady kreślarza. Zawsze umiałem rysować i szybko zaczęto przydzielać mi najpoważniejsze projekty.

Pewnego dnia kierownik pracowni poprosił mnie do siebie.

- Popatrz, Gordon, ten szkic, który zrobiłeś...

Byłem dumny ze swego dzieła. Przypomniałem sobie coś, co widziałem na Center i zaprojektowałem to, redukując ruchome części i przekształcając poprzedni niezgrabny wzór w coś, co sprawiło, że poczułem się lepiej. Rzecz była skomplikowana, więc sporządziłem dodatkowy rzut.

- Tak?

Podał mi go z powrotem.

- Popraw to. Zrób to tak, jak należy.

Wyjaśniłem mu usprawnienie i to, że zrobiłem to lepiej, aby...

Przerwał mi.

- Nie chcemy, żeby to było zrobione w lepszy sposób. Chcemy, żeby zrobiono to na nasz sposób.

- Macie prawo - zgodziłem się i zrezygnowałem z pracy, po prostu wychodząc z biura.

W normalnych godzinach pracy moje mieszkanie wyglądało dziwnie. Zacząłem czytać „Wytrzymałość materiałów” - i odrzuciłem książkę precz. Potem wstałem i spojrzałem na Lady Vivamus.

- Dum Vivimus, Vivamus!

Gwiżdżąc zapiąłem pas, wydobyłem miecz i poczułem dreszcz przebiegający mi po ramieniu.

Schowałem broń do pochwy, wziąłem trochę rzeczy, głównie czeki podróżne i gotówkę, po czym wyszedłem. Nie wybierałem się w jakimś konkretnym kierunku, po prostu przed siebie.

Szedłem tak sobie może przez dwadzieścia minut, kiedy nadjechał wóz patrolowy i zabrał mnie na posterunek.

Dlaczego miałem to przy sobie? Wyjaśniłem, że dżentelmeni zazwyczaj noszą miecze.

Jeśli zechciałbym powiedzieć im, dla jakiej wytwórni filmowej pracuję, jeden telefon załatwi całą sprawę. A może dla telewizji?

Policja chętnie współpracuje, ale lubi być wcześniej powiadomiana.

Czy mam zezwolenie na noszenie ukrytej broni? Powiedziałem, że nie była ukryta.

Stwierdzili, że była - w pochwie. Wspomniałem o Konstytucji; powiedziano mi, że Konstytucja, cholera, nic nie wspomina o łożeniu po mieście z takim szpikulcem. Gliniarz szepnął do sierżanta: „Tu go mamy, szefie. Ostrze jest dłuższe niż...” Chyba mówił o trzech calach. Było małe zamieszanie, kiedy próbowali mi zabrać Lady Vivamus. W końcu zamknęli mnie - z mieczem i całą resztą.

Dwie godziny później mój prawnik zmienił kwalifikację na „zakłócanie spokoju” i zostałem zwolniony, choć napomykano o badaniu poczytalności.

Zapłaciłem mu i podziękowałem, po czym pojechałem taksówką na lotnisko, gdzie kupiłem bilet do San Francisco. Na lotnisku kupiłem też dużą torbę, taką, w której Lady Vivamus mieściła się.

Tej nocy w San Francisco trafiłem na przyjęcie. Spotkałem tego faceta w barze; postawiłem mu kolejkę, a on postawił następną, potem zafundowałem mu obiad i kupiwszy galon wina, poszliśmy razem na ubaw.

Tłumaczyłem mu, że nie ma sensu chodzić do szkoły i wkuwać, jeśli są już lepsze sposoby. To tak jakby Indianin studiował przywabianie bizonów! Bawoły są w zoo! Adaptacja - i tyle!

Charlie rzekł, że całkowicie się ze mną zgadza, a jego przyjaciele chętnie o tym posłuchają. Tak więc poszedłem i zapłaciłem kierowcy, żeby zaczekał, ale zabrałem walizki ze sobą.

Przyjaciele Charliego nie chcieli słuchać moich teorii, ale z radością powitali przyniesione przez nas wino, tak więc usiadłem na podłodze i słuchałem ludowych pieśni. Mężczyźni nosili brody i nigdy nie czesali włosów. Te brody były niezwykle przydatne, pomagały rozróżnić płeć. Jeden brodacz stał i recytował wiersz. Nawet pijany w sztok stary Jocko sprawiłby się lepiej, ale nie powiedziałem tego na głos.

Przyjęcie nie przypominało tego na Nevii, a już na pewno tych na Center, z wyjątkiem jednej rzeczy: złożono mi propozycję. Może zastanowiłbym się nad nią, gdyby ta dziewczyna nie nosiła sandałów. Miała brudne nogi. Pomyślałem o Ahai-ee-van oraz o jej miłym, czystym futerku i powiedziałem, że nie, dzięki, ale ślubowałem.

Brodacz, który deklamował wiersz, podszedł i stanął przede mną.

- Człowieku, w jakiej rozróbie zarobiłeś tę bliznę?

Powiedziałem mu, że w południowoschodniej Azji. Spojrzał na mnie z pogardą.

- Najemnik!

- No, nie zawsze - odparłem. - Czasem biję się za darmo. Tak jak teraz.

Rzuciłem nim o ścianę, wziąłem moje walizki i wyszedłem, po czym udałem się na lotnisko - a później do Seattle i Anchorage na Alasce, aż dotarłem do Bazy Sił Powietrznych Elmendorf - czysty, trzeźwy i z Lady Vivamus zamaskowaną jako sprzęt wędkarski.

Mama ucieszyła się na mój widok, a i dzieciaki wyglądały na zadowolone - kupiłem im prezenty w Seattle, w przerwie między lotami - i pogadaliśmy sobie o niczym z ojczymem.

Będąc na Alasce, zrobiłem jedną ważną rzecz: poleciałem do Point Barrow. Tam znalazłem część tego, czego szukałem - żadnego zgiełku, ścisku i niezbyt wielu ludzi. Patrzysz na lodową równinę i wiesz, że dalej jest tylko biegun północny, a po drodze nieliczni Eskimosi i jeszcze mniej białych ludzi. Eskimosi są dokładnie tak sympatyczni, jak się ich opisuje. Ich dzieci nigdy nie płaczą, a dorośli nigdy się nie złością - tylko psy uwiązane między chatami mają paskudne charaktery.

Jednak Eskimosi są teraz „cywilizowani” - dawne zwyczaje za-

nikają. W Barrow możesz kupić likier czekoladowy, a samoloty codziennie wzbijają się w niebo, po którym jutro mogą pomknąć pociski raketowe.

Wciąż jednak można znaleźć fokę wśród lodowej kry i wioska pławi się w bogactwie, gdy ubijają wieloryba, a przymiera głodem, jeśli polowanie się nie uda. Nie mierzą czasu i wydaje się, że niczym się nie przejmują - kiedy zapytasz kogoś, ile ma lat, odpowie: „Och, jestem już dość stary”. Tak jak Rufo. Zamiast „do widzenia” mówią: „Na razie!” Nie wiadomo kiedy, ale zobaczymy się znowu.

Pozwolili mi wziąć udział w tańcach. Zakładasz rękawice (na swój sposób, przestrzegając etykiety tak samo jak Doral), a potem przytupujesz i śpiewasz w rytm bębnów - i w pewnej chwili stwierdziłem, że płaczę. Nie wiem, dlaczego. To był taniec małego, starego człowieka, który nie ma żony, a teraz widzi fokę i...

Powiedziałem im „na razie” i wróciłem do Anchorage, skąd poleciałem do Kopenhagi. Z wysokości trzydziestu tysięcy stóp biegun północny wygląda jak preria pokryta śniegiem, tyle że te czarne linie to woda. Nigdy nie sądziłem, że zobaczę biegun północny.

Z Kopenhagi udałem się do Sztokholmu. Marjatta nie mieszkała już z rodzicami, ale zaledwie przecznicę dalej. Poczęstowała mnie szwedzkim obiadem, a jej mąż to równy chłop. Ze Sztokholmu zadzwoniłem do działu ogłoszeń osobistych paryskiego wydania „Herald Tribune”, a potem poleciałem do Paryża.

Codziennie zamieszczałem to ogłoszenie i siedząc pod „Dwoma Czerwiami”, piłem kawę za kawą, starając się nie okazywać zniecierpliwienia. Oglądałem panienki i panny, rozmyślając o tym, co ze sobą zrobić.

Gdyby człowiek chciał osiąść gdzieś na jakieś czterdzieści lat czy coś koło tego, czyż Nevia nie byłaby idealnym miejscem? No dobrze, tam są smoki. Nie ma jednak much, moskitów ani sygnalizacji świetlnej.

Muri ucieszyłaby się na mój widok. Mogę się z nią ożenić. I może jeszcze z tą małą, jak jej tam, siostrzyczką także. A dlaczego nie? Małżeńskie obyczaje nie wszędzie są takie jak w Paducach. Star byłaby zadowolona; chciałyby spokrewnić się z Jocko poprzez małżeństwo.

Jednak wcześniej lub później zobaczą się ze Star i wystawie za drzwi tę stertę cudzych walizek. Nie zostaną długo; powiem to „na razie”, które zadowoli Star. To jedno z niewielu zadań, jakie można bez trudu przełożyć na żargon mieszkańców Center - w którym oznacza dokładnie to samo.

„Na razie”, ponieważ są inne dziewice i chętne panienki, które gdzieś potrzebują ratunku. Gdziekolwiek. A mężczyzna - o czym wiedzą mądre żony - musi pracować w swoim fachu.

Nie potrafię oprzeć się pokusie podróży; wypiję życie do dna. Wabi mnie długa droga, szlak, „Królewska Włóczęga”, bez pewności co, gdzie i czy w ogóle będę jadł ani gdzie i z kim spał. Jednak gdzieś musi być Helena Trojańska oraz wszystkie jej siostry i zawsze są jakieś szlachetne czyny do dokonania.

W ciągu miesiąca można wypić morze kawy i zamiast marzyć, zacząłem kipieć ze złości. Do licha, czemu Rufo jeszcze się nie zjawił? Po prostu ze zdenerwowania doprowadziłem te notatki aż do ostatnich dni. Czy Rufo wrócił sam? A może nie żyje?

A może nigdy nie istniał? Czyżby zwolniono mnie z wojska z powodu zaburzeń psychicznych i to, co mam w tej walizce, taszcę ze sobą wszędzie, dokądkolwiek się udaję? Miecz? Boję się tam zajrzeć, więc nie zaglądam - a teraz obawiam się nawet pytać. Kiedyś spotkałem pewnego sierżanta, trzydziestoletniego faceta, który był przekonany, że jest właścicielem wszystkich kopalni diamentów w Afryce: spędzał wieczory, wypełniając księgi rachunkowe. Czy ja również padłem ofiarą złudzeń? Czyżby te franki były wszystkim, co pozostało z mojej comiesięcznej renty inwalidzkiej?

Czy ktokolwiek otrzymuje w życiu drugą szansę? Czy drzwi w murze zawsze znikają, kiedy spojrzysz na nie drugi raz? Gdzie złapać łódź do Brigadoonu? Bracie, to tak jak z tym urzędem pocztowym w Brooklynie: Stąd nie dostaniesz się tam!

Zamierzam dać Rufo jeszcze dwa tygodnie.

Otrzymałem wiadomość od Rufo! Przekazano mu wycinek z moim ogłoszeniem, ale miał pewne kłopoty. Nie mógł powiedzieć zbyt wiele przez telefon, ale domyślałem się, że wpadł w łapki jakiejś drapieżnej fraulein i prysnął przez granicę prawie sans culottes. Jednak będzie tu dziś wieczór. Nie ma nic przeciwko zmianie pla-

net i wszechświatów i mówi, że ma na oku coś interesującego. Przedsięwzięcie może trochę ryzykowane, ale na pewno nie nudne. Jestem pewien, że nie myli się ani w jednym, ani w drugim. Rufo może ukraść ci papierosy, a na pewno dziewczynę, lecz nie sposób się przy nim nudzić - a w razie potrzeby zginie, broniąc twoich pleców.

Tak więc jutro ruszamy na Szlak Chwały, nie zważając na wyboje i inne przeszkody. Macie jakieś smoki do zabicia?